

Najbardziej przerażający thriller psychologiczny
od czasu MILCZENIA OWIEC

SEBASTIAN FITZEK



PASAŻER 23

Ta książka najpierw zmrozi twoje serce.
A kiedy dojdiesz do siebie,
już się od niej nie uwolnisz...


AMBER

SEBASTIAN FITZEK

PASAŻER 23

**Przekład
BARBARA TARNAS**



Pamięci mojej matki, Christy Fitzek.

Coffee later!

Od roku 2000 na całym świecie co najmniej 200 pasażerów i członków załogi statków wycieczkowych oraz promów wypadło za burtę.

Zaginieni bez śladu
„Der Tagesspiegel”, 25.08.2013

Statek wycieczkowy jest jak małe miasteczko, z tą różnicą, że w miasteczku nikt nie wypada za burtę, znikając bez śladu.

Amerykański deputowany Christopher SAYS
„Guardian”, 2010

Rekord przewozu pasażerów: w branży wycieczkowców padła granica 20 milionów. Branża świętuje przyrost rzędu 10%... i wcale nie uważa, aby wyczerpywało to jej potencjał.

„Spiegel Online”, 11.09.2012

Prolog

Ludzka krew:

– hematokryt 44%

– osocze 55%

– i 100 procent bajzlu, kiedy po nakłuciu żyły w sposób niekontrolowany rozbryzguje się po całym pomieszczeniu.

Doktor, jak chętnie o sobie mówił, chociaż nigdy się nie doktoryzował, otarł czoło grzbietem dłoni. Wprawdzie w ten sposób tylko rozmazał rozbryzgi, które go trafiły, co przypuszczalnie wyglądało teraz dość obrzydliwie, ale przynajmniej nic nie skapnęło mu do oka, tak jak w zeszłym roku, podczas operowania prostytutki, kiedy to przez sześć tygodni żył potem w strachu, czy aby nie zaraził się AIDS, żółtaczką typu C albo jeszcze innym świństwem.

Nienawidził, kiedy coś nie szło według planu. Kiedy na przykład podano nieodpowiednią ilość środka znieczulającego. Albo wybrańcy w ostatniej chwili zaczęli się bronić i wrywali sobie wenflony z żył.

– Błagam, nie... nie chcę... – mamrotał klient. Doktor zdecydowanie wolał to właśnie określenie.

Wybraniec to słowo zbyt podniosłe, a pacjent jakoś źle brzmiało w jego uszach, ponieważ tak naprawdę chorzy byli tylko nieliczni z tych, którymi się zajmował. Również osobnik, którego miał teraz przed sobą, był zdrow jak ryba, mimo że w tym momencie wyglądał jak podłączony do prądu wysokiego napięcia. Czarnoskóry sportowiec przewracał oczami, toczył pianę z ust i prężył tułów w górę, rozpaczliwie szarpiąc pasy, którymi przymocowano go do wózka transportowego. Był lekkoatletą, doskonale wytrenowanym, w dodatku jako dwudziestoczterolatek u szczytu swoich możliwości. Ale co komu pomogą lata morderczego treningu, kiedy w żyłach płynie roztwór narkotyku? W za małej ilości, by go całkowicie wyłączyć, bo przecież wyrwał sobie wenflon, ale jednak wystarczająco dużej, żeby doktor bez najmniejszego trudu mógł go położyć z powrotem na plecach, kiedy minął najgorszy atak. Krew też już nie bryzgała, od kiedy udało mu się założyć opaskę uciskową.

– Cicho, cicho...

Uspokajającym gestem Doktor położył mu dłoń na czole. Wydawało się rozgorączkowane, pot lśnił w świetle halogenowej lampy.

– Co w pana nagle wstąpiło?

Klient otworzył usta. Z jego źrenic niby sprężynowy nóż wyskoczył strach. Z trudem można było zrozumieć, co mówi:

– Nie... nie... chcę... umie...

– Zaraz, zaraz, ale przecież wszystko już ustaliliśmy – uśmiechnął się uspokajająco Doktor. – Wszystko jest już przygotowane. Chyba mi się pan nie wycofa w ostatniej chwili, na moment przed tak idealną śmiercią.

Zajrzał przez otwarte drzwi do pomieszczenia obok, popatrzył na stanowisko instrumentariuszki ze skalpelami i elektryczną piłą do cięcia kości, podłączoną już do prądu.

– Czyżbym nie wyjaśnił panu tego wystarczająco dokładnie?

Westchnął. Oczywiście, że wyjaśnił. Zajęło mu to całe godziny. Wyjaśniał w kółko i od nowa, ale ten niewdzięczny kretyn najwyraźniej nic z tego nie rozumiał.

– Będzie to bardzo nieprzyjemne, oczywiście. Ale tylko w ten sposób mogę sprawić, żeby pan umarł. Inaczej się nie da.

Lekkoatleta zaskomlał. Zaczął szarpać pasy, którymi miał przymocowane ręce, tyle że robił to już ze znacznie mniejszą siłą niż przedtem.

Doktor z zadowoleniem stwierdził, że znieczulenie w końcu zaczyna działać jak należy. Jeszcze trochę i będzie można zacząć operację.

– Widzi pan, mógłbym ewentualnie przerwać wszystko w tym momencie – powiedział, jedną rękę wciąż trzymając na czole sportowca, a drugą poprawiając maskę chirurgiczną. – No, ale po tym pański świat składałby się już tylko ze strachu i bólu. Niewyobrażalnego bólu.

Czarnoskóry sportowiec zamrugnął oczami. Jego oddech stawał się spokojniejszy.

– Pokazywałem panu przecież zdjęcia. I nagranie. To z korkociągiem i połówką oka. Czegoś takiego chyba by pan nie chciał, prawda?

– Hmhmhmmmm... – wystękał klient, zupełnie jakby miał w ustach knebel, a potem rysy jego twarzy rozluźniły się, a oddech się spłycił.

– Uznaję to za potwierdzenie – powiedział doktor i zwolnił nogą hamulec wózka, żeby przewieźć klienta do pomieszczenia obok.

Do sali operacyjnej.

Trzy kwadransy później pierwsza i najważniejsza część przedsięwzięcia była już wykonana. Doktor nie miał już lateksowych rękawiczek i chirurgicznej maseczki, a zielony jednorazowy fartuch, który zawiązuje się z tyłu jak kaftan bezpieczeństwa, wyrzucił już do kubła. Mimo wszystko w smokingu i butach z ciemnej lakierowanej skóry czuł się znacznie bardziej, jakby był przebrany, niż kiedy miał na sobie strój operacyjny.

Przebrany i zawiany.

Nie pamiętał już, kiedy zaczął po każdej udanej operacji pić łyżeczkę czegoś mocniejszego. Albo dziesięć, jak właśnie przed chwilą. Cholera, musi z tym skończyć... chociaż nigdy nie pił przed, tylko zawsze po. Mimo wszystko. Alkohol odbiera mu rozsądek.

Przychodzą mu do głowy głupie myśli.

Jak na przykład ta, *żeby zabrać ze sobą nogę.*

Zachichotał i popatrzył na zegarek.

Była dwudziesta trzydzieści trzy; musi się pośpieszyć, jeśli nie chce stracić głównego dania. Przystawki przeszły mu już koło nosa. Zanim jednak będzie mógł się skupić na perliczce, która dziś była w menu, musi zutilizować odpady biologiczne – niewykorzystane woreczki z krwią i prawe podudzie, które z idealną precyzją odpiłował tuż pod kolanem.

Podudzie było zawinięte w biodegradowalną plastikową torbę, którą po dotarciu do schodni musiał nieść oburącz, tak była ciężka.

Doktor był lekko zamroczony, ale nie na tyle, żeby nie zdawać sobie sprawy, że na trzeźwo nigdy nie przysłoby mu do głowy taszczyć ze sobą ludzkie części ciała, zamiast jak zwykle przekazać je do spalarni. Tak bardzo jednak wkurzył się na swojego klienta, że ta przyjemność była warta ryzyka. A było ono niewielkie. Bardzo niewielkie.

Wydano ostrzeżenie przed sztormem. Kiedy już zostawi za sobą te pogmatwane ścieżki, potem wąskie przejście, które można było pokonać tylko w pozycji pochylonej, i korytarz z żółtymi przewodami klimatyzacyjnymi prowadzący do windy towarowej, to na pokładzie na pewno nie spotka żywej duszy.

Poza tym miejsce, które wybrał na pozbycie się odciętego kawałka nogi, nie było pod nadzorem kamer. *Może i jestem podпиты, ale na pewno nie głupi.*

Dotarł do ostatniego odcinka drogi, platformy u góry schodów, z których – jeśli w ogóle – korzysta raz w miesiącu co najwyżej ekipa konserwatorska, i otworzył ciężkie drzwi z okrągłym okienkiem.

Poczuł na twarzy gwałtowne uderzenie wiatru; miał wrażenie, jakby musiał pokonać niewidzialną ścianę, żeby w ogóle wyjść na pokład.

Świeże powietrze sprawiło, że siadło mu krążenie. W pierwszej chwili zakręciło mu się w głowie, ale szybko wziął się w garść, a smakujący solą wiatr zaczął go otrzeźwiać.

Chwiał się już nie z powodu wypitego alkoholu, tylko ze względu na silne przechyły, które we wnętrzu wycieczkowca „Sułtan Mórz” nie były tak odczuwalne ze względu na stabilizatory.

Szedł po deskach pokładu na szeroko rozstawionych nogach. Był na pokładzie 8 ½, który dodano wyłącznie ze względów wizualnych. Kiedy patrzyło się z daleka, nadawał on rufie wycieczkowca bardziej dynamiczną linię, zupełnie jak spojler w sportowym samochodzie.

Doktor dotarł do najbardziej wysuniętego skraju rufy na bakburcie i wychylił się przez reling. W dole szalały fale Oceanu Indyjskiego. Skierowane w tył reflektory oświetlały pienisty ślad, ciągnący się za statkiem.

W zasadzie to chciał jeszcze coś powiedzieć, coś w rodzaju *Hasta la vista, baby* albo *No i to by było na tyle*, ale jakoś nic zabawnego nie przychodziło mu do głowy, więc wysokim łukiem bez słowa wyrzucił torbę z fragmentem nogi za burtę.

W teorii wrażenia były jakby ciut przyjemniejsze, pomyślał, znowu odrobinę bardziej trzeźwy.

Wiatr tak głośno świstał mu koło uszu, że nie miał szans usłyszeć, jak noga plasnęła pięćdziesiąt metrów niżej o powierzchnię wody. Za to jak najbardziej usłyszał głos za plecami:

– Co pan tam robi?

Odwrócił się gwałtownie.

Osobą, która tak śmiertelnie go przeraziła, nie był nikt dorosły z obsługi, *Bogu dzięki*, na przykład z ochrony, tylko mała dziewczynka, nie starsza od tej, którą dwa lata temu zajął się, podobnie jak całą jej rodziną, u wybrzeży Afryki Zachodniej. Siedziała po turecku obok skrzyni klimatyzatora czy innego agregatu. Na sprawach technicznych doktor nie znał się tak dobrze jak na skalpelach.

Ponieważ dziewczynka była tak mała, a otoczenie tak ciemne, nie zauważył jej wcześniej. Nawet teraz, wpatrując się w ciemność, widział tylko zarys jej postaci.

– Karmię ryby – powiedział zadowolony, że zabrzmiało to tak spokojnie, w przeciwieństwie do tego, co czuł w środku. Dziewczynka nie stanowiła dla niego fizycznego zagrożenia, ale jako świadek była mu zupełnie niepotrzebna.

– Niedobrze panu? – spytała. Miała na sobie jasną sukienkę, ciemne rajstopy i skafander. Ze względów bezpieczeństwa nałożyła czerwoną kamizelkę ratunkową, jaka leżała w szafie każdej z kabin.

Dzielna dziewczynka.

– Nie – odpowiedział i uśmiechnął się. – Czuję się świetnie. Jak się nazywasz?

Jego oczy powoli przyzwyczajały się do ciemności. Dziewczynka miała długie do ramion włosy i lekko odstające uszy, co jednak jej nie szpeciło. Wprost przeciwnie. Gotów był się założyć, że w pełnym świetle można już było dostrzec w niej atrakcyjną młodą kobietę, na jaką z pewnością wyrośnie.

– Anouk Lamar.

– Anouk? To francuskie zdrobnienie od imienia Anna, zgadza się?

Dziewczynka uśmiechnęła się.

– Aha, skąd pan wie?

– Wiem też dużo innych rzeczy.

– Tak? To może wie pan też, dlaczego tu siedzę?

Jej bezczelny głosik brzmiał piskliwie, ponieważ musiała przekrzykiwać wiatr.

– Malujesz morze – powiedział doktor.

Przycisnęła blok rysunkowy do piersi i uśmiechnęła się.

– To było łatwe. Co pan jeszcze wie?

– Że nic tu po tobie i już dawno powinnaś być w łóżku. Gdzie twoi rodzice?

Dziewczynka westchnęła.

– Tata nie żyje, a gdzie się podziewa mama, nie mam pojęcia. Często zostawia mnie wieczorami samą w kabinie.

– A tam ci się nudzi, co?

Przytaknęła.

– Zawsze wraca bardzo późno i śmierdzi. – Już nie mówiła tak głośno. – Dymem. I piciem. I potem chrapie.

Doktor nie mógł powstrzymać śmiechu.

– Dorośli tak już czasem mają.

Żebyś tak mogła usłyszeć, jak ja chrapię. Wskazał na blok rysunkowy.

– Udało ci się w ogóle cokolwiek narysować?

– Niee – pokręciła głową. – Wczoraj były piękne gwiazdy, ale dzisiaj jest tylko ciemno.

– I zimno – dorzucił Doktor. – Co ty na to, żebyśmy poszli poszukać twojej mamy?

Anouk wzruszyła ramionami. Nie wyglądała na specjalnie ucieszoną, ale powiedziała:

– Okej, czemu nie.

Wstała, nie pomagając sobie rękami.

– Czasami jest w kasynie – powiedziała.

– O, to się nawet dobrze składa.

– Dlaczego?

– Bo wiem, jak tam dojść na skróty – powiedział doktor z uśmiechem.

Rzucił ostatnie spojrzenie w morze, które w tym miejscu było tak głębokie, że noga lekkoatlety przypuszczalnie nie zdążyła jeszcze opaść na dno, potem wziął dziewczynkę za rękę i poprowadził do

schodni, z której niedawno wyszedł.

Rozdział 1

Berlin

Dom, gdzie miało się odbyć śmiertelne party, wyglądał zupełnie tak jak ten, który sobie kiedyś wymarzyli. Wolno stojący, kryty czerwoną dachówką, z dużym ogródkiem od frontu za białym palisadowym płotem. Tutaj rozpalaliby grilla w weekendy, a latem ustawialiby na trawniku dmuchany basen. On zapraszałby przyjaciół i rozmawialiby o pracy, o dziwactwach swoich partnerów albo po prostu wylegiwaliby się na leżakach pod parasolem i patrzyli na dzieci, jak się bawią.

Razem z Nadją oglądali taki właśnie dom, kiedy Timmy właśnie rozpoczynał naukę w szkole. Cztery pokoje, dwie łazienki, kominek. Z kremowym tynkiem i zielonymi okiennicami. Nawet niedaleko stąd, na granicy Westendu i Spandau. Tylko pięć minut rowerem do szkoły podstawowej, w której uczyła wtedy Nadja. O rzut kamieniem od kompleksu sportowego, gdzie jego syn mógłby grać w piłkę. Albo w tenisa. Albo w cokolwiek.

Wtedy nie było ich na niego stać.

Dzisiaj nie było już nikogo, kto mógłby się z nim gdziekolwiek wprowadzić. Nadja i Timmy nie żyli.

I tak samo będzie niedługo z tym dwunastoletnim chłopcem w domu należącym do mężczyzny o nazwisku Detlev Pryga, który właśnie obserwowali... jeśli dalej będą marnować czas w czarnym vanie zaparkowanym przed posesją.

– To ja wchodzę – powiedział Martin Schwarz. Siedział z tyłu, w pozbawionym okien wnętrzu furgonetki, i wrzucił do plastikowego kosza na śmieci strzykawkę, której mlecznobiałą zawartość właśnie sobie wstrzyknął. Potem wstał od stołu z monitorem, pokazującym z zewnątrz obserwowany obiekt. Jego twarz odbijała się w przyciemnionych szybach samochodu. *Wyglądam jak ćpun na głodzie*, pomyślał Martin, i była to obraza. Dla każdego ćpuna.

W ostatnich latach stracił na wadze, więcej niż można by to określić jako zdrowe. Tylko jego nos był wciąż tak samo gruby jak zawsze. Nochal Schwarzów, w który od pokoleń byli wyposażeni wszyscy mężczyźni potomkowie rodziny i który jego nieżyjącej żonie wydawał się seksowny, co według niego było ostatecznym dowodem na to, że miłość faktycznie jest ślepa. Jeśli już koniecznie chciałoby się powiedzieć o nim cokolwiek pozytywnego, to kinol nadawał jego twarzy godny zaufania, dobroduszny wyraz; czasem zdarzało się, obcy ludzie kłaniali mu się na ulicy, dzieci w wózkach uśmiechały się, kiedy się nad nimi pochylał (prawdopodobnie dlatego, że myliły go z klaunem), a kobiety całkiem otwarcie z nim flirtowały, czasem nawet w obecności swoich partnerów.

No cóż, dzisiaj na pewno by tego nie zrobiły, przynajmniej dopóki miał na sobie te ciuchy. Obcisłe skórzane spodnie i marynarka, w jakie się wcisnął, już przy oddychaniu skrzypiały nieprzyjemnie. Kiedy przesuwał się do drzwi furgonetki, powstał odgłos, jakby wiązał na supeł ogromny balon.

– Stój, poczekaj – powiedział dowodzący akcją Armin Kramer, który od paru godzin siedział naprzeciw niego przy stoliku komputerowym.

– Na co?

– Na ...

Zadzwoiła komórka Kramera i nie musiał kończyć zdania. Mający lekką nadwagę komisarz przywitał dzwoniącego elokwentnym „hm” i w toku dalszej rozmowy nie powiedział dużo więcej niż: „Co?”, „Nie!”, „Jaja sobie ze mnie robisz!” i: „Powiedz dupkowi, który to sknocił, że powinien ubrać się w coś ciepłego. Dlaczego? Bo w październiku może być cholernie zimno, kiedy przez kilka godzin będzie leżał przed komisariatem, gdy z nim skończę”. Tu Kramer się rozłączył.

– Fuck!

Uwielbiał używać języka amerykańskich gliniarzy od narkotyków. I tak samo wyglądać. Nosił rozdeptane kowbojskie buty, dziurawe dzinsy i koszulę w czerwono-białą kratę, która przypominała ścierkę do naczyń.

– W czym problem? – zapytał Schwarzw.

– Jensen.

– A co się dzieje?

Jakie ten koleś może stwarzać problemy? Przecież siedzi u nas w izolatce.

– Nie pytaj mnie, jak mu się to udało, ale ten skurwiol wysłał do Prygi esemesa.

Schwarz skinął głową. Erupcje uczuć charakterystyczne dla jego rozmówcy, który właśnie wrywał sobie włosy z głowy, były mu obce. Oprócz zastrzyku adrenaliny wstrzykniętego bezpośrednio do komory serca nie istniało prawie nic, co mogłoby przyspieszyć jego puls. A już na pewno nie informacja, że któremuś z więźniów znowu udało się zdobyć narkotyki, broń albo, jak Jensenowi, komórkę. Więzienie było zorganizowane lepiej niż supermarket, miało większy asortyment towarów i było otwarte w godzinach bardziej dogodnych dla klientów. Również w niedziele i święta.

– Ostrzegł Prygę? – zapytał Kramera.

– Nie. Ten kutas pozwolił sobie na żart, co na jedno wychodzi. Chciał cię wkopać. – Komisarz masował sobie worki pod oczami, które ze sprawy na sprawę stawały się coraz większe. *Gdybym chciał wysłać je pocztą, musiałbym nadać paczkę, zażartował ostatnio Kramer.*

– Jak to? – zapytał Schwarzw.

– Napisał mu, żeby Pryga się nie przestraszył, kiedy za chwilę pojawi się na imprezie.

– Dlaczego miałby się przestraszyć?

– Ponieważ się potknął i złamał sobie ząb. Lewą górną jędynkę.

Kramer popukał się grubym palcem w odpowiednie miejsce w ustach.

Schwarz kiwnął głową. Nigdy nie podejrzewałby tego zbrojca o taką kreatywność.

Spojrzał na zegarek. Było krótko po siedemnastej.

Krótko po „za późno”.

– Niech to jasny szlag! – Kramer z wściekłością walnął w stolik komputerowy. – Tyle przygotowań i wszystko psu na budę. Musimy wszystko odwołać.

Zaczął się gramolić na przednie siedzenie.

Schwarz otworzył usta, żeby zaprotestować, ale zdawał sobie sprawę, że Kramer ma rację. Pół roku pracowali na ten dzień. Zaczęło się od plotki, tak niewiarygodnej, że przez długi czas uważano ją za miejską legendę. Jak się jednak okazało, „bug partys” wcale nie były czystym wymysłem, tylko naprawdę się odbywały. Spotkania, podczas których osoby zarażone HIV uprawiały seks bez zabezpieczeń ze

zdrowymi ludźmi. Przeważnie za obopólną zgodą, dlatego takie eventy, podczas których ryzyko zarażenia dawało dodatkowy dreszczyk emocji, bardziej nadawały się na sprawę dla psychiatry, a nie prokuratora.

Zdaniem Schwarza, dorośli ludzie mogą sobie robić, co chcą, pod warunkiem, że robią to dobrowolnie. Wkurzało go tylko, że przez irracjonalne zachowania mniejszości niepotrzebnie umocniła się głupie uprzedzenia, jakie wiele osób żywi w stosunku do chorych na AIDS. A to dlatego, że „party z wirusem” były absolutnym wyjątkiem, podczas gdy przeważająca większość zainfekowanych prowadziła odpowiedzialne życie, a wielu z nich organizowało się nawet w aktywną walkę z chorobą i stygmatyzowaniem jej ofiar.

Walkę, którą niweczą samobójcze „Bug partys”.

Tym bardziej takie ich psychopatyczne warianty, jak ten tutaj.

Najnowszym trendem wśród zwolenników perwersji były „eventy”, podczas których gwałcono i zarażano wirusem niewinne ofiary. Przeważnie osoby niepełnoletnie. Na oczach płacącej za to publiczności. Nowa atrakcja na jarmarku obrzydliwości, który w Berlinie był czynny dwadzieścia cztery godziny na dobę. Często w porządnym domu na drobnomieszczańskich osiedlach, gdzie człowiek nigdy by się tego nie spodziewał. Tak jak właśnie tutaj, w Westendzie.

Detlev Pryga, człowiek, który na co dzień prowadził handel artykułami sanitarnymi, był cenionym współpracownikiem Jugendamtu, który regularnie brał pod swoje skrzydła najtrudniejszych podopiecznych. Takich z problemami narkotykowymi, ofiary molestowania seksualnego i innych, którzy więcej czasu spędzali w ośrodkach pomocy niż w szkole. Nieszczęśników, którzy często żyli w przekonaniu, że nocleg można dostać tylko w zamian za seks, i w przypadku których nikt nie zwracał uwagi, że za chwilę znowu uciekają, a potem trafiają z powrotem do ośrodka, zaniedbani i chorzy. Byli idealnymi ofiarami, bojącymi się policji rozrabiakami, którym rzadko dawano wiarę, jeśli czasem prosili o pomoc.

Również Liam, dwunastoletnie dziecko ulicy, który od miesiąca mieszkał w domu Prygi, po dzisiejszym wieczorze bardzo szybko znalazłby się z powrotem w rynsztoku. Ale najpierw na oczach obecnych gości musiałby uprawiać seks z Kurtem Jensenem, czterdziestotrzyletnim zarażonym HIV pedofilem.

Pryga poznał Jensena na internetowych czatach, gdzie różni zbrodniecy szukają swoich ofiar, i w ten sposób dostał się w policyjną sieć.

Teraz pedofil od dwóch tygodni siedział w areszcie śledczym. W tym czasie Schwarz przygotowywał się do wcielenia się w osobę Jensena, co było stosunkowo łatwe, ponieważ Jensen i Pryga nie wymienili się zdjęciami. Musiał tylko ubrać się w skórzany strój, który Pryga zażyczył sobie na potrzeby filmu, i ogolić głowę, ponieważ Jensen opisał siebie jako wysokiego, szczupłego, zielonookiego i ogolonego na łyso mężczyznę. Cechy, które po wizycie u fryzjera i założeniu soczewek kontaktowych pasowały teraz również do Martina Schwartz.

Największą trudnością w kamuflażu okazał się pozytywny test na AIDS, którego zażądał Pryga. Nie z wyprzedzeniem. Ale bezpośrednio na party. Zapowiedział, że będzie miał błyskawiczny test z holenderskiej apteki internetowej. Jedna kropla krwi i po trzech minutach na pasku pojawi się wynik.

Schwarz wiedział, że właściwie był to problem nie do rozwiązania, i tylko dlatego wybrano go do tej akcji. Od śmierci rodziny uchodził w policji za tykającą bombę. Pracującego pod różnymi przykrywkami

śledczego, który w wieku trzydziestu ośmiu lat w swoim zawodzie sprężystym krokiem wkracza w wiek emeryta, i któremu brakuje tego najważniejszego, co w sytuacji krytycznej może uratować życie jemu i kolegom z zespołu: zdolności odczuwania strachu.

Policijni psychologzy badali go już cztery razy i tyleż razy skłaniali się do wniosku, że nie uporał się z samobójstwem żony, a już tym bardziej z tym, że przedtem pozbawiła życia ich wspólnego syna. Cztery razy wydawali zalecenie wcześniejszego przeniesienia go w stan spoczynku, ponieważ człowiek, który stracił poczucie sensu życia, może podejmować na służbie nieodpowiedzialne ryzyko.

Cztery razy mieli rację.

A mimo to dzisiaj znów siedział w samochodzie operacyjnym, i to nie tylko dlatego, że był najlepszy w swoim fachu, ale przede wszystkim dlatego, że nie znalazł się nikt inny, kto dobrowolnie dałby wstrzyknąć sobie do żyły antycyjalę HIV, żeby zmanipulować wynik testu. Co prawda surowica krwi została w specjalnym procesie sterylizacji oczyszczona z zarazków powodujących AIDS, ale policyjny lekarz nie chciał dać mu stuprocentowej pewności, dlatego już po wszystkim Schwartz będzie musiał rozpocząć trwającą cztery tygodnie terapię lekową, tak zwaną profilaktykę postekspozycyjną, w skrócie PEP. Proces, który już raz przecierpiał, po tym jak jakiś ćpun w parku Hasenheide wbił mu w kark zakrwawioną strzykawkę. Na ulotce „pigulek po”, które trzeba było połknąć najpóźniej dwie godziny po ewentualnym zainfekowaniu, było napisane, że trzeba się liczyć z bólem głowy, wymiotami i biegunką. Najwyraźniej Schwartz był bardziej wrażliwy niż inne osoby sprawdzające na sobie ten lek. Dużo bardziej wrażliwy. Co prawda nie rzygał ani nie musiał dłużej przesiadywać na kiblu, za to silne ataki migreny doprowadzały go nieomal do utraty przytomności. A czasem nie tylko nieomal.

– Idę – powiedział do Kramera, patrząc w monitor. Od dziesięciu minut nikt już nie wszedł do domu.

Naliczyli siedmioro gości, pięciu mężczyzn i dwie kobiety. Wszyscy przyjechali taksówkami. Praktyczne, jeśli się nie chce, żeby ktoś zanotował numery rejestracyjne parkujących samochodów.

– A co, jeśli Pryga przygotował się na wszystkie ewentualności i ma w zapasie mojego zastępcę, na wypadek, gdybym w ostatniej chwili się wycofał? – zapytał Schwartz. Goście byli najprawdopodobniej zdrowi. Na pewno nie w sensie psychicznym, ale w fizycznym tak. Ale oczywiście nie wiedzieli tego na sto procent.

Kramer potrząsnął głową.

– Nie ma tylu zarażonych pedofilów, którzy byliby zdolni do czegoś takiego. Wiesz, jak długo Pryga musiał szukać Jensena?

Tak. Wiedział.

Mimo wszystko ryzyko było zbyt duże.

Nie mogli też po prostu wziąć domu szturmem. Nie mieli do tego wystarczających podstaw. Gwałt miał się podobno odbyć w piwnicy. Pryga trzymał psy, które obwieszczały przybycie każdego z odwiedzających. Nawet jeśli działaliby błyskawicznie, nie udałoby się im wyłamać drzwi i przyłapać sprawców *in flagranti*. I z jakiego powodu mieliby aresztować obecnych? Zamknięcie się w kotłowni i postawienie kamery na materacu nie jest przestępstwem. Nawet kiedy leży na nim chłopiec z nagim torsem.

W najlepszym wypadku mogliby zamknąć Prygę i jego gości na kilka godzin w areszcie. W najgorszym tylko ostrzegliby chorych psychopatów.

– Nie możemy ryzykować, że dwunastoletni chłopiec zostanie zgwałcony i zarażony HIV – zaprotestował Schwartz.

– Chyba wcześniej mówiłem za szybko – powiedział Kramer i powtórzył, akcentując każde słowo, tak wolno, jakby rozmawiał z osobą niedorozwiniętą umysłowo: – Nigdzie nie idziesz. Masz. Jeszcze. Wszystkie. Zęby!

Schwartz podrapał się w trzy- albo może nawet już siedmiodniowy zarost na brodzie. Nie potrafił dokładnie powiedzieć, kiedy ostatni raz spał w domu.

– A doktor Malchow?

– Nasz policyjny lekarz? – Kramer spojrzał na niego, jakby Schwartz poprosił go o pampersa dla dorosłych. – Posłuchaj, wiem, że nie wszystkie klepki masz po kolei, ale nawet ty nie możesz być taki głupi, żeby dać sobie wyrwać zęby. A nawet jeśli... – Kramer spojrzał na zegarek. – Malchow będzie tu najwcześniej za dwadzieścia minut, znieczulenie zajmie jeszcze trzy, zabieg kolejne pięć. – Wskazał na monitor pokazujący front budynku. – Kto ci powiedział, że za te pół godziny nie będzie już po imprezie?

– Masz rację – powiedział Schwartz i wyczerpany usiadł na pokrytej tapicerką ławce przy bocznej ścianie.

– To co, przerywamy? – zapytał Kramer.

Schwartz nie odpowiedział i sięgnął pod siedzenie. Wyciągnął worek marynarski w kolorze wojskowej zieleni, który zabierał na każdą akcję.

– I co będzie? – zapytał dowodzący akcją.

Schwartz wyrzucił na podłogę ubrania, które wcześniej zamienił na skórzany strój, i zaczął szperać w czeluściach torby.

Po kilku sekundach pomiędzy zwojami kabli i rolkami taśmy klejącej, bateriami i narzędziami znalazł szukany przedmiot.

– Powiedz mi, proszę, że to tylko żart – powiedział Kramer, kiedy Schwartz poprosił go o lusterko.

– Dobra, nie trzeba – odpowiedział Schwartz, wzruszając ramionami. – Obejdzie się i bez tego.

Potem przyłożył cęgi do lewej górnej jedyńki.

Rozdział 2

Sześć godzin później

Pan kompletnie zwariował.

– Dziękuję, że zakomunikowała mi to pani w tak delikatny sposób, pani doktor.

– Ale ja mówię poważnie.

Opalona młoda lekarka wyglądała tak, jakby chciała mu przywalić. Zaraz pewnie zapyta, czy on uważa się za jakiegoś Rambo, tak jak Kramer, dowódca Oddziału Specjalnego, dwaj sanitariusze i pół tuzina innych osób, które już to zrobiły po zakończeniu akcji.

Lekarka, według plakietki przyklejonej do kitla kliniki Charité, doktor Marlies Fendrich, oddychała zestresowana przez błękitną maseczkę chirurgiczną.

– Za kogo się pan uważa? Za Rambo?

Uśmiechnął się, co okazało się błędem, ponieważ zimne powietrze dotarło do odsłoniętego nerwu. Ułamał ząb tuż nad dziąsłem, za każdym razem, kiedy językiem dotykał pieńka, jego głowę przeszywały błyskawice bólu.

Oparcie fotela, na którym leżał, obniżyło się. Nad jego głową pojawiła się szeroka lampa i całkowicie go oślepiła.

– Otworzyć usta! – rozkazała lekarka, a on posłuchał.

– Wie pan, ile wysiłku potrzeba, żeby odbudować ząb? – usłyszał jej pytanie. Pochyliła się tak blisko jego twarzy, że widział pory na jej skórze. W przeciwieństwie do niego przykładła dużą wagę do higieny ciała. Ostatni peeling przechodził rok temu, kiedy dwaj Słoweńcy przeciągnęli go twarzą po asfalcie na parkingu restauracji przy autostradzie.

Nigdy nie jest dobrze, kiedy kamuflaż zostaje wykryty.

– Zostawił mi pan niecały milimetr podstawy, to o wiele za mało, żeby umocować na niej koronę – narzekała dalej Marlies. – Możemy spróbować ekspulsji, czyli wyciągnąć trochę wyżej korzeń, który wciąż tkwi w szczęce. Lepsze byłoby chirurgiczne przedłużenie korony, być może wtedy uniknęlibyśmy implantacji, ale wcześniej trzeba dokładnie oczyścić kanały. Po tym, co pan sobie zrobił, raczej nie będzie pan potrzebował znieczulenia przy spiłowy...

– Dwanaście! – Martin przerwał jej potok słów.

– Co dwanaście?

– Tyle lat miał chłopiec, którego przykuli łańcuchem do specjalnej huštawki. Miał w ustach wkładkę uniemożliwiającą zaciśnięcie zębów, żeby nie mógł się bronić podczas seksu oralnego. Miałem zarazić go HIV.

– Wielki Boże! – Twarz lekarki straciła dużą część urlopowej opalenizny. Schwartz zastanawiał się, gdzie była. W środku października trzeba polecieć gdzieś daleko, żeby móc wylegiwać się na słońcu. Albo mieć szczęście. Sześć lat temu mieli je z Nadją. Podczas ich ostatniej podróży na Majorkę. Obchodzili dziesiąte urodziny Timmy'ego na plaży. Dostał wtedy poparzeń od słońca. Ostatni raz w

życiu. Rok później jego żona i syn nie żyli, a on już ani razu nie pojechał na urlop.

– Sprawcy spodziewali się łysej głowy i brakującej jedynki. Co mam powiedzieć... – Pogłaskał się po łysej czaszce. – ... mój fryzjer miał mniej więcej taki sam zły humor jak pani.

Dentystka zmusiła się do nerwowego uśmiechu. Widać było, że nie jest do końca pewna, czy Schwartz z niej nie żartuje.

– Czy on... mam na myśli chłopca, czy on...?

– Wszystko z nim w porządku – odpowiedział. Przynajmniej na tyle, na ile można to powiedzieć o chłopcu z sierocińca, który znów znalazł się w ośrodku, zaraz po tym, kiedy został uwolniony ze szponów perwersyjnych oprawców. Schwartz czekał, aż będzie miał na taśmie rozkaz Prygi: „Dogodzić chłopakowi we wszystkie otwory”. Kamera ukryta między ćwiekami jego skórzanej kurtki uchwyciła pełne oczekiwań uśmieški gości, do których się odwracał, zanim powiedział „toster”, ustalone hasło Oddziału Specjalnego. Razem z pozornie pozytywnym testem na HIV oraz filmem wideo z własnoręcznie ustawionej przez Prygę kamery mieli dość materiału dowodowego, żeby na długo, na bardzo długo posłać te świnię za kraty.

– Przy odrobinie szczęścia nawet na dwa i pół roku – bąknął Kramer, kiedy zawoził go do kliniki Virhof, gdzie na początek dostał środek do PEP: trzy pigułki dziennie, przez pięć tygodni. Kramer musiał odwalić całą papierkową robotę, dlatego Martin sam dopytał się, jak trafić na oddział stomatologiczny, gdzie teraz, po kolejnych dwóch godzinach czekania, wreszcie przyszła na niego pora.

– Przepraszam pana – powiedziała lekarka. Miała drobną twarz z trochę za dużymi uszami i uroczymi piegami na nosie. W innym życiu Schwartz zastanawiałby się, czy nie powinien poprosić jej o numer telefonu, żeby ostatecznie tego nie zrobić, ponieważ był żonaty. Tak to w życiu bywa. Nigdy nie jest właściwa pora. Albo trafia się na ładną kobietę, kiedy ma się na palcu obrączkę. Albo nie ma się na palcu obrączki, ale każda ładna kobieta przypomina, co się straciło.

– Powiedziano mi tylko, że sam się pan okaleczył na służbie, a to by oznaczało, że jest pan po prostu...

– ...czubkiem? – Schwartz dokończył zdanie, ponieważ najwyraźniej dentystce zabrakło na to odwagi.

– No właśnie. Nie miałam pojęcia, że...

– Już dobrze, nie ma sprawy. Niech pani po prostu wyrwie resztę i wszystko zszyje.

Doktor Fendrich pokręciła głową.

– Tak łatwo się nie da. Na pewno zechce pan założyć koronkę...

– Nie. – Schwartz uniósł dłoń w obronnym geście.

– Ale chyba nie jest panu obojętne, że oszpe...

– Gdyby pani wiedziała, ile rzeczy jest mi całkowicie obojętnych – powiedział matowym głosem i w tym momencie w jego kieszeni zabuczała komórka. – Przepraszam na chwilę.

Musiał się trochę odwrócić, żeby wyjąć telefon z tylnej kieszeni spodni. Ktokolwiek teraz do niego dzwonił, robił to z zastrzeżonego numeru.

– Proszę pana, tam czekają jeszcze inni pacjenci... – Lekarka zaczęła kolejne niedokończone zdanie i odwróciła się zirytowana, kiedy Schwartz zignorował jej protest.

– Tak?

Brak odpowiedzi. Tylko głośny gwizd, który przypominał mu stare modemy i reklamę operatora AOL z lat dziewięćdziesiątych.

– Halo?

Usłyszał echo własnego głosu i niewiele brakowało, żeby się rozłączył, kiedy w słuchawce rozległ się dźwięk, jakby ktoś grał w szklane kulki na szkłe. Potem szum stał się cichszy, rozległ się dwukrotny głośny trzask i nagle mógł zrozumieć każde słowo.

– Halo? Nazywam się Gerlinde Dobkowitz. Czy mam przyjemność z niejakim Martinem Schwartzem?

Zaalarmowany zamrugał. Osoby dzwoniące pod ten numer nie miały żadnego powodu pytać go o nazwisko. Swój prywatny, zastrzeżony numer zdradził tylko kilku osobom i wszystkie doskonale wiedziały, jak on się nazywa.

– Halo? Pan Schwartz?

Obcy głos w telefonie miał wiedeński akcent i należał albo do starej kobiety, albo do młodej damy z dużym problemem alkoholowym. Schwartz postawił na to pierwsze, głównie z powodu staromodnego imienia i archaicznego sposobu wyrażania się.

– Skąd ma pani mój numer? – zapytał.

Nawet gdyby kobieta była pracownicą operatora komórkowego, w co nie wierzył, to i tak nie zwróciłaby się do niego, wymieniając jego prawdziwe nazwisko, lecz „Peter Pax”, pseudonimem, którym się posłużył, składając przed laty wniosek o ten numer; jego ulubiony pseudonim, ponieważ kojarzył mu się z Piotrusiem Panem.

– Powiedzmy, że jestem dobra w szukaniu – powiedziała kobieta.

– Czego pani chce ode mnie?

– Powiem panu, gdy tylko się spotkamy. – Gerlinde Dobkowitz zakaszła ochryple. – Musi pan jak najszybciej zjawić się na pokładzie.

– Na pokładzie? O czym pani mówi?

Schwartz zauważył, że dentystka, która sortowała narzędzia na bocznym stoliku, spojrzała na niego pytającym wzrokiem.

– Na pokładzie „Sułtana Mórz” – usłyszał z ust starej kobiety. – W tym momencie jesteśmy gdzieś na kanale La Manche o dzień rejsu od Hamburga i płyniemy kursem na Southampton. Powinien pan jak najszybciej do nas dołączyć.

Schwartzowi zrobiło się zimno. Wcześniej, kiedy stał naprzeciwko Prygi, nie był zdenerwowany. Nie denerwował się również, kiedy w korytarzu jego domu ukłuł się igłą błyskawicznego testu na HIV i minęło więcej niż przewidywane trzy minuty, zanim w okienku testu pojawiła się druga kreska. A nawet wtedy, kiedy zobaczył nagiego chłopca przywiązanego do huśtawki ani kiedy zamknęły się za nim ogniotrwałe drzwi. Ale teraz jego puls skoczył w górę. A rana w ustach zaczęła pulsować w rytm bicia serca.

– Halo? Panie Schwartz? Przecież zna pan ten statek? – zapytała Gerlinde.

– Tak.

No pewnie.

Oczywiście, że znał.

Był to ten sam wycieczkowiec, na którym pięć lat temu jego żona podczas trzeciej nocy rejsu przez Atlantyk wspięła się na balustradę swojej kajuty z balkonem i skoczyła z wysokości pięćdziesięciu metrów. Niedługo po tym, jak przycisnęła nasączoną chloroformem myjkę do twarzy śpiącego Timmy’ego

i wyrzuciła go za burtę.

Rozdział 3

Southampton
17 godzin później

Naomi uwielbiała thrillery. Im bardziej krwawe, tym lepiej. Na rejs luksusowym liniowcem „Sułtan Mórz” przytасzczyła ze sobą bez mała ciężarówkę książek (nie mogła przyzwycząić się do tych nowomodnych elektronicznych czytników) i w dobry dzień potrafiła pochłonać jedną całą – lub prawie – w zależności od tego, jak była gruba.

Albo jak krwawa.

Czasem nie była pewna, kto ma większego bzika: autor, który wymyślił tę chorą bzdurę, czy ona, która wydała pieniądze, żeby towarzystwem morderców i psychopatów umilać sobie czas przy basenie, mając w zasięgu ręki seksownych kelnerów, którzy między jednym rozdziałem a drugim donosili jej, zależnie od pory dnia, kawę, softdrinki albo koktajle.

W ciągu siedmiu lat małżeństwa, zanim dobry Bóg nabrał przekonania, że lepiej pasuje do niej urna na kominku niż obrączka na palcu, mąż powiedział jej kiedyś, że dziwi go, dlaczego ustanawia się ograniczenia wiekowe dla filmów i gier komputerowych, a nikt nie pomyślał o książkach.

Jakże słuszna uwaga.

Były takie sceny, które czytała lata temu i których od tamtej pory nie mogła pozbyć się z głowy, chociaż bardzo sobie tego życzyła. Na przykład ta z *Czyszciciela*, w której Joe cieszy się na dziką seksualną przygodę z nową zdobyczą w parku, a tymczasem ta ześwirowana koza miażdży mu obcęgami jądro.

Przeszły ją ciarki.

Czytając coś takiego, można by pomyśleć, że to wytwór umysłu jakiegoś zbrodźcy, tymczasem książka osiągnęła ogromny sukces, a jej autor, Paul Cleave, którego poznała na spotkaniu autorskim w ramach Międzynarodowego Festiwalu Kryminału, okazał się szarmancki, przystojny i dowcipny. Zabawny jak liczne fragmenty samej książki.

Nie ma oczywiście porównania z *Hannibalem* Thomasa Harrisa, kiedy zrobiło się jej niedobrze, gdy doktor Lecter łyżką wyjadał mózg z otwartej czaszki jeszcze żyjącego rywala. Książka zebrała prawie siedemset pięciogwiazdkowych ocen!

Chore.

Prawie tak samo chore jak historia trzydziestosiedmioletki, którą porywacz przetrzymywał w studni, aż któregoś dnia opuścił jej wiadro z miską ryżu. Na misce były napisane dwa słowa, które kobieta, doktor biologii, ledwo mogła przeczytać w ciemności: *Spirometra masoni*.

Łacińska nazwa pasożyta, który występuje głównie w południowo-wschodniej Azji i z którego wyrastają półprzezroczyste, rowkowate tasiemce, osiągające grubość sznurowadła i do trzydziestu centymetrów długości. Przeciskając się pod skórą człowieka, przedostają się do mózgu. Albo do oczu, tak jak w przypadku kobiety w książce, która po pewnym czasie odczuwała tak silny głód, że w końcu musiała zjeść zakażony ryż, żeby nie umrzeć z braku pożywienia.

Idiotyczna bzdura, ale jaki to miało tytuł?

Pomyślała o regale w domu, stojącym na oszklonej werandzie, o ustawionych alfabetycznie według nazwisk autorów książkach, ale nie mogła sobie przypomnieć.

Jak to możliwe? Przecież to nie było aż tak dawno, żeby... ach, już wiem!

W chwili, kiedy ból wyrwał ją z kilkusekundowej drzemki i z powrotem przeniósł do rzeczywistości, Naomi Lamar przypomniawszy sobie:

To nie była książka.

Tylko jej życie.

Gdzieś na „Sułtanie Mórz”.

I na jej nieszczęście wcale nie zanosilo się na szybki koniec.

Rozdział 4

Martin Schwartz z workiem marynarskim na ramieniu wchodził po prowadzącym na śródokręcie trapie „Sułtana” i czuł się bardzo nieswojo.

Nienawidził tego statku, subtelnych pastelowych kolorów okładzin ścian, mebli z mahonią czy z drewna tekowego i miękkich dywanów, po których szło się jak po łące. Nienawidził śmiesznych uniformów załogi, które nosili nawet zwykli stewardzi, zupełnie jakby służyli w prawdziwej marynarce, a nie na jarmarku masowej turystyki. Nienawidził delikatnego zapachu wanilii, który dodawano do klimatyzacji; nienawidził euforii w oczach pasażerów, z którymi wchodził po trapie na pokład. Kobiety, mężczyźni, dzieci, rodziny. Cieszyli się na siedem nocy w luksusie, na otwarte całą dobę bufety *all inclusive*, relaksujące dni na morzu spędzane na pokładzie albo w zajmującym dwa tysiące metrów kwadratowych spa z *over water fitnesscenter*. Planowali obejrzenie różnych spektakli w najnowocześniejszym teatrze muzycznym na wodach świata i raczenie się koktajlami w jednym z jedenastu barów, rozlokowanych na siedemnastu pokładach. Zamierzali oddawać dzieci do Klubu Pirata, wspinać się na największą zjeżdżalnię wodną, jaką kiedykolwiek zbudowano na statku, przegrywać pieniądze w kasynie albo wydawać w galerii handlowej, którą urządzono w stylu włoskiej piazza. Być może niektórzy wchodził na pokład statku z mieszanymi uczuciami, jak do samolotu, z pełną szacunku obawą, czy technika, której powierzają swoją osobę, bez przeszkód dostarczy ich z miejsca A do miejsca B. Ale żadnemu z prawie trzech tysięcy pasażerów, co do tego Martin był pewien, ani na moment nie przyjdzie do głowy, że najbliższe dni spędzą po prostu w małym mieście, w którym wpadają na siebie tysiące ludzi różnych kultur i warstw społecznych, począwszy od pracowników pralni harujących za dwa dolary na godzinę, po milionerów na osłoniętych od wiatru miejscach do leżakowania na górnym pokładzie. Mieście, gdzie było wszystko, brakowało tylko stróżów prawa. Gdzie po wybraniu numeru 110 zjawiała się obsługa – a nie policja. Mieście, gdzie od momentu postawienia stopy na pokładzie każdy poddawał się porządkowi prawnemu jakiejś zacofanej republiki bananowej, pod której banderą zwodowano statek.

Martin nienawidził „Sułtana”, pasażerów i załogi.

Ale przede wszystkim nienawidził siebie samego.

Przysiągł sobie, że nigdy w życiu nie postawi nogi na wycieczkowcu. A już na pewno nie na tym. A tu jeden telefon emerytki, której nawet nie znał, kazał mu wyrzucić za burtę wszystkie postanowienia.

Jakie to prawdziwe!

Zaśmiał się w duchu cynicznie, a starsze, mające dużą nadwagę małżeństwo, które schodziło z pokładu po trapie, sceptycznie zmierzyło go wzrokiem.

Wyrzucić za burtę.

Lepiej nie można było tego wyrazić.

Dotarł na pokład dwunasty i studiował strzałki z numerami kabin. Do apartamentu 1211 musiał przejść na bakburtę.

Martin ziewnął. Chociaż (a może właśnie dlatego), że dzień wcześniej dentystka przekonała go jednak

do wknięcia prowizorycznego sztyftu, ból zęba przez całą noc nie dawał mu spokoju i poza dziesięciominutową drzemką w samolocie do Londynu nie miał przerwy na odpoczynek.

W taksówce z Heathrow do Southampton mała nie doprowadziła go do szału komórka. Najpierw próbował go złapać Kramer, potem osobiście szef, żeby na niego nawrzeszczyć, co mu strzeliło do głowy, żeby bez usprawiedliwienia opuścić odprawę po akcji. Jeśli natychmiast nie pojawi się na komisariacie, może zabierać swoje papiery.

– Poza tym obiecałeś, dupku jeden, że będziesz regularnie meldować się u lekarza. To diabelstwo, które, mam nadzieję, regularnie łykasz, może powodować zaburzenia pracy mózgu, chociaż wątpię, czy w twoim przypadku w ogóle da się zauważyć różnicę.

W którymś momencie Martin przekierował te wyzwiska na pocztę głosową. Nie wierzył, że z niego zrezygnują. Przy montowaniu kolejnej samobójczej akcji znów zapomną o tym wpisie do jego akt osobowych. A może tym razem faktycznie przesadził, że bez konsultacji z przełożonym i nawet nie składając wniosku o urlop, po prostu zabukował rejs na „Sułtanie”? W stupećdziesięciometrowym apartamencie na pokładzie dwunastym, dwa tysiące euro za noc, w tym lot powrotny z Nowego Jorku do Berlina w biznesklasie.

W dodatku Martin wcale nie miał zamiaru udawać się w żadną podróż. Chciał tylko porozmawiać z Gerlinde Dobkowitz, przyjrzeć się jej rzekomym „dowodom” i natychmiast zejść ze statku. Najwyraźniej lekko zbikowana staruszka odmówiła opuszczenia statku, żeby się z nim spotkać. Jak Martin wyczytał wczoraj w nocy w internecie, siedemdziesięcioośmioletnia Gerlinde Dobkowitz była na forach o rejsach wycieczkowych żywą legendą. Bogata rentierka jako jedna z niewielu wynajęła sobie dożywotnio apartament na „Sułtanie” i od chwili zwodowania statku, co miało miejsce osiem lat temu, opuszczała go tylko wtedy, kiedy bezwzględnie wymagały tego remonty gwarancyjne.

Martin musiał więc wejść do niej na pokład, a ponieważ na „Sułtana” nie wpuszczano nikogo bez karty pokładowej, był zmuszony do zabukowania kabiny. Jedyne dostępne w internetowej rezerwacji z dnia na dzień był apartament z werandą na rufie, wyszło więc na to, że dwudziestominutowa rozmowa będzie go kosztowała dwanaście tysięcy euro. W zasadzie plan podróży był tak ułożony, że miałyby ponad dwie godziny na spotkanie, ale taksówkarz postawił sobie za cel pokazanie mu każdego korka na autostradach w południowej części Wielkiej Brytanii.

Nieważne, na pewno go to nie zrujnuje.

Co prawda jego pensja śledczego nie była zawrotnie wysoka, ale ponieważ od lat prawie nic nie wydawał, na jego koncie uzbierała się tak znaczna suma, że dwa miesiące temu bank wysłał mu nawet kartkę na trzydzieste ósme urodziny.

W tej chwili jednak, stojąc z ręką na klamce kabiny 1211, czuł się raczej jak facet po pięćdziesiątce.

Przycisnął wypolerowany mosiężny guzik i usłyszał dyskretny gong. Kiedy po zaledwie kilku sekundach otworzyły się drzwi i stanął przed nim służalczo uśmiechnięty, młody człowiek ubrany we frak i lakierki, Martin przypomniał sobie reklamy „Sułtana”, gdzie każdemu z gości, którzy zarezerwują drogi jak diabli apartament, oferowano do dyspozycji lokaja.

Ten, którego widział właśnie przed sobą, miał niewiele ponad dwadzieścia lat, krótkie czarne włosy, jakby przyprasowane żelazkiem do przedziałka pośrodku raczej wąskiej czaszki. Miał też wodniste oczy i cofnięty podbródek. Odwaga i przebojowość, to nie były pierwsze słowa, jakie przychodziły

człowiekowi na myśl na jego widok.

– Niech wejdzie – zawołała Gerlinde Dobkowitz z głębi apartamentu i lokaj ustąpił mu z drogi.

Mózg Martina miał duże trudności z przeanalizowaniem wszystkich wrażeń, które w następnej chwili zaczęły bombardować jego zmysły.

Jako śledczy doskonale wiedział, że granicę między ekscentrycznym stylem życia i wymagającym leczenia obłędem często można wykreślić tylko ostro zatemperowanym ołówkiem. Gerlinde Dobkowitz, co było widać na pierwszy rzut oka, mieściła się po obu stronach tej linii.

– No, wreszcie – pozdrowiła go, nie wstając z łóżka. Siedziała jak królowa w morzu poduszek, gazet i wydruków komputerowych w głowach posłania. Jej zawalone mnóstwem rzeczy łóżko stało pośrodku pomieszczenia, w którym stoczniovi architekci wewnątrz pierwotnie zaplanowali urządzić salon. Ale architekci nie uwzględnili w swoich planach Gerlinde Dobkowitz. W każdym razie Martin nie potrafił sobie wyobrazić, żeby malinowe tapety w kwiatki, skóra zebry na podłodze albo plastikowe poroże jelenia nad otworami wentylacji należały do standardowego wyposażenia każdego trzypokojowego apartamentu na „Sułtanie”.

– Powinien pan wyregulować swój tachometr – powiedziała wiekowa dama, spoglądając na drewniany zegar stojący w pobliżu drzwi apartamentu. – Już prawie szósta!

Niecierpliwym ruchem odesłała lokaja z powrotem do staromodnego sekretarzyka z filcowym blatem, stojącego w prawym rogu przy ścianie działowej pod obrazem olejnym, który dawno temu przedstawiał pewnie mężczyznę w złotym hełmie, ale teraz upstrzony był mnóstwem karteczek przytwierdzonych do płótna pinezkami.

Starsza pani zmierzyła Martina gniewnym spojrzeniem.

– Już myślałam, że będę musiała czekać do Nowego Jorku, żeby dostarczyć moje brownies do Białego Domu.

Gerlinde sięgnęła po ogromne okulary leżące na nocnym stoliku. Martin zdziwił się, że nie musiała użyć obu rąk, żeby włożyć je na nos. Szklka miały bladuróżowy kolor i grubość denka szklanki do whisky, przez co żywe oczy za nimi przybrały niemal sowi rozmiar. W przypadku Gerlinde Dobkowitz porównanie z ptakiem nawet nie wymagało dużej wyobraźni. Jej palce przypominały szpony, a długi, haczykowany nos wystawał jak dziób ze szczupłej, składającej się tylko ze skóry i kości twarzy wiekowej damy.

– Mam nadzieję, że nie jest to znowu papier ścierny najgorszego gatunku. Niech położy obok pojemnika na odpady organiczne i do widzenia.

Machnęła ręką w kierunku Martina, jakby chciała odegnąć natrętą muchę.

– Obawiam się, że wzięła mnie pani za kogoś innego – powiedział, stawiając worek marynarski na podłodze.

Zaskoczona Gerlinde uniosła brwi.

– To pan nie jest człowiekiem od papieru toaletowego? – zapytała zdziwiona.

Martin, który już zrozumiał, co miała na myśli, mówiąc o pojemniku na odpady organiczne, brownies, papierze ściernym najgorszego gatunku i Białym Domu, zastanawiał się, jak mógł być taki głupi, żeby tu w ogóle przyjeżdżać. Co go podkusiło, żeby sypać sól na swoją nigdy niegojącą się ranę? Może nadzieja, że wreszcie uda mu się ostatecznie zamknąć tamtą tragedię. I ta właśnie nadzieja, ta zdradliwa żmija,

zwabiła go w ślepy zaułek, na końcu którego czekała na niego siedząca na łóżku babcia.

Martin podążył za zdumionym wzrokiem Gerlinde, skierowanym na jej lokaja.

– Gregor, kim, do kata, jest ten człowiek?

Gregor, siedzący przy sekretarzyku za maszyną do pisania, która byłaby niewątpliwie magnesem dla zwiedzających berlińskie Muzeum Techniki, popatrzył bezradnie sponad kartki papieru wkręconej w maszynę.

– Obawiam się, że nie potrafię na to pytanie odpowiedzieć, podobnie jak...

– Kim pan jest? – Gerlinde przerwała dystygowany bełkot.

– Nazywam się Martin Schwartz, rozmawialiśmy wczoraj przez telefon.

Uderzyła się dłonią w czoło, aż klasnęło.

– O mój Boże, oczywiście.

Gerlinde odsunęła na bok stertę papierów i odkryła puchową kołdrę, pod którą leżała w śnieżnobiałych adidasach.

– Dobrze, że pan przyjechał. Zdaję sobie sprawę, jak trudna musiała być dla pana ta decyzja...

Gerlinde spuściła nogi z łóżka. Miała na sobie różowy dres do joggingu, w którym zmieściłaby się dwa razy.

– ... skoro właśnie tu, na „Sułtanie”, pana żona i syn...

– Proszę wybaczyć moją niecierpliwość – wpadł jej w słowo Martin. Nie miał czasu ani siły na uprzejmości. Nawet obecność lokaja była mu obojętna. – Przez telefon powiedziała pani, że ma dowody na to, że moja żona nie skoczyła po śmierć dobrowolnie.

Gerlinde przytaknęła, w najmniejszym nawet stopniu niepoirytowana tym, że jej przerwał. Opierając się o stojący przy łóżku wózek inwalidzki, stanęła na nogi i otworzyła szufladę nocnego stolika.

– Nie tylko na to, mój drogi. Nie tylko na to.

Rzuciła mu konspiracyjne spojrzenie, a potem dodała:

– Być może znalazłam nawet wskazówkę świadczącą o tym, że pana rodzina wciąż żyje.

Z tymi słowami podała Martinowi małego zniszczonego misia, który pierwotnie był biały, ale jego sierść nabrała teraz koloru brudnego piasku.

W żołądku Martina otworzyła się wielka dłoń i długim palcem połaskotała go od środka w przełyku. Zrobiło mu się niedobrze. Chyba nie będzie mógł tak szybko opuścić tego statku.

Starej, śmierzdzącej potem i olejem smarowniczym zabawce brakowało jednego oka i prawej łapy, ale inicjały były na swoim miejscu.

TS.

Dokładnie tam, gdzie przed laty wyhaftowała je na maszynie Nadja, na krótko przed pierwszym wyjazdem Timmy'ego na zieloną szkołę.

Rozdział 5

**W tym samym czasie,
pokład 5, kabina 5326**

Strata. Smutek. Lęk.

Zważywszy, jak często w ciągu ostatnich lat napotykała na swojej drodze życiowej zdradzieckie pułapki, Julia Stiller miała nadzieję, że zdążyła się już wyćwiczyć w omijaniu ciemnych czeluści, jakie życie przed nią otwierało. Albo że przynajmniej następnym razem nie wpadnie tak głęboko jak przedtem. Najwyżej na taką głębokość, aby mogła o własnych siłach wydobyć się z duchowej otchłani, opierając się łokciami na jej krawędzi.

Ale jakże mocno się przeliczyła.

Tym razem to telefon wprowadził ją w stan śmiertelnego lęku i nauczył, że nie można być przygotowanym na gilotynę przeznaczenia. Jej ostrze spadło na nią akurat w chwili, kiedy po raz pierwszy od bardzo długiego czasu wreszcie znów czuła się szczęśliwa, tu, w porcie Southampton, na statku „Sułtan Mórz”.

Minęły trzy smutne lata od czasu, kiedy mąż ją zdradził, krąg przyjaciół się rozpadł, a córka zaczęła ją obwiniać za to, że nie mieszkają już w willi w Köpenick, tylko w dwupokojowym mieszkaniu w Hermsdorf. Małym i ciasnym, a mimo to tak drogim, że musiała brać wszystkie nocne dyżury w klinice, jakie tylko udało jej się złapać, aby jakoś związać koniec z końcem.

– Przesadziłaś z tą reakcją – mówili nawet jej rodzice, zupełnie jakby celowo szukała tej faktury w koszu na makulaturę: dwa bilety samolotowe, ale za to jeden dwuosobowy pokój. Na Capri, choć Max mówił coś o jakimś kursie dokształcającym w Dreźnie. Jeden bilet był wystawiony na jego nazwisko, drugi na nazwisko jego asystentki. Tej z tandetnie przedłużanymi włosami i w obcisłym gorsecie podnoszącym piersi. Julia nie namyślała się długo. Zeszła do piwnicy, złapała kosz z brudną bielizną, pojechała z nim do biura podatkowego, w którym Max pracował jako adwokat, i wysypała osłupiałej kochance jego zawartość na biurko, mówiąc: – Skoro już pieprzysz się z moim mężem, to możesz również prać jego brudne gacie.

Dobrze jej to zrobiło. Na jakieś dwadzieścia sekund.

– Gdzie jesteś? – usłyszała teraz w słuchawce pytanie Toma Schiwy, i od razu zaczęła być zła na siebie, że w ogóle odebrała telefon. Umówiła się z córką, że z chwilą rozpoczęcia urlopu obie wyłączą komórki, ale w gorączce podróży całkiem o tym zapomniała. I teraz miała przy uchu jeden z tych nierozważnych kroków w wymuszonym życiu singielki.

Choć trzeba przyznać, że jeden z przyjemniejszych.

– Mówiłam ci już, gdzie spędzamy jesienne wakacje – odpowiedziała, uśmiechając się do Lizy, która właśnie przechodziła obok niej przez drzwi do swojej kabiny.

– Idę się trochę rozejrzeć po statku – szepnęła jej piętnastoletnia córka i Julia skinęła głową.

Do Toma powiedziała:

– Właśnie weszliśmy na pokład.

– Niech to szlag!

Głos szkolnego pedagoga córki był niezwykle wzburzony, niemal zalękniony.

– Co się stało? – zapytała Julia zdziwiona i opadła na nieprawdopodobnie wygodne łóżko, które zajmowało prawie całą kabinę.

Po co dzwonisz? Przecież umówiliśmy się, że ograniczymy nasze kontakty do minimum.

– Musimy się zobaczyć. Natychmiast!

– Tak, jasne. – Julia postukała się w czoło. Dla żadnego mężczyzny na świecie nie opuściłaby teraz pokładu „Sułtana Mórz”. Liza prezentowała właśnie całą paletę problemów charakterystycznych dla okresu dojrzewania. Odmawiała wspólnych posiłków, chudła coraz bardziej, zrobiła sobie piercing nosa, złymi ocenami zrujnowała najlepszą dotychczas średnią w klasie i spotykała się tylko z koleżankami, które były podobnie wampirowato ubrane jak ona. Od swoich piętnastych urodzin weszła w fazę gotycką, gdzie obowiązywały wyłącznie czarne ciuchy z secondhandu, w miarę możliwości jak najbardziej obszarpane i tak podziurawione, że nawet mole by się na nich nie pożywiły. Niepisaną zasadą jej grupy było też chyba nigdy się nie śmiać i nigdy nie całować matki. Zasadą, którą Liza przed dziesięcioma minutami po raz pierwszy od wielu tygodni złamała.

– Tu jest zajebiście, mamo – ucieszyła się, kiedy wyszła na balkon ich kabiny. Łzy w oczach Lizy mógł spowodować wiatr, który zawiewał od portu na wysokość piątego pokładu, ale Julia wolała myśleć, że jednak radość z pobytu na wspaniałym statku i to w luksusowej zewnętrznej kabinie, w której miały mieszkać przez najbliższych siedem dni. W dodatku każda w swojej własnej.

W jej obecnej sytuacji, przy dochodach pielęgniarce samotnie wychowującej dziecko, Julia nie mogłaby sobie pozwolić na „Sułtania Mórz” nawet na wewnętrzną kabinę bez okna. Ale Daniel Bonhoeffer, kapitan statku, osobiście ją zaprosił. Znała go od lat, niemal od dziesięcioleci, a jednak miałaby duży problem, gdyby przyszło jej opisać osobom postronnym charakter swojej relacji z Danielem. Jak na przyjaciół nie byli ze sobą dostatecznie blisko, jak na luźną znajomość ich układy rodzinne za bardzo się ze sobą splatały, bo przecież Daniel był ojcem chrzestnym Lizy. Gdyby nie to powiązanie, Julia już dawno zerwałaby kontakt z Danielem, który był kolegą jej męża jeszcze z czasów przedszkolnych, chociaż Julia nigdy nie mogła zrozumieć, dlaczego jej były przez tyle lat kontynuował przyjaźń z człowiekiem, którego w gruncie rzeczy interesowała wyłącznie jedna osoba: on sam. Nie upłynęło pięć minut rozmowy, a już Danielowi udawało się w jakiś sposób zwekslować rozmowę na siebie. Ze względu na egzotyczne rejsy, jakie odbywał, mogło to być dla postronnych słuchaczy nawet interesujące. Na opartą na wzajemności przyjaźni było to jednak dla Julii zdecydowanie za mało. Poza tym Daniel zawsze sprawiał na niej wrażenie, że jego uprzejmość jest tylko na pokaz i że tylko schlebia innym. Wszystko to razem wzięte sprawiało, że po spotkaniu z nim za każdym razem czuła się tak, jakby właśnie wróciła z fastfoodu. Niby wszystko okej, ale człowiek ma dziwne uczucie w żołądku.

Teraz, kiedy po raz pierwszy znalazła się na jego statku, zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie za surowo oceniała Daniela. W końcu przecież po raz kolejny potwierdził, że ubóstwia swoją chrześnicę. Każdego roku Liza otrzymywała od niego wspaniałe prezenty urodzinowe, a w tym roku była to podróż transatlantykiem do Nowego Jorku.

– Podziękuj chrzestnemu – powiedziała Julia, kiedy córka na balkonie rzuciła się jej w ramiona. Liza pachniała papierosami, jej blady makijaż zostawił ślady na policzkach Julii, ale to przeszkadzało jej

równie mało jak nabijana ćwiekami obroża, której ucisk poczuła na twarzy. W tej chwili liczyło się dla niej tylko to, że znów może objąć córkę. Nie pamiętała już, kiedy ostatnio była tak blisko ze swoją małą dziewczynką.

– Tu jest bajecznie – powiedziała do Toma.

Zaprzyjaźnili się po wywiadówce w szkole, na którą została wezwana z powodu coraz słabszych wyników córki i jej braku zaangażowania na lekcjach. Kiedy Julia po miesiącu dowiedziała się, że Lisa regularnie chodzi na konsultacje do Toma, który był jej pedagogiem szkolnym, zakończyła romans. Nie czuła się zbyt komfortowo, spotykając się z jedyną osobą, którą darzyła zaufaniem jej córka. Poza tym i tak nie do końca jej to pasowało, nie tylko z powodu różnicy wieku – jako dwudziestodziewięcioletek Tom był dobre dziesięć lat młodszy od niej – ale przede wszystkim z powodu jego zaborczości. Niemal codziennie chciał się z nią widywać i stale z nią sypiać, i mimo iż schlebiało jej zainteresowanie takiego młodego i atrakcyjnego mężczyzny, ten telefon był kolejnym dowodem na to, że podjęła słuszną decyzję.

Czy jemu naprawdę się wydawało, że wystarczy, żeby zadzwonił, a ona natychmiast zrezygnuje z jesiennych ferii z córką?

– Nawet końmi nie ściągniesz mnie z tego statku.

– Końmi może i nie, ale być może przekona cię nagranie wideo!

Julia usiadła wyprostowana.

– Jakie wideo? – zapytała i poczuła, jak uczucie euforii z ostatniej pół godziny zaczyna ją opuszczać

– Uważam, że żadna matka nie powinna czegoś takiego oglądać – usłyszała głos Toma. – Ale cóż, nie ma wyjścia. Wysłałem ci link.

Rozdział 6

Nie trwało nawet minuty, kiedy Julia wyjęła z torebki mały tablet i zalogowała się do dostępnego na statku wi-fi. Przedtem zamknęła drzwi na balkon w swojej kabinie i zasunęła zasłony, aby stojące nisko wieczorne słońce nie odbijało się w ekranie.

– Przerażasz mnie – powiedziała do Toma i usiadła przy toalecie obok telewizora.

Otworzyła maila, którego Tom wysłał jej ledwie przed paroma minutami, bez tematu i bez słowa wyjaśnienia, tylko krótki link. Stuknęła palcem wskazującym na zaniebieszczoną linijkę tekstu i niemal natychmiast otworzyła się skromnie zaprojektowana strona. Wyglądała na amatorską, tak jak to prywatne forum tarczycowe, na którym Julia co jakiś czas wymieniała poglądy z osobami, które podobnie jak ona cierpiały na niedoczynność tarczycy.

– Co to jest? – zapytała.

– Isharerumors – odpowiedział Tom. – Coś w rodzaju protoplasty Facebooka. Wielu uczniów korzysta z tego portalu, aby obmawiać nauczycieli albo kolegów. Jest bardzo popularny, ponieważ można na niego wchodzić anonimowo i nikt tego nie kontroluje.

Po zachrypniętym głosie Toma Julia mogła się zorientować, jak nieprzyjemna musi być dla niego ta rozmowa. I potrafiła sobie wyobrazić wyraz twarzy, z jakim siedział w domu przed komputerem, tak jak ona teraz przed swoją podróbką iPada, którą kupiła w dyskoncie spożywczym.

Tom Shiwy miał dar, który pozwalał mu samym tylko spojrzeniem okazać rozmówcy sympatię i współczucie. Całkiem przydatne, jeśli się jest szkolnym pedagogiem, choć Julia w czasach szkolnych na pewno nie poszłaby do tak przystojnego faceta, żeby mu się poskarżyć, że na wuefie wszyscy wołają na nią „pulpet”. Obecnie wciąż ważyła trochę więcej, niż wynosi niemiecka średnia, ale z biegiem lat zyskała na wyglądzie. Z nieforemnego podlotka wyrosła na kobietę wprawdzie korpulentną, ale o miłych dla oka proporcjach, która nauczyła się nie przejmować, że ma za grube ramiona i uda, wydatne siedzenie i pulchne policzki, tylko cieszyła się z komplementów, jakie nierzadko prawili jej mężczyźni: za żywe i figlarne spojrzenie, za pełne usta i ciemne, lekko falujące włosy obramowujące jej owalną twarz, niby drogie malowidło, o ile oczywiście nie upięła ich wysoko, tak jak właśnie teraz, co podkreślało jej wysokie czoło z małym pieprzykiem nad lewą brwią.

– No i co?

Przed oczami Julii otworzyło się okno wideo wielkości kartki pocztowej.

– Co to jest?

– To... to... – Tom się jąkał. – Trudno to... Obejrzyj, proszę.

– Ty mnie naprawdę przerażasz – powtórzyła Julia, dotknęła jednak dużej trójkątnej strzałki na środku pliku wideo.

Film, który zobaczyła, był jakości typowej dla ukrytych kamer stosowanych w telewizyjnych reality show, w których toporni aktorsko detektywi amatorzy szukają dowodów zdrady niewiernych małżonków. Kod czasowy umieszczony w dolnym rogu zdradzał, że zdarzenie filmowano pięć miesięcy temu, a więc wiosną tego roku.

Na początku coś było nie tak z oświetleniem oraz zoomem, jeśli to urządzenie, którym zarejestrowano nieostre obrazy, w ogóle takie bajery posiadało. Dopiero po chwili Julia rozpoznała, że ktoś filmuje z samochodu podczas jazdy. Było ciemno, mżawka pokrywała przednią szybę, wskutek czego tylne światła poprzedzającego samochodu, tworzyły na ekranie smugi.

Kamera przesunęła się nad czarną deską rozdzielczą na stronę pasażera i uchwyciła fasadę ponurego bloku mieszkalnego, jakie można spotkać w dawnym Berlinie wschodnim na prawie co drugiej ulicy.

– Dlaczego mam to oglądać? – zapytała Julia, kiedy auto zwolniło i w zółwym tempie mijało właśnie plac jakiejś firmy handlującej używanymi samochodami.

– Dlatego – odpowiedział Tom w chwili, kiedy auto zatrzymało się przy wjeździe i elektrycznie opuszczana szyba w drzwiach od strony pasażera zjechała w dół.

Najpierw Julia zobaczyła tylko rząd gęsto rosnących drzew, które ledwie pozwalały zajrzeć na znajdujący się z tyłu plac zabaw. Jeśli była tu jakaś latarnia uliczna, to albo zepsuta, albo stała bardzo daleko, w każdym razie światło było za słabe nawet do tego, żeby dało się rozpoznać, co reklamuje plakat na ogromnym billboardzie stojącym przy ulicy. Również kobieta, która nagle wyłoniła się z mętnego mroku i kołysząc biodrami, zbliżała się do auta, była początkowo jedynie cieniem. Nawet kiedy pochyliła się do okna od strony pasażera i znalazła się w ten sposób w świetle kamery, Julia nie mogła rozpoznać jej twarzy, ponieważ była wypikselowana, kiedy z udawaną lubieżnością wyszeptala do kamery:

– Możesz robić ze mną wszystko, co zechcesz, mój drogi, ale filmowanie kosztuje ekstra.

– O Boże... – sapnęła Julia i odsunęła się trochę od stolika. Obejrzała się za siebie, ale Liza zamknęła przechodnie drzwi. Była sama w kabinie, poza tym Liza mówiła przecież, że pójdzie się rozejrzeć po statku.

Czyżby to była...?

Kobieta na filmie była takiego samego wzrostu, miała tak samo czarne włosy i taką samą szczupłą sylwetkę. A co najgorsze, miała jej głos.

– Czy to...? – spytała ściszym głosem Julia, bo imię córki nie chciało przejść jej przez gardło.

Nie, to nie może być prawda. To niemożliwe.

Dziewczyna, która zrobiła teraz krok do tyłu, żeby obrócić się wokół własnej osi w celu prezentacji, miała na sobie ciuchy, które równie dobrze mogły wisieć w szafie Lizy: sukienkę na sztywnej halce, siatkowe pończochy, kropkowane szpilki z odkrytymi palcami. Coś takiego nosiła jej córka, zanim gładko przeszła od rockabilly do gotyku.

Nie, no aż tak ich głosy nie są podobne, próbowała sobie wmówić Julia.

– Powiedz, że to nie moja córka – poprosiła Toma, a w tym momencie w filmie nastąpiło cięcie i perspektywa kamery radykalnie się zmieniła.

– Nie... – jęknęła Julia cicho, kiedy ujrzała kierownicę. Ciemną tablicę rozdzielczą. I tył głowy dziewczyny, rytmicznie i wśród odgłosów mlaskania poruszający się w górę i w dół, podczas gdy mężczyzna bez twarzy, którego zaspokajała, stękał z rozkoszy.

– Czy to Liza? – wykrztusiła Julia.

Usłyszała, jak Tom głośno wypuszcza z płuc powietrze.

– Trudno powiedzieć. Bardzo możliwe.

– Możliwe to jeszcze nie znaczy na pewno. A więc równie dobrze może to być ktoś inny. Jakaś ściema?

– Tak, być może. Twarzy przecież nie widać.

– Na miłość boską – wyrwało się Julii. Zamknęła oczy, jakby nie mogła się jeszcze zmierzyć z tym, co właśnie zobaczyła.

– A więc... a więc... – Trzy razy zaczynała, aby wreszcie skończyć zdanie: – To nie jest ona!

To nie może być ona!

– Ja też nie jestem tego całkowicie pewny – przyznał jej rację Tom. – Tylko, niestety, nie ma żadnego znaczenia, co my myślimy,

Kazał jej otworzyć stronę z komentarzami pod filmikiem. Julii zrobiło się niedobrze. Na ekranie zaroilo się od obrzydliwych wpisów użytkowników, którzy ukrywali się pod pseudonimami, podczas gdy jej córka była wymieniana z imienia i nazwiska:

„easyseast: Ostre. Lisa Stiller, czy tak?

Happybln85: Jep. Też ją pieprzyłem.

Tao I: Ona za kasę zrobi wszystko.

sventhebam030: Gówniana jakość. Tylko loda, żadnego dymania? Nuuuudy.

JoeGeothe: Bueeee, co za zdzira. Pi\$%a!

Gość I: No, parszywa kurwa. Nienawidzę takich dziwek”.

– Czy to można skasować? – zapytała Julia. Była jak ogłuszona.

– Marne szanse. Serwer znajduje się w Togo. Ale nawet gdybyśmy odnaleźli administratorów, w co wątpię, i tak można to znaleźć na paru innych portalach. Takie gówno zostaje w sieci na zawsze.

– To jakiś obłąd. To musi zniknąć. Moja córka nie robi czegoś takiego. Przecież nie jest prostytutką! To przecież... Ona...

Tom wszedł jej w słowo:

– Powtarzam ci raz jeszcze: to kompletnie nieistotne, czy ona robi coś takiego, czy nie. Twoja córka żyje w świecie, w którym plotki mają większą siłę przebicia niż prawda.

– Od kiedy to obrzydlistwo jest w sieci? – Głos Julii drżał.

– Jakieś sześć, siedem tygodni, jeśli data uploadu jest prawdziwa. Ale dopiero dzisiaj na przerwie zauważyłem, jak uczniowie z jej klasy podawali sobie z ręki do ręki komórkę, żeby obejrzeć to świństwo.

– To wszystko tłumaczy! – powiedziała Julia wzburzona.

Dlaczego ma złe stopnie, czemu prawie nic nie je, te okropne ciuchy.

Z wściekłością uderzyła się w czoło.

– A ja myślałam, że to są normalne wybryki okresu dojrzewania!

Albo opóźniony wpływ rozstania. Albo jedno i drugie. Ale przecież nie to!

– Nie wolno ci robić sobie wyrzutów – poradził Tom, ale to jej nic nie pomogło. Max miał rację, komentując wtedy przyznanie jej praw do dziecka.

Nie dorosłam do tego.

Julia znów poczuła się całkiem bezradna. Świat wokół niej zaczął się kołysać, miała zaburzenia równowagi. Nic dziwnego, w jednej chwili straciła przecież grunt pod nogami. Nigdy wcześniej nie

uświadamiała sobie tak wyraźnie, że zawiodła jako matka. Pod każdym względem.

– Czy teraz rozumiesz, dlaczego musicie jak najszybciej opuścić statek? – zapytał Tom.

Tak, oczywiście. To znaczy...

Za nic nie mogła uporządkować myśli.

– Sama nie wiem, wydaje mi się, że Liza dobrze się tu czuje, może...

– Oczywiście, że czuje się dobrze! – zaprotestował Tom.

– ...ta wycieczka właśnie dobrze jej zrobi?

– Nie. W żadnym razie!

– Jak to nie? Odmiana to dokładnie to, co jest jej niezbędne.

– Nie! – Tom niemal krzyknął. W tym momencie usłyszała pierwszy huk.

Ktoś strzela?

Julia wzdrygnęła się i spojrzała na drzwi balkonowe. Wybuchy w porcie rozlegały się z coraz większą częstotliwością. Światło za zasłoniętymi szybami zmieniło się. Powietrze na dworze drgało i rozbłyskiwało dziesiątkami kolorów

– Ponieważ znam przypadki nastolatków, którzy coś sobie zrobili z powodu niewinnego w porównaniu z tym cybermobbingu – Tom starał się ją przekonać.

Samobójstwo?

Julia z trudem podniosła się zza biurka, otworzyła przeszkłone balkonowe drzwi i spoglądała na błękitno-złote morze fajerwerków na wieczornym niebie, które właśnie wystrzelono na ich pożegnanie.

– Nie mogę jej teraz zabrać ze statku – usłyszała swój własny głos.

– Ale musisz. Gdyby Liza planowała odebrać sobie życie, nie ma na to lepszego miejsca niż statek wycieczkowy na pełnym morzu! Wystarczy tylko skoczyć. To idealne miejsce, żeby się zabić.

Na miłość boską. Nie.

Łzy napłynęły Julii do oczu i na pewno nie były to łzy spowodowane wiatrem.

Jest za późno.

Czuła wibracje, które teraz były wielokrotnie silniejsze, niż kiedy wchodziła na statek. Spojrzała na machających ludzi na nabrzeżu. Popatrzyła w dół i na próżno szukała trapu, po którym wchodziło się na pokład.

Z głośników w korytarzu rozległy się dźwięki muzyki, orkiestrowy temat jak z hollywoodzkiego filmu.

I kiedy statek powoli oddalał się od nabrzeża, złowieszczy głos Toma zmieszał się z szumem wody, z pożegnalną muzyką i niskim buczeniem rogu mgłowego, które rozległo się sześciokrotnie, zanim wreszcie rozpląnęło się w powietrze, by zamilknąć na cały czas trwania rejsu przez Atlantyk.

Tak samo jak nadzieja Julii na beztronski urlop z córką, o której nawet nie wiedziała, w którym miejscu na tym ogromnym statku w tej chwili się znajduje.

Rozdział 7

Martin stał na werandzie apartamentu Gerlinde Dobkowitz i ledwie do niego docierało, że odległość między statkiem a nabrzeżem coraz bardziej się zwiększa.

„Sułtan” odpłynął już prawie sto metrów od basenu portowego i zaczął skręcać. Olbrzymi dźwig portowy zniknął powoli z pola widzenia.

Wyjątkowo dużo motorówek otaczało statek. Muzyka z górnego pokładu, fajerwerki na pożegnanie, zakończone buczeniem rogu mgłowego, wszystko to działo się jakby poza nim.

Jego myśli krążyły wyłącznie wokół niepojętego faktu, że trzyma w ręce ulubioną przytulankę swojego syna.

Timmy nazwał tego misia Luke, być może dlatego, że na krótko przedtem oglądał *Gwiezdne wojny* i był wielkim fanem Luke’a Skywalkera. Ale być może z zupełnie innego powodu.

Nie wszystko w życiu musi mieć sens.

Pamiętał taki czas, kiedy Timmy i Luke byli nierozłączni. Timmy zabierał go ze sobą do łóżka, do szkoły, a nawet na naukę pływania, gdzie po długich protestach zamknął misia w szafce, kiedy został przyłapany z nim pod prysznicem. Na krótko przed zniknięciem jego zainteresowanie pluszową maskotką nieco osłabło, ale nie na tyle, żeby podczas rejsu statkiem nie znalazło się dla Luke’a miejsce w bagażu podróznym syna. Komisja, która badała tragedię na „Sułtanie”, nie przywiązywała większej wagi do faktu, że Luke’a nie znaleziono w kabinie. Podobnie jak do faktu, że brakowało jednej z walizek Nadjii. Przypuszczano, że matka wcisnęła misia nieprzytomnemu synowi do ręki, zanim wyrzuciła go za burtę. Ale było to równie dziwne, jak brak listu pożegnania.

Nadja zawsze informowała go, gdzie akurat przebywa. Kiedy wracał do domu, zawsze znajdował karteczkę; na zmianę albo na stole kuchennym, albo na swoim jaśku, w zależności od tego, czy zamierzała być poza domem krótko (najczęściej na zakupach), czy też dłużej (najczęściej po kłótni). I akurat w swoją ostatnią podróż miałyby wyruszyć bez słowa pożegnania?

Nadja w ogóle nie była typem samobójczyni. Oczywiście tak twierdzą potem wszyscy, nie mogąc pogodzić z prawdą o odejściu kogoś bliskiego, ale Nadja rzeczywiście zawsze była przeciwieństwem kobiety myślącej o rozstaniu się z życiem. Była wojowniczką. Martin zauważył to już w pierwszej sekundzie, kiedy poznali się na oddziale ratunkowym w klinice im. Virhowa, gdzie czekał na kolegę, zranionego przez jakiegoś nożownika. Nadja siedziała obok niego w poczekalni z podpuchniętym okiem i bez najmniejszych oporów opowiedziała mu, że sprzął ją jej przyjaciel. Z zazdrości. Ale nie o innego mężczyznę, tylko dlatego, że jego syn z pierwszego małżeństwa wolał rano przytulać się w łóżku do nowej przyjaciółki taty niż do niego. On kocha swojego syna i nigdy nie zrobiłby mu krzywdy. Na szczęście wyładował swój gniew na mnie, powiedziała Martinowi w zaufaniu i kiedy ten chciał wyrazić współczucie, machnęła tylko ręką: „Szkoda, że nie może pan zobaczyć, jak ten gnojek teraz wygląda”.

Jeszcze tej samej nocy wyprowadziła się od swego eks-przyjaciela. Rok później wzięli ślub. Nawet przez jeden dzień nie miała depresji. Nigdy nie dostrzegł w niej najmniejszych skłonności, żeby uciekać od problemów albo sobie coś zrobić.

A już z pewnością nie Timmy'emu, jej małemu księciu, którego ubóstwiała, przytulała i obściskowała, kiedy tylko na to pozwalała.

Martin przycisnął misia do twarzy, aby w stęchłej woni doszukać się zapachu, który przypomniałby mu syna. Na próżno.

Odwrócił się, słysząc szmer otwierających się za jego plecami przesuwanych drzwi.

– Ach, tu pan jest – powiedziała Gerlinde Dobkowitz. Ze słowami: „Idę wydusić z siebie coś twardego”, zostawiła go sam na sam z lekko zawstydzonym lokajem i trzymając pudełko chusteczek higienicznych w ręce, podreptała do łazienki. Teraz, kiedy wróciła, Martin mógł jej wreszcie zadać najważniejsze ze wszystkich pytań:

– Skąd pani go ma?

Trzymał Luke'a obiema rękami, jakby się bał, że pęd powietrza z „Sułtana” mógłby wyrwać mu z rąk misia i ponieść do wody.

– Znalazłam – odpowiedziała zwięźle Gerlinde i wygrzebała z kieszeni dresu do joggingu zapalniczkę i paczkę papierosów.

– Gdzie?

– W ręku małej dziewczynki.

Wetknęła do ust papierosa bez filtra.

– Niech pan idzie ze mną. Pokażę panu.

Rozdział 8

Kabina kapitana, pokład 14A

Zatrzymać? Statek?

Daniel Bonhoffer wyzwolił się z jej objęć i zaśmiał się głośno.

Julia poczuła się jak wielka idiotka; najchętniej od razu by wyszła.

To był błąd, że od razu do niego pobiegłam.

Nie wiedziała jednak, co robić. Liza się nie pojawiła, przypuszczalnie wciąż zajęta zwiedzaniem statku, co w przypadku luksusowego liniowca tej wielkości mogło potrwać nawet parę dni. Zdawała sobie sprawę, że to irracjonalne, prawdopodobnie wszystko jest w najlepszym porządku, ale odkąd zobaczyła to wstrętne nagranie, jej całe ciało zdawało się wibrować, tak jak statek pod jej stopami, który od chwili wyjścia w morze jakby ożył. Byli na kanale La Manche, więc nie czuło się jeszcze kołysania, ale wszędzie coś buczało, szumiało i syczało, potężne diesle wprawiały ściany i podłogę w lekką wibrację, a z zewnątrz docierał do wnętrza kabiny szum fal, wyciszony przez szeroki front okien kabiny.

– No już, nie bądź taka zastrachana, chodź, napijemy się kawy – powiedział Daniel, puszczając do niej oko. – Właściwie powinienem być jeszcze na mostku, ale na szczęście moi oficerowie wachtowi są naprawdę świetni.

Zaprowadził Julię do salonu swojej kabiny kapitańskiej, która – jeśli się nie myliła – znajdowała się od strony sterburty pod mostkiem. Idąc tutaj, Julia straciła orientację. Nic dziwnego na takim oceanicznym gigancie, którego trzeba było fotografować z odległości kilometra, jeśli chciało się go mieć na zdjęciu w całości. Jego długość od dziobu do rufy odpowiadała długości trzech boisk do piłki nożnej, a kiedy stało się na górnym pokładzie, to wpływając do Nowego Jorku można było patrzeć w oczy Statui Wolności.

– No, jak ci się podoba moje królestwo? – zapytał Daniel.

– Piękne – powiedziała Julia, nawet dokładnie się nie przyglądając.

Tak samo jak w jej kabinie, dominowały tu jasne dywany i ciemne skórzane meble, tylko że to pomieszczenie było znacznie większe. Luksusowe, ale urządzone całkiem bezosobowo. Idealne na dziesięć dni urlopu, ale gdyby Julia musiała tu mieszkać na stałe, już dawno wymieniłaby nic niemówiące oleodruki na ścianach na obrazy o bardziej indywidualnym charakterze.

– Kiedy to widzieliśmy się ostatni raz? – zapytał Daniel, stawiając dwie filiżanki pod automatem do parzenia kawy znajdującym się w ścianie.

Jedną ręką włączył ekspres, drugą przejechał po wystrzyżonych na karku blond włosach, które były trochę jaśniejsze od jego brwi; Julia zaczęła się zastanawiać, czy ich kolor nie jest efektem stosowania farby do włosów. Ojciec chrzestny Lizy zawsze był nieprawdopodobnie prózny. Nie знаła drugiego mężczyzny, który by tak regularnie chodził do fryzjera, do manikiurzystki, a nawet na depilację, aby usunąć zbędne owłosienie z klatki piersiowej, nóg i innych części ciała, o których wołała nawet nie myśleć.

– Ostatni raz byłem na lądzie w przedostatnie Boże Narodzenie w Berlinie, chyba... – zastanawiał się głośno. Uśmiechał się nerwowo, a Julia poczuła się nagle, jakby nie była jedyną osobą, której coś leży na sercu.

Kapitan był blady, skórę w kącikach ust miał szarą, jak ktoś, kto po długiej chorobie koniecznie powinien wyjść na świeże powietrze. Kiedy tak stał, lekko zagubiony na tle regału z ciężkiego mahoniu po obu stronach drzwi, prowadzących przypuszczalnie do sypialni, mimo słusznej postury wyglądał jak mężczyzna, dla którego biały mundur z czterema złotymi paskami na pagonach wydaje się zbyt duży. Na policzkach widać było cienkie żyłki, dzięki czemu skóra pod zmęczonymi oczami wyglądała jak marmur. Ale przynajmniej twarz nie była obrzmiała, co świadczyło o tym, że nadal nie pije.

To prawdziwy cud, że znów nosił kapitańską czapkę. Przed pięcioma laty na „Sułtanie” miało miejsce zdarzenie, o którym Daniel nigdy nie chciał rozmawiać; również dlatego nie, że podobno jego umowa zawierała klauzulę dochowania tajemnicy. Julia wiedziała tylko, że ten incydent tak nim wstrząsnął, że z jego powodu zaczął się upijać do nieprzytomności i został zawieszony na rok w pełnieniu obowiązków. Po kuracji odwykowej wylądowałby zapewne na jakimś zdezelowanym frachtowcu, gdyby jego szef, armator Yegor Kalinin, nie był również alkoholikiem po odwyku, który wyznawał zasadę drugiej szansy.

– A więc teraz jeszcze raz na spokojnie – powiedział Daniel. Postawił hotelowe filiżanki z parującą kawą na stoliku w kąciku wypoczynkowym. Zapach świeżo zmielonej kawy mieszał się z wszechobecnym na statku subtelnym aromatem odświeżaczy powietrza.

– Co właściwie miałaś na myśli, mówiąc, że mam zatrzymać „Sułtana” i zawrócić? Już ci się znudziło na pokładzie?

Uśmiechał się niepewnie, siadając w skórzanym fotelu o łukowatych podłokietnikach. Julia wcisnęła się w kąt narożnika i zastanawiała się, jak wiele musi opowiedzieć Danielowi, aby potraktował jej zmartwienie poważnie. Zdecydowała się na całą prawdę i opowiedziała zwięźle i rzeczowo o swoim romansie z Tomem, o problemach z Lizą. I o filmie w sieci.

– A teraz boisz się, że twoja córka mogłaby u mnie na pokładzie popełnić samobójstwo? – zapytał Daniel, kiedy skończyła opowieść. Julia miała nadzieję, że Daniel zacznie się z niej śmiać, tak jak przy powitaniu. Że jej powie, że wmawia sobie jakieś koszmary, albo coś innego, co sprawi, że przestanie się bać. Ale Daniel milczał, co było u niego niezwykle.

Podmuchał w parującą filiżankę i zaczął pocierać kciukiem logo armatora, przedstawiające niedźwiedzia otoczonego złotym wieńcem laurowym i w stylizowanej koronie na głowie.

– Nie martw się – powiedział wreszcie dziwnie przygnębiony.

– Ale...

– Wiem, gdzie jest Liza – przerwał jej nieśmiałą próbę protestu.

– Wiesz...?

Skinął głową.

– Zdążyła mnie już odwiedzić, chciała być na mostku podczas wychodzenia z portu.

– Czy to znaczy, że jest...

– Bezpieczna i w dobrych rękach, jak najbardziej. Oddałem ją pod opiekę mojej dyrektorki hotelu. Miała osobiście zadbać, żeby Liza zaraz została oprowadzona po całym statku.

– Uff. – Julia odetchnęła głośno i na chwilę z ulgą zamknęła oczy. Jej tętno przyśpieszyło, ale tylko

dlatego, że spadł jej z serca olbrzymi kamień. Podziękowała Danielowi, który wyglądał na zmęczonego.

– Liza i samobójstwo... – powiedział, potrząsając głową z lekkim uśmiechem, jak gdyby powtarzał pointę absurdałnego dowcipu. Nagle uśmiech zastygł mu na ustach. Ze wzrokiem tak smutnym, jak spojrzenie małego chłopca, który właśnie zrozumiał, że jego ukochane zwierzątko przed chwilą umarło, powiedział: – Być może byłoby najlepiej, żeby to ja wyskoczył.

Liza zamrugła. Nagle doznała dziwnego uczucia, że siedzi naprzeciwko całkowicie obcego człowieka.

– O czym ty mówisz? – zapytała.

Daniel oddychał ciężko.

– Tkwię po uszy w kłopotach. W wielkich kłopotach.

Jula z trudem stłumiła chęć spojrzenia na zegarek. Czy minęło już pięć minut, czy może tym razem Danielowi udało się jeszcze wcześniej zveksłować rozmowę na własne problemy?

Kapitan westchnął, odsunął od siebie filiżankę i powiedział matowym głosem:

– Cholera, właściwie nie wolno mi z nikim o tym gadać. Ale w tej chwili jesteś chyba jedyną osobą na statku, której mogę zaufać.

– Co się takiego dzieje? – zapytała Julia zbity z tropu.

– Tylko nikomu nie mów: mamy na pokładzie pasażera 23.

Rozdział 9

Martin wrócił za Gerlinde Dobkowitz z balkonu do apartamentu.

– Zechce pan zostawić nas samych – powiedziała kobieta do lokaja i puszczając do niego oko, wskazała na łóżko. – Pan Schwarz chce mi pokazać nową pozycję z *Kamasutry*.

– Oczywiście – odpowiedział Gregor i nawet nie mrugnawszy powieką, wstał od biurka.

Gerlinde rzuciła Martinowi spojrzenie, które miało sugerować, że to stan umysłu lokaja powinien budzić niepokój.

– Jest całkowicie pozbawiony poczucia humoru – tłumaczyła kobieta szeptem, ale na tyle głośno, że Gregor mógł to usłyszeć. – Ale za to pomaga mi ukończyć dzieło mojego życia, prawda?

– Bardzo się cieszę, że mogę być pani w tym pomocny, pani Dobkowitz.

– Tak, tak. Mów do mnie jeszcze.

Gerlinde przewróciła oczami i poczłapała pochylona do przymocowanego śrubami do podłogi globusa. Otworzyła jego górną półkulę, aby wyjąć ze środka butelkę ajerkoniaku. Papierosy wsadziła z powrotem do kieszeni.

– Wiem, co ludzie o mnie mówią – powiedziała, kiedy Martin przecząco odpowiedział na jej pytanie, czy też się czegoś napije.

Chciał odpowiedzi, a nie alkoholu.

Gerlinde napełniła do połowy szklanekę do wody i z rozkoszą sączyła trunek.

– Ludzie myślą, że przepuszczam na morzach świata spadek po mężu. A przecież to ja byłam w rodzinie osobą z pieniędzmi. To była moja firma budowlana. Przepisałam ją na tego głupka tylko ze względów podatkowych. A wie pan, jakim sloganem reklamowaliśmy budowę dróg? – roześmiała się, zanim jeszcze doszła do pointy: – Dobkowitz: kładziemy wam kamienie pod nogi!

Martin zareagował obojętnie.

– Bardzo interesujące, ale pani chciała mi...

– A wie pan, dlaczego w ogóle znalazłam się na pokładzie? – Gerlinde pociągnęła jeszcze jeden łyk lepkiej cieczy, której Martin nigdy by nie przełknął już choćby dlatego, że miała kolor ropy.

– Nie dlatego, że robię sobie urlop. Nie dlatego, że chcę prześlubić resztę życia, zanim mnie ubiorą w drewnianą jesionkę. Tylko dlatego, aby tu harować.

Machnęła prawą ręką w powietrzu.

– Gregor, powiedz panu, nad czym pracuję.

– Mam zaszczyt pomagać pani przy pisaniu książki – odpowiedział posłusznie lokaj, który chyba nie był pewny, czy ma już odejść, czy odpowiadać na dalsze pytania.

– I to nie byle jakiej książki! – Gerlinda triumfalnie klasnęła w dłonie ozdobione grubymi pierścieniami. – Tylko thrillera na temat przestępstw zatuszowanych na pełnym morzu. Dlatego jestem tak dobrze poinformowana... ze względu na moje dochodzenie. Wszędzie mam swoje wtyczki i każdej nocy odbywam obchód kontrolny. Albo może raczej „objazd kontrolny”. – Wskazała na swój wózek. – Nieważne... W każdym razie tylko dlatego w ogóle to zobaczyłam.

– Co pani zobaczyła? – zapytał Martin. Do tego stopnia zdążył stracić cierpliwość, że najchętniej chwyciłby staruchę obiema rękami za pomarszczoną szyję i wytrząsnął z niej prawdę o znalezieniu misia.

– Dziewczynkę. Najpierw próbowali mi wmówić, że to z pewnością był tylko worek z rzeczami do prania. Ale od kiedy to worki z brudnymi rzeczami płaczą po północy na trzecim pokładzie i są przy tym blade jak trup? – Gerlinde odstawiała szklanę z ajerkoniakiem na komodę i szurając nogami, przeszła obok Martina do sąsiedniego pomieszczenia przez zasłonę z pasków koloru bzu, oddzielającą obie kabiny apartamentu.

Martin udał się za nią i znalazł się w pokoju jakby żywcem wyjętym z czołówki psychothrillera, gdzie morderca przypina do ściany kolaż złożony z wycinków gazet, zawierających informacje o jego zbrodniach, i nożem do cięcia wykładzin wydrapuje oczy ze zdjęcia kolejnej ofiary.

– Oto mój pokój, w którym prowadzę dochodzenia – wyjaśniła Gerlinde zwięźle. W pokoju dominowała czarna szafa na dokumenty, stojąca pośrodku pomieszczenia jak stanowisko do gotowania w nowoczesnej kuchni. Regały wypełnione książkami i segregatorami zajmowały trzy spośród czterech ścian. Ściana zewnętrzna była oklejona zieloną folią tablicową, na której można było pisać, z pozostawionym wolnym miejscem na okno. Znajdowały się na niej fotografie, przekroje statku, rozkład kabin, artykuły z gazet, samoprzylepne karteczki i notatki nabazgrane przez Gerlinde białym markerem we wszystkich możliwych miejscach.

Martin widział strzałki, kreski; słowo „morderca” było grubo obwiedzione, tak samo jak „Pokład Bermudzki”, co przeczytał od razu trzykrotnie.

Gerlinde otworzyła jedną z górnych szuflad szafy i zdjęła z zawieszki cienki skoroszyt. Wyjęła z niego artykuł prasowy.

Zaginęli na pełnym morzu, brzmiał tytuł w „Annapolis Sentinel”, jednej z lokalnych gazet amerykańskich.

– Jeden z akcjonariuszy towarzystwa żeglugowego jest magnatem medialnym. Uczynił wszystko, aby historia nie nabrała zbytniego rozgłosu. Poza paroma blogami internetowymi to bodaj jedyny szmatławiec, który w ogóle napisał o tej sprawie.

Gerlinde postukała palcem wskazującym w fotografię matki i jej córki tuż przed wejściem na statek, jeszcze na dole przy trapie, gdzie wszyscy pasażerowie „Sułtana” byli fotografowani po to, aby później za duże pieniądze mogli nabyć własną fotkę.

– Pana żona i Timmy zniknęli przed pięcioma laty z „Sułtana” podczas rejsu przez Atlantyk? – zapytała Gerlinde.

Martin skinął głową jak w transie.

– No tak, co tu dużo mówić. Trasa do Australii nie jest wcale bezpieczniejsza.

Gerlinde znów postukała w fotografię w gazetowym artykule.

– Naomi i Anouk Lamar równo przed ośmioma tygodniami rozplynęły się w powietrzu, cztery dni od wybrzeży Australii.

Martin wyrwał jej artykuł z ręki.

– Więc coś takiego zdarzyło się raz jeszcze?

Znów matka z dzieckiem? I znów na Sułtanie?

Ekscentryczna staruszka pokręciła głową.

– Nie tylko raz. Nadal się zdarza.

Rozdział 10

Julia odstawiła filiżankę, nie wypijając nawet jednego łyka, i spojrzała z ukosa na Daniela.

– Jaki pasażer?

Kapitan uśmiechnął się bez śladu rozbawienia.

– Nie wiesz, o czym mówię. Nic dziwnego. Ale uwierz mi, że to bardzo szybko się zmieni. Wtedy to określenie będzie na ustach wszystkich.

Pasażer 23?

– Mam nadzieję, że to nie jest zaraźliwe – próbowała zareagować wątpliwej jakości żartem, z którego nawet jej samej nie chciało się śmiać.

– Żebyś mogła zrozumieć, co się wydarzyło, muszę cofnąć się trochę w przeszłość.

Daniel sięgnął po podręczną walizkę, którą umieścił pod ławką. Julia usłyszała odgłos odskakujących zamków i po chwili na stole przed nią leżała cienka, tekturowa czarna teczka.

Odciągnął gumkę przytrzymującą okładkę i otworzył.

– To zdarzyło się dwa miesiące temu, podczas rejsu dookoła świata, na odcinku z Freemantle do Port Louis – powiedział, odwracając teczkę tak, aby Julia mogła zobaczyć kolorowe ksero wielkości widokówki, na którym widać było dwie twarze: śmiejącej się, opalonej na brązowo kobiety z fryzurą na pazia, która wyglądała tak, jakby dużą część wolnego czasu spędzała w studiu fitness i nigdy nie wchodziła do supermarketu bez tabeli kalorii w ręce. Kobieta obejmowała małą, równie szczupłą dziewczynkę, która przypominała Julii Lisę, kiedy ta miała dziesięć lat; poważna, ale szczerza buzia o zaróżowionych policzkach, potargane wiatrem, jedwabiście lśniące włosy, każdy kosmyk w innym naturalnym odcieniu brązu, ale żaden nie tak ciemny jak duże oczy, które przyciągały wzrok patrzącego. Dziewczynka miała lekko odstające uszy, które jeszcze się „unormują”, żeby użyć słowa, jakim Julia za każdym razem próbowała uspokoić Lisę, kiedy córka znajdowała w sobie coś, co jej się nie podobało. Dziewczynka na zdjęciu nie sprawiała jednak wrażenia cierpiącej z powodu niewielkiego defektu urody, sądząc po przekornym spojrzeniu, jakim patrzyła w obiektyw.

– To Naomi i Anouk Lamar – wyjaśnił Daniel. – Matka i córka. Trzydzieści siedem i jedenaście lat, ze Stanów. Obie zniknęły ze swojej kabiny z balkonem w nocy z siedemnastego na osiemnastego sierpnia.

Julia podniosła wzrok znad fotografii.

– Zniknęły?

Daniel przytaknął.

– Tak jak wszyscy inni.

Inni?

– Chwileczkę. – Julia spojrzała na niego sceptycznie. – Chcesz mi powiedzieć, że na „Sułtanie” znikają ludzie?

– Nie tylko na „Sułtanie” – odpowiedział Daniel, stukając palcem wskazującym w blat stołu. – Na wszystkich wycieczkowcach. To ogromny problem, na jego temat nie znajdziesz nawet jednego słowa w żadnym katalogu biur podróży w żadnym miejscu na świecie. Oczywiście, nie ma oficjalnych statystyk,

coś takiego nie powinno przedostać się do wiadomości opinii publicznej, ale podczas ostatniego przesłuchania przed amerykańskim Kongresem przemysł turystyczny musiał to ujawnić. Po długich przepychankach przyznano się do liczby stu siedemdziesięciu siedmiu pasażerów, którzy zniknęli bez śladu w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

Stu siedemdziesięciu siedmiu?

– Aż tylu? Co się z nimi stało?

– Samobójstwo – powiedział Daniel.

Tętno jej przyśpieszyło i miała uczucie, że ciężiej się jej oddycha.

– Przynajmniej tak brzmi oficjalna wersja. I w większości przypadków jest to zgodne z prawdą.

Nauczyciel, do którego Lisa zgłaszała się z problemami, miał rację. Nie ma lepszego miejsca na samobójstwo niż statek wycieczkowy. Nie potrzeba żyłek, stryczka, tabletek.

Julię ścisnęło w gardle.

Czy teraz rozumiesz, dlaczego musicie jak najszybciej opuścić statek?

– Skok przez reling i po wszystkim. Nie ma zwłok, nie ma świadków. Idealne miejsce, żeby odebrać sobie życie. Niepostrzeżenie, na otwartym morzu, najlepiej w środku nocy. Nie może się nie udać. Już samo uderzenie o wodę z wysokości prawie sześćdziesięciu metrów zabija, a jeśli nie... – Daniel boleśnie wykrzywił kąciki ust – ...to dobrej zabawy ze śrubą okrętową. I co najlepsze: nie trzeba się nawet martwić o kochanych członków rodziny, którzy mogliby dostać szoku na widok ciała.

Julia spojrzała na fotografię Naomi i Anouk. Coś tu nie pasowało do wyводу Daniela.

– Chcesz mi powiedzieć, że matka i córka razem skoczyły za burtę? – zapytała.

– Oczywiście nie trzymając się za ręce. W kabinie zabezpieczyliśmy myjkę nasączoną chloroformem. Prawdopodobnie Mrs. Lamar uspiła najpierw córkę i wyskoczyła po zrzuconiu wcześniej dziewczynki z balkonu. Nie pierwszy raz coś takiego się zdarza.

Julia przytaknęła. Przypomniała sobie reportaż telewizyjny o przypadkach, kiedy rodzice najpierw zabijali własne dzieci, a potem siebie, co podobno zdarzało się tak często, że w medycynie sądowej zyskało nazwę „samobójstwa rozszerzonego”. Próbowała sobie wyobrazić, co dzieje się w głowie matki, która morduje własną córkę, ale jakoś nie potrafiła.

– Sto siedemdziesiąt siedem samobójstw? – myślała głośno, wciąż zdumiona tą niewiarygodnie wysoką liczbą.

Daniel przytaknął.

– I są to tylko te, których nie mogliśmy ukryć. Uwierz mi, nieujawniona liczba jest większa. Dużo większa.

– O ile większa?

– Na wszystkich wycieczkowcach, które obecnie przemierzają oceany, według naszych szacunków każdego roku przeciętnie skaczą za burtę dwadzieścia trzy osoby.

Pasażer 23!

Teraz zrozumiała, do czego zmierzał Daniel.

– Znów ktoś wam zginął?

Mamy pasażera 23!

– Nie – Daniel pokręcił głową. – To nie byłby problem. Nauczylismy się tuszować takie rzeczy.

Tuszować?

– Niech zgadnę. Czy tamta sytuacja, kiedy o mało nie straciłeś pracy i zdrowia, też wiązała się z takim tuszowaniem?

– Tak – przyznał bez ogródek Daniel. – Ale tym razem sprawa jest dużo bardziej skomplikowana.

Kapitan wskazał na fotografię ślicznej dziewczynki z lekko odstającymi uszami:

– Anouk Lamar zniknęła osiem tygodni temu. Zatrzymaliśmy statek, poinformowaliśmy stację nadbrzeżną, zapłaciliśmy osiemset tysięcy dolarów za całkowicie bezsensowne poszukiwania z użyciem łodzi i samolotów, uznaliśmy ją za zmarłą, zorganizowaliśmy pogrzeb z pustą trumną i głęboko sięgnęliśmy do kieszeni po pieniądze na łapówki, aby w mediach przedstawiano tę historię jako samobójstwo, aż w końcu odłożyliśmy sprawę *ad acta*.

Daniel wyjął drugie zdjęcie z czarnej teczki. Julia ledwo poznała małą, tak się postarzała. Nie fizycznie, ale psychicznie. Pewny siebie wyraz oczu osadzonych w ciemnych oczodołach ustąpił miejsca niesamowitej pustce. Wzrok Anouk był równie bez wyrazu, jak jej włosy. Jej skóra była chorobliwie blada, jak gdyby całą wieczność nie widziała słońca.

– Kiedy zrobiono to zdjęcie? – zapytała lękliwie Julia.

– Przedwczoraj.

Na ustach Daniela błąkał się zdesperowany uśmiech.

– Dobrze usłyszałaś. Przedwczorajszej nocy mała znów się pojawiła.

Rozdział 11

Przez osiem tygodni była zaginiona?

Martin wciąż nie mógł tego zrozumieć.

Oczywiście wiedział, że zaginięcia osób na otwartym morzu nie były rzadkością.

W okresie po śmierci Nadji i Timmy'ego bardzo dokładnie przestudiował każdy taki przypadek z ostatnich lat, a były ich dziesiątki.

Chodził na spotkania grup samopomocowych, zakładanych przez krewnych „ofiar statków wycieczkowych”; rozmawiał z adwokatami, specjalizującymi się w procesach odszkodowawczych przeciwko osobom odpowiedzialnym za tragedie, a nawet próbował wytoczyć sprawę kapitanowi za to, że akcja poszukiwawcza była równie niewystarczająca, jak zabezpieczenie dowodów w kabinie jego żony.

Do momentu, kiedy przegrał proces przeciwko kapitanowi Danielowi Bonhoefferowi i armatorowi, przez całe lata po zniknięciu Nadji i Timmy'ego, śledził wszelkie doniesienia o przestępstwach popełnianych na statkach wycieczkowych. Potem uświadomił sobie, że prowadząc kampanię przeciwko armatorom, próbuje tylko zagłuszyć swój ból, bo cokolwiek zrobi, i tak nie wróci mu to rodziny. Kiedy to rozumiał, przestał śledzić doniesienia o osobach zaginionych na morzu. Straciły dla niego jakiegokolwiek znaczenie, tak jak w ogóle całe życie. Dlatego dziś po raz pierwszy usłyszał nazwisko Anouk Lamar.

– I teraz nagle znów się pojawiła? – powtórzył zdanie, którym Gerlinde Dobkowitz właśnie zakończyła długi monolog.

– Tak. Widziałam to na własne oczy. To było pod koniec mojego codziennego obchodu, na śródookręciu przy przejściu z pokładu 2 na pokład 3, właśnie skręciłam za róg, kiedy zobaczyłam jakies wymizerowane stworzenie biegnące w moją stronę, z głową odwróconą do tyłu, jakby przed kimś uciekało. Słyszałam szybkie kroki, tłumione przez ten metrowej grubości dywan, w którym mój wózek inwalidzki zapada się jak w lotnym piasku, ale to nieważne... Dużo ważniejsze jest, że widziałam, jak Anouk zatrzymała się, żeby coś wrzucić do mosiężnego pojemnika na śmieci, który wisiał na ścianie.

Kiedy Gerlinde to mówiła, na jej twarzy pojawiły się nerwowe plamy, wydawało się, że wspomnienia ożyły.

– Potem nie ruszyła się już z miejsca, a ja najszybciej, jak mogłam, podjechałam za jedną z tych donic szerokości słonia, którymi są poobstawiane przejścia na tej łajbie, w samą porę, żeby nie zobaczył mnie kapitan.

– Kapitan?

– Nie mam pojęcia, czego tam szukał o tej godzinie, ale dosłownie, wpadł na tę dziewczynkę. O, proszę, niech pan sam zobaczy!

Z kieszeni spodni do joggingu wyjęła komórkę i pokazała mu zdjęcie. Było ciemne i poruszone.

– Tak, tak, wiem. Nie jest to dzieło Helmuta Newtona. – Gerlinde wydeła usta. – Powinnam użyć flesza, ale nie chciałam, żeby mnie zauważono. I tak zresztą musiałam się dobrze nagimnastykować, żeby pomiędzy roślinami w ogóle coś zobaczyć w obiektywie.

– Kto jeszcze jest na zdjęciu? – zapytał Martin. Oprócz małej dziewczynki i postawnego mężczyzny na fotografii było widać trzecią osobę, która stała pomiędzy tamtą dwójką. Była niewiele wyższa od Anouk i prawie tak samo szczupła.

– To jest Shahla, prawdziwy skarb. Czasem sprząta również moją kabinę. Shahla wpadła na nich, niosąc stertę zarzyganych ręczników z izby chorych. To była zwariowana noc.

Gerlinde ruchami prawej dłoni naśladowała kołysanie statku.

– Prawdę mówiąc, w chwili, kiedy zrobiłam zdjęcie, nie zdawałam sobie sprawy, kim dokładnie jest ta dziewczynka. Zorientowałam się dopiero wtedy, kiedy przejrzałam moje materiały i natknęłam się na fotografię ze zdjęciem zaginionej Anouk. W tamtej chwili wiedziałam tylko, że mała potrzebuje natychmiastowej pomocy. W końcu było wpół do pierwszej w nocy, dziewczynka miała na sobie tylko T-shirt i figi i była okropnie zapłakana. Nie odpowiedziała na pytanie kapitana, czy się zgubiła. Ani gdzie są jej rodzice.

– I pani to wszystko słyszała?

– Myśli pan, że siedzę na wózku, bo jestem głucha? Co prawda rośliny zasłaniały mi oczy, ale nie uszy. Usłyszałam jeszcze, jak kapitan z naciskiem ostrzegał Shahłę, żeby z nikim o tym nie rozmawiała. Potem zabrali tę niebogę do izby chorych, do doktor Beck. Kiedy wszyscy już poszli, w koszu na śmieci znalazłam to.

Gerlinde wskazała na pluszową zabawkę, którą Martin wciąż trzymał w mocno zaciśniętej lewej dłoni.

– To ona go tam wrzuciła? – Martin wpatrywał się w misia, który wydawał się jednocześnie znajomy i obcy.

– Przysięgam na parę moich pończoch przeciwzakrzepowych. – Gerlinde uniosła prawą rękę. – Poznaje go pan, prawda? – Zaczęła mówić dalej dopiero, kiedy spojrzał jej w oczy. – Przecież to miś, którego pana syn Timmy obejmuje na fotografii, publikowanej wówczas w mediach, mam rację?

Martin przytaknął. Ściśle biorąc, był tylko jeden magazyn, który rok po tragedii zamieścił reportaż pod tytułem *Lost – dlaczego coraz więcej ludzi ginie bez śladu na statkach wycieczkowych*, opisujący losy także jego rodziny, i przy okazji zamieścił zdjęcie Timmy'ego.

Zadziwiająca, jak dobrze Gerlinde była poinformowana.

– I to było przedwczoraj? – zapytał Martin.

– Tak. Na odcinku z Oslo do Hamburga.

– Czy wiadomo już, gdzie przez te wszystkie tygodnie była Anouk?

Gerlinde gwałtownie machnęła kościstą ręką.

– Nie wydaje mi się, sądząc po tym, jak bardzo zdenerwowany był kapitan, kiedy następnego dnia rano złożyłam mu wizytę. – Uśmiechnęła się szelmowsko. – Najpierw próbował wszystkiemu zaprzeczyć i wmówić mi, że pewnie betablokery wywołały u mnie halucynacje. Ale potem, jak zobaczył zdjęcie, strasznie się spietrał i poleciał do Yegara.

– Yegara Kalinina? Tego armatora? To on jest na pokładzie?

– Czternaście dni temu w Funchal wprowadził się do dwupoziomowego apartamentu. Zna go pan?

Martin skinął głową. Spotkał go kiedyś w sądzie. Wiedząc, że ktoś jest byłym członkiem Legii Cudzoziemskiej niemiecko-rosyjskiego pochodzenia, większość ludzi spodziewa się zobaczyć nieokrzesanego mięśniaka. W rzeczywistości ten pięćdziesięciosiedmioletni milioner, który dorobił się

wszystkiego własnymi rękami i do którego należała druga co do wielkości flota wycieczkowców, z wyglądu przypominał raczej intelektualistę w typie wykładowcy uniwersyteckiego. Zgarbiona sylwetka, okulary bez oprawek na szpiczastym nosie i sięgające za uszy zakola.

Co on tu robi na pokładzie?

– Zresztą to od niego dostałam numer pańskiej komórki – wyjaśniła Gerlinde.

– Co?

– Yegor zjawiał się u mnie osobiście i opowiadał jakieś bzdety, jak szkodliwe mogą być fałszywe plotki o zaginionych i odnalezionych pasażerach. Chciał mi napędzić stracha i przekazał akta procesu, który pan mu wytoczył, ze wskazówką, że chyba nie chciałabym zostać pociągnięta do odpowiedzialności za fałszywe oskarżenia, tak jak pan, panie Schwartz. – Gerlinde uśmiechnęła się krzywo. – Przy czym chyba przeoczył, że pański zastrzeżony numer telefonu znajduje się w aktach sprawy. W zasadzie to dopiero on i ten tępawy Bonhoeffer podsunęli mi pomysł, żeby się z panem...

– Bonhoeffer? – Martin przerwał jej, zdumiony. – Daniel Bonhoeffer?

Ten zbrodniarz, który nie uznał za konieczne zawrócić?

– Tak. Co pan tak nagle zbladł?

Niemożliwe. Co prawda Martin przegrał proces, ale po tych wypadkach Bonhoeffer został jednak zawieszony.

– Tak. Daniel Bonhoeffer. Kapitan.

Czaszkę Martina przeszył ból, jakby ktoś wwiercał się w jego mózg gorącą igłą.

– O rety, czyżby pan nie wiedział, że znów go przywrócili? – zapytała Gerlinde zaskoczona.

Martin nie pożegnał się. Ani z nią, ani z lokajem w pokoju obok. Chwycił swój worek marynarski, wepchnął misia do bocznej kieszeni i tak szybko, jak narastał ból w jego głowie, wybiegł z kabiny.

Rozdział 12

Nie mamy bladego pojęcia, gdzie podziewała się Anouk – odpowiedział Daniel na pytanie, które właśnie zadała mu Julia. – Mała nie mówi ani słowa. Jest kompletnie niema.

– To niewiarygodne! – powiedziała.

Tak niewiarygodne, że zastanawiała się, dlaczego jeszcze nic nie słyszała w wiadomościach o tym spektakularnym przypadku. Podczas lotu z Berlina do Londynu przejrzała wszystkie gazety. W żadnej nie pisano o dziewczynce, która zmartwychwstała na statku wycieczkowym.

– Morze silnie falowało i przed końcem wachty chciałem sprawdzić, czy w izbie chorych wszystko w porządku, kiedy wpadła na mnie ta mała. Najpierw pomyślałem, że dziewczynka zgubiła się w nocy, wydała mi się jednak dziwnie znajoma. Dziwne było również to, że nie miała bransoletki, jaką wszystkie dzieci na pokładzie noszą na nadgarstku, różowej plastikowej opaski z małym mikroczipem. Żeby mogły otwierać drzwi do strefy przeznaczonej dla dzieci i kupować w barach softdrinki, słodyczne albo lody.

– I dlatego w czipie zapisuje się dane osobowe? – zapytała Julia, nie odwracając wzroku od fotografii Anouk, którą podał jej Daniel. Zdjęcie zostało zrobione w pomieszczeniu wypełnionym sztucznym światłem, na dalszym planie widziała białą szafę z czerwonym krzyżem.

– Właśnie tak. Ale w izbie chorych i bez tej bransoletki bardzo szybko udało się nam ustalić jej tożsamość. Doktor Beck również od razu pomyślała o Anouk Lamar, kiedy zaprowadziłem tam dziewczynkę, a upewniło nas w tym porównanie ze zdjęciem sprzed dwóch miesięcy.

– Niewiarygodne. – Julia wydeła wargi, wypuszczając powietrze. – A co z jej matką?

– Wciąż jest zaginiona.

– A ojciec?

– Trzy lata temu umarł na raka. Jest jeszcze dziadek, który mieszka pod Waszyngtonem.

– Jak zareagował na wiadomość, że jego wnuczka wciąż żyje?

– Dziadek? W ogóle. Nic mu nie powiedzieliśmy.

Julia ściągnęła brwi z niedowierzaniem.

– A to z jakiego powodu?

– Z tego samego, dla którego nie rozmawialiśmy jeszcze z władzami.

– Jak to? Nie powiadomiliście policji?

– Nie. Nie zawiadamialiśmy władz niemieckich ani angielskich, ani amerykańskich. Gdybyśmy to zrobili, to raczej nie wypłynęlibyśmy w rejs do Nowego Jorku.

– Mooment – powiedziała Julia, z niedowierzaniem przeciągając „o”. – Mała dziewczynka najpierw znika ileś tygodni temu i zostaje uznana za zmarłą, potem nagle znów się pojawia, jak z otchłani... a wy zamiatacie to pod dywan? Tak po prostu?

Dlatego nie było informacji w wiadomościach.

– Wcale nie tak po prostu – zaprzeczył Daniel. – To bardzo skomplikowane. Nie zrozumiesz tego. – Kapitanowi napłynęły łzy do oczu. – Cholera, przecież ty nawet nie rozumiesz, po co ci to wszystko opowiadam.

Racja. Przyszła do niego, żeby porozmawiać o kłopotach z Lisą, a rozmowa zmieniła się w spowiedź jej ojca chrzestnego.

– W takim razie wyjaśnij mi to – powiedziała łagodnie Julia.

Gdyby stali blisko siebie, wzięłyby go za rękę.

– Przykro mi, jestem u kresu. Szantażują mnie. I nie mam pojęcia, co powinienem zrobić.

– Co to znaczy szantażują? Czym? I kto?

– Mój szef, Yegor Kalinin. Mam się dowiedzieć, gdzie Anouk przebywała i co się z nią działo. Mam na to sześć dni. Aż dopłyniemy do Nowego Jorku.

– Ty sam?

– Przynajmniej bez udziału władz, bez oficjalnej pomocy.

– Ale dlaczego? – Julia wciąż nie rozumiała ani słowa.

– Ponieważ nie możemy dopuścić do ujawnienia tej sprawy. To byłaby nasza śmierć.

Daniel wstał i podszedł do biurka, które składało się z polerowanego mahoniowego blatu i dwóch dolnych szafek, gdzie można było przechowywać za zamkniętymi drzwiczkami akta albo inne dokumenty. W prawej szafce znajdował się hotelowy sejf, którego pojemność była większa, niż się wydawało na pierwszy rzut oka. Daniel otworzył sejf, wbijając cyfrowy kod, i wyjął ciężki segregator firmy Leitz.

– Pamiętasz, jak powiedziałem, że najczęstszą przyczyną śmierci „pasażera 23” jest samobójstwo?

– Tak.

– Skłamałem.

Daniel wrócił do kąpka wypoczynkowego i otworzył segregator, najwyraźniej na chybił trafił, gdzieś w jednej trzeciej grubości.

Stuknął palcem w widniejącą przed nim stronę, która wyglądała jak okładka akt policyjnych.

– Proszę, to tylko przykład. Rok 2011, „The Princess Pride” w rejsie wzdłuż meksykańskiej riwieri. Marla Key, lat trzydzieści trzy, Amerykanka. Zniknęła w nocy z trzeciego na czwartego grudnia. Według relacji załogi pijana młoda matka przechyliła się przez reling. Ale dlaczego jej wyszywana koralikami portmonetka była uszkodzona, kiedy ją znaleziono? I zniknęły z niej pieniądze? I dlaczego jedyną kamerę monitoringu, która mogłaby udowodnić, że naprawdę wypadła, zakryto kartonem?

Daniel przerzucił kilka następnych kartek.

– A tutaj, rok później, znów w grudniu, tym razem na naszym siostrzanym statku, „Poseidon of the Seas”. Kabina 5167. Pięćdziesięciodwuletnia monachijka chciała rankiem w dniu swojego ślubu popływać w basenie. Nikt jej już więcej nie widział. Po pobieżnych poszukiwaniach załoga postawiła na samobójstwo. Chociaż poprzedniego dnia kobieta umówiła wizytę u fryzjera na dzień zniknięcia! Albo całkiem niedawno... – Daniel otworzył ostatnią stronę – przypadek Włocha Adriano Monetti, który u wybrzeży Malty zniknął z „Ultra Line 2”, po tym jak w dyskotecce powiedział swoim przyjaciołom, że idzie tylko na chwilę do toalety.

Daniel z trzaskiem zamknął okładkę akt.

– Mógłbym tak ciągnąć godzinami. Istnieją całe strony internetowe poświęcone fenomenowi zaginionych pasażerów: internationalcruisevictims.org, cruisejunkie.com albo cruisebruisse.com, że wymienię tylko trzy najbardziej znane. I nie są to strony pomyślników snujących spiskowe teorie, lecz poważne miejsca kontaktu dla krewnych oraz *cruise victims*, jak określają siebie ludzie, którzy utrzymują,

że padli ofiarą przestępstwa na morzu.

Julia zobaczyła, że czoło Daniela pokrywa cienka warstwa potu.

– Wiele z tych stron internetowych prowadzą prawnicy. Nic dziwnego. Morski przemysł turystyczny przeżywa boom, to miliardowy interes. Obecnie po oceanach pływa trzysta sześćdziesiąt statków, tylko w tym roku będzie ich o trzysta więcej. To logiczne, że wielkie amerykańskie kancelarie prawnicze wyspecjalizowały się w pozywaniu właścicieli o odszkodowania i pracują, aż furczy. Po liniach lotniczych i przemyśle tytoniowym towarzystwa żeglugowe są kolejnym celem prawników.

– A więc chodzi o pieniądze? – zapytała Julia.

– Oczywiście. Zawsze chodzi o pieniądze. Gdy tylko policja się dowie o Anouk, „Sułtan” zostanie zajęty i przeszukany. Wszyscy pasażerowie będą musieli zejść na ląd i zażądają zwrotu pieniędzy plus odszkodowania. Każdy dzień postoju będzie nas kosztował miliony, tymczasem tu wchodzi w grę tygodnie! A to i tak jeszcze pestka w porównaniu do tego, co nas czeka, jak zaczną się pozwy zbiorowe.

Julia zobaczyła, że kropla potu oderwała się od nasady jego włosów i spłynęła po skroni.

– Rozumiem – powiedziała i z powagą spojrzała Danielowi w oczy. – Przez te wszystkie lata udawało wam się każde, nawet najdziwniejsze zaginięcie zgłaszać jako samobójstwo. Ale wszystko szło dobrze, dopóki nie odnalazła się ani jedna zaginiona osoba.

Daniel przytaknął.

– Setki przypadków. Każdym trzeba by było zająć się od nowa. Nie przeżylibyśmy tego. Nie przeżyłby tego cały przemysł.

– I dlatego trzeba teraz poświęcić dziewczynkę dla zysku? – zapytała Julia i podniosła się z miejsca.

– Nie, oczywiście, że nie. – W głosie Daniela wyczuwało się rozpacz. – Zrobię wszystko, żeby nie dopuścić do najgorszego.

– Najgorszego? Co będzie, jeśli do Nowego Jorku nie uda ci się dowiedzieć, co działo się z Anouk?

Kapitan podniósł oczy. Jego spojrzenie stwardniało.

– Wtedy sprawią, że dziewczynka znowu zniknie. Ale tym razem na zawsze.

Rozdział 13

Martin stał przed wejściem do okrętowego szpitala na pokładzie 3, czytał nazwiska na drzwiach i myślał o innej Elenie, która też miała tytuł doktora, ale nie pracowała jako lekarka na statku, lecz była psychologiem w Berlin-Mitte – terapeutką w poradni małżeńskiej na Friedrichstraße, u której Nadja umówiła kiedyś wizytę, na którą potem żadne z nich nie poszło. Częściowo z tchórzostwa, częściowo z przekonania, że poradzą sobie bez pomocy obcych ludzi.

Co za naiwność.

W ich małżeństwie często zdarzały się kryzysy. Nic dziwnego, praca pod przykrywką wiązała się z tym, że Martina całymi tygodniami, a czasem nawet miesiącami nie było w domu, aż pięć lat temu wszystko nieomal się zawaliło i wtedy aż nadto wyraźnie zrozumiał, że dalej nie może tak być.

Pewnego dnia niespodziewanie wrócił do domu ze szkolenia. Klasyczna sytuacja. Była ósma rano, mieszkanie w Schmargendorf zastał puste, Nadja i Timmy byli w szkole. Łóżko, na które się rzucił, było niepościelone i przesiągnięte zapachem potu. I perfum.

I prezerwatywa.

Znalazł ją po stronie Nadii, w prześcieradle. Pustą, ale odwiniętą.

Nie zaprzeczyła, a on nie robił jej wyrzutów.

On też miewał potrzeby w długich okresach czasu, kiedy rozstawali się z jego powodu. Ale w jego przypadku były one topione w adrenalinie. Nadji pozostawał tylko romans, żeby nie myśleć.

Martin nigdy się nie dowiedział, kim był tamten, i do dzisiaj nie chciał tego wiedzieć. Dwa tygodnie po znalezieniu przez niego prezerwatywy postanowili, że jego kolejne zlecenie będzie ostatnim. Zaproponował jej nawet, że natychmiast odejdzie ze służby, ale Nadja zdawała sobie sprawę, ile by go to kosztowało. Pracował trzy miesiące, żeby wyrobić sobie nową tożsamość uzależnionego narkomana i zatwardziałego przestępcy. Jego ramię pokryły ślady po igłach, niektóre były widoczne jeszcze dzisiaj. Polskie władze, z którymi współpracował, chciały umieścić go w ciężkim więzieniu w Warszawie, w celi osławionego neonazisty, szefa gangu przerzucającego ludzi przez granicę. Martin miał pozyskać jego zaufanie, żeby zdobyć informacje o przestępczej siatce handlującej żywym towarem. Był pewny, że heroina, którą musiał wtedy wstrzykiwać sobie na oczach nazisty, była współodpowiedzialna za napadowe utraty przytomności, których czasem doznawał w chwilach skrajnego fizycznego albo psychicznego stresu. Musiał to wtedy robić, żeby się nie zdemaskować.

Gdyby wiedział wcześniej, co się stanie, nigdy nie podjąłby się tego zadania, które miało być jego ostatnim. Zgodzili się z Nadją, że po zakończeniu tej akcji będzie ubiegać się o stanowisko w służbie wewnętrznej. Obiecał jej to i opłacił rejs wycieczkowcem dla niej i dla Timmy'ego, dwudziestojednodniowy odcinek podróży dookoła świata, żeby mogła przez ten czas nie myśleć o tym, że jej mąż ostatni raz ryzykuje życiem. A on po raz ostatni skłamał synowi, że wyjeżdża służbowo za granicę w charakterze przewodnika wycieczki.

Martin jeszcze raz rzucił okiem na szyld gabinetu, który uruchomił ten łańcuch wspomnień, zapukał do drzwi i czekał, aż ktoś mu otworzy.

– No, to się pan pośpieszył – uśmiechnęła się lekarka i podała mu rękę na powitanie. Elena Beck miała mniej więcej trzydzieści pięć lat, jasne, splecione w warkocz, długie do ramion włosy i poza śladową ilością jasnoczerwonej szminki oraz leciutkiego cienia do powiek była nieumalowana. Jej cera niewiele różniła się kolorem od śnieżnobiałej bluzy munduru i prawdopodobnie nawet podczas deszczu wymagała olejku do opalania z filtrem 50. Jej oczy stanowiły ciekawy kontrast na nudnie symetrycznej twarzy. Błyszczały jak niebieskie kamyki mozaiki na dnie basenu.

– Dwie godziny po odbiciu od brzegu i już jest panu niedobrze? – zapytała doktor Beck, nawiązując do rozmowy telefonicznej, którą przeprowadzili pięć minut temu. W pierwszym odruchu chciał wziąć w obroty kapitana, tego obrzydliwego drania, którego obarczał współwiną za zaniechania po śmierci swojej rodziny. Ale ból głowy, jaki nagle go dopadł w kabinie Gerlinde, najpierw wygonił go na świeże powietrze, a kiedy pół godziny później wróciła mu jasność myśli, uświadomił sobie, że składając kapitanowi nieprzemyślaną wizytę, tylko by się ośmieszył. Poza tym mostek i tak był zabezpieczony przed niepożądanymi gośćmi.

Jednak po zapoznaniu się z faktami wyjawionymi przez Gerlinde nie mógł pozostać bezczynny. A ponieważ nie wiedział, gdzie w tej chwili znajduje się drugi naoczny świadek, pokojówka Shahla Afridi, umówił się na wizytę u okrętowej lekarki.

– Ale proszę się nie martwić, panie Schwartz, nie jest pan jedyną osobą o słabym żołądku.

Elena Beck poprosiła go, żeby usiadł na obrotowym fotelu, i otworzyła przeszkloną szafę opatrunkowo-zabiegową. Musiała wspiąć się na palce, żeby sięgnąć do kartonu na najwyższej półce.

– Dobrze, że pan do mnie zajrzał. Na Atlantyku wody nie będą spokojniejsze. Zrobię panu zastrzyk.

Wyjęła z kartonu szklaną ampułkę i ponownie odwróciła się do niego.

– Bardzo dziękuję, ale już sam sobie zrobiłem – powiedział Martin.

Wyglądało to tak, jakby nacisnął przycisk ściemniacza odpowiedzialnego za uśmiech, który do tej pory nieprzerwanie gościł na obliczu doktor Beck. Uśmiech gasł powoli, aż wreszcie zniknął całkowicie.

– Coś pan sobie wstrzyknął?

– Tak, wczoraj. Przeciwciała HIV. Odtąd jestem w trakcie PEP.

I od czasu do czasu czuję tak silne klucie w głowie, jakby ktoś wbijał w nią gwoździe.

– Rany boskie, dlaczego pan to zrobił? – zapytała Elena Beck.

Była speszona, jej głos drżał tak samo jak ręka, w której trzymała płynny lek przeciw chorobie lokomocyjnej.

– Żeby oszukać test na HIV. To długa historia. – Machnął ręką. – Prawie tak samo długa jak historia Anouk Lamar.

Po ściemniaczu znalazł przełącznik na tryb szokowy. Twarz doktor Beck stężała.

– Kim pan jest? – zapytała, przymrużając oczy.

– Człowiekiem, który mówi, że teraz sięgnie pani po słuchawkę i wybierze numer.

– Jaki numer?

– Który podano pani na wypadek, gdyby ktoś zadawał głupie pytania.

Doktor Beck próbowała się zaśmiać, co się jej nie udało.

– Nie wiem, o czym pan mówi! – powiedziała, udając oburzenie.

– O porwaniach dzieci, na przykład. O ukrywaniu karalnego czynu, pomocnictwie, ewentualnie

również o współsprawstwie. A już na pewno mówię o utracie przez panią prawa wykonywania zawodu lekarza, kiedy wyjdzie na jaw, że wbrew wszelkim zasadom etycznym obowiązującym w pani grupie zawodowej, przetrzymuje pani małą dziewczynkę wbrew jej woli.

Widać było, że każde jego słowo trafia lekarzkę jak uderzenie w twarz. Jej blade policzki z sekundy na sekundę coraz bardziej czerwieniały. On natomiast stopniowo się uspokajał na wygodnym fotelu zabiegowym.

– Niech pani da spokój – powiedział i założył nogę na nogę. – Zarejestrowałem się pod moim prawdziwym nazwiskiem. Kapitan mnie zna. Dzwonki alarmowe z pewnością cały czas jeszcze przeraźliwie dzwonią, odkąd system rezerwacyjny wczoraj w nocy wypluł moje dane.

Wskazał ręką telefon stojący na idealnie sprzątniętym biurku.

– Proszę do niego zadzwonić.

Lekarka nerwowo dotknęła płatka ucha. Obracała w palcach kolczyk, jakby to była gałka do potencjometru jej wewnętrznego głosu, który miał jej powiedzieć, co powinna teraz zrobić.

Westchnęła.

Nie spuszczać z Martina oczu, wyjęła komórkę z etui przy pasku.

Nacisnęła jeden z klawiszy i przystawiła słuchawkę do ucha. Martin usłyszał sygnał. Po trzecim ktoś odebrał.

Elena Beck powiedziała tylko trzy słowa:

– Już tu jest.

A potem podała mu telefon.

Rozdział 14

Witamy na pokładzie, panie Schwartz.

Martin wstał. Mężczyzna na drugim końcu linii miał silny, lekko zachrypnięty głos. Mówił po niemiecku z ledwo słyszalnym słowiańskim akcentem. Martin ocenił jego wiek na pięćdziesiąt kilka lat. Głos wydawał mu się znajomy, ale nie potrafił skojarzyć go z twarzą.

– Kim pan jest? – Martin spodziewał się kapitana, ale ten tchórz najwyraźniej nie miał nawet na tyle odwagi, żeby porozmawiać z nim przez telefon.

– Nazywam się Yegor Kalinin – usłyszał ku swemu zaskoczeniu Martin. – Mam nadzieję, że mój statek się panu podoba.

– Chyba chciał pan powiedzieć: pańskie więzienie. Gdzie jest dziewczynka?

Yegor zabalgotał rozbawiony.

– Aha, więc rozmawiał pan już z Gerlinde Dobkowitz.

Martin zawahał się. Powstała pauza, którą właściciel statku wykorzystał, żeby mu oznajmić, że wiedział o każdym jego kroku na pokładzie.

– Chyba pan nie myślał, że to ta stara, zwariowana pudernica wezwała pana na pomoc? W rzeczywistości to ja chciałem mieć pana na pokładzie. – Bulgotanie stało się głośniejsze. – Głupia Dobkowitz myśli, że podrzuciła nam zgniłe jajo, kiedy się z panem skontaktowała, a tylko nabrała się na jedną z moich kuglarskich sztuczek.

Martin przytaknął milcząco. Tak właśnie myślał. Co prawda od wielu lat nie zmieniał swojego zastrzeżonego numeru, ale tylko dlatego, że nie miał ku temu powodu. Na pewno znali go jego prawnicy, ale nigdy nie dołączyliby do akt sądowych. Miliarder musiał mieć dostęp do doskonałych źródeł i celowo udostępnił Gerlinde akta, do których uprzednio dopisał jego numer.

– Dlaczego pan mi to wszystko mówi? – zapytał Martin. Odwrócił się plecami do lekarki i podszedł do bulaja. Słońce właśnie zachodziło i horyzont nad morzem mienił się czerwono.

– Żeby wzbudzić zaufanie.

Martin zaśmiał się szyderczo.

– I w tym celu przyznaje się pan do manipulowania ludźmi?

– Taki szczerzy ze mnie facet – powiedział ze śmiechem Yegor. – A mówiąc zupełnie otwarcie, musiałem wykorzystać Gerlinde, żeby zgodził się pan dla mnie pracować. Gdybym to ja zadzwonił do pana, czy powiedzmy Bonhoeffer, to nigdy nie wszedłby pan na pokład.

– Czy dobrze usłyszałem, że mam dla pana pracować?

– Tak. Chcę pana zatrudnić.

Teraz to Martin się roześmiał.

– W jakim charakterze?

– W charakterze terapeuty. Zajmie się pan naszym „pasażerem 23”.

Martin postukał się w głowę.

– Nie jestem psychologiem dziecięcym.

– Ale studiował pan psychologię.

– To było dawno temu.

– Poza tym, z racji wykonywanego zawodu miał pan do czynienia z ofiarami w szoku. A także z ukrywaniem się. Proszę zająć się małą i wydobyć z niej informację, gdzie była przez ostatnie dwa miesiące.

Martin przycisnął dłoń do zimnego bulaja i pokręcił głową.

– Dlaczego miałbym panu pomóc otworzyć tę dziewczynkę?

– Ponieważ nie ma pan wyboru.

– Czyżby pan groził, że mała znów zniknie, jeśli zgłoszę tę sprawę oficjalnym czynnikom? – zapytał Martin.

– To pan to powiedział.

Wydawało mu się, że w tle słyszy szczekanie małego psa, ale nie był tego pewien.

– Bonhoeffer twierdzi, że od momentu tragedii, jaka pana dotknęła, ma pan nie całkiem po kolei w głowie – powiedział Yegor. – Ale mimo to jest pan odpowiednim człowiekiem, żeby rozwiązać zagadkę Anouk Lamar... i być może przy okazji wyleczyć się z traumy. Przecież jest pan tą sprawą żywo zainteresowany, mam rację?

Martin pomyślał o misiu schowanym w worku marynarskim i spojrzął na lekarkę, która przez cały czas rozmowy telefonicznej nie ruszyła się z miejsca. Wciąż stała z ampułką w ręku przy fotelu zabiegowym i wyglądała jak ktoś, kto czuje się nieproszonym gościem na własnym przyjęciu.

– Myślę, że zgłoszę się do władz – powiedział Martin. Lekarka ledwie dostrzegalnie kiwnęła głową. Nieświadomy gest aprobaty.

– Żeby co im powiedzieć? – Głos Yegara stał się głębszy, wcale nie najgorsza imitacja barytonu Martina: – Halo, nazywam się Martin Schwartz, to ja kiedyś wytoczyłem sprawę przedsiębiorstwu żeglutowemu Kalinina i jego kapitanowi. Tak, wiem, wtedy nikt nie chciał uwierzyć, że moja żona i syn nie skoczyli sami za burzę, chociaż przemawiały za tym wszystkie dowody. Tak, gazety pisały, że żałoba zmąciła mi umysł i mimo nasączonej chloroformem myjki znalezionej obok łóżka usiłuję znaleźć winnego tragedii. Wtedy przegrałem wszystkie procesy i straciłem wiarygodność. Ale teraz mam twarde dowody, że na statku dzieje się coś dziwnego.

Yegor zaśmiał się, jakby opowiedział nieprzyzwoity żart.

– Kogoś to zainteresuje – odparł Martin. – Tym razem jest zbyt wielu świadków.

– Mówimy o zwariowanej babci, która nawet na ezoterycznych forach uchodzi za osobę niespełna rozumu? Aha, i dobrej zabawy z FBI. Zacznie się już tu, na pokładzie, jak tylko zgłosimy przypadek Pasażera 23. Anouk Lamar jest Amerykanką. Zaarrestują statek, zarządzą trwające kilka miesięcy przeszukiwanie...

– Co będzie was kosztować miliony.

– A pana prawdę, Martin. Czy rzeczywiście pan sądzi, że FBI przedstawi panu taką samą propozycję jak ja?

– Jaką propozycję?

Martin miał uczucie, że jego prawe ucho robi się coraz bardziej gorące, więc przyłożył słuchawkę do drugiego.

– Pozwolę panu rozmawiać z dziewczynką – powiedział Yegor. – Tak długo i tak często, jak pan tylko chce. FBI natomiast od razu uzna pana za osobę stroniczą i odsunie od sprawy, mój drogi Schwartz. Tylko u mnie będzie pan miał nieograniczony dostęp do każdego miejsca na statku.

– I mam się dowiedzieć, co się z nią działo, nie podając tego do publicznej wiadomości?

– Zgadza się.

Martin zamknął oczy i znów je otworzył. Ale nic mądrego nie przyszło mu do głowy.

– Gdzie jest Anouk? – zapytał.

– Doktor Beck zaprowadzi pana do niej. Jutro rano.

– Chcę ją zobaczyć natychmiast.

Yegor roześmiał się.

– Z życzeniami jest pewien problem, panie Schwartz. Tylko te niewłaściwe natychmiast się spełniają. A teraz niech się pan dobrze wyśpi. Jutro czeka pana ciężki dzień.

Rozdział 15

Querky: a więc jakoś to wszystko ogarniesz?

Moonshadow: tak, dzięki wielkie.

Querky: za co?

Moonshadow: że mi w tym pomagasz! bez ciebie nie dałabym rady”.

Lisa zamknęła pokrywę notebooka i wsunęła go pod kołdrę, ponieważ wydawało się jej, że słyszy coś w sąsiedniej kabinie, którą zajmowała matka, ale to pewnie tylko meble wnękowe, które trzeszczały w spojeniach, kiedy statek się kołysał. W każdym razie nikt nie zapukał do wewnętrznych drzwi.

Uff.

Ostatnią rzeczą, jakiej by sobie życzyła, to żeby matka zobaczyła ją przy komputerze. Komórkę niby dobrowolnie oddała na czas trwania podróży matce. Po pierwsze, telefonowanie na otwartym morzu było za drogie, a po drugie, i tak dużo lepiej surfowało się w notebooku, który w tajemnicy przemyciła na pokład. Na szczęście matka nie zauważyła małego urządzenia w jej plecaku.

Jak wielu innych rzeczy.

Na wszelki wypadek jeszcze trochę odczekała, a potem wróciła na czat.

Musiała się jednak od nowa zalogować, ponieważ kiedy zamknęła pokrywę, połączenie automatycznie się przerwało, ale to nie był problem. Sieć lokalna w kabinach była bezpłatna i działała naprawdę świetnie, przynajmniej dopóki byli blisko wybrzeża. Widocznie po kolacji, zaraz po dwudziestej drugiej, niewiele osób było online. Prawdopodobnie pierwszego wieczoru większość siedziała w którymś z barów, w aquateatrze, gdzie dzisiaj prezentowano rewię na lodzie, w kinie 4D albo spacerowała po pokładach, rozkoszując się łagodnym nocnym powietrzem.

Lisa miała już za sobą bardzo męczącą pięciodaniową kolację z matką w restauracji, w porównaniu z którą jadalnia filmowego „Titanica” sprawiała wrażenie stołówki dla bezdomnych. Na dwóch poziomach połączonych imponującymi dwubiegowymi schodami mogło spożywać posiłki jednocześnie sześciuset gości. Za każdy stół odpowiadał jeden kelner w liberii. Lisa widziała urażoną minę obsługującego ich stolik gogusia, bo jej czarna plisowana spódniczka i T-shirt z trupa czaszką nie do końca jednak spełniały wymogi dresskodu *smart casual*.

Mam to gdzieś.

Lepiej by zrobił, gdyby przyniósł jej jakąś porządną kiełbaskę z sosem curry, a nie półsurowy kawałek mięsa w sosie śliwkowojakimśtam, który był jej tak samo nie w smak, jak pełne troski pytania matki: „Dobrze się czujesz, kochanie? Masz problemy? Chcesz o tym porozmawiać?”

Pod koniec kolacji Lisę tak już zmęczyły własne kłamstwa, że nawet nie musiała specjalnie udawać wykończonej, żeby wreszcie matka pozwoliła jej samej wrócić do kabiny.

Aktywowała ostatnie otwarte okno w przegładarce.

Easyexit otworzył się błyskawicznie i znów była w prywatnym, zgodnie z zapewnieniami Querky, wielokrotnie szyfrowanym czatroomie.

„Moonshadow: sorry, już jestem.

Querky: matka?

Moonshadow: fałszywy alarm.

Querky: myślisz, że coś podejrzewa?

Moonshadow: w każdym razie znalazła wideo”.

Najchętniej już przy kolacji wykrzyczałaby jej prawdę prosto w oczy, kiedy po długim krążeniu wokół tematu matka w końcu zdobyła się na odwagę i zatroskana zapytała, czy to prawda.

„Tak, mamo, to ja jestem tą dziwką z internetu. Ale to nie dlatego mam ochotę podciąć sobie żyły albo rzucić się pod pociąg. Nie z powodu tego filmiku”.

Lisa poczuła, jak znów narasta w niej gniew.

Kurczę, plik już od tygodni krąży w necie. Aż dziwne, że matka dopiero teraz się na niego natknęła. I to tylko dlatego, że Schiwy jej go podsunął.

A teraz robi wielkie halo, chociaż to ona jest dziwką, która pieprzy się z jej nauczycielem. Głupia krowa, pewnie jej się wydaje, że od bzykania człowiek staje się niewidzialny. A przecież wystarczyło tylko w niewłaściwym dniu, o niewłaściwej porze przechodzić obok niewłaściwej kawiarni, żeby zobaczyć, jak sobie nawzajem wpychają języki w gardła. *Rzygać się chce.*

„Querky: hej, jesteś tam jeszcze?”

Wpatrywała się w migający kursor. Na czacie w easyexit pisało się białymi literami na czarnym tle, co pasowało do forum dla potencjalnych samobójców, ale na dłuższą metę mocno dawało po oczach.

„Moonshadow: kiedy jest najlepsza pora, żeby TO zrobić?”

Querky: nie od razu. najpierw niech nabiorą pewności, że wszystko z tobą okej.

Moonshadow: chyba dzisiaj całkiem nieźle mi się udało”.

Już kiedy odbijali od brzegu, odegrała zasługujące na Oscara przedstawienie, jak bardzo cieszy się z tej podróży.

– Ale zajebicie, mamo.

Udało się jej nawet uronić łzę. Na bis odegrała jeszcze przedstawienie przy kolacji.

– Nie przejmuj się – powiedziała do matki. – To wideo to zwykły *hoax*, podróba. To nie ja na nim jestem. Wszyscy moi znajomi to wiedzą. A tych wszystkich świnstw, co tam o mnie wypisują, nikt w całej szkole nie traktuje poważnie. Ja i moje kumpele śmiejemy się z tego.

„*Moje kumpele i ja*”, tak, mamo. Wiem!

– Ostatnio tak rzadko spotykam się z koleżankami ze szkoły przez mojego chłopaka. Tak, mam chłopaka. No, wydało się w końcu. Uff. Nie chciałam ci tego mówić, dlatego tak się dziwnie zachowywałam ostatnio. Nie, to nie to, co myślisz. Do niczego nie doszło, tylko się przytulamy.

Przy tej okazji Lisa przypomniała sobie coś zabawnego, czym koniecznie chciała podzielić się z Querky:

„Moonshadow: powiedziałałam mamie, że jesteśmy parą.

Querky: że co????!!!

Moonshadow: kiedy jej powiedziałałam, że mam chłopaka, zapytała mnie, jak on się nazywa, a jedyne,

co tak od razu przyszło mi do głowy, był twój nick.

Querky: ona myśli, że twój chłopak nazywa się QUERKY?????”

Lisa uśmiechnęła się.

„Moonshadow: powiedziała jej, że to przydomek od twojego nazwiska, Querkus.

Querky: o rany, gdyby ona wiedziała...”

– Jest ode mnie starszy – fantazjowała dalej przy kolacji. – Ma siedemnaście lat. Na pewno niedługo go poznasz. Ale nic o tym nie mów tacie, dobrze?

Matka popatrzyła na nią z taką ulgą, jak jej najlepsza przyjaciółka, kiedy po szkolnej wycieczce zwierzyła się jej, że jednak wrócił jej okres.

Ojciec nigdy nie kupiłby tych bzdur. Prawnicy z natury są bardziej podejrzliwi, uważała.

Lisę wyrwało z zamyślenia brzęczenie, ale był to tylko minibar, z którego wyjęła sobie colę, za którą – jak za wszystkie drinki i całe jedzenie na „Sultanie” – nie trzeba było płacić.

Wróciła na łóżko, znowu usiadła po turecku, wypila łyk z małej buteleczki i zerknęła na drzwi balkonowe, w których odbijał się cały pokój. Statek akurat przechylał się na bok, kiedy stuknęła na swoim notebooku:

„Moonshadow: czytałam, że jak się człowiek topi, to jest nie halo, że to może być niesamowicie bolesne, żaden szal, jak niektórzy piszą.

Querky: nie wolno ci o tym myśleć. takie myśli tylko wszystko utrudniają”.

Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Bez przerwy myślała o bólu. Wszystko zaczęło się od rozstania rodziców. Ojciec był pierwszą osobą, która ją opuściła. Niestety nie jedyną. Co dziwne, cierpienie psychiczne było znacznie bardziej intensywne niż ból fizyczny. A nawet więcej: kiedy się cięła, ból był tak naprawdę jedyną rzeczą, jaką czuła.

Lisa chciała właśnie zapytać Querky, o której mogą jutro pogadać online, kiedy znów zabrzączał minibar.

Wstała zdziwiona.

Brzęczenie było zbyt regularne, żeby mogło powstać przypadkowo. Właśnie chciała wysłać tekst, że przez chwilę będzie offline, bo musi coś sprawdzić, ale wiadomość od Querky przeszła pierwsza:

„Querky: co tam tak cały czas u ciebie brzęczy????”

Lisa z przestrawienia aż zakryła ręką usta.

Sprawdziła ikonki na ekranie. Mikrofon i kamera były wyłączone.

Jak to możliwe, że Querky to słyszy?

Brzęczyk stał się głośniejszy, kiedy otworzyła minibar ukryty w szafce pod telewizorem.

W małym wnętrzu znajdowało się kilkanaście butelek, softdrinki i piwo, poza tym było jeszcze kilka miniaturowych buteleczek z alkoholem i orzeszki ziemne w schowku na drzwiach. Nic, co mogłoby brzęczeć. A mimo to cały czas słychać było regularny sygnał.

Lisa otworzyła zamrażalnik i znalazła.

Obok pojemnika na kostki lodu leżała jasnoniebieska, mała koperta z logo armatora. To ta koperta robiła coś, co sprawiło, że Lisa aż odskoczyła od lodówki z piskiem: mianowicie wibrowała.

W pierwszej chwili Lisa myślała, że w kopercie są wijące się robaki, ale było to niemożliwe.

Nie w temperaturze minus ośmiu stopni. No i robaki nie brzęczą w regularnych odstępach czasu!

Dopiero po chwili Lisa domyśliła się, co to może być, i wyjęła kopertę, aby ją otworzyć.

Rzeczywiście.

Koperta była wyściełana folią bąbelkową i dobrze izolowana, dlatego telefon komórkowy, który z niej wyjęła, nie wydawał się szczególnie zimny.

– Halo?

– No, wreszcie – odezwał się głos, który wyobrażała sobie zupełnie inaczej.

– Querky? – zapytała Lisa, starając się mówić na tyle cicho, żeby nie mogła jej słyszeć matka, gdyby była w sąsiedniej kajucie.

– A któżby inny?

– Ale numer. – Lisa roześmiała się z ulgą. Serce waliło jej jak po sprincie na sto metrów. – Ale się przez ciebie najadłam strachu.

– A to dlaczego, słonko? Przecież wiedziałaś z moich postów, że będę ci towarzyszyć w czasie tego jakże ważnego dla ciebie rejsu. – W słuchawce też dał się teraz słyszeć śmiech. – Mam dla ciebie śrubokręt, puszkę sprayu i listę kamer monitoringu. A teraz uważaj, powiem ci, gdzie i jak to wszystko znajdziesz!

Rozdział 16

08.30 shipboard time

49°40' N, 07°30' W

prędkość: 27 węzłów, wiatr 15 węzłów

wysokość fali: 1,5–4 stopy

odległość od Southampton: 219,6 mil morskich

Morze Celtyckie

Crew only, głosił napis na stalowych drzwiach, które już samym czerwonym kolorem sygnalizowały, że osoba nieupoważniona nie ma za nimi czego szukać.

Doktor Elena Beck przeciągnęła swój klucz magnetyczny przez czytnik i rozległo się brzęczenie przypominające dźwięk maszynki go golenia.

– Wyjaśnijmy sobie jedno – powiedziała i ramieniem popchnęła drzwi do środka. – Według mnie to nieszczerze dobry pomysł, żeby wpuszczać do niej obcego mężczyznę...

– To ciekawe – powiedział Martin. – A już myślałem, że ta groźna mina to dlatego, że nie mogła mi pani wczoraj zrobić zastrzyku.

Lekarka nie dała się sprowokować.

– ...ale – uzupełniła rozpoczęte uprzednio zdanie – bardzo się cieszę, że Anouk zaopiekuje się psycholog; ktoś, kto zna się na przemocy i będących w szoku ofiarach. Małej przyda się wszelka możliwa pomoc.

Przekroczył za nią wysoki próg i ruszyli dalej jasno oświetlonym wąskim korytarzem.

Przejścia techniczne na pokładzie A, niemal na wysokości linii wodnej, miały niewiele wspólnego z korytarzami w strefach dostępnych dla pasażerów. Zamiast po grubym dywanie chodziło się po linoleum, okładziny ścian były betonowoszare i próżno byłoby na nich szukać obrazów w ramach.

– Gdzie ten nasz tchórz? – zapytał Martin. Był zmęczony i czuł się tak, jakby nie przespał nawet godziny. Wczoraj po prysznicu położył się nago na o wiele za dużym jak na jedną osobę łóżku i tak długo gapił się w sufit, aż nad Atlantykiem znów weszło słońce. Potem wziął swoje pigułki i sięgnął po słuchawkę, żeby zrobić Bonhoefferowi piekło, kiedy wreszcie zostanie dopuszczony do Anouk Lamar. Teraz było kilka minut po wpół do dziewiątej czasu pokładowego (na prowadzących na zachód trasach transatlantyckich każdej nocy cofa się zegary o godzinę), co oznaczało, że musiał czekać prawie trzy godziny, aż doktor Beck odebrała go z jego kabiny

– Ma pan na myśli kapitana? Dlaczego nam nie towarzyszy?

Szła pół kroku przed nim, jej jasny warkocz majtał się od ramienia do ramienia, a podeszwy sneakerów piszczały. Pod lewą pachą trzymała niebieską podkładkę do pisania z klipssem i oficerską czapkę.

– Zaraz ma naradę oficerów w planetarium i poprosił mnie, żebym go zastąpiła. Jest bardzo zajęty.

Martin zachichotał.

– Wyobrażam sobie. Takie uprowadzenie dziecka może spędzać człowiekowi sen z powiek, prawda?

Lekarka zatrzymała się i pokręciła głową.

– Proszę posłuchać, nie wiem, co zaszło pomiędzy panem i kapitanem Bonhoefferem, ale mogę panu powiedzieć jedno: Daniel Bonhoeffer jest rozsądnym i nieskazitelnym człowiekiem. Wszystkim nam leży na sercu wyłącznie dobro dziewczynki, a ta cała historia jest dla niego tak samo przykra jak dla mnie.

– Jasne – Martin uśmiechnął się sarkastycznie.

Mów do mnie jeszcze.

Minęli kilkoro drzwi po obu stronach korytarza; niektóre były otwarte, tak że Martin mógł zajrzeć do pomieszczeń załogi. Skromne cele z otwartymi szafkami i piętrowymi łózkami, jak w wagonie sypialnym pociągu. Tylko ciasniejsze.

Przed wejściem do wewnętrznego świata pod pokładem wycieczkowca lekarka wyjaśniła mu, że na pierwszym dolnym pokładzie przejdą przez *staff area*, strefę zastrzeżoną dla wyżej zaszeregowanego w okrętowej hierarchii personelu hotelowego: pokojówek, barmanów, kelnerów i pozostałych pracowników obsługi. Jeszcze niżej, na pokładach B i C, mieszkali członkowie załogi: pracownicy oraz pracownicy zatrudnieni w kuchni, pralni, okrętowej spalarni śmieci, przy odsalaniu wody morskiej albo w maszynowni. Ludzie, których żaden płacący za rejs pasażer, nigdy nie widział na oczy.

Strefa dla personelu miała być rzekomo bardziej komfortowa niż *crew area*, ale już na pokładzie A Martin miał uczucie, że idzie więziennym korytarzem. Za zamkniętymi drzwiami słyszał śmiechy osób obojga płci, ktoś krzyczał coś w języku, którego nie rozumiał, a w kabinie, którą właśnie mijali, siedzieli dwaj mężczyźni w bokserkach, grali w karty i słuchali rapu.

Kiedy zobaczyli przechodzącą szczupłą, wysoką lekarzkę, wysunęli języki i zaczęli sprośnie dyszeć. Jeden z nich włożył rękę w majtki.

– Pani doktor, nie chce pani przebadać to, co trzymam w ręku? – zawołał za nią po angielsku.

– Skoro możesz to złapać jedną ręką, nie jestem zainteresowana – odparła i spowodowała gromki śmiech.

Skręcili w trochę szerszy poprzeczny korytarz, w którym stało kilka wózków hotelowych.

– Jesteśmy teraz na Broadwayu – wyjaśniła i pokazała mu namalowaną na podłodze tablicę z nazwą ulicy. – Wszystkie korytarze na pokładach załogi noszą nazwy ulic na Manhattanie.

– I to pomaga w orientacji?

– Mniej więcej. Teraz idziemy w kierunku Times Square, centrum rozrywki dla pracowników, gdzie mogą grać w pingponga i uprawiać hazard na automatach. Gdyby pan zabłądził, musiałby się pan po prostu cofnąć na Park Avenue, z której właśnie zesliśmy, i wrócić do Grand Central Station, przez którą weszliśmy do tej strefy. Wszystko jest dobrze oznakowane.

– Proste jak drut – powiedział Martin sarkastycznie. – Po dwóch miesiącach nawet dziecko się stąd wydostanie, dobrze mówię?

Elena Beck zatrzymała się. Wzrok jej stwardniał, ale widocznie nie dotyczyło to jego, lecz okoliczności, które ich tu sprowadziły. Rozejrzała się dookoła, czy ktoś ich nie słyszy, i po cichu powiedziała:

– Dla mnie też nie jest to łatwe. Też czuję się nieswojo.

– Tak? W takim razie dlaczego nie zawiadomiła pani policji?

– Ponieważ naraziłabym w ten sposób życie dziewczynki – powiedziała tajemniczo Elena.

– Co pani ma na myśli?

– Kapitan jest szan... – zaczęła szybko, ale zaraz pokręciła głową.

– Szantażowany?

– Zostawmy to. Nie wolno mi o tym mówić. Poza tym pan przecież jest z policji, zgadza się?

Tak, zgadza się.

Tylko że jego odznaka policyjna była tu, na pokładzie, mniej więcej tyle samo warta co gwiazda szeryfa, jaką podarował Timmy'emu na piąte urodziny.

– Á propos, kapitan prosi, żeby nie robił pan zdjęć i niczego nie filmował – powiedziała lekarka. – Najlepiej niech pan w ogóle nie wyjmuje komórki z kieszeni.

– Podejrzewam, że to, co powiem, pani się nie spodoba – odparł Martin – ale cała ta tajemniczość ma raczej niewielki sens. O wiele za dużo osób wie już o istnieniu dziewczynki. Być może Dobkowitz nie jest najbardziej wiarygodnym źródłem, ale już pokojówka...

– Shahla? – Doktor Beck pokręciła głową. – Ona nic nie powie.

– Dlaczego?

– Ta kobieta haruje po osiemdziesiąt godzin w tygodniu za pięćset dolarów na miesiąc, a dwie trzecie z tego idzie do jej rodziny w Karaczi.

– To znaczy, że armator zagroził, że ją zwolni?

Elena znów pokręciła głową.

– Przeciwnie. Potroili jej pensję, żeby trzy razy dziennie zanosila Anouk jedzenie i sprzątała jej pokój. Zwolnią ją tylko wtedy, jeśli komuś o tym powie. Ale perspektywa zarobienia tysiąca pięciuset dolarów w miesiąc sprawia, że prędzej da się przypalić żelazkiem, niż puści parę z ust.

– A co z panią? – zapytał Martin lekko zniechęcony. – Czym panią trzymają w szachu?

Lekarka uniosła rękę i pokiwała palcem serdecznym.

Pierścionek zaręczynowy był skromny, ale gustowny, z białego złota z małym brylantem w oprawie.

– Pobieramy się z Danielem w grudniu.

No, proszę. Chodzi do łóżka z wrogiem.

– Moje gratulacje – powiedział Martin sarkastycznie. Właściwie, mimo okoliczności, które ich łączyły, wydawała się całkiem sympatyczna. – Czyli robi pani wszystko, czego zażąda od pani wybranek?

– Zrobię wszystko, żeby mu pomóc.

– Łącznie z wywiezieniem dziecka?

Otworzyła usta, ale zrezygnowała z odpowiedzi na tę uwagę, pewnie też dlatego, że właśnie mijali młodzieńką pracownicę. Pokojówka zrobiła im miejsce, chowając się za wózek hotelowy, zza którego ledwo było widać jej ufarbowaną na czarno rozwichrzoną czuprynę.

Martin zastanawiał się przez chwilę, czy na takim ekskluzywnym statku wycieczkowym jak „Sułtan” tolerowano piercing, czy też zawstydzona, patrząca w podłogę pracownica musiała za każdym razem wyjmować kolczyk z nosa, zanim wyszła na pokład dla pasażerów.

Martin i doktor Beck przez jakiś czas szli w milczeniu obok siebie, w końcu zatrzymali się przed drzwiami windy. Po przejściu labiryntem korytarzy Martin stracił orientację.

– Gdzie teraz jesteście? – zapytał.

Na większości odcinków przebytej drogi napotykali ludzi różnych narodowości w służbowych strojach. Ale odkąd minęli mesę dla personelu, gdzie stali w kolejce przeważnie Azjaci, nie spotkali już żywej duszy.

– Na statku wycieczkowym są trzy strefy – wyjaśniła Elena. – Jedna dla pasażerów, jedna dla załogi. I trzecia strefa, w której nikt z obu tych grup nie chciałby się znaleźć.

Wyjęła klucz magnetyczny z tylnej kieszeni spodni i przeciągnęła przez czytnik umieszczony obok drzwi.

– Nazywamy tę strefę „Hell’s Kitchen”. Tutaj umieściliśmy Anouk.

Rozdział 17

Hell's Kitchen?

Drzwi windy się otworzyły i Martin wszedł do kabiny, która po przeciwnej stronie miała drugie drzwi.

– Dlaczego wszyscy unikają tego sektora?

– Przesady. Tutaj znajduje się nasz oddział kwarantanny.

Lekarka poszła przodem, a Martin ruszył za nią z mieszanymi uczuciami.

– Kiedy mamy na pokładzie osobę chorą zakaźnie albo z ciężką infekcją bakteryjną, przenosimy ją tutaj, aby nie dopuścić do rozszerzenia się epidemii. Choroby zakaźne są zaraz po pożarze największym koszmarem na pokładzie statku pasażerskiego – wyjaśniła doktor Beck i zaczęła, aż zamknęła się za nimi aluminiowe drzwi.

– Wygląda jak nowa – powiedział Martin, który nie dostrzegł żadnych śladów użytkowania na ścianach ze szlachetnej stali. Ani przycisków, którymi można by uruchomić windę.

– Bo jest nowa. Hell's Kitchen nie była jeszcze używana. Zresztą w sytuacji kryzysowej ta winda byłaby wyjątkowo niepraktyczna. Jest jeszcze wprawdzie winda towarowa, którą można przewozić łóżka, ale żadnemu śmiertelnie choremu nie polecałabym korzystania także z tej drogi. W każdym razie krąży plotka, że armator przeprowadza tutaj eksperymenty na niezdyscyplinowanych pracownikach – roześmiała się. – Albo na pasażerach, którzy nie płacą rachunków. Jest to oczywiście bzdura, ale personel unika Hell's Kitchen jak wegetarianin sklepu rzeźniczego. Podobno pracownicy sprzątający oferują innym pieniądze, żeby tylko tu nie sprzątać.

Drzwi po przeciwnej stronie kabiny otworzyły się z sykiem i ponownie wysiedli na tym samym poziomie.

Zaskoczony Martin zorientował się w tym momencie, że nie wsiadł do windy, lecz przeszedł przez służbę.

– W sytuacji kryzysowej strefa jest hermetycznie zamykana. Posiada własny system wentylacji, instalację wodną i niezależne zasilanie w energię elektryczną. A my musielibyśmy włożyć ubrania ochronne.

Przeszli przez hol z półokrągłą ladą recepcyjną, za którą jednak nikt nie czekał na pacjentów.

Za kolejnymi drzwiami z pleksiglasu Martin wszedł niespodziewanie na włochaty dywan, który znał ze swojego apartamentu. W ogóle cały ten niewielki, przechodni pokój z dwoma skórzanymi fotelami i szafą na ubrania znowu przypominał pomieszczenia na statku wycieczkowym. Nawet drzwi, przed którymi teraz stali, były identyczne jak te w kabinach pasażerskich, tylko wizjer działał w odwrotnym kierunku.

Lekarka krótko rzuciła okiem przez judasza. Najwidoczniej zadowolona z tego, co zobaczyła, poleciła Martinowi, żeby wypróbował swój klucz magnetyczny.

– Pana klucz jest tak zaprogramowany, że ma pan dostęp do wszystkich stref, które są niezbędne do pańskiej pracy. Może pan do niej przychodzić o każdej porze, ale byłoby mi miło, gdyby mnie pan wcześniej o tym informował.

– Anouk jest zamknięta? – zapytał z dezaprobatą.

Lekarka przytaknęła z powagą.

– Dla jej własnego bezpieczeństwa. Dopóki nie wiemy, gdzie była i kto być może ją teraz ściga, nie powinna w niekontrolowany sposób poruszać się po statku. Ale przy łóżku ma przycisk alarmu, który może włączyć w razie zagrożenia.

Pokazała w górę. Nad framugą drzwi znajdowała się czerwona dźwignia, która przypominała Martinowi hamulec bezpieczeństwa w pociągach.

– W razie konieczności może pan otworzyć tym drzwi, ale automatycznie włączy się alarm na mostku, dlatego będzie lepiej, żeby zabierał pan ze sobą klucz.

Martin wyjął plastikową kartę z kieszeni džinsów, ale zawahał się. Zanim tam wejdzie, powinien zostać lepiej poinformowany o tym, co czeka go za drzwiami.

– Czy to pani protokół z badania? – zapytał lekarkę i wskazał na podkładkę do pisania pod jej pachą.

Lekarka wręczyła mu ją bez słowa. Martin przekartkował protokół z pierwszego badania.

Anouk Lamar. Pacjentka płci żeńskiej, rasy białej, wiek: 11 lat, wzrost: 148 cm, waga: 35 kg.

Stan ogólny zły z oznakami zaniedbania. Pacjentka nie reaguje na prośby ani na zachęty.

Podjęcie mutyzmu.

– W ogóle nic nie mówi? – Martin chciał uściślić diagnozę.

Doktor Beck przytaknęła ze współczuciem.

– Ani słówka. Wzdycha, płacze albo sapie, ale przeważnie przez sen. Ma silne koszmary. Jak pan widzi, neurologicznie wydaje się wszystko w porządku. Odruchy w normie, ale...

– Ale co? – zapytał Martin i wtedy sam to zobaczył. Aż go zatkało, kiedy przeczytał ostatnią, trzecią część raportu, dotyczącą oględzin ciała: *Podłużne powierzchowne otarcia skóry, bezpośrednio przy labia majora (via falsa).*

– Wybroczyny na wewnętrznych powierzchniach obu ud. Wyraźne pęknięcia naskórka na godzinie 11 i 8 w pozycji litotomijnej? – odczytywał z niedowierzaniem następny akapit raportu.

Elena przytaknęła ze smutnym wyrazem twarzy.

– Oczywiście zabezpieczyłam wszystkie wymazy.

Wielki Boże.

Zamknął oczy.

A zatem Anouk Lamar została wielokrotnie i bestialsko zgwałcona przez swojego porywacza.

Rozdział 18

W tym samym czasie, pokład 5

Tiago Álvarez wyszedł z kabiny atrium (taką nobilitującą nazwę stosowano dla wewnętrznych kabin z widokiem na promenadę w galerii handlowej na „Sułtanie”) i pozdrowił starszą kobietę, która w szlafroku kąpielowym szła w jego stronę z kierunku spa. Zadowolona z nieoczekiwanego zainteresowania młodego mężczyzny, posłała mu promienny uśmiech i zmieszana dotknęła ręką dopiero co wysuszonej, przypominającej watę cukrową fryzury.

Tiago nie musiał się odwracać, i tak wiedział, że kobieta obejrzała się za nim. Argentyńczyk był świadomy swojego oddziaływania na kobiety, obojętne, w jakim wieku. Uwielbiały jego ciemną skórę, ciemne, mocno kręcone włosy, które z trudem dawało się poskromić lakierem, rozmarzone spojrzenie, z którego zawsze przebijała odrobina melancholijnej bezradności.

Zadowolony z siebie, nucąc pod nosem (zawsze go cieszyło, kiedy czuł, że ludzie go lubią), poszedł w kierunku dziobu do baru Atlantyk. Mniej więcej w dwóch trzecich długości korytarza zatrzymał się, kręcąc głową, przed drzwiami do jednej z zewnętrznych kabin.

W swoim trwającym dwadzieścia trzy lata życiu ostatnie sześć lat niemal nieprzerwanie spędził na wycieczkowcach. Od czasu jego dziewiczego rejsu na „MS Puertos” z Lizbony na Teneryfę dużo się zmieniło. Statki były większe, kabiny w przystępniejszych cenach i dużo lepsze jedzenie. Za to pasażerowie dalej byli tak samo głupi jak przedtem.

Jak bardzo trzeba być stukniętym, żeby powiesić tabliczkę „Proszę sprzątnąć mój pokój”?, pomyślał, patrząc na zieloną tekturową wywieszkę, bujającą się na gałce drzwi kabiny.

Po pierwsze, pokojówki wcale nie przychodziły dzięki temu wcześniej. A po drugie, było to po prostu wspaniałym zaproszeniem dla złodzieja: „Proszę wejść, właśnie nie ma nikogo w domu!”

Westchnął na widok takiego braku rozsądku i odwrócił wywieszkę na drugą stronę, na której widniał czerwony napis: „Proszę nie przeszkadzać”. Potem włożył kartę magnetyczną do czytnika i otworzył drzwi, upewniwszy się najpierw, czy nikt go nie obserwuje.

Wielkie dzięki, Stacy, wyszeptał w duchu do praktykantki, którą przeleciał w pomieszczeniu z komputerami na zapleczu recepcji. Miała blond włosy, była wysoka, głośna i zupełnie nie w jego typie, ale seks z dziewczyną z obsługi zawsze był najlepszą drogą do ułatwienia sobie pracy. Każdy pracownik recepcji miał *master key*, aby móc towarzyszyć do pokoju gościom, którzy zgubili swój klucz albo chcieli obejrzeć kabinę innej kategorii. Tiago zamienił swój klucz z kluczem kochanki, kiedy się z nią bzykał. Oczywiście następnego dnia Stacy zorientowała się, że jej uniwersalny klucz nie działa. Uznała, że pasek magnetyczny jest uszkodzony, i załatwiła sobie nowy klucz.

Łatwizna, jeśli się wie, w czym rzecz. I dysponuje odpowiednimi atrybutami Romea.

Tiago z zadowoleniem rozejrzał się po kabinie, do której wszedł. Nie było porównania z chlewem, jaki zastał w poprzednim pokoju. Gnojek w ostatniej kabinie atrium – według znajdujących się w szufladzie biurka dokumentów, samotnie podróżujący emeryt ze Szwajcarii – wyrzygał do łóżka połowę

kolacji, a zafajdane majtki po prostu pieprznął na podłogę. Tiago nienawidził takiego braku szacunku. Czy taka świnia nie wie, pod jaką presją czasu pracuje sprzątaczką? I że dostaje tylko kilka centów za kabinę?

W tej kabinie, trzeciej podczas dzisiejszej „śniadaniowej zmiany”, zastał tylko nieuniknione ślady nocy: pogniecione prześcieradło, używaną szklankę na nocnym stoliku, dżinsy i bieliznę zmiętoszone na sofie. Ale żadnych obgryzionych *chicken wings* na wykładzinie, łazienka też wyglądała tak, jak można tego oczekiwać od cywilizowanego człowieka. Natomiast w poprzedniej kabinie stary dziad ewidentnie pomylił ręczniki z papierem toaletowym. Na dodatek nie uznał za stosowne użyć szczotki klozetowej po postawieniu kloca. Ta bezczelność przelała czarę i Tiago postanowił się zemścić. W zasadzie nie powinien w „pracy” marnować czasu, ale jedna minuta, jego zdaniem, była tego warta, ponieważ tyle czasu mu zajęło, żeby szczoteczką do zębów emeryta usunąć z ręcznika brązowe „ślady hamowania”.

Szkoda, że nie będę przy tym, jak ten stary dziadyga dziś wieczorem włoży do gęby szczoteczkę, pomyślał Tiago rozbawiony, otwierając szafę, w której znajdował się sejf.

Istniało tylko kilka systemów sejfów hotelowych i Tiago znał je wszystkie. Przeważnie potrzebował chwili, aby złamać szyfr, ale tu, na „Sułtanie”, nie było to nawet konieczne. Tutaj sejfy otwierało się kluczem do pokoju. Lepiej być nie mogło.

– Kogo my tu mamy? – powiedział do siebie, oglądając legitymację szkolną, którą znalazł pomiędzy tanią modną biżuterią, iPodem i niewielką ilością europejskich pieniędzy. Młoda dziewczyna z farbowanymi włosami i przekornym spojrzeniem pasowała do wojskowych spadochroniarskich butów i wyłącznie ponurych ubrań, które wisiały w szafie. Lisa Stiller, przeczytał nazwisko.

Gdybym miał piętnastoletnią córkę, nie pozwoliłbym jej przekłuć sobie nosa, pomyślał Tiago. W takich sprawach był konserwatywny. Ciało kobiety, a zwłaszcza młodej dziewczyny, było dla niego święte. Nawet przekłute uszy uchodziły w jego mniemaniu za świętokradztwo, nie mówiąc już o tatuażach i piercingu.

Tiago zbadał otwartą dłonią wyłożone filcem dno sejfu i natrafił na nowiusieńki śrubokręt oraz małą puszkę sprayu.

Czarna farba?

Chyba Lisa nie chciała upiększyć statku graffiti?

Odstawił puszkę na miejsce i przeliczył gotówkę. 104,60 euro. Prawdopodobnie jej całe kieszonkowe. Ponieważ nie miała portmonetki, na pewno nawet nie przeliczyła pieniędzy, mimo to przywłaszczył sobie tylko dziesięć. Nie więcej niż dziesięć procent. Taką miał zasadę. I nigdy nie zabierał przedmiotów osobistych, aby w razie wpadki właściciel nie mógł ich rozpoznać. W przypadku małych kwot ofiary zawsze doszukiwały się błędu po swojej stronie.

Musiłeś zgubić, skarbie. Przecież złodziej nie zostawiłby chyba zegarka, biżuterii i takiej gotówki?

Metodą Tiago trwało to trochę dłużej, za to było w stu procentach bezpieczne. Podróż w wewnętrznej kabinie kosztowała go dwa tysiące czterysta dolarów na odcinku Kadyks–Oslo–Nowy Jork, a do tej pory zgarnął dwa tysiące dwieście dolarów. Zanim w Nowym Jorku przesiądzie się na inny statek i wyruszy w kierunku Kanady, dojdzie do tego kolejne dwa tysiące pięćset. Ponad dwa tysiące czystego zysku. Nieźle, jeśli ma się zero dodatkowych kosztów i wiedzie się żywot milionera na wiecznym urlopie.

Tiago odliczył dwa banknoty po pięć euro. Odkładając resztę pieniędzy, dostrzegł kopertę; była oparta

o prawy róg sejfu.

Kolejny zaskórniak? A może prezent na drogę od babci?

Zaciekawiony otworzył wypchaną kopertę. W tej samej chwili niespodziewany odgłos zwrócił jego uwagę na niewybaczalny błąd.

Błąd, który popełnił, wchodząc do kabiny, i który powinien był zauważyć najpóźniej w momencie, kiedy trzymał w ręku legitymację szkolną.

Jak mogłem być taki głupi?, zdążył pomyśleć i odruchowo przeskoczył przez łóżko w kierunku balkonu. Ale był zbyt wolny.

Żaden nastolatek nie podróżuje sam na statku wycieczkowym!

Wewnętrzne drzwi, których nie sprawdził, otworzyły się i już nie miał możliwości ukryć się na balkonie, jeśli nie chciał, żeby przyłapała go pokojówka, która właśnie weszła do kabiny i która...

...była pijana?

Tiago przycupnął na czworakach za wysokim łóżkiem i obserwował, co się dzieje, w lustrze wiszącym nad biurkiem obok telewizora.

W pierwszej chwili naprawdę pomyślał, że pokojówka w białym fartuchu roboczym i staromodnym czepeczku na głowie jest pijana, bo tak chwiejnie wtoczyła się do pokoju.

Potem ujrzał dwóch mężczyzn za nią; zobaczył, jak jeden z nich zadaje jej cios pięścią w plecy, wskutek czego młoda kobieta traci równowagę i upadając, uderza głową w otwarte drzwi szafy, które on sam otworzył.

Rozdział 19

Kabina Anouk przypominała Martinowi porodówki nowoczesnych szpitali, w których absolutnie wszystko, co mogło pacjentkom przywozić na myśl szpital albo klinikę, zastąpiono jasnymi i w miarę możliwości wyglądającymi zwyczajnie materiałami.

Podłoga była laminowana, ale dzięki tłoczeniom do złudzenia przypominała prawdziwy parkiet. Ściany miały kolor dobrze wymieszanej *latte macchiato*, a zamiast na typowych dla szpitali, zwykłych drewnianych krzesłach odwiedzający mogli usiąść na skórzanej sofie w piaskowym kolorze. Przygaszone oświetlenie w suficie rozjaśniało kabinę delikatnym pastelowym światłem.

W tym otoczeniu szpitalne łóżko o regulowanej wysokości sprawiało wrażenie, jakby przez pomyłkę zostało wstawione do pokoju w pięciogwiazdkowym hotelu i było tu kompletnie nie na miejscu, mimo listwy na ścianie za wezłowiec łóżka z mnóstwem gniazdek do podłączenia aparatury medycznej, przyłączy na przewody z tlenem, ze sprężonym powietrzem, telefonu z czerwonym przyciskiem alarmowym w zasięgu ręki jedenastoletniej pacjentki.

Anouk Lamar siedziała na środku łóżka z kolanami podciągniętymi pod brodę i wydawała się nie zauważać faktu, że nie jest już sama. Miała na sobie najzwyklejszą, wiązaną na plecach szpitalną koszulę i białe bawełniane rajstopy. Nie zmieniła pozycji, odkąd Martin i Elena weszli do jej pokoju. Głowę miała odwróconą, patrzyła w prawo na ścianę, będącą burtą statku, w której znajdował się mały bulaj obramowany bladożółtymi zasłonkami. Od czasu do czasu za szybą bryzgała w górę fala, wywołując typowe dla kabin położonych tuż nad linią wodną wrażenie, jakby patrzyło się w bęben pralki.

Martin wątpił, żeby Anouk wpatrywała się w krople na szybie czy w cokolwiek innego. Nie musiał widzieć jej twarzy, aby wiedzieć, że jest zatopiona w sobie i patrzy niewidzącym spojrzeniem na wszystko, co znajduje się w zasięgu jej wzroku, jednocześnie drapiąc się z tępą monotonią w prawe przedramię.

Już sama jej obecność wydawała się wypełniać pomieszczenie przytłaczającą beznadziejnością, tak gęstą, że dało się jej niemal dotknąć. Czasami Martin wolałby mieć trochę mniej doświadczenia, wolałby nie patrzeć tak często w puste twarze; mógł na pierwszy rzut oka ocenić, że na całym świecie nie ma takiego skalpela i takiej chemioterapii, które mogłyby całkowicie usunąć rakowaty wrzód, który po piekle, jakie przeszła dziewczynka, niczym tumor zagnieździł się w jej duszy. W takich wypadkach psychologowie i lekarze byli jak technicy w Czarnobylu i Fukushima. Nie mieli sposobu, by raz na zawsze pozbyć się problemu, co najwyżej mogli złagodzić skutki katastrofy.

– Witaj, Anouk, mam nadzieję, że ci nie przeszkadzamy – przywitał się z jedenastoletnią dziewczynką po angielsku, czyli w jej ojczystym języku. – Nazywam się doktor Schwartz – przedstawił się i zauważył, że lekarka patrzy na niego zaskoczona. Więc Bonhoeffer nie pokazał jej akt procesowych, inaczej wiedziałaby, że ma tytuł doktora, do którego nie przykładał większej wagi. To, że dzisiaj go użył, było rzadkim wyjątkiem. Liczył na to, że Anouk łatwiej zaakceptuje obecność drugiego lekarza niż śledczego po psychologii, który zamierza grzebać się w jej przeszłości.

– Nie bój się – powiedział. – Nie chcemy cię znowu badać.

Anouk nie zareagowała. Żadnej zmiany, ani w postawie, ani w mimice, ani w gestach.

Zaczęła tylko silniej się drapać.

– Ciągłe to robi – rzuciła szeptem Elena.

– Umówmy się, że rozmawiamy głośno – powiedział Martin uprzejmie, ale zdecydowanie. – I po angielsku.

Jeśli dobrze to ocenił, Anouk właśnie była w trakcie izolowania się w swoim własnym świecie, a kiedy w obecności osoby, która przeżyła traumę, człowiek zachowuje się tak, jakby ona była w ogóle nieobecna, proces ten tylko się pogłębia. Poznał to na przykładzie innego psychicznie zrujnowanego człowieka, z którym miał do czynienia od bardzo, bardzo długiego czasu.

Czyli na własnym przykładzie.

– Wiem, że w tej chwili chcesz być sama i nie masz ochoty z nikim rozmawiać.

A już na pewno nie z mężczyzną.

– Ale ja chcę tylko szybko sprawdzić urządzenia techniczne w tym pokoju.

Była to niezdarna próba zasugerowania jej, że nie musi bać się dociekliwych pytań. Doświadczenie śledczego nauczyło go, żeby nigdy nie naciskać na świadków, którzy przeżyli traumę. Ofiary przestępstw na tle seksualnym, przede wszystkim dzieci, znajdowały się w stanie niesamowitego rozdarcia. Z jednej strony chciały, aby ktoś im pomógł i aby sprawca został ukarany. Z drugiej zaś strony najchętniej wymazałyby na zawsze z pamięci potworne zajście.

Martin spojrział na sufit, gdzie na wysięgniku wisiał płaski ekran. Wskazał na niego.

– Dlaczego nie jest włączony?

– Telewizor? – spytała Elena zmieszana. – Ja, to znaczy... uznałam, że byłoby to niewłaściwe.

Martin skinął głową. Błędna ocena, co zrozumiałe.

Normalnie nie powinno się pozwalać dziecku zbyt długo siedzieć samemu przed telewizorem. Ale tutaj wszystko było inaczej niż normalnie. Kiedy on, co wcześniej od czasu do czasu się zdarzało, miał opiekować się dzieckiem objętym programem ochrony świadków albo ofiar, to zaraz po umieszczeniu delikwenta w bezpiecznym miejscu włączał telewizor, aby dziecko pozbyło się strachu.

Wziął do ręki pilota, którego podała mu lekarka, i z obszernej oferty programów satelitarnych wybrał kanał dla dzieci z filmami rysunkowymi.

– Lubisz *Epokę lodowcową*? – zapytał. Brak odpowiedzi. Anouk pozostała niema jak telewizor, w którym Martin wyłączył głos.

Elena spojrzała na Martina pytającym wzrokiem.

Później jej wytłumaczy, że straumatyzowane ofiary krócej cierpią na skutki wtórne, jeśli jak najszybciej po uratowaniu da się im możliwość zrelaksowania, odwrócenia uwagi. Istniały opracowania dowodzące, że żołnierze, którym po koszmarnej akcji daje się do ręki gameboya, rzadziej cierpią na posttraumatyczny zespół stresu pourazowego niż ci, których za wcześniej wciągano w psychoterapeutyczne rozmowy.

– Na tych niewielu zdjęciach, zrobionych przez pokładowego fotografa, widać ją z blokiem rysunkowym w ręku. Dlatego zostawiłam jej papier i kredki – wyjaśniła Elena. – Ale nie skończyło się to dobrze.

Nic dziwnego. Na psychoterapię Gestalt było jeszcze dużo za wcześnie, chociaż samo założenie, aby

Anouk rysując, pozbyła się budzących grozę obrazów, samo w sobie nie było błędne.

– Nie ma problemu, jeśli nie chcesz rysować – powiedział Martin. – Tutaj nie musisz robić niczego, na co nie masz ochoty.

Elena zdmuchnęła z twarzy kosmyk włosów, który oddzielił się od warkocza.

– Nie to miałam na myśli – powiedziała, szybko podeszła do łóżka i podciągnęła do łokcia rękaw nocnej koszuli Anouk, na co dziewczynka pozwoliła bez najmniejszego protestu. Powyżej lewego nadgarstka ukazał się cienki opatrunek.

– Próbowала wbić sobie ołówek w przedramię.

Lewe przedramię. Czyli jest praworęczna, zanotował w pamięci Martin.

– Na szczęście tylko na chwilę wyszłam do łazienki. – Elena wskazała ruchem brody na prawie niewidoczne drzwi w ścianie obok łóżka. – Żeby przynieść jej wodę do popicia tabletek. Kiedy wróciłam, zobaczyłam, jak Anouk się kaleczy.

– Wbiłaś go, czy rozdrapałaś skórę?

Ponownie skierował pytanie bezpośrednio do dziewczynki. Ponownie nie otrzymał odpowiedzi.

– Trudno powiedzieć – próbowała wyjaśnić Elena. – Trzymała ołówek jak nóż, raczej był to ruch hebla.

Żeby wyciąć ból?

Martin pokręcił głową. Jeszcze nie czas na diagnozę. Teraz chodzi przede wszystkim o to, aby zyskać zaufanie Anouk.

– Właściwie przyszedłem tu po to, żeby sprawdzić przycisk – powiedział i wskazał na listwę za jej łóżkiem. – Ten za tobą, to przycisk strachu. Możesz go wciskać zawsze, kiedy czujesz się nieswojo albo potrzebujesz pomocy. Okej?

Mrugnęła oczami, ale Martin nie uznał tego za potwierdzenie zrozumienia. Było niezmiernie ważne, żeby w tej pierwszej fazie udało mu się zbudować zaufanie. Anouk musiała wiedzieć, że jej położenie zmieniło się na lepsze i że już nie jest sama; w żadnym momencie, nawet wtedy, kiedy nikogo nie ma z nią w kabinie.

– Wypróbujemy go? – zapytał Martin.

Elena skinęła głową, kiedy położył dłoń na czerwonym przycisku alarmowym umieszczonym na technicznej listwie za łóżkiem Anouk.

– Zawsze gdy się będziesz bała albo coś cię zaboli, zrobi ci się smutno albo tylko będziesz chciała z kimś porozmawiać, po prostu naciśnij tutaj i...

Martin nacisnął przycisk, rozległo się wyraźne „klik” i niemal natychmiast zadzwoniła komórka Eleny, którą nosiła w etui przy pasku swoich czarnych spodni od munduru.

Anouk skuliła się i przyciągnęła nogi jeszcze bliżej pochylonego do przodu tułowia.

– Nie bój się, kochanie – powiedziała Elena i czule pogładziła ją po włosach. – Przecież już ci tłumaczyłam. Alarm aktywuje mój telefon. Kiedy zadzwoni, natychmiast do ciebie przyjdę, obojętne kiedy to będzie.

– Po prostu musisz tylko nacisnąć przycisk strachu nad łóżkiem – dodał Martin. – Jak widzisz, to działa.

Martin dał Elenie znak do wyjścia. W tej chwili nie mógł wskórać nic więcej.

– Zaraz wracam, skarbie, okej? – Lekarka delikatnie dotknęła policzka Anouk na pożegnanie, potem wyszła za Martinem z kabiny.

– To nieodpowiedzialne – powiedział Martin, kiedy zamknęła za sobą drzwi. Mówił ściszym głosem, chociaż nie sądził, żeby Anouk mogła ich usłyszeć. – Ona odniosła poważne obrażenia...

– Na które dostaje środki przeciwbólowe oraz maści łagodzące.

– ... i trzeba jak najszybciej przetransportować ją do szpitala.

– Ona jest w szpitalu – zaprotestowała Elena. – „Sułtan” jest lepiej wyposażony niż niejedna miejska klinika.

– Tyle że bez odpowiednio wyszkolonego personelu.

Lekarka zaprotestowała.

– Trzy lata mieszkałam w Republice Dominikańskiej i w miejskim szpitalu leczyłam więcej zgwałconych dzieci uciekinierów z Haiti niż kierownik hamburskiej kliniki kobiecej widział przez całe życie. A pan, doktorze Schwartz, o ile mogłam się zorientować, bardzo dobrze zna się na posttraumatycznym zespole stresu pourazowego. Proszę posłuchać, nie bronię tego, co się tutaj dzieje. Ale czy pan naprawdę uważa, że całodobowa opieka nas obojga jest taka zła dla małej?

Tak właśnie uważam, miał na końcu języka Martin, ale nie zdążył tego powiedzieć, bo nagle zadzwoniła komórka Eleny.

– To Anouk – powiedziała zdziwiona.

Dziewczynka nacisnęła przycisk strachu.

Rozdział 20

Nie bój się, chcemy tylko zadać ci jedno krótkie pytanie – powiedział mężczyzna, który w kabinie Lisy jednym ciosem powalił pokojówkę na podłogę. Mówił po angielsku z twardym akcentem.

Młoda kobieta, która nie miała już czepka zakrywającego czarne włosy, mrugała przestraszona, kiedy z trudem znów stanęła na nogi. Była przeraźliwie chuda, jej ręce były prawie tak cienkie jak kij od szczotki, który obronnym gestem przyciskała do płaskiej klatki piersiowej. Z miejsca za łóżkiem, gdzie się schował, Tiago widział w lustrze na ścianie tylko jej profil i plecy. Stała zgarbiona, ze ściągniętymi ramionami. Kręgosłup odznaczał się pod jej bluzą, jakby miała na plecach sznur koralu.

Tiago nie znał tej sprzątaczkii, przynajmniej jak dotąd nie rzuciła mu się w oczy, nic zresztą dziwnego przy takiej armii personelu na pokładzie.

Nie miał również pojęcia, kim są ci dwaj mężczyźni, którzy jej grozili.

Ten, który do niej mówił, sądząc po złotym pasku na mundurze, był niskim rangą oficerem klasycznego personelu okrętowego, a więc nawigatorem albo technikiem, podczas gdy ten wyższy i bardziej umięśniony miał na sobie zielone spodnie i szarą koszulkę polo z krótkimi rękawami, bez żadnych pagonów i bez naszywek, co wskazywałoby na przynależność do zwykłej załogi. Prawdopodobnie był jakimś fachowcem, który nie rzucił się w oczy, kiedy na chwilę zatrzymywał się na obszarze, gdzie przebywali pasażerowie, aby dokonać drobnych napraw.

Obaj sprawiali zaskakująco przyjazne wrażenie: członkowie personelu, których z przyjemnością oglądało się na prospektach reklamowych biur podróży, młodzieńcy o gładkich, opalonych twarzach, świeżo ogolonych, i o czystych paznokciach. U tego wyższego tym, co łagodziło kanciaste rysy twarzy były szerokie, wydęte usta, za to oficerowi uroku dodawały szelmowsko potargane jasnobłond włosy, dzięki którym wyglądał bardziej jak kalifornijski surfer niż zabijaka.

Jak to pozory mogą mylić.

– Doszły mnie słuchy, że ostatnio często zaglądasz do Hell's Kitchen – zaczął oficer i skinął na fachowca, który od razu wykręcił dziewczynie rękę policyjnym chwytem.

– Czy tam na dole jest coś, o czym powinienem wiedzieć?

Zgięta w pół kobieta ze strachem pokręciła przecząco głową.

Prowodyr ugiął trochę kolana, żeby móc spojrzeć pokojówce w oczy.

– Naprawdę? Ty dziwko, udajesz głupią? – Z najbliższej odległości splunął jej w twarz.

– Kłamie – stwierdził ten wyższy i jeszcze mocniej wykręcił kobiecie rękę, czemu towarzyszyło jej pełne bólu skomlenie.

Podobnie jak oficer mówił z silnym akcentem niemieckim, szwajcarskim albo holenderskim. Tiago miał trudności, żeby obu drani dokładnie przyporządkować geograficznie, tak samo jak i pokojówkę, której ciemna, cynamonowa skóra świadczyła o tym, że może pochodzić z Pakistanu, Indii, Bangladeszu albo skądś tam jeszcze.

– Chcesz zrobić z nas głupków, Shahla? – zapytał oficer. Młoda kobieta pokręciła głową, nie wycierając śliny, która ściekała jej po policzku.

– Jesteś przydzielona do 7 pokładu. W tym tygodniu w ogóle nie powinnaś sprzątać strefy dla personelu.

– Zmienili mi. Ja nie wiedzieć dlaczego – wyjąkała.

– Plotki mówią coś innego. Plotki mówią, że w Hell's Kitchen zajmujesz się pasażerem na gapę.

Jeszcze szerzej otworzyła oczy.

– Nie!

Słowo, którego lepiej, było nie mówić. Pięść oficera wylądowała na jej żołądku.

Shahla zaczęła wydawać odgłosy, jakby coś o wiele za dużego usiłowało się wydostać na zewnątrz z jej najgłębszego wnętrza, a jednocześnie próbowała nie zrobić żadnego gwałtownego ruchu, żeby nie wywichnąć sobie unieruchomionego chwytem barku.

Dios mio, co ja mam robić? – zadał sobie pytanie Tiago, który tym najwyraźniej wyćwiczonym zabijakom mógł przeciwstawić niewiele więcej niż dręczona pokojówka.

Przerażony obserwował, jak ten ważniejszy sięga po szklankę stojącą na nocnym stoliku i rozbija ją o jego kant. Z diabolicznym uśmiechem wyszukał kawałek szkła wielkości kapsła do butelek. Potem przeszedł obok Shahli i swojego współnika i zniknął w łazience, aby po chwili wrócić z paskiem od szlafroka w ręku.

– Otwórz pysk! – wrzasnął na pokojówkę, która musiała go posłuchać, ponieważ jego stojący za nią kompan jeszcze mocniej wykręcił jej staw barkowy. Oficer wetknął kawałek szkła w jej otwarte jak do krzyku usta. Z oczu Shahli wyzierało przerażenie, ale zachowała spokój, na ile się dało przy niemal wywichniętym barku.

Łzy spływały jej po policzku, z nosa ciekły smarki. Zaczęła skomleć, kiedy oficer owinął jej dookoła głowy pasek od szlafroka i związał z przodu w knebel, wskutek czego nie miała możliwości wyplucia szkła. Na dany znak wyższy z drani rozluźnił policyjny chwyt.

– No, to jeszcze raz od początku, Shahla. Wolno ci powiedzieć tak. Wolno ci powiedzieć nie. Ale nie wolno ci kłamać. Chyba, że masz apetyt na drugie śniadanie – powiedział i zamierzył się jak do uderzenia.

Shahla, jęcząc, pokręciła głową. Podobnie jak Tiago wiedziała, co się stanie, jeśli ten szaleniec jeszcze raz uderzy ją w brzuch, wywołując u niej odruch połykania, kiedy mimo knebla spróbuje zaczerpnąć powietrza ustami.

– Znalazłaś małą białą dziewczynkę? – zaczął przesłuchanie oficer.

Przytaknęła bez wahania.

– Dziewczynka wciąż jest na pokładzie?

Następne przytaknięcie.

– W Hell's Kitchen, prawda?

Również na to pytanie sprzątaczką skinęła twierdząco, tak samo jak na następne.

– I płacą ci za to, żeby się nią zajmować?

– Hmmm!

Mężczyzna, który zadawał pytania, posłał swojemu kompanowi szeroki uśmiech i przeszedł na ich ojczysty język, żeby Shahla nie mogła zrozumieć. W odróżnieniu do Tiago, który był prawdziwym poliglotą: oprócz swojego języka ojczystego potrafił czytać i pisać po niemiecku, angielsku oraz po

francusku, a niderlandzki również nie stanowił dużego problemu, bo przecież jako dziecko dyplomaty trzy lata mieszkał w Holandii.

– Widzisz, mówiłem ci, że dziwka siedzi na żyłce złota – powiedział ten ważniejszy do swojego pomocnika. – Inaczej by się tym tak nie zajmowali. Już widzę tę górę kasy, jaką zgarniemy.

Wyższy uśmiechnął się głupawo.

– Poważnie? To jaki masz plan?

– Każemy tej cipie, aby zaprowadziła nas do dziewczynki, a potem...

Tiago nigdy nie miał poznać drugiej części planu.

Na nerwowy znak oficera jego kompan puścił pokojówkę, która w tej chwili wyglądała tak, jakby oczy miały jej wyjść z orbit. Zerwała z ust knebel i zatoczyła się w wąskie przejście pomiędzy telewizorem i łóżkiem. Złapała się za gardło i otworzyła usta. Na tyle szeroko, że Tiago mimo niekorzystnej perspektywy, jaką miał z podłogi, widział w lustrze jej język. Wyciągnięty.

Czerwony.

Pusty.

Nie było na nim kawałka szkła, który tkwił teraz gdzieś w połowie drogi pomiędzy gardłem a tchawicą, *a być może głębiej*, i który Shahla rozpaczliwie próbowała wypluć.

Rozdział 21

Martin otworzył drzwi izolatki Anouk i przepuścił Elenę przodem.

– Wszystko w porządku, kochanie? – zapytała z troską lekarka, ale wydawało się, że nie ma powodu do niepokoju. Pozycja Anouk zmieniła się tylko nieznacznie.

Wciąż siedziała na łóżku z kolanami pod brodą, przestała jednak się drapać. W dalszym ciągu nie raczyła spojrzeć ani na Elenę, ani na Martina, ale w ledwie zauważalny sposób poruszała ustami.

– Chcesz nam coś powiedzieć? – zapytał Martin i podszedł bliżej. Mała faktycznie otwierała i zamykała usta. Wyglądała jak pacjentka po udarze, która pierwszy raz ćwiczy wymawianie głosek.

Martin i Elena nie odzywali się ani słowem, tak jak animowany mamut z epoki lodowcowej w telewizorze z wyłączoną fonią nad ich głowami.

Martin zbliżył się ostrożnie, ale za nic nie mógł zrozumieć, co Anouk próbuje powiedzieć.

Przecież z jakiegoś powodu nacisnęła przycisk strachu!

Postanowił podjąć ryzyko i usiadł obok niej na łóżku, gotów w każdej chwili się odsunąć, gdyby uznała to za niedopuszczalne przekroczenie granicy jej prywatności, ale Anouk zachowała spokój.

Po raz kolejny otworzyła usta i teraz była to już całkiem wyraźna próba. Wyszepiała coś, spróbowała uformować słowo, a żeby je zrozumieć, Martin pochylił się do niej tak blisko, że czuł jabłkowy zapach jej świeżo umytych włosów oraz maści leczniczej, którą były opatrzone jej rany.

W głębi duszy liczył się z tym, że to, co Anouk próbuje mu przekazać, nie będzie miało żadnego znaczenia; a jeśli nawet, to takie, które nie od razu odgadnie. Może było to jakieś pojęcie ze świata fantazji, słowo z gaworzenia niemowląt, do którego straumatyzowane dzieci chętnie wracają, coś w rodzaju „bubu” na określenie skaleczenia albo „aciu” zamiast „spacerek”.

Kiedy znalazł się tak blisko, że jej oddech łaskotał go w ucho, nie miał już najmniejszego problemu ze zrozumieniem tego jednego, jedyne słowa, które wyszło z jej ust.

To nieprawdopodobne. To całkowicie niemożliwe, pomyślał Martin i zerwał się na równe nogi, jakby go coś ukłuło.

– Co z panem? – zapytała Elena przestraszona, podczas gdy Martin powoli odstępował od łóżka Anouk.

– Nic – skłamał.

Było mu niedobrze, ale nie miało to nic wspólnego z kołysaniem statku.

Najpierw miś. Teraz Anouk...

Co tu się wyprawia?

– Co się panu tak nagle stało? – chciała wiedzieć Elena, która teraz znów mówiła szeptem. – Co Anouk panu powiedziała?

– Nic – skłamał ponownie Martin i powiedział, że potrzebuje krótkiej przerwy, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza na pokładzie. To akurat nie było już kłamstwem.

Igła przenikliwego bólu, który poczuł już wczoraj w kabinie Gerlinde, znowu utkwiała w jego głowie. Ale tym razem błyskawice przeszywające jego mózg były jeszcze silniejsze.

Łzawiąc z bólu, szybko wyszedł z izolatki, wciąż mając w uszach głos Anouk.

Jedno, jedyne słowo. Tyleż ciche, co wprawiające w osłupienie. Bo dziewczynka wyszeptała: Martin.

Chociaż przedstawił się jej tylko nazwiskiem.

Rozdział 22

Ona to połknęła! – krzyknął niepotrzebnie wyższy z napastników.

– Cholera, jak to się mogło stać?

No, rzeczywiście ciekawe. Może dlatego, że wsadziliście jej kawałek szkła do ust, a potem ją zakneblowaliście?

Tiago nie widział Shahli, która osunęła się na podłogę. Tylko ją słyszał. I brzmiało to jeszcze gorzej niż przed chwilą, kiedy dostała pięścią.

– I co teraz zrobimy? – zapytał ten wyższy z przejęciem. Oficer przejechał ręką po zmierzwionych włosach.

– Cholera, sam nie wiem – powiedział. – Wyrzucimy ją do morza.

Ten drugi spojrzał na balkon.

– O tej porze? Porąbało cię? A jak nas ktoś zobaczy?

Oficer wzruszył ramionami. Nie sprawiał wrażenia zaniepokojonego tym, że kobieta leżąca u jego stóp za chwilę się udusi albo umrze z powodu wewnętrznego krwotoku.

Albo jedno i drugie, sądząc po odgłosach.

Koniec. Dość tego.

Tiago nie miał pojęcia, co zrobić, aby zakończyć ten koszmar, w który się wpakował, ale nie mógł dłużej chować się jak tchórz. Wstał, czego Shahla nie zauważyła, walcząc na podłodze o życie. W przeciwieństwie do obu bandziorów.

Ten o wydatnych ustach krzyknął jak dziewczyna na filmie grozy, co widziane z dystansu prawdopodobnie byłoby nawet komiczne, tak samo jak reakcja oficera, który z otwartymi ustami wpatrywał się w Tiago, jakby zobaczył ducha, który wyskoczył z butelki.

– Do jasnej cholery... Co...?

Tiago podszedł do Shahli, która siedziała skulona między łóżkiem i telewizorem. Chwycił ją pod ramiona i pociągnął do góry, nie napotykając żadnego oporu. Niemal całkowicie straciła już siły, ale oprócz piany niczego więcej nie udawało jej się wypluć.

– Rozluźnij się – nakazał jej Tiago po angielsku, kierując wzrok na drzwi, a tym samym na obu stojących nadal bez ruchu, zaskoczonych mężczyzn, z których jak na razie tylko oficer odzyskał mowę.

– Jak długo ten palant tu jest? – zapytał współnika.

Tiago stanął za Shahlą, tak jak wcześniej zrobił to zbir, który ją uderzył, tylko że on próbował ustawić pokojówkę w pozycji, która mogła jej uratować życie.

Jeśli tylko pochylisz się w końcu do przodu.

– Podśluchiwałeś nas?

Trwało to chwilę, zanim Shahla pochylila tułów, co prawdopodobnie stało się nie z jej woli, bo równocześnie ugięły się też pod nią kolana. Tiago musiał wyężyć wszystkie siły, aby ją utrzymać; w tym celu objął ją w pasie i gwałtownym ruchem szarpnął do siebie, trzymając splecione dłonie na wysokości jej przepony.

Raz.

Kątem oka widział, że obydwaj napastnicy go obserwują, ale nie podchodzą bliżej.

Dwa.

Shahla przestała rzeźnić i wydawało się, że robi się coraz cięższa.

Trzy.

– Już jesteś martwy! – krzyknął oficer i Tiago doskonale wiedział, że nie ma na myśli pokojówki.

Czwarty raz spróbował chwytu Heimlicha, nie wiedząc nawet, czy w ogóle robi to prawidłowo, ale

nacisnął ponownie, tym razem z jeszcze większą siłą i...

Udało się!

Kawałek szkła wraz z potokiem wymiocin wystrzelił z ust Shahli, lądując dokładnie pod nogami wyższego ze zbirów. Kiedy Tiago puścił pokojówkę, znów osunęła się na podłogę i dyszała, głośno świszcząc, ale przynajmniej oddychała i jej stan się wyraźnie polepszył.

Czego nie można było powiedzieć o sytuacji Tiago. Wydawało się, że pozbycie się kawałka szkła przez dziewczynę spowodowało ustąpienie paraliżu u obu szaleńców.

Zatakowali. Bez namysłu. Bez zbędnego słowa. Działali synchronicznie jak zgrany zespół, którym prawdopodobnie byli. Podczas gdy ten wyższy po prostu doskoczył do niego nad plecami Shahli, oficer dał szczupaka przez łóżko.

Tiago nie byłby w stanie powiedzieć, który z nich uderzył go pierwszy. Ani który cios spowodował, że zanim runął na ziemię, pociągnął za sobą telewizor.

To byłoby na tyle, pomyślał jeszcze, kiedy zobaczył unoszącą się nad swoją głową pięść. Czekał, że zaraz usłyszy chrzęst zębów i poczuje, jak pęka mu szczęka. Ale nic takiego się nie stało. Zamiast tego pięść znikła z jego pola widzenia i usłyszał przytłumiony głos kobiety, wołającej z pewnej odległości po niemiecku:

– Lisa, jesteś tu?

Szybko zepchnął z siebie telewizor i z trudem pozbierał się z podłogi.

– Idź! – usłyszał głos Shahli, która wciąż nie mogła się podnieść. Krew ciekła jej po brodzie, oczy łzawiły, ale skóra twarzy nie była już taka sina.

Pokazała wzrokiem na przechodnie drzwi, które się zamknęły wskutek kołysania statku, a ich gałka powoli się przekręcała.

– Lisa, czy mogę wejść? – zapytała kobieta za drzwiami i zapukała. Tiago zostały tylko sekundy, żeby zrobić to samo, co obaj członkowie załogi, i natychmiast stąd zniknąć.

Przeskoczył nad głową Shahli w kierunku drzwi, które po ucieczce mężczyzn chciały się znów zamknąć, gwałtownie je otworzył, wypadł na korytarz, nie odwracając się w stronę głosu za plecami. W stronę matki Lisy, która krzyczała za nim:

– Stój! Zatrzymaj się!

Pognał w lewo, krótkim i pustym odcinkiem korytarza, skręcił w następną klatkę schodową i bez namysłu pobiegł na górę, sześć pięter na pokład 11, gdzie wydostał się na świeże powietrze i wpadł w grupę śmiejących się urlopowiczów, którzy ustawiali się w półkole do grupowego zdjęcia.

– Sorry – wymamrotał do mężczyzny z wyraźną nadwagą, który trzymał aparat, i rozejrzał się dookoła. Było tuż po wpół do dziesiątej, większość gości jadła jeszcze śniadanie albo na pokładzie 15 szukała

miejsca na słońcu, które dzisiaj z trudem przebijało się przez chmury.

Steward przed nim czyścił deski pokładu, za jego plecami prowadzono prace malarskie poniżej komina. Ani śladu zbirów. Nie było też goniącej go matki. Mimo to jego puls nie chciał się uspokoić.

W co ja się wpackowałem?, zastanawiał się.

Jeszcze pięć minut temu był tylko drobnym cwaniaczkiem, który osobistym urokiem i małymi kuglarskimi sztuczkami zapewniał sobie beztrudne życie. A teraz uciekał przed dwoma zbirami, którzy wepchnęli swojej ofierze kawałek szkła w usta i nie mieli skrupułów, żeby przyglądać się, jak się dusi. Zbirami, którzy grozili mu śmiercią, ponieważ był świadkiem wymuszenia, którego nie rozumiał i przez które poznał tajemnicę, jakiej nie ogarniał.

Tiago oparł się o reling i patrzył na wzburzone morze głęboko pod nim. Nadciągnęły ciemne chmury, co w tym momencie odebrał jako ponury omen.

I co teraz? Co mam robić?

Zastanawiał się gorączkowo, jak tu przez następne pięć dni, jakie miał jeszcze spędzić na statku, ukryć się przed mężczyznami, o których nie wiedział, kim są ani gdzie pracują. I w której części statku mają swoją bazę, gdzie będą się naradzali, jak najłatwiej się go pozbyć.

Obojętne, z jakiego miałyby to być powodu.

Jego tożsamość, tego Tiago był pewny, oficer szybko rozszyfruje, gdy tylko znajdzie czas, aby przeczesać pokładowy komputer. Każdy gość był zarejestrowany na liście pasażerów wraz ze zdjęciem, a liczba młodych ciemnowłosych Latynosów poniżej trzydziestki była na tym odcinku trasy bardziej niż skromna. Obmacał spodnie, szukając klucza do swojej kabiny, chociaż nie wiedział, jak długo będzie tam bezpieczny, i natrafił na niespodziewany przedmiot w tylnej kieszeni.

Koperta.

Z sejfu. Lisy Stiller.

W nerwowym pośpiechu musiał schować ją tam odruchowo, nawet nie zdając sobie z tego sprawy,

Rozdział 23

Tym razem potrzebna była godzina oraz dwie aspiryny i trzy ibupromy, żeby atak minął.

Martin wciąż miał uczucie, że resztką bólu czai się jeszcze w jego głowie, jak ogień tłący się w odległym kącie, który tylko czeka, aby wybuchnąć na nowo. Skóra na jego głowie była napięta jak po oparzeniu słonecznym i miał zaschnięte usta.

Przeklęte proszki.

Właśnie przeszedł przez Grand Lobby, kiedy uświadomił sobie, że to jego komórka przez cały czas tak przenikliwie dzwoni. Jego standardowym dzwonkiem był gitarowy riff, dlatego nie reagował na futurystyczne plumkania i piski, które dobiegały z kieszeni jego spodni. Ponieważ tu, na środku Atlantyku, setki mil morskich od wybrzeży Europy, sieć komórkowa nie działała, ale działało za to pokładowe wi-fi. Najwyraźniej ktoś chciał się do niego dodzwonić, korzystając z telefonii internetowej.

Zatrzymał się przy szklanych windach na brzegu kolistych, podpartych kolumnami kuluarów, które ciągnęły się od pokładu 2 przez cztery piętra, i spojrzał na telefon.

No, rzeczywiście. Rozmowa przez skype'a.

Na wyświetlaczu pokazało się zdjęcie Saddama Husseina, dlatego Martin nie miał trudności ze zidentyfikowaniem rozmówcy. Znał tylko jednego człowieka, który zmieniając się co tydzień zdjęcia dyktatorów w swoim profilu użytkownika uważał za dowcipne.

Odebrał połączenie słowami:

– Teraz nie mogę.

– Twoje problemy ze stolcem mnie nie interesują – odpowiedział Clemens Wagner ze słyszalnym szyderczym uśmiechem. Jak na informatora był dość arogancki, ale na to ten ekscentryk z ufarbowanymi na platynowy blond włosami i płomieniami wytatuowanymi na przedramionach mógł sobie akurat pozwolić. Jeśli chodziło o zdobycie dodatkowych informacji, nie było lepszej osoby niż Diesel. Pseudonim, który ten szaleniak zawdzięczał swoim skłonnościom do piromanii.

– Masz już coś dla mnie? – spytał Martin zdziwiony i spojrzał w górę. Windy stały pomiędzy pokładami 5 i 7, zdecydował się więc na schody.

– Neeee, dzwonię tylko dlatego, że stęskniłem się za twoim głosem.

Diesel był redaktorem naczelnym 101kropka5, prywatnej stacji radiowej w Berlinie. Martin poznał go przez koleżankę, z którą wiązała go luźna znajomość: Irę Samin, doskonałą psycholog policyjną, której negocjacje w trakcie spektakularnego wzięcia zakładników w radiostacji Diesla uratowała życie wielu ludziom. Tyleż zwariowany, co odważny, redaktor naczelny okazał się jej wtedy bardzo pomocny dzięki swoim nieortodoksyjnym metodom, a po pewnym wahaniu przyjął wreszcie propozycję Martina, żeby w przyszłości dorabiać sobie trochę jako prywatny researcher.

Większość ludzi myśli, że policyjne śledztwo polega głównie na żmudnej pracy za biurkiem, i w gruncie rzeczy ma rację. Tylko że w czasach ciągłego braku pieniędzy i niedostatku personelu coraz częściej zleca się zadania osobom prywatnym. Diesel trafił na listę nieoficjalnych współpracowników jako researcher i dzisiaj rano Martin na krótko przed spotkaniem z doktor Beck wysłał mu maila z poufną

prośbą o zdobycie informacji o Anouk Lamar i jej rodzinie.

– Za wiele jeszcze nie znalazłem – powiedział Diesel. – Towarzystwa żeglugowe to nie to samo co informatorzy Wikileaks. Do tej pory ustaliłem tylko, że Anouk była jedynaczką. Nadzwyczaj inteligentna, uczęszczała do prywatnej szkoły dla wybitnie uzdolnionych. W teście na inteligencję, jaki przeszła w piątej klasie, uzyskała sto trzydzieści pięć punktów. Języków uczyła się szybciej niż komputer, oprócz angielskiego opanowała jeszcze pięć innych. I zdobyła drugie miejsce w Ogólnokrajowych Mistrzostwach w Szybkim Zapamiętywaniu. Ona ma inteligencję w genach. Jej matka już w wieku siedemnastu lat napisała program komputerowy, który na podstawie obserwacji zachowania ławic ryb pozwalał przewidywać kursy akcji na giełdzie. Przed śmiercią Naomi Lamar była profesorem biologii ewolucyjnej na jednym z prywatnych uniwersytetów.

Martin zbliżył się do lewej połowy ogromnych marmurowych schodów, które razem z ich siostrzanym skrzydłem zakręcały w górę z lobby na piętro z luksusowymi butikami. Wcale nie mała liczba pasażerów, którzy przechodzili przez kuluary albo raczyli się w nich wczesnymi drinkami na fotelach z prawdziwej skóry, trzymała w rękach komórki albo aparaty fotograficzne. Za sprawą złotych poręczy, antycznych waz stojących na postumentach oraz gustownie iluminowanej fontanny na środku schody w Grand Lobby były popularnym motywem fotograficznym.

– Wiemy coś o ojcu?

– Theodor Lamar? Inżynier budowlany, konstruował kolejki górskie w parkach rozrywki na całym świecie. Trzy lata temu zmarł przedwcześnie na raka. Nie musisz się obawiać, że czai się gdzieś na tej łajbie z siekierą w ręku.

– Skąd ta pewność?

Martin przypomniał sobie spektakularną sprawę, w której mężczyzna z zanikiem pamięci, uznany kilka lat wcześniej za zmarłego, został schwytany na miejscu zbrodni.

– Ponieważ przeprowadzono sekcję zwłok – powiedział Diesel. – Na życzenie dziadka ze strony ojca, Justina Lamara, który chciał zaskarżyć szpital, ponieważ jego Theo po operacji raka jakoś dziwnie się zachowywał.

– Dziwnie?

– Przestał oddychać.

– Błąd w sztuce?

– Według dziadka Lamara, tak. Ale nie przywiązywałbym większej wagi do jego opinii.

– Dlaczego?

Diesel westchnął.

– Dziadek ma niezłego fioła. Oficjalnie mieszka w domu seniora, ale lepiej pasowałoby określenie wariatkowo dla emerytów. Bez przerwy wybuchają tam protesty mieszkańców, ponieważ snobi mieszkający w tej prestiżowej dzielnicy z niewiadomych przyczyn nie chcą u siebie zwariowanych bezzębnych staruszków, którzy siedzą golusieńcy na huśtawkach w swoich przydomowych ogródkach, co widać często się zdarza. Justin nie ma raczej skłonności do ekshibicjonizmu. Jego prawdziwy konik to ciągle wydzwanianie na policję.

Martin dotarł do szczytu schodów i zlustrował witryny sklepów w korytarzu zabezpieczonym z jednej strony stylową balustradą.

Gucci, Cartier, Burberry, Louis Vuitton, Chanel.

Odpowiednio do cen na tym pokładzie znajdowało się wyraźnie mniej gości. Po ciemnoczerwonym dywanie przechadzało się zaledwie kilkoro pasażerów. Trzyosobowa rodzina z wózkiem dziecięcym, dwie kobiety w czarczafach, kilkoro członków załogi. Martin skręcił w prawo do przejścia prowadzącego do pokładowego planetarium „Sułtana”.

– Dziadek Anouk dzwonił na policję? – zapytał Diesla.

– Wielokrotnie. Pisał o tym „Annapolis Sentinel”, lokalny bezpłatny brukowiec. Krótco po zniknięciu Anouk i Naomi dziadek Justin zadzwonił na policyjny numer alarmowy tylko po to, aby powiedzieć, że można odwołać poszukiwania jego wnuczki. Właśnie rozmawiał z nią całe pół godziny przez telefon. Miała wesoły głos i wszystko było u niej w porządku.

– Tak, na pewno.

Wesoły głos.

Martin pomyślał o koszmarnych obrażeniach, jakie odniosła Anouk. O jej tępym spojrzeniu, odzwierciedlającym rozdartą duszę. Nawet jeśli sprawca zmusił ją do wykonania tego telefonu (obojętne, z jakiego perwersyjnego powodu), mała nie mogła być wesoła, a już na pewno nie przez pół godziny.

– Dziadek Anouk wydaje się bardzo specyficzną osobą – powiedział i pomyślał o Gerlinde. Byłaby z nich nader zgrabna para.

– Możesz powiedzieć to głośno. W artykule cytują dosłownie jego wypowiedź: „A co do Naomi, to nie ma się co przejmować. Na tej kurwie, co tak się pieprzyła z moim synem, że aż dostał raka, połamię sobie zęby nawet rekiny”. Nie muszę dodawać, że „kurwa” i „pieprzenie” zostały wykropkowane. Pruderyjni jankesi. – Diesel mlasnął językiem. – Ale zadzwoniłem do ciebie z innego powodu: nie sądzisz, że to rzadko spotykana sytuacja, że człowiek, który tak bardzo nienawidzi synowej, bierze na siebie koszty podróży?

– To też było napisane w gazecie? – zapytał Martin zaskoczony.

Justin Lamar zapłacił za rejs?

– Nie, dziadek twierdzi tak na swoim internetowym blogu. Nie żartuję, założył go w wieku osiemdziesięciu dwóch lat. Staruszek co tydzień zamieszcza na nim nowe porąbane komentarze. Rozpisuje się na najrozmaitsze tematy, od spotkań z UFO po porady, jak zahipnotyzować psa.

Martin zatrzymał się, kiedy nagle zobaczył go przed sobą.

Bonhoeffer!

Zgodnie z tym, co mówiła Elena, kapitan najwyraźniej szedł na odprawę oficerów, która odbywała się w planetarium, mogącym pomieścić trzystu gości.

– Oddzwonię do ciebie – powiedział Martin stłumionym głosem. Daniel szedł jakieś dwadzieścia metrów przed nim z dwoma kolegami w białych mundurach.

– Dobra, ale nie przed dziesiątą. Wiesz, że uwielbiam wcześnie wstawać. Byle nie rano.

Martin już chciał się rozłączyć, kiedy coś wpadło mu do głowy.

– Poczekaj, gdzie teraz jesteś?

– A co, chcesz, żebym ci podlał kwiaty w domu? Nic z tych rzeczy!

– Wyszperaj mi, ile w ciągu ostatnich dziesięciu lat zdarzyło się przypadków zaginięcia na otwartym morzu, w których zniknęła więcej niż jedna osoba. – Dodał, że interesują go przede wszystkim przypadki

z udziałem dzieci. – Nie tylko na „Sułtanie”, ale na wszystkich statkach. A potem sprawdź, czy nazwiska z list pasażerów i personelu powtarzają się na rejsach, podczas których dochodziło do wypadków.

Martin usłyszał dźwięki, które kojarzyły mu się z bilardem elektrycznym, i wcale się nie zdziwił. Biuro Diesla w wieżowcu na Potsdamer Platz, gdzie znajdowała się siedziba radia, wyglądało jak salon gier: w każdym rogu automaty do gier zręcznościowych i hazardowych, z których Diesel często korzystał podczas ważnych narad i rozmów telefonicznych.

– Czy poza tym odkryłeś jeszcze coś ważnego? – zapytał Martin.

– A właśnie, dobrze, że pytasz. Byłbym całkiem zapomniał. Jest jeszcze coś.

– Co?

– Że jesteś kompletnym idiotą. W ogóle nie powinieneś być na tym statku. Od śmierci Nadji i Tima „Sułtan” to ostatnie miejsce na świecie, gdzie miałbyś czego szukać. A ja jestem skończonym dupkiem, ponieważ pomagam ci w tej idiotycznej podróży.

– Zbyt surowo siebie osądzasz – powiedział Martin i schował telefon do kieszeni.

Przyśpieszył kroku i dogonił kapitana, który przepuścił przodem trzy kobiety w oficerskich mundurach i chciał za nimi zamknąć drzwi do planetarium.

Bonhoeffer nie słyszał, że ktoś się zbliża. Kroki Martina tłumił gruby dywan. Kapitan niczego nie przeczuwał, kiedy nogą zwalniał blokadę ciężkich drzwi.

Martin złapał go za kołnierz i pociągnął do tyłu, podczas gdy ciężkie drzwi powoli się zamknęły.

– Ej, o co... – stęknął Bonhoeffer przestraszony.

Nie zdążył powiedzieć nic więcej. Pierwszy cios w żołądek pozbawił go powietrza potrzebnego do mówienia. A drugi złamał mu nos.

Rozdział 24

Dał się słyszeć trzask, jakby przegroda nosowa kapitana została zmiądzona dziadkiem do orzechów. Daniel Bonhoeffer zalał się krwią.

W pierwszej chwili wydawało się, że kapitan w ogóle nie czuje bólu. W każdym razie nie krzyczał, ale osunął się na podłogę, trzymając łokcie w obronnym geście nad głową.

Martin złapał go za kołnierz munduru i jak mokry worek powlókł do otaczającego planetarium kolistego korytarza, gdzie znajdowały się toalety. Kapitanowi nie pomogło, że zapierał się nogami o dywan. Martin zaciągnął go do męskiej toalety i rzucił o wyłożoną jasnymi kafelkami ścianę naprzeciwko umywalek.

Potem sprawdził pisuary i kabiny. Nigdzie żywej duszy, jak się można było spodziewać, kiedy nie odbywała się żadna impreza dla publiczności, a zaproszeni oficerowie czekali już w sali.

Wrócił do Bonhoeffera, stanął przed leżącym na podłodze kapitanem i wymierzył mu silnego kopniaka.

– Co tu jest grane? – krzyknął do niego.

– Nie rozumiem, o co... – Bonhoeffer trzymał się lewą ręką za usta i nos. Bez większego rezultatu.

Ciemna krew kapłała mu między palcami na brodę.

Martin znacząco zacisnął pięść.

– Ej, spokojnie, spokojnie, proszę. Wiem, że ma pan wszelkie powody, żeby się wściekać, ale proszę pozwolić mi wyjaśnić moją rolę... – błagał Bonhoeffer, a jego głos brzmiał tak, jakby kapitan był mocno przeziębiony.

– Pańską rolę? – krzyknął Martin. – Anouk Lamar została zgwałcona!

Musiał siłą się powstrzymać, żeby mu znów nie przyłożyć.

– Wiem, zdaję sobie sprawę, że to okropne.

Bonhoeffer szukał na gładkiej ścianie czegoś, czego mógłby się złapać, żeby podciągnąć się go góry. Suszarka ze stali szlachetnej znajdowała się poza jego zasięgiem.

– Dwie matki. Dwoje dzieci. Zniknęli. I w obu przypadkach pan dowodził statkiem.

– Ja rozumiem, że to może wydawać się podejrzane...

– Wydawać się? To jest podejrzane! W każdym razie to pan znalazł Anouk. Akurat pan!

– To tylko potworny przypadek.

W tym czasie Daniel Bonhoeffer z trudem wstał i przerażony wpatrywał się w lustro. Wyglądał, jakby jako jedyny ocalał z katastrofy kolejowej.

– Przypadek? – warknął Martin. Przez ułamek sekundy znów stał przed warszawskim więzieniem, z którego wypuszczono go pięć lat temu. Czuł taką samą wściekłość, taką samą rozpacz. Taką samą pustkę.

Świnie w dowództwie jednostki nie chciały zepsuć operacji i dopiero po zakończeniu tajnej akcji powiedziały mu, co stało się na „Sułtanie”, podczas gdy on próbował przeżyć w polskim zakładzie karnym. Kiedy wyszedł z kicia, okazało się, że Nadja i Timmy zaginęli czterdzieści trzy dni wcześniej.

– Taki sam przypadek, jak to, że pan nie zawrócił, kiedy moja rodzina zniknęła? – wykrzyczał Bonhoefferowi w twarz.

Kapitan na chwilę zamknął oczy, jak mąż, który podczas kłótni z żoną nie ma pojęcia, co powiedzieć.

– Zawrócić? – powiedział załamującym się głosem. – Nie czytał pan akt sądowych? Droga hamowania „Sułtana” wynosi dwa kilometry. Potrzeba półtorej godziny, żeby go obrócić. Mieliśmy sztorm, kilkumetrowej wysokości fale, lodowata temperatura. W tym miejscu na Atlantyku człowiek bez kamizelki ratunkowej wytrzyma w wodzie zaledwie kilka minut. A pana rodzina zniknęła kilka godzin wcześniej.

– Skąd pan tak dokładnie wie, kiedy wyskoczyli? Przecież nagrania z kamer monitoringu umieszczonych na zewnętrznej stronie burty zostały omyłkowo skasowane. Czy w przypadku Anouk było tak samo? Teraz też pan sfalszował wszystkie dowody, żeby to wyglądało na samobójstwo?

– Nie – wydyszał Bonhoeffer.

– A właśnie że tak. Może to nie pan osobiście porwał tę dziewczynkę i zgwałcił w jakimś kącie, ale to się dopiero okaże. Co do jednego w każdym razie nie ma wątpliwości: jest pan zwykłym chłopcem na posyłki. Zrobi pan wszystko, żeby nie stracić pracy. Jeśli trzeba, zatuszuje pan nawet przestępstwo. – Martin z wściekłością splunął na podłogę. – Taaak, ale tym razem miał pan pecha. Tym razem „pasażer 23” pojawił się z powrotem wśród żywych i teraz tak łatwo pan się nie wywinie.

Wyciągnął kilka papierowych ręczników z dozownika umocowanego obok umywalek i rzucił je kapitanowi w twarz.

– Niech pan zrobi ze sobą porządek, zaraz będzie pan miał gości.

Odwrócił się, żeby odejść.

– Gości? Kogo?

– Straż przybrzeżna. Chętnie posłuchają o tych przypadkach.

– Jeśli pan to zrobi...

– To co? – Martin odwrócił się. Spojrzenie miał nawet bardziej wściekłe niż spojrzenie kapitana. – Czyżby mi pan groził, tak jak już wczoraj próbował to robić pański szef? Też mi pan zaraz oznajmi, że dziewczyna znowu zniknie, jeśli spróbuję powiedzieć komuś, co tu się dzieje?

– Yegor tak panu powiedział? – Bonhoeffer odwrócił się do umywalki i odkręcił kran.

– Blef – powiedział Martin.

Kapitan spojrzał Martinowi w oczy, które widział w lustrze, i pokręcił głową.

– Nie, to nie blef. Tutaj gra toczy się o duże, bardzo duże pieniądze. Jeśli na naszym radarze pojawi się niechby tylko flaga łodzi straży przybrzeżnej, Anouk drugi raz rozplynie się w powietrzu. Myśli pan, że armator będzie się beczynnie przyglądał, jak pan niszczy wielomilionowy deal?

– O jakim dealu pan mówi?

Nos nie chciał przestać krwawić, dlatego wysiłki Bonhoeffera, aby umyć twarz, pozostały daremne. Sięgnął po nowy ręcznik i odwrócił się do Martina.

– Yegor Kalinin nie przebywa na pokładzie dla przyjemności. Chce sprzedać dużą część swojej floty Vicente Rojasowi, dużemu chilijskiemu inwestorowi, z którym właśnie siedzi w saunie, gdzie omawiają ostatnie szczegóły. Szesnastu prawników czeka w pogotowiu, po ośmiu speców od naginania prawa po każdej stronie. Od tygodni okupują dużą salę konferencyjną na pokładzie 4, ale plotka głosi, że tylko grzeją tam stołki za tysiąc dolarów na godzinę, ponieważ już od dawna wszystko jest gotowe do podpisania. Podobno chcą podpisać umowę, mając symboliczny widok na Statuę Wolności, kiedy

będziemy zawijać do Nowego Jorku.

Wrzucił zakrwawiony ręcznik do otworu na odpadki w obudowie umywalk i wyciągnął nowy.

– Niech pan posłucha, przecież pan wie, że nie jestem pedofilem. – W głosie Bonhoeffera nie było słycać błagania, lecz pewność siebie, i Martin w głębi duszy musiał się z nim zgodzić. Podczas procesu wnikliwie analizował pod tym kątem profil kapitana. Nic nie wskazywało na tego rodzaju skłonności.

– Ja też chcę, żebyśmy znaleźli tego bydlaka, który wykorzystał Anouk – powiedział kapitan. – Ale ma pan rację, tak, jestem chłopcem na posyłki. Armator ma mnie w garści. Ale co w takim razie powinienem zrobić?

– Po pierwsze, przestać zachowywać się jak dziwka! – wrzasnął Martin.

– Ty zadufany w sobie dupku! – odwzajemnił się Daniel. – No to niech pan tam idzie, proszę bardzo. Pokład 13. Do apartamentu admiralskiego, spotka pan tam Yegora i Vicente. Śmiało, niech pan zrobi z tym porządek. Opowie inwestorowi o naszym „pasażerze 23”. Ale niech pan nie myśli, że dziewczynka wciąż będzie w Hell’s Kitchen, kiedy zejdzie pan tam z Chilijczykiem.

– Ponieważ pan o to zadba?

Bonhoeffer otworzył usta, pociągnął nosem i nagle przestał sprawiać wrażenie wściekłego, tylko raczej rozczarowanego.

– Przysięgam, że nigdy nie zrobiłbym Anouk nic złego. Niestety, przyjaciele Yegora na pokładzie są zupełnie innego kalibru. To ludzie, których wyciągnął z nędzy, dając im pracę. Gdyby tego zażądał, skoczyliby dla niego w ogień.

Popatrzyli sobie obaj w oczy, a potem Bonhoeffer znów odwrócił się do lustra.

– Proszę mi pomóc. Mamy jeszcze pięć dni. W tym czasie możemy dowiedzieć się, co spotkało Anouk, i ułożyć plan, jak sprowadzić ją na ląd żywą, na wypadek, gdyby nam się to nie udało.

Martin pokręcił głową.

– Jest pan stuknięty albo tak zdesperowany, że nie dostrzega pan rzeczy oczywistych. Pójdę teraz do Anouk, nagram wideo z nią w roli głównej, które będzie dowodem, i zamieszczę je w sieci.

– Nie, tylko nie to! – Bonhoeffer zaczął machać rękami.

– Dlaczego nie? Co miałyby mnie powstrzymać?

– Bo wtedy Yegor dostałby dokładnie to, czego chce.

Martin zmarszczył czoło.

– Tego nie rozumiem.

– Jak pan myśli, dlaczego sprowadził pana na pokład? Ja chcę, żeby pan mi pomógł. On chce pana w to wrobić.

– Mnie?

Fala wyniosła olbrzymi statek do góry, co było nieomylną oznaką, że „Sułtan” na otwartym morzu nabiera prędkości.

– Tak, pana. Jest pan idealnym kozłem ofiarnym. Gardzącym życiem detektywem, który nie uporał się z potwierdzonym przez sąd samobójstwem żony i śmiercią syna, i który z coraz większym zapamiętaniem kontynuował paranoiczne poszukiwania, aż w końcu całkiem oszalał.

– Ja? Sprawcą?

Jego osadzony na sztyfcie zęb zaczął pulsować.

– Tak. Wideo, które chce pan nakręcić, zostanie zinterpretowane jako jedno z trofeów, zdobytych przez pana na swojej ofierze.

– Przecież to kompletna bzdura. Jak miałbym zrobić coś tej dziewczynie? Przecież nie było mnie na pokładzie przed dwoma miesiącami, kiedy zniknęła.

– Na pewno? – zapytał Bonhoeffer. Krwotok chwilowo się zmniejszył, a być może nawet całkiem ustał, ale trudno było to dokładnie stwierdzić, patrząc na jego umazaną krwią twarz.

– Jest pan śledczym pracującym pod przykrywką, Schwartz. Mistrzem kamuflażu. Podróżowanie pod fałszywym nazwiskiem to dla pana pestka. Tak samo zdobycie fałszywego paszportu. Może to pan właśnie jest tym killerem, o którym pisze w swojej książce Gerlinde Dobkowitz?

– Pan chyba zwariował – powiedział Martin, jednak w następnej chwili przypomniał sobie głos Anouk wymawiającej szeptem jego imię. Martin.

– Nie, nie zwariowałem – odpowiedział Bonhoeffer. – Ale Yegor tak. Prawdopodobnie jestem tu jedyną osobą, która potrafi jeszcze trzeźwo myśleć. Wiem, dlaczego znalazł się pan na pokładzie.

Żeby zostać kozłem ofiarnym...

– Kiedy sobie uświadomiłem, jak poważnie Yegor traktuje konieczność zatuszowania tej sprawy, zrozumiałem, że bez pomocy z zewnątrz nie rozwiążę tego problemu. Potem Dobkowitz pokazała mi misia i wtedy przyszedł mi do głowy pomysł. Pan jest psychologiem i śledczym, a po tragedii, jaka pana spotkała, ma pan własny interes w tym, aby ta sprawa nie nabrała zbędnego rozgłosu. Wiedziałem, że to pozwoli mi przekonać Yegara, żeby dał mi jeszcze trochę czasu. Bo jemu, tak samo jak na sfinalizowaniu interesu, zależy też na tym, aby tego drania, który skrzywdził dziecko, zatrzymano na statku. Przysięgam, że kiedy dał mi zielone światło, abym się z panem skontaktował, nie wiedziałem jeszcze, że chce uczynić z pana kozła ofiarnego na wypadek, gdyby wszystko wzięło w łeb.

– Nie wierzę w ani jedno pańskie słowo.

– Wiem. Dlatego też zadzwoniła do pana Gerlinde Dobkowitz, a nie ja.

To zdanie wydaje mi się znajome.

Podłoga pod stopami Martina znowu zadrżała. Za każdym razem, kiedy statek się unosił, z niezrozumiałych powodów klimatyzacja nad ich głowami zaczynała głośniejszemu szumieć.

– Jest pan tchórzliwym dupkiem – powiedział do Bonhoeffera. – Jeśli mówi pan prawdę, właśnie mi pan oznajmił, że Yegor Kalinin dla zysku zamierza zabić małą dziewczynkę, następnie mnie obciążyć winą, a pan się temu beczynnemu przygląda.

Kapitan wyciągnął z dozownika kolejny ręcznik i włożył go pod kran.

– Powtarzam raz jeszcze: chcę temu wszystkiemu zapobiec. Ale jeśli mi się nie uda, to nie ukrywam, że nie zamierzam się za pana poświęcić, panie Schwartz.

Zgniół mokry papierowy ręcznik i niewykorzystany wyrzucił do umywalki.

– Pan mnie oskarżył. Zszargał mi reputację. Zostałem zawieszony, omal nie straciłem pracy. I jeszcze dużo więcej. Trudno, żeby budził pan we mnie sympatię. Jeśli wszystko weźmie w łeb, to nie pójdę za pana do więzienia. A gwarantuję, że weźmie, jeśli tylko spróbuję otwarcie przeciwstawić się Yegorowi.

Martin chwycił go za ramię i przyciągnął do siebie. Zmusił kapitana, żeby ten spojrzał mu w oczy.

– Co on ma na pana?

Bonhoeffer strząsnął jego rękę, potem kciukiem i palcem wskazującym ostrożnie dotknął nasady nosa.

Wyglądało to tak, jakby musiał podjąć decyzję. Zastanowić się.

– Wideo – powiedział w końcu.

– Co na nim jest?

– Zewnętrzna burta „Sultana”. To jest taśma z kamery monitoringu, pokazująca między innymi kabinę z balkonem, którą zajmowała pańska żona. Taśma, którą miałem wtedy skasować na polecenie Yegara.

Martin poczuł, że „Sultan” przechyliła się na bok.

– Co pan powiedział?

Bonhoeffer pokiwał potakująco głową.

– Dałem mu oryginalną taśmę. Teraz na kasecie są moje odciski palców.

Martinowi zrobiło się zimno.

– Czy widać na niej...

... *śmierć mojej rodziny?*

Słowa uwięzły mu w gardle.

Kapitan skinął głową.

– Udowodnię, że nie chcę działać przeciwko panu, lecz współpracować z panem – powiedział. – Mam kopię tej taśmy. Może pan sobie obejrzeć.

Rozdział 25

Szara chmurka. Ostatni obraz jego syna, zanim na zawsze zniknął. Bez koloru, bez kształtu i konturów. Po prostu tylko mała szara chmurka uchwycona kamerą, z kroplami deszczu przyklejonymi do obiektywu, które częściowo wybrzuszały i wykrzywiały obraz.

Pierwsza chmurka, która jak cień oddzieliła się od sterburty na jednej trzeciej jej wysokości, to musiał być Timmy.

Mój syn!

Martin stał tak blisko telewizora, że widział pojedyncze piksele i tak już bladego nagrania. Zrozumiał, jak musieli czuć się ludzie, którzy 11 września 2001 roku patrzyli, jak ich krewni skaczą z okien po śmierć.

Przypomniał sobie gorącą dyskusję z Nadją, która patrząc na płonące wieże, powiedziała, że nie rozumie ludzi, którzy popełniają samobójstwo ze strachu przed śmiercią. I kilka lat później sama miała stać się szarą chmurką, która rzuciła się do morza?

To było tak samo niewyobrażalne jak dwa samoloty, które jeden po drugim uderzają w World Trade Center.

Ale to się przecież zdarzyło...

– Czy mamy coś z innej perspektywy? – zapytał Martin.

Bonhoeffer współczująco wydał usta. Stali w salonie apartamentu kapitańskiego, zasłony były zasunięte, światło przyciemnione. Pół minuty temu Martin poprosił go, żeby zatrzymał DVD na numerze kodu czasowego 085622BZ, czyli na 20.56 i 22 sekundy czasu pokładowego.

– Pana rodzina zajmowała kabinę 8002, która znajduje na drugim końcu, już prawie poza zasięgiem kamer pokładowych.

Kapitan mówił, jakby był zakatarzony, czego powodem był gruby opatrunek na nosie, który bardzo utrudniał mu normalne oddychanie. Doktor Beck go opatrzyła. Martin nie wiedział, czy Bonhoeffer zdradził narzeczonej prawdziwy powód swoich obrażeń, czy też przygotował sobie jakieś kłamstwo. Ale wcale go to nie interesowało.

– Cud, że w ogóle cokolwiek widać – powiedział Bonhoeffer i miał rację.

Pierwszą chmurkę, która jak cień oddzieliła się od sterburty „Sultana”, zaledwie przez krótką chwilę oświetlały lampy na pokładzie. Jeszcze zanim ciało wpadło do wody, zlało się z ciemnym tłem i zniknęło.

Mój syn rozplynął się w powietrzu!

– Chce pan obejrzeć do końca? – zapytał kapitan i wyciągnął w jego stronę rękę, w której trzymał pilota.

Tak. Koniecznie. Ale przedtem Martin chciał się dowiedzieć czegoś jeszcze. Wskazał na kod czasowy w dolnej części ekranu, który migotał w zatrzymanym kadrze.

– Kiedy tego dnia Nadja i Timmy ostatni raz weszli do kabiny?

Bonhoeffer westchnął.

– Tylko niech mi pan znów nie przyłoży, ale wtedy o północy rutynowo resetowaliśmy nasz *log trace*,

czyli system, który rejestruje używanie elektronicznych kluczy. Ze względu na ochronę danych pięć lat temu wolno nam było przechowywać informacje tylko dwadzieścia cztery godziny. Teraz jest inaczej.

– A więc nie wie pan, jak często tego dnia wchodzili i wychodzili?

– Wiemy tylko, że nie zjawili się na kolacji.

– Okej. – Martin otworzył usta, miał wrażenie, że przez to lepiej słyszy bicie własnego serca. – Proszę puścić dalej.

Do końca.

Bonhoeffer nacisnął przycisk na pilocie i ponure obrazy znów ożyły. Timecode w dolnej części ekranu odliczał do przodu sekundy, aż doszedł do 085732BZ. I wtedy oderwała się druga chmura.

Chwileczkę.

– Stop! Proszę zatrzymać! – krzyknął Martin poruszony.

Słowa wystrzeliły z jego ust szybciej, niż dotarło do niego to, co zobaczył.

– Chmurka! – krzyknął, podszedł bliżej ekranu i palcem wskazującym i środkowym dotknął zarysów cienia, który teraz, mniej więcej w połowie wysokości statku, zawisł w powietrzu. Siła ciężkości unicestwiona przez zwykłe naciśnięcie przycisku na pilocie.

– O co chodzi? – zapytał Bonhoeffer. Śpiewny ton głosu zdradził Martinowi, że kapitan doskonale wie, co go tak poruszyło. Dostrzegł to na pierwszy rzut oka. Każdy by to zobaczył. Nic dziwnego, że to ujęcie nie powinno nigdy ujrzyć światła dziennego.

– Chmurka jest za mała.

– Za mała?

– Tak. Pierwszy cień był większy.

A tak być nie mogło. Na pewno nie, jeśli Nadja najpierw odurzyła Timmy'ego i wyrzuciła za burtę. Zgodnie z logiką powinna skoczyć po nim. A wtedy pierwszy cień musiałby być mniejszy od drugiego.

A było odwrotnie!

Rozwścieczony odwrócił się gwałtownie.

– Jednak miałem rację – powiedział i wyciągnął palec wskazujący w kierunku Bonhoeffera. – To wszystko było jednym wielkim kłamstwem. Pańskie towarzystwo żeglugowe... – zrobił krok w stronę kapitana, który nerwowo zamrugał oczami – ...przesunęło w czasie samobójstwo mojej żony. Zrobiliście z niej morderczynię dziecka, tylko po to, aby...

No właśnie. Właściwie po co?

Pierwsza nasuwająca się odpowiedź, której Martin mógł sobie sam udzielić, odebrała mu wszelką energię, niezbędną do dalszego okazywania wściekłości.

Timmy i Nadja. Dwie szare chmurki, jedna po drugiej, spadły za burtę. Co do tego nie było wątpliwości.

Kolejność skoków dowodziła wyłącznie tego, że ktoś inny odpowiadał za ich śmierć.

Ktoś, kto ukradł walizkę Nadji, zabrał misia Timmy'ego jako trofeum i jak pałeczkę w sztafecie przekazał Anouk.

Ktoś, kto prawdopodobnie wciąż znajduje się na statku.

Ktoś, kto – skoro tak długo trzymał Anouk przy życiu – być może wciąż więzi jej matkę. Martin nie wiedział nic o motywach tego człowieka ani kim on jest.

Wiedział tylko, że go odnajdzie.

I było to pewne jak śmierć.

Rozdział 26

Naomi

Komputer był tam od początku.

Mały, srebrny, kanciasty. Notebook z pojemną baterią i amerykańską klawiaturą.

Pierwsze, co Naomi Lamar zobaczyła, kiedy osiem tygodni temu odzyskała świadomość, był świecący ekran.

„Jaką najgorszą rzecz zrobiłaś w życiu?” – głosił napis na ekranie małymi czarnymi literami na białym tle. Naomi przeczytała pytanie i zanosła się histerycznym płaczem w swojej studni.

Studnia – tak nazwała więzienie, w którym przebywała, ponieważ miało koliste ściany, śmierdziało bagnem, fekaliami, szlamem i brudną wodą. Nie przenikliwe, ale silnie. Odór utrzymywał się na pionowych metalowych ścianach jak zimny dym na tapetach w mieszkaniu palacza.

Bez pomocy z zewnątrz nigdy się stąd nie wydostanie.

Wiedziała to od chwili, kiedy po raz pierwszy otworzyła oczy w tym pomieszczeniu.

Naomi widziała gołe ściany, podrapane i porysowane, jakby legion osób przed nią próbował paznokciami znaleźć punkt zaczepienia na pozbawionej szans drodze w górę.

Góra bowiem wydawała się być jedynym wyjściem z tego okrągłego pomieszczenia bez drzwi, z betonową płytą na podłodze, przez którą przechodziła cienka rysa. Szpara, ale zbyt wąska, żeby wetknąć w nią choćby mały palec. Miejsce na włożenie łomu, gdyby się taki miało. Naomi miała na sobie tylko strzępy piżamy. Na szczęście w jej lochu nie było zbyt zimno, przypuszczała, że jakieś generatory albo inne urządzenia techniczne oddają do wnętrza jej więzienia duszne ciepło. Spała na karimacie, która zajmowała prawie całe pomieszczenie. Poza tym była tam jeszcze plastikowa torba i szare wiadro ze sztucznego tworzywa, które co dwa dni ktoś spuszczał na cienkiej linie. Nasmarowanej wazeliną, żeby Naomi nie przyszło do głowy się po niej wspiąć.

Aha, miała jeszcze komputer.

Na początku swojej martyrologii – przed ośmioma tygodniami, jeśli wierzyć dacie na monitorze – źle przywiązała wiadro do linki i fekalia wylały się wprost na nią. Większość wyciekła przez szparę w betonie. Ale nie wszystko.

Za pomocą wiadra dostarczano jej również jedzenie: butelki z wodą, czekoladowe batony i gotowe dania do mikrofali, które musiała jeść na zimno.

Dwa miesiące.

Bez prysznic. Bez muzyki.

I bez światła, nie licząc słabego blasku ekranu, który nie wystarczał, aby zobaczyć, gdzie znika plastikowe wiadro, kto je spuszcza i z jakiej wysokości. Oprócz wody, jedzenia i chusteczek higienicznych, których używała jako podpasek podczas okresu, w regularnych odstępach czasu znajdowała w wiadrze nową baterię. Naomi nie zużywała dużo prądu. Komputer nie miał ani jednego programu, poza najprostszym edytorem tekstu, w którym nie było żadnych dokumentów. Oczywiście nie

miał również połączenia z internetem. I oczywiście Naomi nie mogła zmieniać ustawień systemowych. Nawet jasności ekranu, na którym bez przerwy migąło pytanie:

„Jaką najgorszą rzecz zrobiłaś w życiu?”

Przez pierwsze dni swojej izolacji, chora z troski o Anouk, Naomi faktycznie zastanawiała się nad swoimi grzechami. Szukała jakiegoś, który byłby wystarczająco ciężki, żeby usprawiedliwić okrucieństwo kary, którą przeżywała od momentu, kiedy w nocy wybiegła w samej pidżamie w poszukiwaniu córki. Anouk zostawiła jej list w nogach łóżka:

„Przepraszam, mamó”.

Na białej kartce nie było nic więcej, tylko to jedno nerwowo nabazgrane zdanie, bez żadnego wyjaśnienia. Bez podpisu. Tylko: *przepraszam, mamó*. W połączeniu z faktem, że zegar pokazywał wpół do trzeciej rano i Anouk nie było obok niej, raczej trudno o bardziej niepokojącą wiadomości dla matki.

Gdyby Naomi znalazła kartkę dopiero następnego dnia, nie wyrwałoby jej ze snu niespokojne morze. W studni też wyraźnie czuła, kiedy na morzu panuje wysoka fala, dlatego wiedziała, że wciąż znajduje się na statku i nie została wyładowana w jakimś kontenerze.

Naomi nie rozumiała, co się z nią stało. Jak znalazła się w tym miejscu. *I dlaczego*.

Poza listem znalezionym w nogach łóżka ostatnią rzeczą, jaką pamiętała z wcześniejszego życia, były otwarte drzwi w korytarzu na pokładzie 9, po przekątnej naprzeciwko jej kabiny. Wydawało jej się, że słyszy płacz Anouk. Zapukała, wołając córkę. Zajrzała do środka.

A potem... ciemność.

Od tego momentu jej wspomnienia były tak mroczne jak loch, w którym teraz siedziała w kucki.

„Jaką najgorszą rzecz zrobiłaś w życiu?”

Nie miała zamiaru odpowiedzieć na to pytanie Pająkowi. W jej urojonym świecie na obrzeżu studni nie siedział człowiek, lecz tłusty włochaty Pająk Ptasznik, który obsługiwał wiadro.

„Gdzie jest moja córka?” – wystukała na komputerze w odpowiedzi na pytanie. Naomi zamknęła kłapę notebooka i włożyła go do plastikowej torby (szybko się nauczyła, do czego służy torba, bo wiadro nie zawsze było opróżniane) i szarpnęła za linkę.

Odpowiedź przyszła pół godziny później:

„Żyje i jest bezpieczna”.

Naomi chciała mieć na to dowód. Zdjęcie, wiadomość, cokolwiek. Ale Pająk nie chciał wyświadczyć jej tej przysługi, na co Naomi znów wysłała komputer na górę ze słowami: „Odpieprz się”.

Za karę przez dwadzieścia cztery godziny nie dostała wody. Dopiero kiedy na wpół oszalała z pragnienia zaczęła pić własny mocz, w wiadrze zjechała butelka. Już nigdy nie odważyła się obrazić Pajaka.

W tym także opuszczane wiadro doskonale się sprawdzało: żeby ją dyscyplinować. Żeby ją karać.

Druga kara, bardziej okrutna, której skutki miały ją przypuszczalnie zabić, została jej wymierzona dopiero dużo, dużo później. Kiedy po raz pierwszy przyznała się do winy.

„Jaką najgorszą rzecz zrobiłaś w życiu?”

Siedem tygodni nie odpowiadała na pytanie Pajaka. Wykorzystując swoją inteligencję – bądź co bądź wykładała biologię na elitarnym uniwersytecie – stawiała hipotezy, obmyślała alternatywne sposoby działania, analizowała opcje. Ale nie wypisywała byle czego.

Nie ja. Nie.

Naomi kołysała głową do przodu i do tyłu i drapała się w szyję. Wszystko to robiła już nieświadomie.

Powoli zaczęły wypadać jej włosy; przyklejały się do palców, kiedy przejeżdżała dłońmi po czuprynie, i cieszyła się, że w studni nie ma lustra. Oszczędzało jej to również widoku robaków, które wiły się pod jej skórą.

Do diabła, przecież musiałam zjeść ten ryż.

Dziewięć dni temu. Inaczej umarłaby z głodu.

Przedtem przez cały tydzień wiadro zjeżdżało z pustymi miskami. Na każdej było napisane mazakiem zawsze to samo polecenie: „Odpowiedz na pytanie!”

Ale nie chciała tego zrobić. Nie mogła tego zrobić.

„Co się ze mną stanie, kiedy się przyznam?” – odważyła się zapytać Pajaka.

Odpowiedź nadeszła następnego dnia razem z komputerem i była napisana bezpośrednio pod jej pytaniem:

„Wtedy będzie ci wolno umrzeć”.

Potrzebowała kilku godzin, aby przestać płakać.

O ile zakładała, że Pajak okłamuje ją co do losu Anouk, o tyle nie wątpiła w prawdziwość tego zdania.

„Wtedy będzie ci wolno umrzeć”.

Jakiś czas jeszcze zastanawiała się, czy jest jakakolwiek nadzieja na wydostanie się z tego cuchnącego więzienia, ale potem pogodziła się z losem i powierzyła komputerowi – a tym samym Pajakowi – swoje przyznanie się do winy:

„Zabiłam moją najlepszą przyjaciółkę”.

Rozdział 27

Hell's Kitchen

Krok do przodu. Dwa kroki do tyłu.

Z Anouk było tak samo jak z jego życiem.

Jej stan trochę się poprawił. I jednocześnie znacznie pogorszył.

Z jednej strony było pozytywnym znakiem, że kuliła się ze strachu, kiedy wchodził do jej pokoju, ponieważ pokazywało to Martinowi, że przynajmniej przez chwilę reagowała na zmiany w swoim najbliższym otoczeniu.

Mały krok do przodu, do czego prawdopodobnie przyczynił się telewizor, na którego ekranie właśnie ganił się Tom i Jerry.

Z drugiej strony, i była to zła wiadomość, zaczęła wracać do dziecięcych wzorców zachowań. Siedziała, prawie nie zmieniając pozycji, na łóżku po turecku i z głośnym mlaskaniem ssała prawy kciuk. Drugą ręką się drapała.

Martin zobaczył, że jej paznokcie zrobiły już głębokie bruzdy na prawym przedramieniu i zrobiło mu się ciężko na sercu. Jeśli zaraz nie przestanie, zacznie krwawić... *a wtedy trzeba będzie ją skrępować.*

Nawet nie chciał myśleć, jakie skutki wywarłoby to na jej i tak mocno zranionej psychice, i postanowił poprosić doktor Beck o rękawiczki albo rękawice z jednym palcem, chociaż Anouk pewnie i tak zaraz je ściągnie, gdy tylko zostanie sama.

– Przepraszam, że znów ci przeszkadzam – powiedział Martin i położył w nogach łóżka brązową papierową torbę.

Anouk odchyliła się trochę do tyłu i zaczęła szybciej oddychać. Znak, że w żadnym wypadku nie wolno mu się bardziej zbliżyć. Ale przynajmniej nie odwróciła się ani też nie patrzyła na niego, jakby był przezroczysty. Wbiła wzrok w papierową torbę.

Tak samo jak podczas pierwszych odwiedzin, również tym razem ogarnęło go niemal namacalne uczucie melancholii i pomyślał o tych wszystkich pięknych rzeczach, jakie jedenastoletnia dziewczynka powinna przeżyć na statku wycieczkowym.

Albo dziesięcioletni chłopiec.

Jednocześnie zaczął wątpić w swoją wiarę, której mimo wszystko nigdy całkowicie się nie wyżył. Był pewny, że po śmierci czeka go nie tylko długi, beztroski sen. Miał jednak nadzieję, że spotkanie ze Stwórcą zostanie mu oszczędzone, bo na pewno nie skończyłoby się na przyjacielskiej pogawędce z tym, który siedział w okienku biletowym życia i wydawał niewinnym dzieciom bilety w jedną stronę do izby tortur seksualnie zaburzonych psychopatów.

– Coś ci przyniosłem – powiedział łagodnie Martin i wyjął z torby misia. Oczywiście Anouk rozbłysły, widać było, że coś sobie przypomina. Nerwowo, jakby się bała, że Martin znów go schowa, wyrwała mu z rąk brudnego szmacianego zwierzaka i wtuliła w niego twarz.

Martin obserwował ją bez słowa. Zauważył powiększające się czerwone plamy na jej szyi i

zastanawiał się, czy postąpił właściwie.

Być może Yegor i Bonhoeffer tylko blefowali i tak naprawdę dziewczynce nie groziło niebezpieczeństwo, gdyby poinformował władze, a tym samym cały świat, o tym niewiarygodnym przypadku. Ryzyko jednak było duże. Wiele bowiem przemawiało za tym, że kapitan ma rację i na czole Martina już odcisnięto pieczęć z napisem „koziół ofiarny”. Prawdopodobnie prawda leżała gdzieś pośrodku. Pewne było tylko to, że jeśli wywoła zamieszanie, nie będzie już miał okazji osobiście porozmawiać z dziewczynką albo przynajmniej tego spróbować. I tak miotał się pomiędzy pragnieniem postąpienia właściwie i wyjawienia, że przypadki zaginięcia były tuszowane, a nadzieją, że przez Anouk dowie się czegoś o losie swojej rodziny.

Poruszony do głębi tą niepokojącą myślą postanowił złożyć jej jeszcze jedną wizytę, tym razem sam, bez lekarki.

– Mam dla ciebie coś jeszcze – powiedział i wyjął z torby zawinięte w przezroczystą folię tekturowe pudełko.

– To jest komputer do rysowania i pisanie na ekranie – wyjaśnił, kiedy rozpakował różowe plastikowe urządzenie. Kupił je w sklepie z zabawkami na pokładzie 3.

Wyglądało jak tablet PC z technicznej epoki kamienia łupanego, toporne i wykonane tanim sposobem, ale nie miało ostrych krawędzi, jak papier, a obłym elektronicznym pisakiem, przymocowanym z boku, Anouk raczej nie mogła zrobić sobie krzywdy.

Martin włączył komputer, upewnił się, że baterie działają, i położył go na łóżku obok Anouk. Potem znów cofnął się o krok i wsunął rękę do kieszeni dżinsów. Jednym naciśnięciem klawisza uruchomił na swoim smartfonie domyślną funkcję nagrywania.

– Anouk, kiedy ponad dwie godziny temu byłem u ciebie z doktor Beck, wymieniłaś pewne imię. Czy pamiętasz, jakie to było imię?

Dziewczynka przestała ssać kciuk i nie wypuszczając z ręki misia, sięgnęła po komputer. Położyła go na kolanach. Potem spojrzała w górę.

– Czy w ogóle wiesz, gdzie teraz jesteś? – zapytał Martin. W odpowiedzi Anouk zacisnęła powieki. Sprawiała wrażenie skupionej, ale nie cierpiącej. Jak uczennica, która dostała trudne zadanie do policzenia w pamięci i nie potrafi go rozwiązać.

Martin postanowił wysondować ją łatwiejszymi pytaniami.

– Ile masz lat?

Jego pytaniu towarzyszył przenikliwy sygnał, po którym rozległo się sześć następnych, zakończonych ostatnim, długim buczeniem. Wydawało się, że hałas, tłumiony przez kilkoro drzwi, dochodzi z korytarza prowadzącego do Hell's Kitchen. Martin przypuszczał, że chodzi o wewnętrzny alarm dla personelu, i go zignorował.

Anouk sprawiała wrażenie, jakby w ogóle nie słyszała hałasu.

Poruszała ustami tak jak Timmy, kiedy musiał nauczyć się czegoś na pamięć. Ale nie sformułowała ani jednego słowa, nie wydała żadnego dźwięku. Zamiast tego podciągnęła nocną koszulę, żeby podrapać się po brzuchu nad rajstopami.

Martin zobaczył liczne koliste blizny po oparzeniach, na prawo i lewo od pępka, które wyglądały, jakby ktoś przypalał dziewczynkę papierosem.

– Mój Boże, kto ci to zrobił? – zapytał z nieskrywanym obrzydzeniem w głosie. Odwrócił się, żeby Anouk nie wzięła do siebie wściekłości na jego twarzy. Kiedy już się opanował i chciał kontynuować „przesłuchanie”, nie mógł wykrztusić słowa.

To nie może być prawda!

Anouk położyła misia obok siebie i napisała na ekranie jedno słowo:

„Martin”.

Jego imię. Wyraźnymi literami. W poprzek dotykowego ekranu. Anouk wciąż trzymała w dłoni elektroniczny pisak.

To niemożliwe, przecież nie może mieć mnie na myśli.

Martin zmusił się do uśmiechu i policzył w duchu od dziesięciu do zera, aż tętno na tyle wróciło mu do normy, że mógł spokojnym głosem zadać pytanie:

– Ale przecież wiesz, że nie jestem złym człowiekiem, prawda?

Nigdy nie zrobiłbym ci nic złego.

To musi być głupi przypadek, pomyślał.

Miał taką nadzieję.

Martin było popularnym imieniem, również w USA. Niewykluczone, że sprawca przypadkiem też się tak nazywał.

Albo tak o sobie mówił. Albo nosił koszulę z karaibskiej wyspy St. Martin...

Wszystko możliwe.

Ale czy prawdopodobne?

Anouk odwróciła głowę. Rozglądała się dookoła, jakby pierwszy raz zobaczyła pomieszczenie, w którym się znajdowała. Potem znów wzięła do ręki pisak i zręcznymi pociągnięciami narysowała kontury dużego statku wycieczkowego. Martin popatrzył przez bulaj na morze, które teraz sprawiało wrażenie dużo ciemniejszego niż dwie godziny wcześniej. Spróbował jeszcze raz i zapytał ją wprost:

– Czy możesz mi powiedzieć imię człowieka, u którego byłaś cały czas?

Anouk zamknęła oczy. Liczyła coś na palcach.

11 + 3, napisała wreszcie bezpośrednio pod rysunkiem statku.

Martin nie umiał doszukać się w tym sensu.

– Przykro mi, nie rozumiem – powiedział.

Patrzył na swoje imię, rysunek statku i coś, co wyglądało na zadanie rachunkowe.

Czternaście?

Ponieważ numery kabin na „Sultanie” były czterocyfrowe, mogła to być, jeśli w ogóle, wskazówka dotycząca pokładu. Na pokładzie 14 znajdował się basen, zjeżdżalnia wodna, bar z lodami, strzelnica golfowa i bieżnie do joggingu.

– Co znaczy jedenaście plus trzy? – zapytał.

Spojrzenie Anouk pociemniało. Wydawała się rozgniewana, jakby to wypytywanie zaczynało ją denerwować, mimo to znów przyłożyła pisak do ekranu:

„Moja mama”.

– Twoja mama? – zapytał Martin zelektryzowany. – Wiesz, czy ona wciąż żyje?

Anouk przytaknęła smutno. Z jej oczu popłynęły łzy.

Martin nie dowierzał, że w tak krótkim czasie udało mu się wydobyć z dziewczynki tak dużo informacji, nawet jeśli większości z nich nie potrafił uporządkować.

– Chyba najlepiej będzie, jeśli zrobimy krótką przerwę – powiedział. Anouk sprawiała wrażenie wyczerpanej.

– Czy mogę ci coś przynieść? – zapytał.

Mała ostatni raz wzięła do ręki pisak i pod rysunkiem statku napisała:

„Elena”.

Potem znów włożyła do ust kciuk i odwróciła się od Martina, jakby chciała mu dać wyraźnie do zrozumienia, że nic więcej mu nie powie.

– Zobaczę, czy ją znajdę – powiedział Martin i już chciał pójść szukać lekarki, kiedy znów rozległ się alarm.

Rozdział 28

Naomi

Zabiłam moją najlepszą przyjaciółkę – wystukała Nami Lamar na komputerze, siedząc na podłodze swojego lochu przypominającego studnię.

„Mel i ja miałyśmy po dziesięć lat i obie dostałyśmy areszt domowy, ponieważ mimo zakazu kolejny raz bawiłyśmy się w nieczynnej żwirowni. Była środa po południu, nasi rodzice byli w pracy, a my, pomimo aresztu, wymknęłyśmy się z domów i spotkałyśmy się – jakże by inaczej – w żwirowni. Na krótko przed tym, jak postanowiłyśmy wracać, jeśli chciałyśmy zdążyć do domu, zanim nasi rodzice wrócą z pracy, Mel chciała ostatni raz zjechać na plastikowej torbie z pochyłości od północnej strony. Przysypała ją lawina piasku. Krzyczałam, wzywałam pomocy i kopałam gołymi rękami, ale jej nie znalazłam. Ziemia ją dosłownie pochłonęła. Kiedy dowlokłam się do domu, nie miałam odwagi powiedzieć o tym rodzicom. Dwa dni później znaleziono Mel i przyjęto, że wymknęła się domu sama. Jeszcze dzisiaj myślę o tym, że prawdopodobnie zginęła przeze mnie i że można ją było uratować, gdybym tylko wszczała alarm. To jest najgorsza rzecz, jaką zrobiłam”.

Napisała to dziewięć dni temu. Wysłała komputer w wiadrze na górę. Skurcze żołądka spowodowane głodem były prawie nie do wytrzymania, ale po kilku godzinach nie wróciło tą samą drogą jedzenie, lecz komputer z odpowiedzią Pajaka:

„To nie jest najgorsza rzecz, jaką zrobiłaś”.

A pod nią:

„Konsekwencją każdej złej odpowiedzi będzie kara”.

Dwie godziny później zjechała miska z ryżem i napisem: *Spirometra masoni*.

Musiała go zjeść. Inaczej umarłaby z głodu. Wtedy Naomi jeszcze myślała, że szybka śmierć byłaby większym złem.

Ale okazało się to nieprawdą.

Świadomość, że nosi się w sobie pasożyta, najgorszy rodzaj tasiemca, i że jest się powoli zżerany od środka – to właśnie było najgorsze, co mogło się człowiekowi przydarzyć.

Naomi była pewna, że Pajak to wie.

Chciał odpowiedzi, przyznania się do winy, a na to mógł liczyć tylko wtedy, gdy załamie się instynkt samozachowawczy ofiary.

Do tej pory jedyną rzeczą, która trzymała Naomi przy życiu, była myśl o córeczce. Ale teraz horror, który dzień po dniu przesuwał się pod jej skórą aż za gałkę oczną, odbierał jej wszelką chęć do życia.

„Jaką najgorszą rzecz zrobiłaś w życiu?”

– Przepraszam, Anouk – wyszeptała Naomi i sięgnęła do komputera. Palcami, u których od tygodni nie obcinała paznokci, wystukała drugie przyznanie się do winy:

„Dopuszczałam się zdrady małżeńskiej. W najobrzydliwszy z możliwych sposobów. Uprawiałam seks za

pieniądze”.

Potem zamknęła klapę notebooka, zawinęła go w torbę i włożyła do wiadra. Kilka razy pociągnęła za linkę i drapiąc się aż do krwi, czekała, że Pająk je wciągnie i będzie zadowolony z jej odpowiedzi.

Żeby mogła wreszcie umrzeć.

Rozdział 29

W tym czasie Martin był niemal jedyną osobą na pokładzie, gdzie panowała dość rześka temperatura, jak to w październiku. Reszta jego grupy pośpiesznie opuszczała miejsce zbiórki przy stacji nurkowej, kiedy krótko po zakończeniu ćwiczeń alarmowych nadciągnęły gęste szare chmury, z których teraz padała delikatna, ale przesiąkająca przez ubranie mżawka.

Martinowi to nie przeszkadzało. Nie miał fryzury, o którą musiałyby się martwić, jego ubranie i tak należało oddać do pralni, a w porównaniu z jego obecnym stanem przeziębienie byłoby nawet polepszeniem stanu zdrowia.

Było mu niedobrze, co zdecydowanie nie wiązało się wyłącznie ze zmęczeniem i wysoką falą, która dla prawdziwych wilków morskich przypuszczalnie nie była niczym więcej niż bulgotanie w basenie z hydromasażem. Martin jednak bardzo szybko osiągnął stan, w którym musiał zapytać w okrętowej aptece o aviomarin.

Zupełnie jakby ściągnął ją telepatycznie, przy balustradzie stanęła też Elena Beck. W przezroczystej pelerynie przeciwdeszczowej i w mundurze, a więc w stroju znacznie lepiej pasującym do obecnych warunków niż jego. W jednej ręce trzymała kamizelkę ratunkową, w drugiej czarną walizkę lekarską, która w jej wąskich dłoniach wyglądała naprawdę okazale.

– A więc tu się pan schował – powiedziała ze wzrokiem skierowanym gdzieś w dal.

Wszyscy ludzie, którzy obiecywali sobie po rejsie przez Atlantykę, że zetkną się z ogromem oceanu, już teraz wyszli na swoje. Gdziekolwiek spojrzeć, wszędzie tylko woda. Ani śladu lądu, ani jednego statku na horyzoncie. Tylko bezkresna, czarnobłękitna ruchoma dal.

Gdyby powierzchnia Księżyca była płynna, wyglądałaby dokładnie tak samo, pomyślał Martin.

Niektórzy patrzyli na morze jak na symbol wieczności i potęgi przyrody. On jednak widział w falach tylko mokry grób.

– Próbowałam do pana zadzwonić, ale ma pan wyłączony telefon – powiedziała Elena. Martin wyjął komórkę i od razu zorientował się, w czym rzecz.

No tak! Z powodu nagrywania. Specjalnie tak zmienił ustawienia telefonu, żeby rozmowy przychodzące nie mogły przerwać zapisu jego „rozmowy” z Anouk. Ale nie mógł wyciszyć obowiązującego na całym świecie alarmu ogłaszającego morskie ćwiczenia ratownicze (siedem krótkich sygnałów i jeden długi).

Każdy pasażer najpóźniej po dwudziestu czterech godzinach na pokładzie musiał wziąć udział w ćwiczeniach ratunkowych, aby wiedzieć, jak działa kamizelka ratunkowa i gdzie znajdują się szalupy. O ile kapitan w wielu innych kwestiach nie przywiązywał zbyt wielkiej wagi do przestrzegania prawa morskiego, to tego przepisu się trzymał. Martin przywrócił zwykłe ustawienie telefonu i otarł z twarzy krople deszczu. Patrząca markotnie dwójka młodych ludzi, którzy z pewnością pragnęli, żeby ich wymarzona podróż miała trochę bardziej suchy początek, minęła ich, pchając przed sobą podwójny wózek ze śpiącymi dziećmi. Elena poczekała, aż odejdą na tyle, żeby nie mogli ich usłyszeć i postawiła walizkę lekarską na metalowym stole w zadaszonej części pokładu, tam, gdzie instruktorzy prowadzili

wstępne zajęcia z początkującymi amatorami nurkowania, zanim ci, wyposażeni w butle i maski, mogli wskoczyć do basenu.

– Doszły mnie słuchy, że miał pan ożywioną rozmowę z moim narzeczoną. Mam panu to dać. – Elena otworzyła walizkę i wyjęła kopertę bez opisu.

– To płyta CD z listami pasażerów z ostatnich pięciu lat – uprzedziła jego pytanie. – Dodatkowo zestawienie personelu pokładowego na wszystkich rejsach, podczas których zgłoszono „pasażera 23”.

– Co mam z tym zrobić?

– O to samo zapytałam Daniela. Powiedział, że byłby zdziwiony, gdyby pan już dawno nie zaczął zbierać tych informacji. Znajdzie pan tutaj rzuty poziome i plany pokładów „Sultana”, wszystkie artykuły z gazet i informacje prasowe na temat znanych nam przypadków zaginięcia oraz porównanie krzyżowe z innymi statkami.

Martin poczuł mrowienie w palcach, kiedy brał do ręki CD.

– Mam panu powiedzieć, że wszystkie te materiały, które Daniel zebrał w ciągu ostatnich miesięcy, są dowodem jego dobrej woli, poza tym...

W tym momencie zadzwoniły telefony. Oba.

Martina. I lekarki.

Spojrzeli na siebie zdziwieni i jednocześnie sięgnęli do kieszeni spodni.

– Niech to szlag! – powiedziała lekarka i zostawiła zdumionego Martina, który nie miał pojęcia, do kogo należy długi numer widoczny na wyświetlaczu jego telefonu.

– Co się stało? – krzyknął za Eleną, która tuż przed wahadłowymi drzwiami prowadzącymi do wnętrza zatrzymała się i odwróciła.

– Anouk – powiedziała. – Jej przycisk alarmowy powiązaliśmy również z pana komórką, doktorze Schwartz.

Pięć minut później Martin już trzeci raz tego dnia przeszedł przez metalową śluzę prowadzącą do Hell's Kitchen, minął recepcję oddziału kwarantanny i patrzył, jak Elena Beck przeciąga przez czytnik swój elektroniczny klucz.

Kiedy wchodził do środka, miał jeszcze nadzieję, że to fałszywy alarm.

Potem już tylko zadawał sobie pytanie, skąd tyle krwi.

Na łóżku Anouk.

Na jej ciele.

Wszędzie.

Rozdział 30

O Boże. O mój Boże...

Elena podbiegła do łóżka, przed którym na podłodze siedziała w kucki Anouk i uciskała dłonią silnie krwawiące przedramię. Przed alarmem było jeszcze zabandażowane, a teraz bandaż leżał na podłodze jak rozwinięta rolka papieru toaletowego.

– Co się stało, małeńka? Co się dzieje? – krzyknęła lekarka i kucnęła obok dziewczynki.

Podczas gdy Elena była jeszcze w szoku, Martin już zlokalizował przyczynę obrażenia.

Krew znajdowała się na pościeli, twarzy Anouk, na jej ramionach, palcach i na nocnej koszuli. Martin odkrył kilka plam nawet na polerowanej stalowej szafie stojącej przy ścianie pod telewizorem, co wskazywało na to, że krew musiała tryskać wysokim łukiem.

– Tętnica jest przecięta – powiedział i zapytał Elenę, gdzie znajdzie środki dezynfekcyjne i świeże bandaże.

Sądząc po kolorze twarzy Anouk, nie było tak źle, jak wyglądało na pierwszy rzut oka. Martin wiedział z doświadczenia, że nawet mniejsza utrata krwi może spowodować duże kłopoty.

– Tętnica? – krzyknęła Elena z niedowierzaniem i wskazała na drzwi do łazienki. Szybko podała mu kod, którego przeznaczenie stało się dla niego zrozumiałe dopiero, kiedy zobaczył w łazience podobną do sejfu szafkę pod umywalką. Szafka z zapasem środków medycznych ze względów bezpieczeństwa była zamknięta.

Oprócz strzykawek, igieł, wężyków, nożyczek i innych przedmiotów nadających się do popełnienia samobójstwa Martin znalazł tam spray potrzebny do dezynfekcji oraz środki opatrunkowe.

Zaniósł je Elenie i przyglądał się, jak lekarka unosi brodę bezsilnej dziewczynki. Do puszku nad jej górną wargą przykleił się mały biały kłaczek. Trochę waty albo kawałek chusteczki higienicznej.

Martin szybkimi ruchami ściągnął pościel z łóżka i ją strzepnął. Potem uniósł materac, zdjął pokrowiec higieniczny, ale tam też niczego nie znalazł. *Żadnej żyłki, noża, ołówka.*

– Pan jest ostatnią osobą, która u niej była – powiedziała Elena z wyrzutem, kiedy już zaprowadziła Anouk na skórzaną kanapę i obejrzała rękę dziewczynki. Ponieważ Anouk nie uciskała już rany dłonią, krew znów zaczęła płynąć, jak krople deszczu, które spadają z jodłowej gałęzi, dlatego Elena natychmiast założyła opaskę uciskową.

– Czy chce pani przez to powiedzieć, że ja ją do tego zachęciłem, kiedy byłem z nią sam? – zapytał Martin zirytowany.

– Nie, oczywiście, że nie, ale... – Oczy Eleny nerwowo drgały. – Kto to był, skarbie? – Pogłaskała Anouk po policzku. – Kto cię tak zranił?

Żadnej odpowiedzi.

– Wiem, kto to zrobił – powiedział szeptem Martin.

– Co? Kto taki? – Elena uniosła głowę i spojrzała na niego.

– Ona sama.

– Słucham? To niemożliwe! A tak w ogóle, to po co miałyby coś takiego zrobić?

Mogło być wiele powodów: chciała sprawić sobie ulgę, pozbyć się bólu, poczuć, że wciąż jeszcze żyje...

– W każdym razie to nie zrobiła tego po to, żeby się zabić – powiedział. *Inaczej nie próbowałaby przecież przewiązać sobie ręki. I nie nacisnęłaby przycisku strachu.*

Według niego wszystko wskazywało na to, że co prawda skaleczyła się umyślnie, ale nie chciała, żeby rana była aż tak głęboka.

– Jak mogło do tego dojść? – zapytała Elena, nadal zdenerwowana. – Przecież tu nie ma żadnych ostrych przedmiotów. Przysięgam, że po zdarzeniu z kredkami przeszukałam całą kabinę.

Kredki. No właśnie!

Martin poczekał, aż Elena skończy zakładać opaskę uciskową, i zapytał:

– Ile kartek papieru dała jej pani tego dnia?

Spojrzała na niego przestraszona.

– Nie wiem. Nie liczyłam.

Błąd.

Duży błąd.

Elena spojrzała na ponurą twarz Martina i aż zakryła dłonią usta.

– Myśli pan, że... – Odwróciła się do Anouk. – Skarbie, powiedz mi, skaleczyłaś się kawałkiem papieru?

Anouk nie odpowiedziała, ale Martin był tego pewny. W kontaktach z psychicznie chorymi nigdy nie dość ostrożności. W czasach studenckich miał okazję zetknąć się z szesnastolatką, która brzegiem kartki przejechała sobie po oczach.

– Zostawiłaś sobie jedną kartkę? – Teraz on próbował dotrzeć do Anouk. Z dobrym skutkiem. Otworzyła powieki. Wprawdzie nie był pewny, czy go poznała, ale nie miał wątpliwości, że jest wściekła. Przytaknęła, a jej oczy zaiskrzyły gniewem. Martin i Elena wymienili wymowne spojrzenia.

– A potem ją zjadłaś, prawda?

A więc stąd ten mały biały punkcik na górnej wardze.

Kawałek papieru!

Anouk w milczeniu zacisnęła wargi. Sprawiała wrażenie rozgniewanej, prawdopodobnie dlatego, że tak łatwo odkrył jej tajemnicę.

Martin przyniósł mokrą myjkę z łazienki, żeby Elena mogła umyć twarz Anouk, na co dziewczynka bardzo niechętnie pozwoliła.

W szafce pod telewizorem znajdowały się świeże prześcieradła i pościel. Martin przyszykował łóżko, podczas gdy Elena zatroszczyła się o nocną koszulę Anouk. Wspólnie zaprowadzili ją do łóżka. Sprawiała wrażenie słabej, ale nie była w krytycznym stanie.

Martin zobaczył komputer na nocnym stoliku. Ekran był ciemny, ale świeciła się żółta ledowa kontrolka, co znaczyło, że komputer jest w stanie uśpienia. Kiedy Anouk opadła na łóżko, sięgnął po urządzenie i aktywował je.

– A niech to... – wyrwało mu się. Rysunek, który Anouk musiała wykonać w czasie alarmu, był nieprawdopodobnie szczegółowy. Dzieło sztuki, które nie pozostawiało wątpliwości, że w dziedzinie sztuk plastycznych Anouk jest wybitnie uzdolniona.

Ponieważ nie chciał odbierać dziewczynce komputera, wyjął z kieszeni komórkę i sfotografował ekran. Potem pożegnał się z Anouk, która znów miała zamknięte oczy, i poczekał na zewnątrz na Elenę.

– Anouk to narysowała? – zapytała lekarka; założyła dziewczynce czystą nocną koszulę i również wyszła z kabiny. – Sama?

Przyglądała się z niedowierzaniem zdjęciu w telefonie, na którym widniał mroczny, ziejący w ziemi otwór, być może studnia, na której dnie było widać ciemno połyskującą wodę. Inną osobliwością rysunku była lina, która sięgała w głąb szybu aż do powierzchni wody.

– Czy na statku jest jakieś miejsce, wyglądające mniej więcej podobnie do tego tutaj. Otwór, loch albo gródź, przez które widać morze? – zapytał Elenę.

Lekarka zmrużyła oczy i przechyliła głowę na bok, aby przyjrzeć się zdjęciu z innej perspektywy.

– Hmm... – powiedziała niezdecydowana. – Jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałam. Zazwyczaj wycieczkowce rzadko mają otwory w kadłubie, kiedy płyną po otwartym morzu.

Po otwartym morzu, powtórzył w myślach Martin i to podsunęło mu pewien pomysł.

Oczywiście. Jeśli pływają po otwartym morzu. Ale co, jeśli nie?

– Na którym pokładzie znajduje się pomieszczenie windy kotwicznej? – zapytał przejęty.

– Kotwica? Myśli pan...

Otwór, pod nim woda, lina, *która może symbolizować również łańcuch.*

– Który pokład? – ponaglił ją. – Proszę!

Elena zastanawiała się.

– Jest kilka – powiedziała w końcu. – Według mojej wiedzy na pokładzie 3. I chyba jeszcze jedna na pokładzie 11.

11 + 3!

Krew w żyłach Martina popłynęła wyraźnie szybciej. Raz jeszcze rzucił okiem na zdjęcie na ekranie i powiedział:

– Być może ponosi mnie teraz fantazja. Ale na pewno nie zaszkodzi, jeśli trochę się tam rozejrzemy.

Rozdział 31

Tiago Álvarez?

Yegor Kalinin mimo późnej pory siedział na kanapie w swoim apartamencie, w szlafroku i skórzanych kapciach, i głaskał po karku swojego terriera rasy Jack Russel o imieniu Ikarus. Psy oraz inne zwierzęta domowe miały ścisły zakaz wstępu do prywatnych pomieszczeń na wycieczkowcu, ale właściciel „Sułtana” przejmował się tym tak samo jak zakazem palenia w kabinach. W sypialni na górze, ku ubolewaniu swojej niepalącej żony, kazał dezaktywować czujniki dymu.

– Ten łajdak tutaj?

Na stoliku z blatem z przydymionego szkła leżał przed nim kolorowy wydruk z danymi osobowymi pasażera, o którym jego trzeci oficer odpowiedzialny za bezpieczeństwo właśnie składał mu raport, łącznie ze zdjęciem, trasą podróży, numerem kabiny i aktualnym stanem rachunku. Jak dotąd Argentyńczyk niespecjalnie się zrujnował, żeby przysporzyć majątku armatorowi. Zajmował wewnętrzną kabinę, nigdy nie pił wina do posiłków, ani razu nie wybrał się na wycieczkę na ląd oraz nie kupił żadnego prezentu w sklepie pokładowym.

– To ten łajdak. Jestem pewny – odpowiedział Veith Jesper.

– I to on schował się za łóżkiem?

– Tak jak mówiłem. Widziałem go i znalazłem jego zdjęcie w aktach pasażerów. Nie ma cienia wątpliwości.

Yegor nieufnie przyglądał się fotografii dwudziestotrzyletniego lekkoducha.

– A ty czego właściwie szukałeś w tej kabynie? – zapytał Veitha, chociaż znał odpowiedź.

Yegor nie cierpiał swojego siostrzeńca. Nie znosił też jego ojca, serojada, za którego jego siostra Irina musiała wyjść tylko dlatego, że w czasie studiów w Amsterdamie zaszła z nim w ciążę.

Może jak się ma dwadzieścia jeden lat, wspólne życie z ulicznym grajkiem wydaje się kuszące. Dwadzieścia trzy lata później nawet Irina zrozumiała, że brak pieniędzy, brak pracy i brak prezerwatywy to raczej nie najlepsza kombinacja, jeśli się myśli o przyszłości. Tylko ze względu na siostrę dał pracę na „Sułtanie” temu nic niewartemu łajdakowi, który nazywał go wujkiem. Jak dla niego, Veith mógł sobie dalej gnąć w tej swojej holenderskiej melinie, szumnie zwanej szkołą sztuk walki, jako trener ulicznej łobuzerii. Jego jedyne życiowe osiągnięcie polegało na tym, że do tej pory nie trafił do rejestru skazanych, ale przy jego skłonnościach do przemocy, miękkich narkotyków i dziewczyn lekkich obyczajów było tylko kwestią czasu, kiedy państwo weźmie na siebie koszty jego zakwaterowania.

– Wzięłem w obroty sprzątaczkę – powiedział Veith beztróska. Wyglądał, jakby za kilka minut był umówiony na sesję zdjęciową do magazynu dla surferów, co jeszcze bardziej rozwścieczyło Yegora.

Armator zacisnął wargi i przez krótką chwilę rozkoszował się wyobrażaniem sobie, jak Ikarus wgrzyza się w twarz siostrzeńca, która zdawała się mówić: „Mogę mieć każdą na pierwszej randce”.

– Popraw mnie, jeśli coś źle rozumiem – powiedział. – Myślałem, że zostałeś zatrudniony do pomocy szefowi bezpieczeństwa. A nie do torturowania pokojówek.

Na statku nie ma tygodnia, żeby nie dochodziło do rękoczynów zarówno wśród pasażerów, jak i

personelu oraz załogi. Yegor myślał kiedyś, że nie zaszkodziłoby mieć na pokładzie zaufanego człowieka w razie, gdyby trzeba było interweniować. Z drugiej strony myślał też, że Veith jest takim blondynem, na jakiego wygląda. Pozbawionym mózgu kołkiem, którym można łatwo sterować.

Jak to się człowiek może pomylić.

Od incydentu z Shahlą wiedział już, że jego siostrzeniec jest prymitywem tyleż przebiegłym, co nieobliczalnym. Na szczęście dziewczyna nie odniosła żadnych poważniejszych obrażeń, co najwyżej przez parę najbliższych dni będzie kasłała krwią. Na szczęście pasażerka, stwierdziwszy, że nic z kabiny nie zginęło, kupiła historyjkę o zazdrosnym kochanku, którego już zresztą złapali.

– Zostawmy te bzdury – powiedział siostrzeniec tonem, który każdej osobie nienależącej do rodziny zapewniłby wizytę u chirurga szczękowego. – Nie wiem dokładnie, co jest grane, Yegor, ale jak dla mnie, ukrywasz jakąś dużą sprawę. Nie muszę wiedzieć, co to dokładnie jest.

– W takim razie czego chcesz?

– Mojej części.

Wykrzywił twarz w uśmiechu, jakby właśnie opowiedział świński dowcip.

– Odizolowanie małej, ekskluzywna opieka naszej ślicznej lekarki, bonus dla sprzątaczk... wygląda na to, że utrzymanie tego w tajemnicy jest dla ciebie coś warte.

– Szantażujesz mnie? – powiedział Yegor, udając zaskoczenie. W rzeczywistości zdziwiłoby go każde inne zachowanie siostrzeńca.

Veith uniósł ręce w przeproszającym geście.

– Nie, nie, ja tylko nie chcę, żeby coś zagroziło twojemu interesowi z Chilijczykiem.

Yegor uśmiechnął się. W jego fantazji Ikarus obrabiał teraz niżej położone partie ciała siostrzeńca. Veith, który pomylił jego uśmiech z aprobatą, pochylił się do przodu.

– To nie mają być pieniądze za milczenie. Chcę na nie zarobić.

Yegor, który już od dawna miał pewien plan, przez dłuższą chwilę patrzył w stalowoniebieskie oczy siostrzeńca. Całe dwadzieścia sekund w kabinie było słychać tylko szum klimatyzacji, któremu towarzyszyły różne odgłosy, jakie wydaje tej wielkości statek, kiedy pruje powierzchnię oceanu. Płynęli z prędkością około dwudziestu węzłów i fale wyraźnie się zwiększyły.

– Okej. Deal jest następujący – powiedział w końcu Yegor i stuknął palcem w fotografię na leżącej przed nim karcie pasażera. – Znajdź tego Tiago, a dostaniesz pięćdziesiąt tysięcy dolarów w gotówce.

Veith gwizdnął jak robotnik budowlany, na widok dziewczyny w mini.

– Co on takiego zrobił?

– Zgwałcił małą dziewczynkę.

Twarz Veitha spochmurniała.

Yegor nie zrozumiał, jak to możliwe, że człowiek, który był w stanie wepchnąć kawał szkła do gardła bezbronnej kobiety, uważa się za kogoś lepszego od pedofila, ale na szczęście nigdy nie był w sytuacji, żeby musiał poważnie zajmować się hierarchią wśród osadzonych w więzieniu.

– Dziewczynkę, która jest w Hell's Kitchen?

– Tak.

– Ile ona ma lat?

– Jedenaście.

– Czego ten łajdak szukał w kabinie?

– Tego samego co ty – fantazjował Yegor, który nie sądził, żeby ten południowoamerykański casanova dla ubogich miał cokolwiek wspólnego ze zniknięciem Anouk. – Tak samo jak ty odkrył, gdzie Shahl pracuje i czyhał na nią, żeby ją przemaglować. Chciał się dowiedzieć, na ile depczemy mu po piętach.

Historyjka, jaką Yegor właśnie wyssał z palca, miała dziury, w których bez trudu zmieściłby się nawet „Sułtan”, ale wyglądało na to, że Veith ich nie widzi.

– Co z rodzicami małej, gdzie oni są? – zapytał.

Yegor machnął ręką.

– To moi przyjaciele. Nie chcą żeby ich do tego mieszać. Po prostu poszukaj tego łajdaka.

– A co, jak już go znajdę?

Dobre pytanie. Yegor miał nadzieję, że nie będzie musiał sam na nie odpowiedzieć.

Yegor podniósł Ikarusa z kolan, wstał z sofy i poczłapał do komody stojącej w holu pod ciężkim kryształowym lustrem. Wyciągnął górną szufladę.

– Bądź kreatywny! – poradził. Potem sprawdził bębenek rewolweru, przesunął małą dźwigienkę na spodzie lufy i wcisnął Veithowi broń do ręki.

Rozdział 32

Wyrzuć mnie, jeśli mnie potrzebujesz. Wciągnij z powrotem, jeśli nie jestem ci już potrzebna.

Idąc na dziób „Sultana” Martin przypomniał sobie zagadkę, na jaką natknął się kiedyś w pewnej książce, której tytułu już nie pamiętał. Pamiętał tylko rozwiązanie: kotwica.

Bardzo by chciał, żeby zagadki, przed jakimi stawał w związku z ostatnimi wydarzeniami na statku, były równie łatwe do rozwiązania. Ale obawiał się, że także po wizycie w pomieszczeniu windy kotwicznej będzie jeszcze więcej pytań niż odpowiedzi.

Zaczął od inspekcji na pokładzie 3, z oficjalnym i w zasadzie jedynym pomieszczeniem windy kotwicznej na statku. Na pokładzie 11 znajdowała się tylko mała zapasowa kotwica, której łańcuch przechowywano pod gołym niebem i już choćby z tego powodu był widoczny dla każdej osoby odwiedzającej górny pokład widokowy. Nie było szans, żeby dało się tu przed dłuższy czas przetrzymać kogokolwiek w sposób niezauważony.

– Jesteśmy na miejscu! – powiedziała Elena Beck, kiedy dotarli do stalowych drzwi z napisem „Anchor Room”, przechodząc wcześniej wąskim, pozbawionym okien korytarzem, prowadzącym wzdłuż burty do salę koncertową. Za drzwiami przywitał ich Bonhoeffer – i ogłuszający hałas.

– Dlaczego trwało to tak długo? – zapytał Martin kapitana, który za zrozumiałych względów nie chciał podać mu ręki. tylko czubkami palców nerwowo sprawdził położenie plastikowego ochroniacza na złamanym nosie.

– Długo? – zdziwił się kapitan i spojrzał na zegarek.

Było kilka minut po siedemnastej czasu pokładowego, i upłynęły prawie dwie godziny, zanim kapitan pozwolił im wejść do środka. Elena nie potrafiła wyjaśnić tej zwłoki.

– Jak widzicie, idziemy pełną parą – krzyknął Bonhoeffer. Ściany na dziobie statku, pochylone ukośnie jak na poddaszu, nie miały zamykanych okien, tylko otwarte luki. Tak blisko wody i przy tak dużej prędkości, jakiej nabrał już „Sultan”, panował tu taki hałas, że trzeba było niemal krzyczeć, żeby się zrozumieć. Martin miał uczucie, że stoi w stalowym kotle, ostrzeliwanym z zewnątrz przez armatkę wodną.

– Zazwyczaj przy pełnej prędkości dostęp do tego miejsca jest w ogóle niemożliwy – stwierdził kapitan i opowiedział Martinowi, jak w ubiegłym roku pewnemu pijanemu Kanadyjczykowi udało się wdrapać do pomieszczenia windy kotwicznej i uruchomić kabestan. Kotwica mogła uszkodzić śrubę, doprowadzić do nieszczelności statku i utraty manewrowości. W momencie zdarzenia, „Sultan” miał pełne zbiorniki mazutu o wartości trzech i pół miliona euro, który miał wystarczyć na następne dziesięć dni. Trudno sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby kotwica przedziurawiła zbiorniki.

Dzisiaj pijaczek siedzi w pierdlu z powodu groźnego naruszenia zasad bezpieczeństwa na statku, a od czasu tego wypadku drzwi do pomieszczenia windy kotwicznej dają się otworzyć tylko, kiedy statek wchodzi i wychodzi z portu.

– Musiałem najpierw nakazać głównemu mechanikowi wyłączenie elektronicznej blokady bezpieczeństwa – zakończył swój wywód Bonhoeffer. – Szybciej się nie dało.

Martin rozejrzał się dookoła. Weszli do pomieszczenia na bakburcie. Na powierzchni, na której można było spokojnie zaparkować dwadzieścia samochodów, stały jakieś urządzenia przypominające turbiny, prawdopodobnie generatory. Zobaczył stalową klatkę, która służyła do przechowywania cum, oraz mnóstwo szafek, które wyglądały jak skrzynki z bezpiecznikami i miały tabliczki ostrzegające przed wysokim napięciem.

I był tam oczywiście łańcuch: polakierowane na czarno ogromne ogniwa. Oglądany z bliska, wyglądał jak naszyjnik dla pięćdziesięciometrowego macho. Martin mógłby z łatwością włożyć w ogniwo przedramię. I potrzebowałby siły kilkunastu rąk, aby unieść zaledwie jedno z nich.

– Siedemdziesiąt ton – powiedział Bonhoeffer i poklepał stalowe monstrum, jakby oprowadzał wycieczkę.

Łańcuch prowadził przez polakierowaną na pistacjowy kolor, ogromną stalową rolkę, która przypominała monstrualnie wielkie koło wagonu kolejowego, potem przez trochę mniejszy krążek w dół do szybu o szerokości komina, który był teraz zatkany przez mocno wciągniętą w burtę kotwicę.

W pamięci Martina odżył rysunek Anouk.

Przez szpary między ramionami kotwicy widział wzburzone wody Atlantyku.

– Sama kotwica waży kolejne dziesięć ton – powiedział kapitan i wszedł głębiej do pomieszczenia.

Idąc za nim razem z Eleną, Martin skojarzył, że są dwa pomieszczenia windy kotwicznej: po jednym na ster- i bakburcie. Oba wielkie koła rozdzielał stojący pośrodku podest ze stanowiskiem sterowania z wieloma dźwigniami. Każdej z dwóch wielkich rolek odpowiadało pokrętko kołowe, jak od zaworu, którym trzeba było obracać, kiedy chciało się rzucić kotwicę albo zastopować jej spadanie.

– Czego właściwie szukamy? – zapytał kapitan, stając na podeście, plecami do koła kotwicznego na bakburcie. – Chyba nie miejsca przetrzymywania Anouk?

Wzrok Martina wędrował po pomieszczeniu windy kotwicznej.

Wszystko tu było czyste, niemal sterylne, co go zaskoczyło. Sądząc po wypełniającym pomieszczenie zapachu, spodziewał się rdzy i plam oleju albo przynajmniej śladów działania agresywnej słonej wody, która wciąż bryzgała od dołu przez luki. Ale nawet w strefach niedostępnych dla pasażerów panowały porządek i czystość. Wszystko sprawiało wrażenie, jakby było świeżo odnowione. Ściany pomalowane na biało, podłogi wyłożone grubymi gumowymi matami, na których, nawet kiedy są mokre, nie można się poślizgnąć.

Miejsca a miejsca.

Ale jednak nie dałoby się tu przeżyć kilku tygodni. Bez przerwy wiało, było wilgotno i zimno. Najpóźniej po tygodniu przebywania w tym miejscu człowiek nabawiłby się zapalenia płuc, pomijając fakt, że w każdym porcie do pomieszczenia wchodził co najmniej dwaj marynarze, którzy musieli obsłużyć windę kotwiczną.

Tutaj nie mogło jej być.

Elena wydawała się podzielać milczącą opinię Martina.

– To ślepa uliczka – zawołała. Miała ostry i młodzieńczy głos, kiedy musiała mówić głośniej.

Martin przytaknął. Najwidoczniej się zagalopowali. *To wszystko wrózenie z fusów*, zdenerwował się. Doszukiwanie się na dziecięcym rysunku istotnych wskazówek to taka sama głupota, jak dopatrywanie się konturów oblicza Najświętszej Marii Panny na kromce pieczywa tostowego.

– Idziemy. – Martin pochylił się, żeby zawiązać sznurowadło przy swoim czarnym bucie z niską cholewką.

Wtedy jego wzrok padł na pierwszy podest platformy.

– Gdzie jest łańcuch? – zapytał Bonhoeffera. Kapitan spojrzał na niego, jakby nie rozumiał, o co mu chodzi.

Martin pokazał na wielką stalową rolkę po swojej lewej stronie.

– Widzę tylko kilka metrów, które biegną od tego koła do szybu kotwicznego. Gdzie jest reszta?

– Tam, gdzie pan teraz klęczy – odpowiedział Bonhoeffer i zszedł z podestu. Tupnął w podłogę. – O tutaj, pod spodem.

– Jest tam dość miejsca?

Bonhoeffer poruszył dłonią, jakby naśladował kołyszącą się łódź.

– To zależy, jak mocno wciągnięty jest łańcuch. Ale zawsze jest tam trochę luzu. Faktycznie to ulubiona kryjówka pasażerów na gapę. Ale oni wytrzymują najwyżej kilka dni. Na pewno nie tygodni.

– Jest tam jakieś dojście? – zapytał mimo wszystko Martin.

Zapukał kostkami palców w metalową płytę, na której przyklęknął.

– Jeden pokład niżej. Stąd można tam wejść, tylko kiedy odkręci się śruby mocujące płyty podłogowe. A więc raz w roku, przy przeglądzie technicznym – powiedział kapitan, który też przyklęknął obok niego. Z tymi rozwichrzonymi włosami i ochraniaczem na złamanym nosie przypominał Hannibala Lectera. Brakowało tylko kaftana bezpieczeństwa i wózka transportowego, do którego był przywiązany.

– Może to tylko strata czasu... – powiedział Martin.

– A może nie – zaprotestowała Elena. – Co mamy do stracenia, skoro i tak już tu jesteśmy?

– Chwileczkę – powiedział kapitan, wstając. Podeszedł do metalowej szafki i ją otworzył. Martin spodziewał się, że wróci ze skrzynką z narzędziami, ale kiedy znów znalazł się przy nim, trzymał w ręku dużą latarkę. Klęknął pod platformą.

– Znalazł pan coś? – zapytał Martin i też ukląkł.

– Może. Tam. Widzi pan?

Bonhoeffer poświecił pod platformą, w miejsce, gdzie pod wielką stalową rolką łańcuch kotwiczny zniknął w głębi pokładu.

– Co to jest? – zapytała Elena z przejęciem.

– Wygląda na torbę – powiedział Martin. Światło latarki odbijało się od pomiętej plastikowej powierzchni.

Rozdział 33

Martin wstał, obszedł koło z łańcuchem i kucnął z drugiej strony. Znajdował się teraz co najmniej o długość ciała bliżej tego przypominającego torbę przedmiotu, który przykleił się do ostatniego widocznego ogniwa łańcucha kotwicznego. Położył się płasko na podłodze i próbował przesunąć się po zimnym metalu pod wielkim stalowym kołem.

Nie ma szans.

Był za gruby albo szczelina za wąska. Czuł się jak wtedy, kiedy był jeszcze dzieckiem i szklana kulka wtoczyła mu się pod szafę, a on krótkimi rączkami dosięgał tylko do kłaczek kurzu.

– Mogę? – usłyszał za sobą pytanie Eleny. Spojrzał na nią i kiwnął głową.

– Może będzie pani miała więcej szczęścia.

Bądź co bądź była sporo drobniejszej budowy.

Lekarka zdjęła bluzę od munduru i koszulę, pod którą miała męski podkoszulek bez rękawów. Zanim położyła się na podłodze, pozbyła się jeszcze biżuterii: łańcuszka z wisiorkiem w kształcie liścia dębu i srebrnej bransoletki z breloczkami, którą razem z zegarkiem do nurkowania nosiła na prawej ręce.

– Uff, już ciaśniej być nie mogło – powiedziała, kładąc się płasko na brzuchu. Przekręciła głowę na bok i przycisnęła ucho do podłogi. – I głośniej też nie.

Posuwała się do przodu centymetr po centymetrze, w kierunku celu, który latarka Bonhoeffera oświetlała od drugiej strony.

– Trochę bardziej w prawo – naprowadzał ją Martin, ponieważ w obecnej pozycji Elena nic nie widziała.

W końcu jej palce dotknęły łańcucha.

– Faktycznie, coś jak torba – powiedziała i próbowała złapać ją palcem wskazującym oraz kciukiem. – Ale nie mogę jej oderwać.

– Mocno przylepiona – stwierdził Bonhoeffer. Teraz Martin również zobaczył kawałki taśmy samoprzylepnej, którymi torba została przymocowana do ogniwa łańcucha. Wystarczyłoby jedno szarpnięcie, żeby ją oderwać, ale wtedy Elena musiałaby wczołgać się pod platformę trochę głębiej.

– Zakleszczyłam się – wystękała.

Martin spróbował ją jeszcze zmobilizować.

– Da pani radę. Jeszcze tylko kilka centymetrów. Tak, bardzo dobrze...

Lekarka zdołała wreszcie zacisnąć całą dłoń na torbie.

O statek plusnęła duża fala, co zabrzmiało, jakby w zewnętrzną ścianę burty uderzył mokry dwudziestometrowy dywan. „Sułtan” przechylił się na bok, a przy okazji o kilka centymetrów przesunął się również łańcuch.

– Chyba samo nie puści? – zapytała Elena z uzasadnioną obawą. Gdyby łańcuch się odblokował, pociągnąłby ją ze sobą do góry. – Nie chciałabym skończyć jako smar do kotwicy.

Bonhoeffer krzyczał, że nie ma powodu do obaw, ale Elena właśnie oderwała torbę i wyczołgiwała się tyłem spod platformy. Kiedy znów się pojawiła, na połowie jej twarzy, którą miała kontakt z podłogą,

widać było czarny ślad oleju.

– Śliska w dotyku – powiedziała lekarka, wstając. Trzymała torbę jak najdalej od siebie w wyciągniętej ręce, jakby miała wyrzucić do śmietnika coś obrzydliwego. – Zupełnie jakby w środku była galareta.

Przeszła z torbą obok windy kotwicznej, zatrzymała się przy zielonym zasobniku i położyła ją na jego twardej plastikowej pokrywie.

– Być może właśnie mamy jakiś dowód – powiedział Martin. – Lepiej to otworzyć w jakimś szczelnym pojemniku.

Pod wyciągiem wentylacyjnym. W okularach ochronnych.

Elena go nie słuchała. Być może była dobrą lekarką, ale nie miała pojęcia o zasadach postępowania na miejscu przestępstwa. Zanim Martin zdążył coś zrobić, zwinnymi palcami oderwała taśmę, którą była zaklejona torba. Na szczęście jego obawy się nie potwierdziły. Nie nastąpił wybuch. A jednak Elena odskoczyła, jakby w oko wpadł jej jakiś okruch.

– O Boże – wydyszała i odwróciła głowę, zasłaniając ręką usta.

Martin rozumiał jej reakcję, jak również reakcję kapitana, który z obrzydzeniem wpatrywał się w torbę i jej zawartość, która rozlała się bez przeszkód po pokrywie skrzyni. Robaki. Setki robaków, które wiły się i skręcały, jak rażone prądem.

– Co za paskudztwo – powiedział Bonhoeffer, rozdeptując pierwsze z nich, ponieważ zaczęły spadać z krawędzi na podłogę. Wyjął służbową komórkę, połączył się z kimś i poprosił o przysłanie ekipy sprzątającej.

Martin podszedł trochę bliżej i otworzył torbę, aby lepiej zajrzeć do środka.

Rzeczywiście.

Robaki nie były jej jedyną zawartością. Końcami palców wyjął błyszczący, prostokątny kawałek papieru i otrzepał go z robaków.

– Widokówka? – zapytał kapitan.

W każdym razie kawałek widokówki.

Sztywny papier był częścią gratisowej ulotki reklamowej, jakie wykładano w każdej kabinie. To był tylko mały oderwany brzeg, ale wystarczająco duży, aby zorientować się, że na kartce umieszczono zdjęcie „Sułtana” z lotu ptaka.

Martin odwrócił kartkę.

„Tak się dzieje, kiedy się wtyka nos nie tam gdzie trzeba...”

Wiadomość była napisana po angielsku, drukowanymi literami czarnym długopisem, którego tusz był trochę rozmazany.

– Jak to się dzieje? – zapytał Bonhoeffer. – Co ten łajdak ma na myśli?

– O, do diabła – jęknął Martin i na moment sparaliżowało go przerażenie. Właśnie się odwrócił, żeby zapytać Elenę, co o tym sądzi. Odpowiedź na pytanie Bonhoeffera była dosłownie wypisana na jej twarzy.

– Wielki Boże, Eleno, co ci jest? – krzyknął kapitan, który też się odwrócił i zauważył, że coś się z nią dzieje. Twarz okrętowej lekarki była cała napuchnięta: policzki, czoło, wargi, wszystko wyglądało tak, jakby jej skóra miała za chwilę pęknąć. Nie było widać oczu, tylko końce rzęs wystawały spomiędzy

wałków opuchlizny.

„Tak się dzieje, kiedy się wtyka nos nie tam gdzie trzeba...”

Cała jej twarz wyglądała przerażająco, ale najgorsze były obrzęki na prawej połowie, tam, gdzie miała kontakt ze śliską mazią na podłodze.

– Eleno, kochanie, powiedz coś! – wołał Bonhoeffer, odchodząc od zmysłów z przerażenia. Ale dla Martina było jasne, że lekarka, która dusząc się objęła rękami szyję, nie była już w stanie tego zrobić. Wyglądało na to, że po oczach, wargach i policzkach zaczyna też puchnąć tchawica.

Rozdział 34

00.24 czasu pokładowego
50° 27' N, 16° 50' W
prędkość: 21, 5 węzła, wiatr: 18 węzłów
wysokość fali: 10–15 stóp
odległość od Southampton: 592 mile morskie

Martin Schwartz nie widział niebezpieczeństwa, które zbliżało się za jego plecami.

Stał na rufie na pokładzie 17 przy bakburcie, w najwyższej położonej, dostępnej dla wszystkich strefie statku i z zamkniętymi oczami rozkoszował się silnym wiatrem wiejącym mu w twarz. Czuł smak słonego powietrza, ale wydawało mu się, że zamiast tlenem jest ono nasycone środkiem nasennym.

Z każdym oddechem czuł się coraz słabszy i bardziej zmęczony, do czego równie dobrze mógł się przyczynić ból zęba, który wciąż lekko ćmił w jego górnej szczękę; i z całą pewnością wciąż jeszcze działały te cholerne proszki na PEP. Ale przynajmniej od dłuższego czasu nie miał ataku migreny.

Głęboko oddychał. Czuł w ustach słone powietrze.

Czy też tutaj stałaś i rozmyślałaś o śmierci, Nadju?

Martin wychylił się za reling i popatrzył siedemdziesiąt pięć metrów w dół.

Była bezksiężycowa noc. Spienione grzbiety fal oświetlały jedynie reflektory umieszczone na zewnętrznej stronie burty. Próbował sobie wyobrazić, co czuje człowiek, kiedy tam na dole uderzy o fale.

Nie mogłaś życzyć sobie takiej śmierci, Nadju. Nikt by sobie nie życzył.

Martin przysłuchiwał się szumowi oceanu, nieposkromionego żywiołu, który tylko kilka stalowych płyt dzieliło od luksusu zachodniego świata.

Oraz od gwałcicieli, zdrajców i morderców.

Uniósł głowę, czując hipnotyzujące działanie, które brało się z patrzenia w czarną nicość, i nagle zrozumiał siłę przyciągania, o jakiej wspominali melancholicy, kiedy czuli zew morskich głębin.

Ocean, magnes dla osób cierpiących na depresję.

Ale ty nie miałaś depresji, Nadju.

Stanął na najniższym szczeblu balustrady, najpierw jedną, potem dwiema stopami, starając wczuć się w położenie żony w ostatnich sekundach jej życia.

Nadja bała się ciemności. Noc, kiedy podobno skoczyła, miała być nieprzenikniona. Chmury wisiały nisko, była mgła. Prawdopodobnie w ogóle nie widziała wody.

Martin pomyślał o Timmy. „Auć”, mówił jako mały chłopiec i pokazywał na wodę, ilekroć zobaczył jezioro, morze, a nawet tylko basen. Jeszcze nie nauczył się dobrze chodzić, a już Nadja tłumaczyła mu, jak niebezpieczna dla dziecka może być woda.

– Woda bardzo „auć” – tłumaczyła mu przy każdej okazji i chociaż wszystkie poradniki dla rodziców zalecają, aby w miarę możliwości unikać posługiwania się dziecięcym językiem, tutaj odniosło to zamierzony skutek. Timmy zawsze czuł respekt dla mokrego żywiołu, a mimo to był najlepszym

plywakiem w klasie. Na ile jest to prawdopodobne, żeby matka, która tak bardzo kochała dzieci, że aż została nauczycielką w szkole podstawowej, w mglistą noc wrzuciła swojego syna do tej „auć”, wody, przed którą ostrzegała go przez całe jego życie?

– No, załatwione, znów jestem – zameldował się w jego uchu Diesel, który najpierw chciał dokończyć etap gry online, zanim porozmawia z Martinem. – Musiałem jeszcze tylko zestrzelić helikopter.

Martin na chwilę zapomniał, że do niego zadzwonił. Z powodu wiatru wetknął sobie do ucha słuchawkę i mógł rozmawiać, mając wolne ręce. Jakość połączenia przez Skype'a była zadziwiająco dobra, biorąc pod uwagę fakt, że znajdował się na środku Atlantyku.

– Lekarka dojdzie do siebie? – zapytał Diesel. Martin wysłał mu meila, w którym krótko opisał najnowsze wydarzenia i dołączył listy pracowników oraz pasażerów dostarczone mu przez Bonhoeffera.

– Mam nadzieję – powiedział.

Z platformy, na której stał, korzystali podczas letnich rejsów naturyści. Jesienią była najbardziej odosobnionym miejscem pod gołym niebem; zwłaszcza nocami, kiedy temperatura spadała do wartości jednocyfrowych.

Z tego właśnie powodu Martin wybrał pokład 17 na swoją nocną wycieczkę. Chciał być sam, aby spokojnie przemyśleć powiązania między wydarzeniami: o śmierci swojej rodziny, telefonie od Gerlinde Dobkowitz, zgwałconej dziewczynce, świeżych ranach na ręce Anouk i zamachu na Elenę, którego ofiarą równie dobrze mógł paść on sam.

Kiedy sobie uświadomił, że kręci się w kółko i potrzebuje kogoś, kto wypchnie go z koleiny, zatelefonował do Diesla.

– Będziemy więcej wiedzieć dopiero za dwadzieścia cztery godziny – powiedział Martin. – Nie wiadomo dokładnie, co spowodowało tę przekłętą opuchliznę na jej twarzy. Okrętowe laboratorium nie jest odpowiednio wyposażone, aby dokonać analizy tego, z czym był zmieszany smar na podłodze pokładu kotwicznego.

– A kto opiekuje się teraz panią doktor, kiedy pani doktor jest chora? – zapytał Diesel. Coś zaskwierczało w tle. Na początku rozmowy Diesel poinformował Martina, że chce sobie podgrzać talerz ravioli palnikiem Bunsena. Redaktor naczelny nie uznawał kuchenki mikrofalowej.

– Jacques Gerard, jej asystent – powiedział Martin. – Musieliśmy go wtajemniczyć. Doktor Beck leży teraz na oddziale kwarantanny, po sąsiedzku z Anouk.

Oczywiście były wolne łóżka w oficjalnym szpitalu okrętowym, niektóre nawet z funkcją kompensacji falowania morza, oddzielone od siebie tylko zasłonami, jak w izbie przyjęć. Do tej pory żaden pasażer „Sułtana” nie był leczony stacjonarnie, ale na wypadek, gdyby się to zmieniło, kapitan chciał za wszelką cenę uniknąć sytuacji, w której ktoś obcy zobaczyłby lekarkę w tym stanie. Tak więc Martin przeniósł na rękach tracącą przytomność Elenę Beck z pokładu kotwicznego do Hell's Kitchen, gdzie wątki Francuz w szylkretowych okularach i z opuszczonymi kącikami ust na początek wstrzyknął Elenie końską dawkę kortyzonu. Przynajmniej zażegnało to niebezpieczeństwo uduszenia. Teraz, siedem godzin później, lekarka okrętowa wciąż wyglądała wprawdzie, jakby wdała się w ostrą bójkę uliczną, ale była stabilna, chociaż bez kontaktu.

– Na szczęście wasz killer nie za bardzo zna się na dozowaniu trucizn – powiedział Diesel.

A może właśnie się zna.

Martin wątpił, żeby sprawca zamierzał uśmiercić lekarkę albo kogokolwiek innego.

Bardziej prawdopodobna była chęć zademonstrowania, do czego gotów jest się posunąć, jeśli nie zaprzestaną poszukiwań.

– Obojętne, czy było to zaplanowane, czy też coś nie wypaliło, ten zamach dużo nam mówi o twoim przeciwniku – powiedział Diesel, po tym jak Martin podzielił się z nim swoimi myślami.

– Mianowicie?

– Po pierwsze, gwałciciel dziewczynki wciąż jest na statku.

Martin wzruszył ramionami.

– Przy czym może być zarówno członkiem personelu, jak i pasażerem.

– Raczej członkiem personelu, ponieważ ma dostęp nawet do zamkniętych stref.

– Każdy haker hobbysta łatwo złamie szyfr elektronicznego klucza – skontrolował Martin.

– To możliwe. Ale najważniejsze jest pytanie: kto wiedział, że chcecie przeszukać pomieszczenie windy kotwicznej?

– Kapitan, ja... – Martin zastanawiał się. – I główny mechanik, który musiał wyłączyć blokadę.

I prawdopodobnie jeszcze ze dwieście osób, zależnie od tego, komu Bonhoeffer wszystko wypaplał.

– Kim jest ten palant od techniki? – zapytał Diesel.

– Nie mam pojęcia.

– W takim razie powinienesz wziąć go w obroty, tak samo jak Gerarda Depardieu.

– Masz na myśli Jacques'a Gerarda?

– Jak najbardziej. Nie wyobrażam sobie, żeby asystencik nie zastanawiał się, gdzie jego szefowa przepadła na cały boży dzień. Sprawdź wszystkich facetów, którzy mogliby być gwałcicielami Anouk, czy są inteligentni i aroganccy. W końcu sprawca potrafił – po trzecie – przewidzieć wasze kroki, i – po czwarte – najwidoczniej lubi bawić się w gierki ze swoimi ofiarami.

Czyli że cała twoja analiza w całości nadaje się na śmietnik, pomyślał Martin.

Sprawcy skłonni do manipulacji są z reguły ponadprzeciętnie inteligentni, a dzięki sztuce kamuflażu udaje im się wodzić za nos ofiary oraz policję. Jeśli się stanie z nimi oko w oko, potrafią po mistrzowsku ukryć swoje prawdziwe cechy charakteru. Chorzy na depresję udają wiecznie uśmiechniętych, sadyści wydają się przemili. Poza tym chodzi tu o człowieka, który tygodniami trzymał swoje ofiary w zamknięciu i znęcał się nad nimi, a więc bezspornie o psychopatę, którego nie da się wytypować zwyczajnymi metodami. Nie mówiąc już o profilowaniu kryminalistycznym w amatorskim wydaniu.

– Gdybym był na twoim miejscu, to człowieka, którego weźmiesz na celownik, zapytałbym mimochodem o jego matkę.

– Jak to? – spytał Marlin, lekko zbity z tropu.

– Nie jestem pewny, czy to ma jakieś znaczenie. Tak mi tylko jakoś chodzi po ciele. Znasz to uczucie? Czasem bulgocze ci w brzuchu i już ci się zdaje, że zaraz zwalisz się w gacie, a tu wszystko kończy się potężnym pierdem.

Diesel nie dał Martinowi czasu na strawienie tego obrzydliwego porównania i mówił dalej:

– A więc, tak jak mnie prosiłeś, poszukałem innych podwójnych przypadków, to znaczy zaginięć na pełnym morzu, gdzie nie chodzi o dręczonych czarnymi myślami samotnych pasażerów z problemami finansowymi, zdrowotnymi albo małżeńskimi, którzy z dużym prawdopodobieństwem dali susa za burtę z

własnej woli.

– I jak? – zapytał Martin. – Znalazłeś coś?

– Zaczniemy od tego, że oprócz Timmy’ego i Anouk na całym świecie nie ma innych dzieci, które zniknęły na statku wycieczkowym. Co więcej, przez ostatnie dziesięć lat ani jeden nastolatek nie skoczył na główkę do morza. Aż się dziwię, kiedy sobie przypomnę, ile to razy kompletnie nawalony wspinałem się po balkonach, kiedy miałem szesnaście lat.

Wydawało się, że Diesel chciał przetestować, ile sztuk ravioli mieści mu się jednocześnie w ustach, ponieważ kolejne słowa były coraz mniej zrozumiałe:

– Poza tymi dwoma przypadkami nigdy też nie zagięły jednocześnie dwie osoby.

Dlatego nagromadzenie tych przypadków na „Sułtanie” jest tym bardziej podejrzane.

– Za to trzy razy, zawsze na innym statku, zagięło jedno z rodziców. I co charakterystyczne: zawsze to kobieta była tą osobą, której już nigdy nie odnaleziono. Wysłałam ci maila z nazwiskami i trasami.

– Poczekaj chwilę. – Martin pogładził się po ogolonej głowie, na której w ostatnich dniach pojawił się delikatny meszek. – Czy to ma znaczyć, że jest jakiś seryjny morderca, który wziął się na matki?

– Nie mam pojęcia. Sam musisz to rozgryźć. Nie mam teraz czasu, żeby bawić się dla ciebie w Miss Marple. Muszę najpierw sprawdzić inny gorący ślad.

– Jaki?

– Ślad zapachowy mojej dziewczyny, która właśnie wróciła po dyżurze do domu.

– Pozdrów Irę – powiedział Martin i przerwał połączenie.

Zastanawiał się właśnie, czy przed powrotem do swojej kabiny nie powinien jeszcze raz odwiedzić Anouk i Eleny, kiedy za plecami usłyszał terkotanie i jednocześnie poczuł silne ukłucie w boku.

Chciał złapać się za biodro, dziwiąc się, jaki to owad mógł go użądlić w takiej odległości od wybrzeża, i to w dodatku przez skórzaną kurtkę, ale już leżał na ziemi, niezdolny do czegokolwiek poza patrzeniem na swoje stopy, jak podrygując, uderzają o deski pokładu, podczas gdy przez miejsce użądlenia na biodrze do jego ciała najwyraźniej wlewała się gorąca lava. Martin myślał, że się w środku pali, i chciał krzyczeć, ale uniemożliwiła to ciemność, która nagle okryła jego głowę. Elastyczna ciemność o smaku plastiku, która wchodziła mu do ust, kiedy próbował nabierać powietrza.

Martin poczuł coś pod pachami, co pociągnęło go do góry. Napastnik musiał obezwładnić go paralizatorem, zanim założył mu torbę na głowę. Nic innego nie mogło odpowiadać za jego stan.

Czuł, jak uderza głową o coś twardego, słyszał, i jak się dławi; przypomniał sobie Anouk i jej komputer do rysowania, na którym sam napisałby teraz „POMOCY”, drukowanymi literami i dwa razy podkreślone. Paradoksalnie czuł na języku smak spaghetti carbonara, ulubionego dania Timmy’ego, zapach spalonego plastiku w nosie, oczy mu łzawiły, uderzał i kopał jak szalony dookoła siebie, ale niestety w niekontrolowany sposób i z niewielką siłą.

Nagle coś ucisnęło mu brzuch, coś jakby metalowa sztanga.

Pierwsza naładowana elektrycznością fala bólu straciła na sile, dlatego Martin poczuł, że jego stopy tracą kontakt z podłożem.

Ucisk sztangi na żołądek stał się silniejszy, kiedy przechylił się do przodu.

Słyszał, jak ktoś kaszle, najpierw pomyślał, że to on sam, ale przecież to było niemożliwe.

Mam pełne usta torby.

Ramiona zaczęły mu mrowić, jakby leżały wcześniej w zamrażarce i zaczynały teraz powoli rozmarzać. Kiedy próbował zerwać z głowy folię, uderzył rękami w to coś, co uciskało jego żołądek, i w jednej sekundzie zrozumiał, co się z nim dzieje.

Balustrada!, krzyknął w myślach. Jedyne, co były w stanie wyprodukować jego usta, to udęczone rżężenie.

Wiszę na balustradzie!

Na brzuchu, pochylony do przodu, jak mu sygnalizował powoli narastający ucisk w głowie.

Ręce Martina rozpaczliwie szukały czegoś z tyłu; złapały poręcz relingu, co zahamowało przechylenie się. Jego palce wczepiły się w drewno. Wbiła mu się drzazga pod paznokcie kciuka; miał wrażenie, że zwisa głową do przodu, ponieważ teraz sztanga uciskała go w uda.

„Auć”, usłyszał głos swojej żony, zmieszany z głosem Timmy’ego, którego już prawie nie pamiętał, tyle minęło już czasu, od kiedy słyszał go ostatni raz.

Woda bardzo „auć”.

Czuł swój własny ciężar, który ciągnął go w dół, uciskał nadgarstki. Poczł kolejne ukłucie, tym razem w plecy. Poczł, jak jego łokcie się wyginają, a palce puszczeją chwyt.

Jak spada.

Rozdział 35

Julia dotknęła czoła. Poczowała pot. Czerwone cyfry ledowego zegara w telewizorze unosiły się w powietrzu kabiny. 00.35. Spała niecałą godzinę. Koszmar, z którego właśnie się obudziła i w którym widziała swoją córkę w wyzywającym stroju, półnagą, wsiadającą do samochodu obcego mężczyzny, wydawał się jej dużo, dużo dłuższy.

Zastanawiała się, co ją wyrwało ze snu. Wydawało jej się, że usłyszała hałas, najpierw gwałtowny podmuch wiatru, potem huk, jakby zatrzasniętych drzwi, ale równie dobrze mogło się to dzieć we śnie.

Pewnie jednak przyczyną, dla której nie mogła wyleżeć dłużej w łóżku, było zwykłe parcie na pęcherz.

Na ślepo poszukała ręką na stoliku obok łóżka włącznika nocnej lampki. Słabe, niebieskawe światło pomogło jej zorientować się w kabinie.

Wstała. Zimne powietrze napływało przez drzwi balkonowe, które zawsze zostawiała na noc lekko uchylone. Ponieważ jeszcze przed chwilą była otulona grubą puchową kołdrą w poszewce z egipskiej bawełny, trzęsły nią dreszcze i żałowała, że nie włożyła ciepłej flanelowej pidżamy zamiast jedwabnej koszulki na cienkich ramiączkach.

Lekko zamroczone powlokła się do łazienki. Falowanie morza dokładało swoje, aby do reszty podrażnić jej jeszcze zaspany zmysł równowagi. Znane już skrzypienie, trzeszczenie i pojękiwanie każdego spojenia mebli dobrze pasowało do jej stanu. Czowała się rozbita. Miała sucho w ustach i bolała ją głowa. Chciała do ubikacji i musiała napić się wody, najlepiej o smaku aspiryny.

Nagle miękki dywan pod jej bosymi stopami zrobił się jakiś inny. Włączyła słabą lampkę na biurku, schyliła się i wymacała ręką kopertę, do połowy wystającą spod wewnętrznych drzwi, pod które została wsunięta.

„Dla mamy”, było napisane na kopercie charakterystycznym dziewczęcym charakterem pisma Lisy. Julia w mgnieniu oka się rozbudziła. Dobrze znane, przerażające uczucie odebrało jej dech w piersiach.

Kilka lat temu Julia usłyszała stłumione krzyki, kiedy stała przy kasie supermarketu. Najpierw pomyślała, że jakaś matka krzyczy na parkingu na swoje uparte dziecko, ale krzyki stawały się coraz bardziej histeryczne. Nagle dwaj klienci oraz pracownik rzucili się do wyjścia. Julia spojrzała przestraszona na kasjerkę i zobaczyła w jej oczach takie same chorobliwe rozdwojenie, jakie sama odczuwała. Miotła się pomiędzy pragnieniem zaspokojenia własnej ciekawości i lękiem, że stanie się świadkiem czegoś strasznego, czego wolałaby nigdy nie oglądać. Te sprzeczne uczucia, które wówczas przeżyła, teraz znów powróciły. Tylko z tysiącokrotnie większą mocą.

Musi otworzyć kopertę. Koniecznie chciała się dowiedzieć, co jest w środku, chociaż miała niemal stuprocentową pewność, że list, który córka w nocy potajemnie wsuwa matce pod drzwi, nie może oznaczać nic dobrego. Tak jak rozpaczliwe krzyki matki na ruchliwym parkingu, na którym nagle całkowicie zamarł wszelki ruch.

Drżącymi rękoma rozerwała kopertę; skaleczyła się ostrym brzegiem papieru listowego, kiedy go wyjmowała, rozłożyła zgiętą w połowie kartkę i przeczytała wiadomość od Lisy, którą miała dostać dopiero za kilka godzin, o dziewiątej, kiedy zadzwoni budzik na wspólne śniadanie.

Cały list składał się z jednego zdania, a ono tylko z dwóch słów.

„Przepraszam, mamó”.

Nie trzeba jej było więcej, aby poczuć strach o córkę, niedający się porównać z niczym innym na świecie.

Rozdział 36

Nie chcesz o tym mówić?

Timmy krnąbrnie wysunął dolną wargę, jeszcze mocniej przycisnął brodę do piersi i potrząsnął głową.

– Nie lubisz już chodzić do szkoły?

Jego syn wzruszył ramionami.

Martin obserwował go przez okno, oparty o parapet.

Timmy siedział przy swoim dziecięcym biurku i drapał się w kolano pod blatem.

– Hej, nie chodzi mi o dwóję z matmy – powiedział do niego Martin.

Ocena niedostateczna była tylko objawem. Jednym z wielu, które pojawiły się w ostatnim czasie, jak na przykład niesamowita potrzeba snu. Nadji ledwo udawało się wygonić go rano z łóżka i miał już wpisane trzy uwagi za spóźnienia. Potem zrezygnował z gry w tenisa. Tak po prostu. Martin i Nadja nie byli rodzicami, którzy zmuszają do czegoś swoje dziecko, ale na decyzję, którą podjął z dnia na dzień, nie byli przygotowani. Mieli wrażenie, że jest szczęśliwy i już nie może doczekać się następnego sezonu, w którym miał dużą szansę awansować do reprezentacji Berlina. Gdyby nie to, że Timmy miał dopiero dziesięć lat, Martin pewnie by podejrzewał, że jego dziwne zachowanie bierze się stąd, że nieszczęśliwie się zakochał. Ale musiała być inna przyczyna.

– Masz jakieś problemy w klasie?

Timmy podniósł wzrok. Martin z przestraszeniem zauważył, jak bardzo jego syn jest zmęczony. Niemal tak samo jak on sam.

– Nie. Wszystko jest okej. Nikt nie każe mi zjeść kebabów, jeśli to masz na myśli.

W szkole Timmy'ego „kebabem” nazywano garść liści albo błota, które najsilniejsi w klasie zbierali na szkolnym podwórku, żeby dla żartu wpychać je do ust najsłabszym. Tak po prostu, bo mogli.

– To przez ciebie. Bo tak często nie ma cię w domu i mama...

Głos Timmy'ego załamał się. Martin widział, jak rozpaczliwie stara się nie płakać przy ojcu.

– Hej, chodź do mnie. – Podeszedł do syna, ukląkł obok biurka i wziął go w ramiona.

Czuł, że Timmy bardzo schudł, odkąd przerwy pomiędzy małżeńskimi kłótniami stawały coraz krótsze, aż w końcu zmieniły się w nieustannie tłący się ogień.

– Kiedy mama i tata się kłócą, nie ma to nic wspólnego z tobą. Mam nadzieję, że to wiesz?

Timmy przytaknął i pociągnął nosem.

– To wszystko moja wina, wielka wina. O wiele za często wyjeżdżam. Ale przysięgam, że to się skończy. Muszę jeszcze tylko załatwić jedno zlecenie, potem się zwolnię i poszukam sobie takiej pracy, którą będę mógł wykonywać bez wychodzenia z domu. Jak ci się to podoba?

Timmy uwolnił się z jego objęć. W jego spojrzeniu widać było sceptycyzm. Najwyraźniej nie wierzył w tę dobrą wiadomość.

– I wtedy byłbyś już zawsze ze mną?

– Tak. Obiecuję. Niedługo wrócę i już zawsze będziemy razem.

Martin pocałował Timmy'ego w czoło i zmierzwił mu włosy.

Potem wstał, podszedł do drzwi i podniósł swój marynarski worek, który już wcześniej spakował. Otworzył drzwi pokoju Timmy'ego i jeszcze raz się odwrócił, ponieważ coś przyszło mu na myśl.

– Obawiam się, że cię okłamałem, mały.

Timmy, który nawet nie ruszył się z miejsca, przytaknął.

Już nie płakał. Z kamienną twarzą powiedział:

– Wiem, tato. Już nigdy się nie zobaczymy.

Timmy przełknął ślinę.

– Ja umrę. Tak samo jak ty za chwilę.

– Ja?

– Tak, przecież wiesz. Woda jest „auć”. A ty zaraz wpadniesz właśnie do...

Woda.

Twarda.

Czarna.

Ból spowodowany uderzeniem wyrwał Martina z wypełnionego wspomnieniami omdlenia. Uczucie, jakby jakiś olbrzym wyrwał mu z pleców kręgosłup, przeszło go od kości ogonowej aż do mózgu. Jednocześnie im głębiej się zapadał, tym silniejszy stawał się ucisk w uszach.

Martin próbował łapać ustami powietrze, ale nawet woda nie chciała wypełnić mu płuc. Jego głowa wciąż tkwiła w torbie, ale przynajmniej ręce nie były już jak z ołowiu i mógł się od niej uwolnić.

Zdezorientowany machał rękami i nogami. Buty wisiały mu na stopach jak ciężary. Ubranie stanie się jego trumną, jeśli się go nie pozbędzie.

Nie było żadnej nadziei, żeby się w nim wydostał z powrotem na powierzchnię.

Ale czy ja w ogóle chcę wrócić?

Podczas gdy jego ciałem sterował instynkt samozachowawczy, Martin już żałował w duchu, że przeżył upadek.

Zaraz wpadniesz, usłyszał jakby przez sen głos swojego syna i przyszedł mu na myśl inny Tim. Tim Sears, jeden z nielicznych, którzy przeżyli skok z wycieczkowca. Ale on spadł po hucznej libacji z wysokości dwudziestu metrów do ciepłych wód Zatoki Meksykańskiej. W lodowatym Atlantyku Sears nie wytrzymałby siedemnastu godzin, jakie upłynęły do nadejścia pomocy.

Chociaż... wcale nie było tak zimno. Prąd, który killer przepuścił przez ciało Martina, musiał chyba odwrotnie spolaryzować synapsy w jego ośrodku czucia.

W ogóle nie czuł tysięcy igieł, które powinny kłuć go w twarz. Woda była zimna, ale nie lodowata.

Ciepły prąd?

Martin wierzgał coraz bardziej gorączkowo. Tracił siły.

Powietrza, potrzebuję...

Powietrze. Zimno. Woda.

Ucisk w uszach nagle ustąpił.

Głowa Martina przebiła się na powierzchnię. Wszystko w nim domagało się tlenu. A on spodziewał się najgorszego: że w pełni przytomny unosi się na rozkołysanym oceanie w czarnej nicości. Nie widział

żadnych świateł. Ani z „Sułtana”, który już odpłynął, ponieważ nikt nie wszczął alarmu, ani też światła gwiazd na zasnutym chmurami niebie nad swoją głową.

Nie spodziewał się natomiast, że natknie się na czyjąś rękę.

I usłyszy śmiech.

Potem Martinem poruszyła jakaś siła, której nie potrafił sobie wytłumaczyć. Poczł szarpnięcie i woda pod jego plecami nagle zrobiła się twarda.

A kiedy śmiech stał się głośniejszy i jakaś kobieta z brytyjskim akcentem piskliwie zawołała: „Pewnie jest kompletnie zalany!” – Martin popatrzył w górę na ciemną, zakapturzoną postać przy relingu. Na osobę bez twarzy, która w walce na pokładzie dla naturystów unieszkodliwiła go paralizatorem, założyła na głowę torbę i zaciągnęła na przód pokładu, aby tam zrzucić go przez balustradę, pięć metrów w dół, do odkrytego basenu „Sułtana”.

Rozdział 37

Wewnętrzne drzwi nie dały się otworzyć. Lisa zamknęła je od swojej strony i nie reagowała. Ani na huraganowy ogień pięści, ani na przeraźliwe, zabarwione strachem wołania Julii:

– Liso, skarbie! Otwórz!

Klucz, gdzie jest ten cholerny klucz?

Jej własny był wetknięty w małe, szare jak mysz pudełeczko czytnika na ścianie przy drzwiach. Ale gdzie jest zapasowy klucz do kabiny Lisy? Aż do wczoraj leżał na bufecie obok telefonu, teraz małe etui z logo armatora było puste.

Jak to możliwe?

Julia zrzuciła z blatu kilka prospektów i magazynów ilustrowanych, podniosła swoją torebkę; potem matę. Nic.

O Boże, dobry Boże...

Powstrzymała odruch, żeby wybiec z krzykiem na korytarz i od tamtej strony dobijać się do drzwi Lisy, i sięgnęła po słuchawkę. Przerywany sygnał przy uchu jeszcze bardziej utrudniał jej koncentrację.

Room service...

Hauskeeping...

Laundry...

Spa...

Dziesięć przycisków szybkiego wybierania. Nie było żadnego z napisem „PANIKA”.

1310... 1310...

Właśnie chciała zadzwonić do recepcji, kiedy przypomniała sobie końcówkę numeru do Daniela.

Po czterech sygnałach zgłosił się zaspąnym „halo”.

– Ona... Ona sobie... – Głos Julii się załamywał. Dopiero teraz zorientowała się, że płacze.

– Lisa? Co się z nią stało? – Ton głosu kapitana świadczył o tym, że już całkowicie się obudził.

– Ona..., ona... chyba... chce sobie coś zrobić.

Nie musiała mówić nic więcej. Daniel zapewnił, że będzie u niej za dwie minuty i się rozłączył.

Dwie minuty?

Strasznie to długo, kiedy komuś wrywają paznokcie. A jeszcze dłużej, kiedy ktoś boi się, że jego dziecko mogło odbierać sobie życie.

Teraz. W tej sekundzie.

Julia nie mogła czekać. Gwałtownie otworzyła drzwi balkonowe.

Poczuła zimny i mokry podmuch wiatru, uderzyła się bosą stopą o leżak, usłyszała huk wzburzonego oceanu – w jej uszach brzmiał jak ryk dzikiego zwierzęcia, które otworzyło paszczę, aby połknąć wszystko, co znajdzie się w zasięgu jego kłów.

– Lisa? – próbowała przekrzyczeć hałas.

Balkony oddzielała od siebie płyta z białego twardego plastiku, która chroniła przed wzrokiem sąsiadów. Julia wychyliła się daleko przez balustradę, żeby zajrzeć za osłonę chroniącą balkon Lisy.

Światło!

Paliły się lampy na suficie, a ponieważ zasłony przed otwartymi drzwiami balkonowymi nie były zaciągnięte, oświetlały również część balkonu.

Czyli jest jeszcze w kabinie, pomyślała Julia z ulgą. Ale zaraz potem wahadło strachu, które na ułamek sekundy odepchnęła od siebie, znów wróciło z całym impetem. Ze względu na oszczędność energii, obwód prądu ulegał przerwaniu, kiedy opuszczało sięabinę i wyjmowało elektroniczny klucz z czytnika na ścianie przy drzwiach. Światła oraz klimatyzacja wyłączały się. Dlatego oświetlona kabina wskazywała na obecność pasażera. Chyba że nie wziął ze sobą klucza.

Albo wybrał całkiem inne wyjście.

Julia miała uczucie, że zaraz dosięgnie ją któraś z fal, kiedy jeszcze mocniej się wychyliła.

O wiele za mocno, żeby móc się bezpiecznie utrzymać.

Wiatr pluł jej w twarz. Siąpiący deszcz spływał jej po brwiach. Deszcz i łzy. Widziała tylko rozmyte kształty, mrugała, płakała. Krzyczała.

I wtedy je zobaczyła! Buty. Buty Lisy. Leżały na podłodze, pomiędzy łóżkiem i komodą, na której stał telewizor, do połowy przykryte narzutą, pod którą chyba leżało również ciało Lisy.

Mózg Julii przełączył się na tryb prymitywnego instynktu działania. Była matką. Jej mobbingowana córka napisała pożegnalny list. Ukradła klucz do kabiny. Zamknęła się. Nie reagowała na pukanie. I leżała bez znaku życia na podłodze.

Nie musiała walczyć z myślą, że za chwilę przyjdzie Daniel, bo nawet nie przyszło jej to do głowy.

Jedna ręka na przesłonie pomiędzy balkonami, druga na relingu. Jedna stopa na najniższej poprzeczce. Druga na następnej...

Wspinaczka odbywała się automatycznie.

Uświadomiła sobie, że znajduje się w śmiertelnym niebezpieczeństwie dopiero wówczas, kiedy stała już na balustradzie balkonu i mocno trzymając się obiema rękami krawędzi ścianki działowej, próbowała podnieść stopę i postawić ją na balustradzie po stronie Lisy. Ale... stopa się obsunęła.

Jej noga była jeszcze zdrętwiała od uderzenia w leżak. Nie czuła bólu. Ale nie czuła też, że mokra podeszwa stopy straciła oparcie.

Nagle cały ciężar jej ciała zawisł na rękach. Nie miała szans. Przegroda musiałaby mieć jakąś szczelinę, uchwyt albo inny punkt zaczepienia, aby mogła się jej przytrzymać. A po stopie obsunęły się również jej dłonie.

Oraz ciało.

Julia krzyczała, ale morze pod nią krzyczało jeszcze głośniejszym głosem. Drapieżne zwierzę zwietrzyło krew, zobaczyło Julię wiszącą na relingu pomiędzy kabinami.

Spadając, udało jej się przytrzymać najwyższej poprzeczki balustrady. Ale poprzeczka była drewniana, za szeroka dla jej małych dłoni, za mokra, żeby mogła się jej dłużej przytrzymać. A do tego Julia była zbyt wyczerpana, za słaba i za ciężka.

Nie patrzeć w dół. Tylko nie patrz w dół!, rozkazała sobie, jak gdyby to mogło coś zmienić. Jakby mogła kazać morzu zniknąć, zamykając po prostu oczy.

Wiatr szarpał nią jak chorągiewką, Julia zamknęła oczy i czuła, jak jej palce powoli ześlizgują się z zaokrąglonej poprzeczki.

Przepraszam.

Czy było to ostatnie zdanie? Ostatnia w tym życiu wiadomość od córki?

Ostatni raz wykrzyknęła jej imię i jako echo usłyszała swoje własne:

– Julia?

Ktoś krzyczał do niej z niewielkiej odległości, ale to nie córka ją przywoływała. Głos Lisy nie był taki niski. A jej uchwyt na pewno nie byłby taki mocny.

– Trzymam cię! – krzyknął mężczyzna, którego twarz nagle pojawiła się w górze i który w ostatniej chwili wciągnął ją na górę, z powrotem na statek.

Z powrotem w koszmar.

Rozdział 38

Tiago leżał na łóżku i się pocił. W jego nowej kabynie nie działała klimatyzacja, co samo w sobie było wystarczającym powodem, dlaczego numer 4337 stał pusty. Prócz tego woda z prysznicą kapiała z prędkością miodu, a w sypialni śmierdziało kocimi sikami, co sprawiało, iż kabina definitywnie nie nadawała się do zamieszkania.

Gdyby Tiaro miał wybór, rozejrzałby się za lepszym schronieniem, ale recepcyjny komputer, na którego ekran Stacy pozwoliła mu rzucić okiem, nie pokazał sensownej alternatywy. 2898 pasażerów. Wszystkie kabiny „Sultana” były zajęte, z wyjątkiem tej przeznaczonej do dezynfekcji, w której ukrywał się już od dwudziestu godzin.

Co za pieprzony rejs!

Tiago usiadł w łóżku, oparł się plecami o tapicerkę na ścianie kabiny i pilotem przełączał kanały w telewizorze, który ściszył prawie do końca. Światło było przygaszone, szpary w drzwiach zatłkane ręcznikami, aby nikt z przechodzących korytarzem nie zorientował się, że w kabynie ktoś mieszka.

Co za koszmar.

Nie udało mu się nawet odrobić pełnych kosztów podróży, a teraz przez resztę rejsu był skazany na gnicie w tej śmierdzącej stęchlizną, dusznej norze.

Burczało mu w brzuchu. Już dawno strawił paczkowane orzeszki ziemne z minibaru, ale nie czuł jeszcze takiego głodu, żeby odważyć się wyjść z kabiny.

Na zewnątrz. Do tych bandziorów, którzy na pewno już dawno wiedzą, kim jest, i tylko czekają, żeby się znów pokazał.

„Podśłuchiwałeś nas?”

Mało co spał, większość czasu w nowym lokum spędził na analizowaniu swojego trudnego położenia. I wydawało mu się, że ciągle słyszy słowa wypowiedziane przez oficera:

„Już jesteś martwy!”

Tak samo martwy, jak kanał 5 telewizji pokładowej, na którym się zatrzymał; pokazywano tam obrazy z wybranych zewnętrznych kamer. Z mostka, w obu kierunkach, do przodu i w stronę rufy. Teraz, o tej godzinie, wszystkie były czarne. Urozmaicenie stanowił tylko pasek na dole ekranu, który informował Tiago, że płyną na zachód z prędkością 19,4 węzła, że fala jest umiarkowana i że pada deszcz.

Jak mogłem się w coś takiego wpakować?

Nie ulegało wątpliwości, że był mimowolnym świadkiem próby wymuszenia zeznań. Wyglądało na to, że na pokładzie jest jakaś dziewczynka, być może pasażerka na gapę i że sprzątaczką wiedziała o tej tajemnicy, która według ważniejszego z bandziorów była warta dużo pieniędzy. Na tyle dużo, że opłacało się nakarmić pokojówkę kawałkiem szkła.

Chyba że mam paranoję.

A może ci dwaj pomyłeńcy w ogóle przestali się nim interesować? Im więcej mijało czasu, a nikt nie zgłaszał, że był świadkiem czynnej napaści, tym mogli się pewniej czuć.

Być może. Prawdopodobnie. Ewentualnie.

Najbardziej niepewne słowa na świecie.

Tiago nie zaszedłby tak daleko, gdyby miał je w swoim słowniku. Tutaj, w tym pozbawionym okien kocim kiblu, był najbezpieczniejszy na całym statku. Kabina 4337 nie figurowała w planie pomieszczeń wyznaczonych do sprzątnięcia. Nikt nie wiedział, że tu jest.

Oby.

Zastanowił się, czy powinien wziąć jeszcze jeden napój z minibaru, i wstał. Niewielkie zapasy, które najwidoczniej ktoś zapomniał zabrać z lodówki, nie wystarczą na długo. Były jeszcze dwa soki, które dawno przekroczyły termin przydatności do spożycia, dietetyczna cola, a poza tym same alkohole.

Tiago zostawił drzwi lodówki otwarte i przyciągnął swoją małą walizkę do światła minibaru. Staromodne pudło, wyglądające jak zrobione z węzowej skóry, odziedziczył po ojcu. Pochodziło z czasów, w których naśmiewano by się z walizki na kółkach z uchwytem do ciągnięcia jako z rzeczy typowo babskiej.

Prawdziwi mężczyźni noszą swoje ciężary, brzmiała maksyma jego ojca. Maksyma, którą razem z tą walizką otrzymał od ojca na drogę. Tiago otworzył walizkę. Boczną kieszeń wypełniały napoje. Przed przeprowadzką przewidująco opróżnił minibar w starej kabynie. Aby jego ucieczka nie rzuciła się oczy i aby przypadkiem nie zgłoszono jego zaginięcia, musiał co jakiś czas wracać do kabiny, co najmniej raz dziennie, żeby rozgrzebać łóżko, rzucić kilka ręczników na podłogę w łazience i zostawić zwyczajowy napiwek na poduszce.

Było tylko jedno pytanie: kiedy?

Teraz, w środku nocy, kiedy korytarze są puste? A może dopiero za kilka godzin, o dziewiątej, w porze śniadania, kiedy trochę będzie go chronił tłok i w razie napaści ktoś może pomóc?

Bezradnie wpatrywał się w puszkę toniku, jakby oczekiwał od niej decyzji. Przy okazji jego wzrok padł na kopertę, którą niechcący ukradł z kabiny Lisy Stiller. Leżała na samym wierzchu, na jego ubraniach.

Tiago wziął ją do ręki.

Do tej pory się powstrzymywał. Był złodziejem, ale nie podglądaczem. Nie węszył dla przyjemności w prywatnych sprawach innych ludzi, a ponieważ w kopercie nie było pieniędzy (upewnił się co do tego jednym rzutem oka), treść listu go nie interesowała.

Z drugiej strony...

Czy przypadkiem nie chodziło tu o ważny dokument? W końcu koperta sprawiała bardzo oficjalne wrażenie. A co, jeśli mała Lisa potrzebuje tego pisma? Jeśli było to na przykład zaświadczenie lekarskie, na którym zapisano dawkowanie ważnych dla życia leków?

Tiago uśmieł się sam z siebie. Już prędzej w kopercie znajdował się kupon lotto, który w następnym losowaniu gwarantował szóstkę. Ewidentnie szukał pretekstu, żeby zaspokoić ciekawość, i przypomniał sobie powiedzenie ojca: „Kiedy kobieta głaszcze kogoś po głowie, czasem chce poznać tylko jego tajemnice”.

Tiago głąaskał zamknięcie koperty i nie mógł się oprzeć.

Wyjął napisany na dwóch kartkach list. Kiedy otworzył pierwszą z nich, uderzył go zapach lawendy.

Prawdopodobnie list do jej pierwszego chłopaka, pomyślał i zdziwił go staranny charakter pisma.

„P” ze zgrabnym wybrzuszeniem u góry, „l” z eleganckim rozmachem, który przechodzi w bardzo ostre

„a”, podobnie jak „n” wyglądające niemal jak żywe.

Litery były przepiękne. W przeciwieństwie do słów, które tworzyły. I do straszego tekstu, w jaki się składały.

„Plan” – przeczytał Tiago i od pierwszego zdania jego wzrok biegł od linijki do linijki, przeskakiwał z akapitu do akapitu. A kiedy doszedł do przerażającego końca i sięgnął po drugą kartkę, na której były odnotowane pozycje wszystkich kamer monitoringu na „Sułtanie”, wiedział już, że nie wolno mu zostać ani chwili dłużej w tej kabinie.

Rozdział 39

Julia słała się na nogach. Nie dała sobie nawet dziesięciu sekund, aby dojsć do siebie. Kaszłac, dysząc i drząc ze zdenerwowania, podniosła się z podłogi, trzymając rękę Daniela Bonhoeffera. Teraz musiała mocno przytrzymać się ramy przesuwanych drzwi, żeby znów nie upaść. Jej wybawca stał obok, z wyciągniętymi rękami na wypadek, gdyby musiał ponownie interweniować.

– Gdzie ona jest? – wycharczała. Ochrypła od krzyku. Jej palce były wciąż białe, bo odpłynęła z nich krew, tak mocno uczepiła się poręczy. Jej nogi drżały, czuła, jak rosna jej krwiaki na rzepkach. Widocznie waliła kolanami o burte, a z wysiłku przegryzła wargi. Czuła w ustach słodki smak krwi.

– Gdzie... jest... moja... córka?

Pokazała na puste łózko.

Przy jej stopach leżały buty. Na podłodze pod narzutą były tylko poduszki.

Nie było ciała. Nie było Lisy.

– Gdzie? – wrzasnęła do Daniela, ale kapitan wzruszył ramionami.

– Przyszliśmy najszybciej, jak to było możliwe.

Wskazał na opalonego oficera w drzwiach kabiny z rozwichrzonymi blond włosami, których każdy kosmyk wydawał się mieć z góry wyznaczone miejsce.

– To jest Veith Jesper, jeden z naszych oficerów bezpieczeństwa – przedstawił go.

– Wszystko przeszukałem – powiedział chępliwie goguś. Zupełnie jakby sprawdzenie mającej trzynaście metrów kwadratowych kabiny w celu znalezienia nastoletniej dziewczyny wymagało kwalifikacji profiler a FBI.

Veith miał stalowe oczy z jasnymi rzęsami, które były gęściejsze niż włosy Daniela. Sprawiał wrażenie dziesięć kilo szczuplejszego, a mimo to silniejszego od kapitana.

– W kabine jej nie ma – potwierdził rzecz oczywistą. Drzwi do łazienki były otwarte, drzwi przejściowe wciąż zamknięte, a pod łózkiem sama sprawdziła.

– Nie spotkaliście jej po drodze? – zapytała Julia.

A może to wszystko to tylko głupi żart? Może Lisa uciekła, kiedy usłyszała, jak wchodzę?

– Nie. – Daniel i Veith jednocześnie pokręcili głowami.

– Nie byłoby to zresztą możliwe – powiedział Veith Jasper. I bezlitośnie wskazał na drzwi.

Mimo paniki, która opanowała Julię, zrozumiała, co miał na myśli.

Łańcuch.

Kołysał się obok framugi drzwi. Uszkodzony. Wyrwany.

Daniel musiał go urwać, kiedy wdzierali się do kabiny.

Ponieważ Lisa założyła łańcuch od środka!

Tak samo jak zamknęła od swojej strony przejściowe drzwi.

– Nie!

Julia przycisnęła dłonie do ust i zagryzła palce. Ponownie odwróciła się w stronę balkonu.

Było dwoje drzwi, którymi można opuścić cabinę.

A Lisa nie mogła użyć żadnych.

Rozdział 40

Każdy człowiek, który wchodzi do swojego mieszkania z uzasadnionym przekonaniem, że jest w nim sam, jest śmiertelnie przerażony, kiedy nagle słyszy czyjś głos dochodzący z półmroku. Nawet jeśli ten głos mówi uspokajająco:

– Proszę się nie bać.

Martin odwrócił się błyskawicznie i odruchowo chwycił ciężką lampkę nocną stojącą na komodzie w foyer jego apartamentu, święcie przekonany, że znów zostanie napadnięty. Ale była to tylko Gerlinde Dobkowitz, która zbliżała się do niego z szerokim uśmiechem na twarzy. Miała na sobie kwiecistą letnią sukienkę z długimi rękawami i zielony jedwabny szal, zakrywający szprychy wózka inwalidzkiego, na którym siedziała.

– Jak pani tu weszła? – zapytał Martin, na wpół zdziwiony, na wpół wściekły. Odstawił lampkę z powrotem na miejsce. Gerlinde zbliżyła się. Szare opony jej wózka zostawiały głębokie koleiny w wykładzinie.

Gerlinde pokazała za siebie, na czarnowłosą, szczupłą kobietę, która nieśmiało wstała z krzesła w salonie, na którym siedziała ze ściśniętymi kolanami.

Miała na sobie staromodny strój pokojówki, składający się z czarnej sukienki, białego fartuszka i śmiesznego czepka, jaki zwykle nosiły sprzątaczkę na „Sułtanie”. W przeciwieństwie do Gerlinde sprawiała wrażenie, że czuje się tu całkowicie nie na miejscu. Stała w jaskrawym świetle lampy, z trudem przełknęła ślinę i ze spuszczonej oczyma chwyciła się za szyję, nie podchodząc bliżej i nie mówiąc ani słowa. Martin ocenił ją na niecałe trzydzieści lat. Miała azjatyckie rysy i sprawiała wrażenie, jakby pod naturalnie cytrynową skórą była niezwykle blada.

– To jest Shahla – wyjaśniła Gerlinde. – Cały dzień czekałam na pana, żeby zorganizować spotkanie, ale nie uznał pan za konieczne wpaść do mnie chociażby na minutę. – Gerlinde zrobiła nadąsaną minę. Jej głos brzmiał jak głos obrażonej babci, która gani wnuka za to, że nie dość często do niej zagląda. – Nawet pan nie zadzwonił!

– Jest już prawie pierwsza w nocy – powiedział.

– Pora mojego oficjalnego obchodu.

– I przy okazji sobie pani pomyślała, że po prostu się do mnie włamię, tak?

Martin zdjął ociekającą wodą skórzaną kurtkę, co sprawiło mu pewną trudność. Miał wrażenie, że w plecach, którymi uderzył o wodę, poprzesuwały się wszystkie kręgi. Najpóźniej rano będzie sztywny jak deska.

– Pomyślałam, że poinformuję pana o najnowszych wydarzeniach. Shahla została napadnięta.

Witamy w klubie.

– Ktoś próbował dowiedzieć się od niej czegoś o dziewczynce, a to znaczy, że sprawca wciąż jest na... – Gerlinde przerwała i poprawiła swoje gigantyczne okulary, które zsunęły się trochę za bardzo na czubek nosa. – Hm, proszę mi powiedzieć... myślę się, czy właśnie posikał się pan ze strachu?

Wskazała na mokrą plamę na dywanie pomiędzy butami Martina.

– Byłem popływać – odparł Martin lakonicznie, co dla zdziwaczałej pasażerki wycieczkowca wydawało się wystarczającą odpowiedzią, ponieważ nie zapytała więcej o mokre ubranie.

– Okej, pani Dobkowitz, Shahla... – Skinął w kierunku wylęknionej pokojówki. – Jak sądzę, dla nas wszystkich był to ciężki dzień, więc chciałbym teraz zostać sam.

Żeby zrzucić te ciuchy. Żeby wziąć gorący prysznic. I całą wannę ibuprofenu.

Ostatek sił roztrwonił na obronę przed pomocnymi dłońmi młodych Brytyjczyków, którzy wyciągnęli go z basenu; wśród śmiechów całej grupy, przekonanej, że jest zalany w trupa, pokuszył się z powrotem na pokład dla naturystów, z którego ten drań, co zrzucił go do basenu, oczywiście już dawno ulotnił się jak kamfora.

Przynajmniej jednak Martin odnalazł swoją komórkę. Przed upadkiem musiała wyslizgnąć mu się z ręki. Ekran był lekko pęknięty, ale aparat wciąż działał. Kiedy zaciskając zęby z bólu, schylił się po niego, zobaczył, że program Skype wciąż jest otwarty. W polu wysyłania informacji tekstowych napastnik zostawił dla niego wiadomość:

„Timmy nie żyje. Następnym razem ty też zginiesz”.

Najpierw Elena, teraz on. Oboje dostali ostrzeżenie. Oczywiście Martin miałby to gdzieś, ale jeśli teraz nie prześpi się choćby godzinę, to za chwilę nie będzie umiał znaleźć nawet sznurowadła, nie mówiąc o osobie, która najwidoczniej znała kulisy zniknięcia jego rodziny.

– Odłóżmy to do rana – powiedział do Gerlinde, ale ona w ogóle go nie słuchała.

– Powiedz mu, co cię spotkało – poleciała Shahli.

Shahla chrząknęła, ale nie wykrztusiła ani słowa. Było widać, że się boi.

– Boże, jakie to uparte – powiedziała ze złością Gerlinde, a potem zwróciła się do sprzątaczk: – Dziecko, o mało nie straciłaś życia. I to zaraz po tym, jak w środku nocy zobaczyłaś zmartwychwstałą Anouk. Na Boga, Shahla, to nie może być przypadek. Skoro nie chcesz porozmawiać o tym ze mną, powiedz to jemu. – Pokazała na Martina. – Powiedz mu, kto to był. On jest z policji, może ci pomóc.

Shahla pokręciła głową i zacisnęła usta.

Martin wiedział, że pokojówka jeszcze długo nie będzie gotowa, aby porozmawiać o incydencie, a już na pewno nie z kimś obcym, a ponieważ w tej chwili on też nie był w nastroju, aby w subtelny sposób nakłonić ją do mówienia, powiedział:

– Mam propozycję, żebyśmy wrócili to tej rozmowy, kiedy wszyscy trochę odpoczniemy.

– No cóż, niech będzie – powiedziała Gerlinde głosem, który zabrzmiał jak: „Co za cholerne mięczaki!”. – Ale proszę jeszcze rzucić okiem na latarkę, żeby moja wyprawa tutaj nie poszła całkiem na marne.

– Jaką latarkę?

– Tę tutaj. – Gerlinde wyjęła ją z uchwytu na napoje w podłokietniku wózka. – Chyba była cały czas włączona, baterie są bardzo słabe.

Zapaliła małą latarkę w kształcie ołówka i zademonstrowała ledwo widoczny, blady promień światła.

– Powiedziałabym o tym już dużo wcześniej, gdyby nie wypadł pan z mojej kabiny jak bomba, kiedy wymieniłam nazwisko Bonhoeffera.

Martin spojrzał na nią podejrzliwie.

– Miś nie był jedyną rzeczą, jaką Anouk wrzuciła do kosza na śmieci.

Wzruszył ramionami.

– Okej, no dobrze. A zatem, kiedy ją znaleziono, miała przy sobie jeszcze latarkę

Oprócz misia.

Gerlinde skinęła głową.

– Więc jednak nie jest pan taki tępy, na jakiego wygląda.

– Chyba jednak jestem. Bo niby co ma z tego wynikać?

– Że jest wreszcie pierwszy dowód na moją teorię Pokładu Bermudzkiego.

Martin przypomniał sobie podwójnie podkreśloną nazwę na tablicy ściennej w gabinecie Gerlinde.

– Co to znowu za Pokład Bermudzki? – spytał i był to duży błąd, ponieważ dał starszce wspaniałą pretekst do dalszych wywodów, który natychmiast wykorzystała.

– Już mówię. Najpierw mam jednak pytanie: dlaczego trzyma się dziewczynkę w ukryciu?

– Aresztowanie statku kosztowałoby miliony – powiedział i wskazał ręką drzwi. – Pani Dobkowitz, proszę...

– I zagroziłoby dealowi z chilijskim inwestorem, słusznie. Ale wcześniej czy później FBI i tak wparuje na pokład.

– Nie, jeśli dziewczynka znów zniknie.

– No tak. A więc to oczywiste, że zniknie. Ale dopiero wtedy, kiedy będzie można zaprezentować władzom jakąś w miarę wiarygodną teorię.

– Mniej więcej coś takiego słyszałem już od kapitana – mruknął Martin, niestety nie dość cicho, żeby nie usłyszała go Gerlinde.

– Bonhoeffer? – zaskrzeczała z przejęciem. – Niech pan nie wierzy w ani jedno jego słowo, on za głęboko w tym siedzi. Powiem panu, co myślę: otóż nikt nie ma zamiaru zabić tej dziewczynki. Chodzi tylko o to, żeby to biedne dziecko jak najszybciej zniknęło z powrotem tam, skąd przyszło, i to w taki sposób, żeby władze nie miały pretekstu do przeszukania całej łajby.

– I niby jak miałyby się to odbyć? – zapytał Martin, wyraźnie zaciekawiony.

– Pokazując władzom fałszywego sprawcę i fałszywą kryjówkę, aby odwieść je od szukania prawdziwego sprawcy i prawdziwej kryjówki.

– Dlaczego armator miałby zadawać sobie aż tyle trudu?

Martin zdjął buty w nadziei, że będzie to wystarczająco wyraźny znak. Jeśli to nie pomoże, będzie chyba musiał własnoręcznie wypchnąć jej wózek za drzwi.

– Ponieważ prawdziwym celem biznesowym „Sułtana” nie jest transport pasażerów, lecz to, co dzieje się na Pokładzie Bermudzki. O, proszę.

Wyciągnęła spod siedzenia koszulkę z przezroczystej folii z plikiem kartek maszynopisu.

– To jest właśnie temat mojej książki, nad którą już od lat pracuję z Gregorem.

Pośliniła kciuk i przez chwilę kartkowała maszynopis, żeby w końcu wyjąć jedną kartkę i podać ją Martinowi.

– Proszę przeczytać ostatni akapit.

Bosy i w rozpiętej koszuli wziął od niej kartkę. Domyślając się, że jakkolwiek sprzeciw będzie jeszcze większą stratą czasu, przeczytał na głos:

– „Gerlinde była jak zawsze zdumiona wielkością jego szlachetnego przyrodzenia, które się przed nią

prężyło, lecz nie czas teraz na rozkosze, które zapowiadało...” – Skonsternowany podniósł wzrok. Machnęła niecierpliwie ręką, żeby czytał dalej. – „...jego dumne berło. Nic z tego, dopóki nie dowie się, czy mężczyzna, który podarował jej najwspanialsze orgazmy w jej siedemdziesięcioletnim życiu, wcale nie mieszka w kabinie 8056, lecz tak naprawdę pracuje na sekretnym, niezaznaczonym na planach konstrukcyjnych międzypokładzie, z którego w regularnych odstępach czasu znikają na zawsze pasażerowie, i który właśnie dlatego...

– ...nazywany jest Pokładem Bermudzkim – dokończyła Gerlinde teatralnie złowieszczym tonem. – To powieść z elementami autobiograficznymi. Nieco odmłodziłam moją główną bohaterkę.

Ale zwariowana jest nie mniej niż pierwowzór.

– No dobrze, a teraz niech pan pyta.

– O co?

– Co się dzieje na tamym pokładzie.

– Szczerze mówiąc, chcę po prostu tylko...

– Szmugłowanie ludzi – odpowiedziała sama sobie. – Nie jestem tylko jeszcze pewna, czy pasażerowie znikają wbrew własnej woli, czy też nawet za to płacą.

– Płacą?

Martin roześmiał się, a kiedy stwierdził, że Gerlinde nie ma najmniejszego zamiaru opuścić razem z Shahlą jego kabiny, wyszedł po prostu do łazienki.

– Niech pan nie przewraca oczami – usłyszał głos Gerlinde przez zamknięte drzwi łazienki. – Przestępcy, oszuści podatkowi, uciekinierzy. Jest dość bogatych ludzi, którzy za pieniądze chcą kupić sobie nowe życie, i pan, jako pracujący pod przykrywką oficer śledczy, wie o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Nie ma lepszego miejsca na świecie, żeby rozplątać się w powietrzu, niż łajba taka jak ta.

– Skończyła pani? – zapytał Martin, który w tym czasie zupełnie się rozebrał i wytarł.

Widocznie nie, ponieważ mówiła dalej przez drzwi:

– Klienci płacą milionik albo dwa. Oficjalnie ich zniknięcie deklaruje się jako samobójstwo, dlatego jest tak dużo przypadków, o których zazwyczaj mówi się: „Dobrowolne odejście z tego świata? To przecież nie pasuje”. I niedowiarkowie mają rację, ponieważ rzekome ofiary nieoficjalnie przebywają...

– ...na Pokładzie Bermudzkim?

– A czemuż by nie? Ale być może chodzi też o państwowy program ochrony świadków. Wtedy powinna być tu nawet sala operacyjna i chirurg plastyczny, który funduje pasażerom nowy wygląd.

Martin pokręcił głową i włożył płaszcz kąpielowy.

– A jak ta pani teoria pasuje do Anouk?

– To proste. Jej matka zmusiła ją do wzięcia udziału w programie, ale biedna dziewczynka wcale nie miała ochoty na nowe życie. To, co działo się na Pokładzie Bermudzkim, musiało być tak dramatyczne, że uciekła. Taka jest prawda i musi być na tyle niewygodna, że warto było posunąć się nawet do tortur, żeby dowiedzieć się, ile ta biedna pokojówka tak naprawdę widziała.

Martin wyszedł z łazienki.

– Okej, pani Dobkowitz. Wystarczy.

Zobaczył, że Shahla zamierza już wyjść, ale Gerlinde zagradza jej drogę wózkiem.

– Jeszcze tylko jedno pytanie i już nas nie ma: czy szukał pan kiedyś w internecie planów dolnych

pokładów we wnętrzu statku wycieczkowego?

– Nie.

– I nie musi pan. Bo i tak by ich pan nie znalazł. Wszystko poniżej pokładu trzeciego jest tajne. Nie ma żadnych ogólnie dostępnych planów.

Gerlinde odwróciła się do pokojówki.

– Shahla, powiedz mu, co kapitan powiedział ci o dziewczynce.

Młoda kobieta zareagowała na słowa staruszki jak uczennica na początku ubiegłego stulecia na słowa nauczyciela.

– Powiedział, że myślał, ona duch – odpowiedziała.

– Jak to?

– Nagle już była. Tuż przed nim. Chociaż nigdzie drzwi. Potem uciekła.

– Widzi pan! – Gerlinde spojrzała znacząco na Martina. – Anouk pojawiła się nagle, jakby znikąd, i znalazła się na środku pustego korytarza, jeśli pominąć moją osobę, chociaż nigdzie w pobliżu nie było drzwi.

– I miała ze sobą latarkę – dokończył sarkastycznie Martin.

– Zgadza się, latarkę ze słabymi bateriami. Ponieważ musiała długo szukać tajnego wyjścia.

Martin popukał się w czoło i chwycił rączki jej wózka inwalidzkiego.

– A więc twierdzi pani, że armator woli wmówić władzom, że sprawcą jest psychopatyczny seryjny zabójca i urządzić gdzieś kabinę, która będzie później przedstawiana jako miejsce przetrzymywania zaginionych osób, niż podjąć ryzyko, że podczas przeszukania statku policja znajdzie Pokład Bermudzki?

– No, załapał pan! – pochwaliła go Gerlinde, kiedy Martin pchał ją w kierunku drzwi. – Anouk nie miała prawa znów się pojawić. To naraża na niebezpieczeństwo cały wielomilionowy biznes. Tylko dlatego nie poinformowano do tej pory władz.

– Za pozwoleniem, ale to kompletna bzdura.

– Ach, tak? – Przekręciła głowę do tyłu i jednocześnie wskazała na drzwi. – W takim razie jak pan wyjaśni...

Urwała w połowie zdania, nie zamykając ust.

– Co jest? – zapytał Martin i odwrócił się. Shahla stała dwa kroki za nim, z przechyloną na bok głową, jakby czegoś uważnie nasłuchiwała.

– Co się z wami dzieje? – zapytał i w tym momencie też to usłyszał.

Statek. Odgłosy.

Wszechobecne głuchoe wibracje generatorów ucichły.

„Sułtan” już nie płynął.

Rozdział 41

Za późno.

Tiago już z daleka widział otwarte drzwi kabiny, przez które jasne światło oświetlało korytarz jak reflektor samochodowy, i wiedział, że nie zdąży zapobiec nieszczęściu.

Gdybym tak otworzył kopertę trochę wcześniej!

Z listem Lisy w ręku szedł powoli w kierunku kabiny, którą dzień wcześniej przeczesał w poszukiwaniu gotówki. Teraz panowała tu niezwykła jak na tę porę krzątanina. Co prawda nie widział ani nie słyszał znajdujących się w środku ludzi, ale ich ciała rzucały drżące cienie na korytarz za każdym razem, kiedy zasłaniały stożek światła wychodzący z kabiny.

Zatrzymał się i zastanowił, czy jest jeszcze sens się zgłosić. Wiedział, dlaczego drzwi są otwarte i czego ci ludzie tam szukają. Było to napisane w liście, który z powrotem wsunął do kieszeni spodni.

Jednocześnie uświadomił sobie, że nie słyszy odgłosu pracy silników. Wprawdzie statek się kołysał, ale Tiago nie czuł wibracji. W momencie kiedy dotknął poręczy biegnącej wzdłuż ściany, z kabiny wyszedł on.

O, kurwa....

Tiago odwrócił się, niestety nie dość szybko. Oficer bezpieczeństwa rozpoznał go.

– Hej! – usłyszał okrzyk mężczyzny, który torturował pokojówkę kawałkiem szkła, i już samo to „hej” zabrzmiało tak, jakby kawałki szkła nie nadawały się nawet na drobną przekąskę przed tym, co zamierzał mu zaserwować.

Tiago popełnił błąd i odwrócił się. Byli sami w korytarzu. On i oficer, który bez namysłu wystrzelił jak z procy w jego kierunku.

Jasna cholera!

Tiago pobiegł z powrotem trasą, którą przyszedł. Pum, pum, pum – słyszał uderzenia ciężkich butów na grubym dywanie, podkreślane szumem jego własnej krwi, ścieżką dźwiękową narastającego strachu.

Walnął ramieniem w skrzydło wahadłowych drzwi na klatkę schodową i nacisnął przyciski wind, a kiedy żadna się nie otworzyła, bez zastanowienia rzucił się schodami w dół. Cóż, gdyby się zastanowił, uświadomiłby sobie, że biegnie w kierunku wnętrza statku, do części, którą surfer dobrze znał.

Wypadł na szeroki korytarz. Mosiężna tabliczka zdradziła mu, gdzie się znajduje.

Pokład numer 3. Gdzie? Gdzie teraz?

Sklepy były zamknięte, atrium puste, teatry nieczynne. Stał, rozejrzał się dookoła.

Kasyno. Przecież tu jest kasyno. A tam cały czas...

Łup!

Usłyszał chrzęst własnych kości, kiedy padł na ziemię, jakby trafiła go kula do wyburzania murów.

Próbował złapać oddech, ale coś leżało mu na twarzy. A także na jego całym ciele.

Poczuł kopnięcie między nogi i od podbrzusza przez rdzeń kręgowy przetoczył się walec bólu. Nagle nim szarpnęło, głowa w coś uderzyła (albo coś uderzyło w głowę?), ale żadna siła na świecie nie byłaby w stanie uwolnić jego rąk, które przyciskał do krocza, żeby choć trochę uśmierzyć ból, od którego omal

nie eksplodowały mu jądra.

Poczuł, że wargami dotyka metalowej listwy, może progu, ale oczy miał zamknięte, ponieważ w jego ciele po prostu nie było ani jednego mięśnia, którego by w tej chwili nie napinał, a dotyczyło to nawet tych, które sterowały jego powiekami. Tiago dostał skurczu całego ciała.

– Mam cię – powiedział oficer. Tuż obok trzasnęły drzwi.

Tiago odwrócił się na bok, z ust ciekła mu ślina. Rozejrzał się dookoła. Próbował się zorientować, dokąd zaciągnął go oficer. Walec wciąż parkował na jego jądrach, przetaczając się to w przód, to w tył, aby tylko nie dopuścić do schłodzenia ogniska bólu.

Tiago widział nogi krzesła, materac, drzwi. Czuł zapach śluzu i smarków, które ciekły mu z nosa, i znów zamknął oczy, ponieważ nie chciał widzieć, jak wymiotuje.

Ale zanim zdołał zwrócić orzeszki ziemne, które jadł ostatnio, coś rozwarło mu szczęki i poczuł w ustach osobliwy metaliczny smak, który na pewno nie był krwią, bo Tiago zbyt często w dzieciństwie krwawił z nosa, żeby nie potrafił tego poznać.

Znów otworzył oczy. Ujrzał nad sobą wykrzywioną nienawiścią twarz oficera. I poczuł, jak lufa rewolweru, którą tamten wetknął mu do ust, wsuwa się głębiej do gardła.

– Mmmm – stęknął Tiago, co miało znaczyć: „Proszę, niech pan zaczeka. Mam coś, co powinien pan zobaczyć”. Rewolwer w ustach uniemożliwiał sformułowanie jakiegokolwiek wyraźnego słowa.

Broń i ból.

Tiago gorączkowo szukał wyjścia, możliwości, żeby się uwolnić, obronić przed napaścią, ale scenariusz killera nie przewidywał efektownego zakończenia.

Żadnego wahania. Żadnej rozmowy wyjaśniającej prawdziwe motywy jego działania, tak aby zbliżający się wybawca zdążył pojawić się z pomocą na białym koniu. Żadnej zwłoki, podczas której ofiara mogłaby się podstępem uwolnić.

Koniec. Już po mnie.

Tiago nie będzie miał okazji pokazać szalonemu oficerowi listu Lisy i wytłumaczyć mu, dlaczego tak cholernie ważne jest, żeby go przeczytała matka dziewczyny. Albo kapitan.

Killer się nie śmiał, nie demonstrował swojej przewagi, rozkoszował się wszechwładzą, nawet nie pozwolił mu zebrać o litość. Szybkim ruchem wyjął mu z ust lufę rewolweru, z odległości niecałych dwudziestu centymetrów wycelował w czoło Tiago i z nienawiścią wysyczał:

– Ty pedofilski skurwysynu.

I strzelił.

Rozdział 42

Dlaczego się zatrzymaliśmy?

Martin zagroził drogę kapitanowi, kiedy ten zamierzał opuścić swoją kabinę, żeby udać się na mostek.

Kiedy Martinowi w końcu udało się pozbyć nieproszonych gości (Shahla była wyraźnie zadowolona, że wreszcie może odejść, Gerlinde natomiast wyjechała z jego apartamentu zawzięcie protestując), na krótko położył się na łóżku, szybko jednak się zorientował, że nie znajdzie spokoju, dopóki statek znów nie ruszy.

Ponieważ wyłączono generatory, przestała działać również stabilizacja. Każde klaśnięcie fali o burzę było dwa razy głośniejsze, a kołysanie i przechyły liniowca stały się tak silne jak nigdy dotąd.

– Prace konserwacyjne – wyjaśnił Bonhoeffer, trzymając rękę na klamce drzwi, za którymi kryło się wąskie prywatne wejście na mostek.

Martin nie wierzył w ani jedno jego słowo.

– Konserwacja? W środku nocy?

Przed opuszczeniem kabiny szybko narzucił na siebie kilka ciuchów, które kupił wczoraj w pokładowym sklepie. Ponieważ nie zamierzał zostać na „Sułtanie”, wziął ze sobą wyłącznie bieliznę oraz skarpetki na zmianę, a i to tylko na jeden dzień. Teraz miał na sobie szarą, stylizowaną na dawną modę koszulkę polo z godłem armatora oraz czarne dżinsy, w których musiał podwinąć nogawki, ponieważ były o wiele za długie. Nie kupił jednak butów, wobec czego stał teraz przed kapitanem boso. Tylko zdolności do szybkiej reakcji zawdzięczał, że znów nie był przemoczony do suchej nitki. Kiedy szedł do Bonhoeffera, omal nie zderzył się z nietrzeźwym pasażerem, który ze świecącym w ciemnościach neonowym drinkiem w dłoni wytoczył się z wejścia do dyskoteki na pokładzie 11.

– Przepraszam, ale naprawdę mam teraz coś do zrobienia – próbował go spławić Bonhoeffer. – Muszę...

Ostatecznie jednak zdjął rękę z klamki i machnął nią zmęczonym ruchem, nie kończąc zdania, jakby i tak wszystko było na darmo.

– Nie ma co, i tak muszę zaraz wydać komunikat, więc równie dobrze mogę to panu powiedzieć teraz.

– Jeszcze jeden „pasażer 23”? – zapytał Martin.

Bonhoeffer skinął głową. Ciemne obwódki pod jego oczami wyglądały jak namalowane. Dotknął nasady nosa, którą przykrywał już tylko gruby plaster

– Lisa Stiller, lat piętnaście, z Berlina. Właśnie pokazujemy jej fotografię w telewizji pokładowej, na wypadek, gdyby ktoś ją widział. Była mobbingowana w internecie i zostawiła list pożegnalny.

– Kiedy? – Martin odwrócił nadgarstek, aby spojrzeć na zegarek, i już sam ten ruch boleśnie podrażnił jego mięsień barkowy. Za to na chwilę ustał ból zębów i głowy.

– Kiedy przypuszczalnie wyskoczyła za burzę? Do 21.44 matka i córka jadły kolację, potem obie poszły do swoich kabin. Według komputera Lisa ostatni raz użyła swojego elektronicznego klucza o 21.59.

Pozostaje okienko maksymalnie trzech godzin.

W tym czasie „Sułtan” pokonał dobre pięćdziesiąt mil morskich.

– Co mówi kamera monitoringu? – zapytał Martin.

– Nic.

Bonhoeffer uniósł obie ręce jak bokser, który chce osłonić głowę przed ciosem.

– Nie, to nie jest tak jak w przypadku pańskiej rodziny – powiedział szeptem, chociaż nikogo nie było w pobliżu. – Mamy nagrane, jak dziewczyna czarną farbą w sprayu pryska w obiektyw. To było o 21.52. musiała dokładnie wiedzieć, gdzie znajduje się kamera, która jest skierowana na jej balkon i kabinę.

W głosie Bonhoeffera słychać było nerwowość wykraczającą poza zwykłą miarę zawodowego zaangażowania. Kapitan znów chciał się odwrócić, ale Martin go powstrzymał.

– Co teraz? – zapytał.

– Zatrzymaliśmy „Sułtana” i za pomocą reflektorów oraz lornetek przeszukujemy z mostka morze. Jednocześnie dziesięciu moich ludzi przeczesuje wszystkie ogólnie dostępne strefy. Za chwilę zaczniemy podawać komunikaty. Ale nie sądzę, żebyśmy mieli duże szanse. – Wyjaśnił Martinowi, że zarówno drzwi wejściowe, jak i przejściowe do kabiny jej matki były zamknięte od środka, w przeciwieństwie do otwartych na oścież drzwi balkonowych.

– Matka i córka podróżowały bez ojca?

Kapitan przytaknął.

Samotnie podróżujące jedno z rodziców, zaginione dziecko.

Powoli wyłaniał się pewien schemat, ale Martin nie potrafił rozpoznać, na jaki obraz się składa. Albo stał za daleko od tablicy z rozwiązaniem, albo był zbyt blisko niej.

– Gdzie jest teraz matka? – zapytał Bonhoeffera.

– Julia Stiller jest... – Kapitan wyglądał, jakby właśnie przyszła mu do głowy genialna myśl. – Tak, to jest pomysł – powiedział z przejęciem i wyjął elektroniczny klucz z kieszeni na piersi służbowej koszuli. Wskazał głową na drzwi swojej kabiny.

– Czeka u mnie. Niech pan z nią porozmawia. Przyda jej się psycholog.

Rozdział 43

Nagle w kabinie zastała tego mężczyznę. Wysoki, łysy, z ogromnym nosem i spojrzeniem, które było tak zmęczone, jak ona sama się czuła. Julia weszła na chwilę do łazienki, nabrała wody w dłonie, ochlapała sobie twarz i zaczęła wrzeszczeć do lustra. Kiedy wróciła do salonu w tych śmiesznych jednorazowych kapciach, które serwis pokładowy zawsze stawia każdemu przy łóżku, otulona w biały płaszcz kąpielowy, który narzucił jej na ramiona Daniel, czekał tam już na nią ten nieznajomy.

– Kim pan jest? – Jej serce zaczęło bić szybciej, a ciśnienie odpowiedzialne za wyciskanie łez, wzrosło. Automatycznie założyła najgorsze: że Martin ze swoim smutnym wzrokiem jest posłańcem, który ma jej przekazać wiadomość, z jaką ona nie jest w stanie się pogodzić.

– Nazywam się Martin Schwartz – powiedział po niemiecku, z lekkim berlińskim akcentem. W normalnych okolicznościach zapytałaby go, w jakiej dzielnicy mieszka i czy przypadkiem nie są sąsiadami.

– Pan tu pracuje? Szuka pan mojego dziecka? Czy jest coś nowego? Wciąż szukają Lisy, prawda? Może mi pan pomóc?

Słyszała swoje paplanie, nieprzerwany potok słów, mający pewnie na celu niedopuszczenie Martina Schwartz do słowa, żeby nie mógł jej powiedzieć, że coś znaleźli.

Nagranie, jak Lisa skacze, element ubrania w morzu.

Rękawem szlafroka wytarła nos i zauważyła, że wyglądający na wyczerpanego mężczyzna nie ma na nogach butów ani skarpetek, co ją w dziwny sposób uspokoiło, ponieważ na pewno nie wysłano by do niej bosego posłańca, aby ją powiadomić, że jej córka nie żyje.

A może jednak?

– Kim pan jest? – zapytała jeszcze raz, zalekniona.

– Kimś, kto dobrze wie, jak się pani teraz czuje. – Podał jej chusteczkę higieniczną.

– Wątpię – powiedziała ledwie słyszalnym, matowym głosem. Świeże łzy napłynęły jej do oczu i odwróciła się do drzwi prowadzących na taras, nie dlatego, że nie chciała płakać przy kimś obcym, ale dlatego, że nie mogła dłużej znieść tego przekłętą współczucia w jego oczach. W odbiciu na ciemnej szybie zobaczyła, jak porusza ustami.

– Czuje się pani, jakby każda pojedyncza myśl zanurzała się w syropie i otaczała się z drobnymi odłamkami szkła – usłyszała. – Im intensywniej myśli pani o swoim dziecku, tym te myśli bardziej rozdrapują otwarte rany w pani sercu. Jednocześnie w pani głowie słychać co najmniej dwa głosy: jeden krzyczy na panią, dlaczego pani nie było, kiedy córka potrzebowała pomocy, i jak to możliwe, że nie zauważyła pani znaków. Drugi głos pyta z wyrzutem, jakim prawem siedzi pani tutaj beczynnym, kiedy sens pani życia rozplątał się w powietrzu. Jednak kakofonia w głowie oraz mój głos i w ogóle wszystko, co pani słyszy dookoła, jest przytłumione i zagłuszone, jakby dochodziło przez zamknięte drzwi. I podczas gdy strach o córkę staje się coraz cięższy, tak ciężki jak wszystkie ciężary tego świata razem wzięte i jeszcze dwa tysiące kilogramów więcej, wokół istotnych dla życia narządów zaciska się pierścień, tamuje dopływ powietrza do płuc, ściska żołądek, wyhamowuje bicie serca i ma pani

poczucie, że już nigdy nie będzie się pani śmiać, tańczyć, żyć. Ma pani ma pewność, że już nigdy nie będzie dobrze i że wszystko, co kiedykolwiek się liczyło, wschód słońca po imprezie, ostatnie zdanie dobrej książki, zapach świeżo skoszonej trawy na krótko przed letnią burzą, że to wszystko już nigdy nie będzie miało najmniejszego znaczenia, dlatego już teraz się pani zastanawia, jak najlepiej pozbyć się tych myśli kłujących jak odłamki szkła i szumów w uszach, gdyby przypuszczenie miało przerodzić się kiedyś w okrutną pewność. Mam rację? Czy mniej więcej to właśnie pani czuje, pani Stiller?

Odwróciła się, całkowicie oszołomiona jego monologiem. I prawdą zawartą w jego słowach.

– Skąd...?

Popatrzyła na jego mokrą od łez twarz i nie musiała już kończyć pytania.

– Pan też kogoś stracił – stwierdziła.

– Pięć lat temu – powiedział po prostu i najchętniej spoliczkowałaby go, ponieważ właśnie uświadomił jej, że ten nie do zniesienia stan, w którym się znajdowała, może trwać całe lata.

Nie zniosę tego nawet przez jeden dzień, pomyślała i zaraz przeszła jej przez głowę myśl, że Martin Schwartz też tego nie zniósł. Stał przed nią, mówił, oddychał, płakał, ale już nie żył.

Zamknęła oczy i zaczęła szlochać. W filmie byłaby to scena, w której wypłakałaby się temu nieznanemu na ramieniu. W prawdziwym życiu przy najlżejszym dotknięciu zaczęłaby wściekle walić na oślep.

– Po co w ogóle wchodziłyśmy na ten statek? – jęknęła.

Gdybym odebrała telefon od Toma chociaż minutę wcześniej...

– To idealne miejsce do popełnienia samobójstwa. Sam Daniel to powiedział.

– Daniel? Zna pani osobiście kapitana? – Martin Schwartz spojrzał na nią podejrzliwie.

– Tak, jest ojcem chrzestnym Lisy. To on ją zaprosił.

– Kogo zaprosiłem?

Oboje odwrócili się do drzwi, które otworzyły się bezgłośnie. Daniel otworzył szafę w przejściu i wyjął kurtkę przeciwdeszczową.

– Lisę. Na ten rejs.

Kapitan pokręcił głową zdziwiony.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

Julia gapiała się na niego jak na istotę pozaziemską.

– Jak to? Przecież podarowałeś jej ten przeklęty rejs w prezencie na urodziny!

– Nie, Julio. Mylisz się.

– Mylę się? Co z tobą, Daniel? Przecież rozmawialiśmy przez telefon dokładnie w jej urodziny. Nawet ci wtedy dziękowałam.

Poczuła, jak ze zdenerwowania krew uderza jej do głowy. Daniel znów pokręcił przecząco głową, ale widać było, że nad czymś się zastanawia.

– Myślałem, że dziękujesz mi za podwyższenie standardu. Kiedy zobaczyłem rezerwację, przeniósłem was z jednej wewnętrznej kabiny do dwóch kabin z balkonami. Ale nie ja zrobiłem rezerwację, przysłała zwykłą drogą przez internet. Nawet się zdziwiłem, że nie zgłosiłaś się do mnie wcześniej.

– Czy to ma znaczyć...

Zagryzła dolną wargę.

– Źe Lisa cię okłamała – powiedział Bonhoeffer.

– Gorzej – wtrącił stojący z boku nieznajomy.

Martin Schwartz spojrzał twardo w oczy najpierw Danielowi, a potem jej i powiedział:

– To znaczy, że pani córka od dawna to wszystko planowała.

Rozdział 44

Jedno z rodziców. Jedno dziecko. Ktoś trzeci, kto płaci za rejs, ale nie ma go na pokładzie.

Tak jak w przypadku Naomi i Anouk Lamar.

Tak jak w przypadku Nadji i Timmy'ego.

Analogie stawały się coraz bardziej wyraźne.

I choć Martin nie potrafił zinterpretować wskazówek, wiedział, że nie mógł to być przypadek.

– Ale skąd... skąd..., to znaczy... taki rejs jest drogi, skąd Lisa miała na to pieniądze? – zapytała skonsternowana matka, jakby samą siebie.

– Czy rezerwacja została opłacona kartą kredytową, przekazem czy może poleceniem zapłaty? – chciał wiedzieć Martin.

– Musiałbym sprawdzić – powiedział Bonhoeffer i pośpiesznie spojrzął na zegarek. Najwidoczniej w każdej chwili spodziewano się jego powrotu.

– Lisa nie miała karty kredytowej – powiedziała Julia, a potem przycisnęła obie dłonie do ust.

– O mój Boże, wideo! – wydyszała.

– Jakie wideo? – zapytał Martin.

Kapitan odłożył kurtkę na komodę i kręcąc głową, wszedł do salonu.

– To absurd, Julio, dobrze to wiesz. – Chciał ją objąć, ale mu się wywinęła.

– Że niby co wiem? – krzyknęła na niego. – Gdybym znała moją córkę, byłaby teraz ze mną, a nie gdzieś... – Głos się jej załamał.

– O jakie wideo chodzi? – spróbował jeszcze raz Martin.

– Pokazuje rzekomo jej córkę, jak prostytutuje się na ulicy – wyjaśnił mu Bonhoeffer. Potem znów zwrócił się do Julii: – To jest wstrętna fałszywka, jak wszystkie plotki na iSharerumors. Lisa stała się ofiarą mobbingu, a nie prostytutką, która swoim ciałem zarabia pieniądze na wycieczkę.

Coś zatrzeszczało w suficie kabiny i Martin usłyszał szept, który stał się głośniejszy, kiedy kapitan przekreślił gałkę w ścianie.

– ... prosimy państwa o przełączenie na kanał 5. Lisę Stiller widziano ostatnio wczoraj podczas kolacji w sali Georgica. Przepraszamy za nocne zakłócenie spokoju, ale mamy nadzieję, że dzięki państwa pomocy...

Bonhoeffer ponownie ściszył głos komunikatu dochodzącego z głośnika. W tym czasie Martin znalazł pilota na szklanym stoliku i włączył telewizor plazmowy. Kanał 5 pokazywał zbliżenie zdjęcia zeskanowanego z biometrycznego paszportu, na którym nie wolno się uśmiechać, dlatego młoda, niewyspana dziewczyna o bladej cerze i kruczoczarnych włosach sprawiała wrażenie ponurej. Jej widok sprawił, że Julia wybuchnęła płaczem, a serce Martina zaczęło bić ze zdwojoną prędkością.

– Znam ją – powiedział ze wzrokiem utkwionym nieruchomo w ekran telewizora. – Całkiem niedawno ją widziałem.

Rozdział 45

Co takiego? – zapytali jednym tchem Bonhoeffer i matka.

– Zna pan Lisę?

Martin skinął głową w stronę Julii.

– Widziałem ją. Tu, na statku.

– Gdzie?

– Na dole.

– Co znaczy na dole?! – krzyknęła Julia.

Martin wymienił spojrzenie z kapitanem, który od razu zrozumiał, co miał na myśli.

Na dole. Pokład A. Strefa dla personelu.

Martin uderzył się dłonią w głowę. Tępy ból znów pulsował w prawej skroni.

Lisa Stiller minęła go na korytarzu wczoraj rano, kiedy pierwszy raz Elena zabrała go do Anouk.

– Co za idiota ze mnie, powinienem od razu się skapować.

Żadnej pokojówce nie wolno mieć piercingu na tym konserwatywnym statku. Ona nie była jedną z tych na dole. Czego, do diabła, ona tam szukała? I jak w ogóle tam weszła?

Ból rozchodził się od czoła aż do nasady nosa. Z oczu płynęły mu łzy, kiedy próbował zrozumieć, jaki to wszystko ma ze sobą związek.

Timmy skacze drugi, ale bez swojego misia, ponieważ ma go Anouk, która wie, jak się nazywam, i jest w Hell's Kitchen, gdzie spotykam Lisę, której podróż opłacił ktoś...

Pomyślał o dziadku Anouk, o jego blogu („Na tej kurwie, co tak się pieprzyła z moim synem, że aż dostał raka, połamią sobie zęby nawet rekiny”) i podczas gdy ból jak palnik spawalniczy frezował mu strefę od potylicy aż po kark, przypomniał sobie o latarce; o tym, jak Anouk lubiła rysować; jak się drapała; wzdęta jak balon twarz Eleny zamieniła się w twarz pijanego dyskotekowicza z neonowym drinkiem... i przez krótką chwilę to miał.

Odpowiedź.

Rozwiązanie.

Nagle wszystko stało się jasne, ale zaraz zatrzeszczało mu w obu uszach. Tym razem nie był to głośnik pokładowy, lecz zawór przelewowy w jego głowie, który otworzył się samoistnie.

I podczas gdy przejęte głosy wokół niego stawały się coraz cichsze, przed oczyma duszy Martina zaszło słońce i świat zrobił się czarny.

Rozdział 46

Naomi

Dopuszciliśmy się zdrady małżeńskiej. W najobrzydliwszy z możliwych sposób. Uprawiałam seks za pieniądze.

Zacząłem się od nieporozumienia w czasie moich studiów; wtedy nazywałam się jeszcze Naomi McMillan. Pracowałam jako hostessa na stoisku targowym z wyposażeniem samochodowym w San Francisco, aby w czasie przerwy semestralnej dorobić trochę do stypendium. Wszystkie dziewczyny zakwaterowano w jednym hotelu na terenie targowym. Ostatniego dnia zrobiliśmy sobie zwariowaną imprezę w barze. Tu poznałam młodego, przystojnego faceta z Chicago. Śmieliśmy się, piliśmy i tak od słowa do słowa obudziłam się rano w jego pokoju. On już wyjechał, ale coś mi zostawił: dwieście dolarów w gotówce.

Mężczyzna myślał, że jestem prostytutką.

Pamiętam jeszcze, że bitą godzinę wpatrywałam się w pieniądze na nocnym stoliku. Cała się trzęsłam, ale nie z wściekłości na tego faceta, którego nazwiska nawet nie znałam, a którego imię jest bez znaczenia. Po prostu nie poznawałam samej siebie. Zamiast spalić się ze wstydu i poczuć się tanią dziwką, uznałam, że sytuacja, w której oddałam się za pieniądze obcemu mężczyźnie, w głębi duszy mnie podnieca. I to w sposób – i to jest najgorsze w tej historii – który skłonił mnie, aby to powtórzyć.

W następnej przerwie semestralnej zaczęłam całkiem świadomie chodzić do hoteli targowych. W mini, wyzywająco umalowana. Siadałam przy barze. Mój mąż nigdy się nie dowiedział, w jaki sposób finansowałam sobie studia.

Drogie torebki.

Podróże do Europy.

Wiem, że to, co robiłam, jest nie tylko złe, ale chore. Bo chociaż w którymś momencie miałam więcej pieniędzy, niż mogłam wydać, to nie skończyłam z tym nawet po nocy poślubnej”.

Pająk dał sobie czas na skomentowanie jej przyznania się do winy. Ponad dziesięć godzin według zegara na ekranie notebooka.

Przez ten czas, siedząc w kucki na zimnej podłodze studni i czekając na wiadro, Naomi o mało nie oszalała.

Jej ramiona, gdzie pod skórą jeszcze kilka dni temu czuła robaki, już nie swędziały, tak samo jak szyja, gdzie pasożyty wiły się pod skórą, zwłaszcza nocą, tak że co chwila się budziła.

Teraz nie czuła już pieczenia i pulsowania, za to silny ucisk za lewym okiem i było dla niej jasne, co to oznacza.

Ale jak się podrapać za gałką oczną?

Naomi chciałyby mieć twardsze paznokcie, które by się ciągle nie łamały. Najlepiej długie i spiczaste jak nóż, ponieważ mogłyby wtedy od razu to wszystko zakończyć.

Bez tej okropnej gry w pytania i odpowiedzi.

Kiedy czekała na odpowiedź, nagle zatrzymały się silniki. Niespodziewanie. Tak po prostu. Byli w porcie? Ale w takim razie dlaczego tak nią bujało?

Po bardzo, bardzo długim czasie otworzył się nad nią luk i z ciemności zjechało wiaderko z notebookiem. Razem z karą, ponieważ jej przyznanie się do winy najwyraźniej nie zadowoliło Pajaka:

„Seks za pieniądze? Rzeczywiście brudna tajemnica, pani profesor – napisał bezpośrednio pod jej ostatnim wpisem. – Ale to nie jest to, o co mi chodzi”. A potem jeszcze: „Zastanów się jeszcze raz. Wiem, że możesz. Jaką najgorszą rzecz zrobiłaś w życiu?”

Podczas gdy Naomi czytała uwagi do swojej spowiedzi, na ekranie poruszył się mały punkt. A potem jeszcze jeden. I jeszcze jeden.

Z przenikliwym krzykiem odpełzła od komputera, ale punkty przeszły już na jej rękę i w żaden sposób nie dały się przepędzić ze skóry, brudnego ubrania i włosów.

Cimex lactularius.

– Kim jesteś?! – krzyknęła ze wstrętem, desperacko próbując łapać i strącać z siebie pluskwy, chociaż jako biologka wiedziała, że to śmieszne. Żywiące się krwią insekty mogły przeżyć czterdzieści dni bez pożywienia i w bardzo niskiej temperaturze. Trzeba by przez trzy dni nagrzewać studnię do pięćdziesięciu pięciu stopni i nawet wtedy nie byłoby pewności, czy jakaś pluskwa nie przeżyła na jej ciele.

Krzycząc, zaczęła się znów drapać.

„Dlaczego mi to robisz?”, napisała na notebooku i ponownie wysłała wiadro na górę. „Kim jesteś”

Tym razem odpowiedź przyszła zaskakująco szybko. Naomi mogła otworzyć notebook już po paru minutach. Na niebiesko świejącym ekranie przeczytała:

„W zasadzie nie masz prawa zadawać mi pytań. Ale ponieważ odpowiedź może cię naprowadzić na właściwy trop i trochę skrócić całą sprawę, nie będę się czepiać. Nie poznasz mojego nazwiska. Ale jeśli moja osoba miałaby być postacią z bajki, moja historia zaczynałaby się słowami: «Był sobie kiedyś śliczny, tłuściutki bobasek. Nie miał rodzeństwa, ale miał matkę, która kochała go ponad wszystko. Oraz surowego ojca, który mu się dziwnie przyglądał, ilekroć byli sami». Co, nudzę cię? Ale nie martw się, moja historia ma puentę, która na pewno cię zaskoczy...”

Rozdział 47

Martin obudził się z uporczywym, pulsującym dźwiękiem w uchu, zupełnie jakby gdzieś obok niego z widełek spadła słuchawka telefonu. W pierwszej chwili nie wiedział, gdzie się znajduje. Łóżko, na którym leżał, zapach poduszki pod głową, cały pokój wydawały mu się obce, chociaż ledwie widział cokolwiek z otoczenia. Było ciemno. Do pomieszczenia wpadało tylko trochę światła przez wąską szparę pomiędzy ciężkimi, zaciągniętymi zasłonami.

Podniósł się i wraz z lekką falą nudności w jego świadomość wlały się pierwsze wspomnienia.

Timmy. Anouk. „Sułtan”.

Przekręcił się na bok i po ciemku wymacał nocną lampkę, ale jeszcze czekał z jej włączeniem, bojąc się, że światło mogłoby mu spalić siatkówkę.

Głowa sprawiała przy każdym ruchu wrażenie, jakby mózg miał konsystencję sadzonego jajka. Cały jego tułów tkwił w gorszej bólu. A mimo to uważał, że wczoraj było jeszcze gorzej, kiedy...

...rozmawiałem z tą kobietą. A tak, z matką.

Powoli wszystko wracało.

Napaść na pokładzie dla naturystów, upadek do basenu, teoria Gerlinde na temat Pokładu Bermudzkiego, Julia, jej córka Lisa, mobbingowana dziewczyna, która rzekomo skoczyła z pokładu z powodu sekstaśmy... jego utrata przytomności.

Szef go ostrzegał. Do diabła, wszyscy go ostrzegali przed wstrzyknięciem przeciwciał.

I przed wejściem na ten statek.

Martin odważył się włączyć światło. Błyskawica, która go przeszła, była mniej przykra, niż się obawiał.

Mrużąc oczy, szukał po omacku telefonu i zastanawiał się nad dwiema rzeczami: w jaki sposób znalazł się w swoim apartamencie i jak to możliwe, że bezprzewodowy telefon stoi prawidłowo na ładowarce. Nieaktywny, z ciemnym wyświetlaczem – więc dlaczego wciąż głośno i wyraźnie słyszy sygnał?

Włożył palce do uszu, ale sygnał ani trochę nie ucichł.

No, świetnie. Właśnie tak czuje się alkoholik, kiedy zaczyna nowy dzień.

Pulsowanie w czaszce, omamy dźwiękowe, luki w pamięci i pęcherz pełny jak metro po meczu ligowym.

Sięgnął po telefon, wstał i powłókł się do łazienki. Żeby tam dojść, potrzebował całych dziesięciu minut, to znaczy musiał najpierw trochę odpocząć i usiąść na brzegu łóżka, bo inaczej przewróciłby się w połowie drogi.

Nie zapalił światła w łazience, ponieważ chciał oszczędzić sobie własnego widoku w lustrze. Sedes i tak znalazł po ciemku.

Podniósł klapę, zsunął bokserki (kto mnie rozebrał?) i siadając, wybrał numer komórki Diesla. Minęła wieczność, zanim redaktor odebrał.

– Tak?

– To ja.

– Czy my się znamy? Myślę, że od biedy mógłbyś być Martinem Schwartzem, gdybyś nie miał takiego paskudnego głosu.

– Która godzina?

– Dzwonisz do mnie, bo chcesz się dowiedzieć, która jest godzina? Człowieku, musisz się cholernie nudzić. – Diesel zaśmiał się i powiedział: – Po następnym sygnale będzie: godzina czternasta i osiem minut. – I beknął.

Czternasta? Biorąc pod uwagę różnicę czasu, na Atlantyku była teraz dwunasta w południe. Przespał co najmniej dziesięć godzin.

– Ale dobrze, że dzwonisz. Sprawdziłeś maile?

– Nie.

– A powinieneś. Przejrzałem listy pracowników i pasażerów, które dał ci twój kumpel Bonhoeffer.

Martin zaczął się załatwiać, a Diesel mówił dalej:

– Mamy prawie sześćset przypadków, kiedy pokrywają się nazwiska pasażerów i personelu, którzy byli na pokładzie zarówno w dniu zniknięcia Nadji i Timmy’ego, jak i pięć lat później, kiedy oficjalnie zgłoszono zaginięcie Anouk i jej matki.

– Ilu z nich może być potencjalnymi gwałcicielami?

– Przynajmniej trzystu trzydziestu ośmiu pracowników. Od stewarda przez kucharza po kapitana, wszyscy wchodzi w rachubę. Zakładając, że lista jest kompletna. I tu natykamy się na duży problem.

– Myślisz, że Bonhoeffer nie dał mi kompletnych dokumentów? – zapytał Martin.

– Myślę, że w żaden sposób nie mógł dać ci kompletnych list. Żeby zaoszczędzić pieniądze, większość przedsiębiorstw żeglugowych zatrudnia jako podwykonawców tanie firmy zagraniczne. A one czasem wymyślają nazwiska, a niektóre zatajają ze względów podatkowych albo wręcz dopisują, żeby zainkasować więcej pieniędzy. Zazwyczaj w dokumentach panuje straszny bałagan.

Martin zastanowił się. Zatem listy pracowników i gości były ślepym zaułkiem.

– A co z pasażerami? – zapytał mimo to. – Mamy tu jakieś analogie?

– Jasne, że tak. Pasażerowie wycieczkowców są recydywistami. Ale tutaj wybór jest mniejszy. Po przefiltrowaniu osiemdziesięciu siedmiu pasażerów, którzy byli na pokładzie zarówno pięć lat temu, jak i przed dwoma miesiącami, pomijając wszystkie samotnie podróżujące kobiety i stojących nad grobem emerytów, zostaje trzynastu mężczyzn, którzy mogliby być potencjalnymi gwałcicielami. A teraz trzymaj się mocno.

Diesel zawiesił głos.

– Co jest?

– Jeden z nich nazywa się Peter Pax.

Mój kryptonim?

– To niemożliwe – wychrypiał Martin.

– No tak, co mam powiedzieć, stary? – Martin wręcz słyszał, jak Diesel wzrusza ramionami.

– Gdybyś wtedy w podstawówce nauczył się pływać, poradziłbym ci teraz, żebyś popłynął z powrotem do domu. Według mnie ktoś chce cię zrobić.

Zgadza się. I nawet wiem kto.

Martin sięgnął po papier toaletowy.

– Zaczyna się na Yegor, a kończy na Kalinin.

– Armator?

– Być może wplątany jest w to również kapitan, nie byłbym pewny tej gnidy. Czy możesz sprawdzić, którą kabinę zajmował ten Pax?

Inaczej niż to się dzieje w normalnych hotelach, gdzie człowiek zależnie od humoru recepcjonisty dostaje duszną pakamerę z widokiem na parking albo słoneczne gniazdko, robiąc rezerwację na wycieczkowcach, z reguły samemu wybiera się numer kabiny.

– Tak, mam to gdzieś tutaj. Poczekaj, poszukam.

Martin wstał i spuścił wodę.

– O nie, proszę. Tylko mi nie mów, że w czasie naszej rozmowy robiłeś to, co mi się wydaje, że robiłeś, sądząc po odgłosie – oburzył się Diesel.

Martin nie podjął tematu, tylko poprosił go, żeby sprawdził kolejne osoby.

– Kogo?

– Lisa Stiller, piętnaście lat, berlinianka, matka ma na imię Julia, obie są na aktualnej liście pasażerów. Dowiedz się, kto opłacił podróż i gdzie zrobiono rezerwację. Sprawdź, czy znajdziesz wideo na... – Musiał chwilę poszperać w pamięci, żeby przypomnieć sobie nazwę portalu, którą wymienił wczoraj Bonhoeffer. – ... na iSharerumors albo jakoś podobnie i czy jest otagowane nazwiskiem Lisy Stiller.

– Po co ci to?

– Lisa ma piętnaście lat i wczoraj zaginęła. Wideo ma być przyczyną jej samobójstwa.

Diesel westchnął.

– Jeszcze jedno dziecko? O Boże, co się tam u ciebie wyprawia?

– To wszystko się ze sobą wiąże. Lisę na przykład widziałem, kiedy właśnie szedłem do Anouk, na...

– Martin urwał na moment. – ...na dolnym pokładzie, gdzie właściwie nie... – wymamrotał i przerwał w pół zdania.

Co to jest?

– Hej, halo! Ty też wyskoczyłeś za burtę? – dobiegały ze słuchawki wołania Diesla.

– Bądź przez chwilę cicho.

Sygnal telefonu w jego głowie osłabł, za to teraz dziwił go inny dźwięk. Całe spektrum dźwięków! Pewnie były przez cały czas, ale dopiero teraz dotarły do jego świadomości. Martin położył rękę na umywalce i poczuł wibracje. Jak na szczydłach wyszedł z łazienki, kierując się na szczelinę światła pomiędzy zasłonami, podszedł do nich i szybkim ruchem najpierw rozsunął kotary, a potem otworzył drzwi na taras. Do wnętrza kabiny wtargnęło zimne, czyste powietrze.

To, co zobaczył, pasowało do skrzypienia, trzeszczenia, chrobotania, wibrowania i brzęczenia, które słyszał wokół siebie.

I do kołysania statku.

– Płyniemy – powiedział do siebie, patrząc z niedowierzaniem na spienione grzbiety fal. Posępny szary widnokrąg był tak blisko statku, że dałoby się go dosięgnąć wyciągniętą ręką.

– Oczywiście, że płyniecie, przecież to statek – powiedział Diesel, który nie mógł wiedzieć, że wczoraj w nocy kapitan zatrzymał maszyny z powodu alarmu „człowiek za burtą”. Ale teraz silniki znów

pracowały, co mogło oznaczać tylko dwie rzeczy: albo znaleźli Lisę, albo ostatecznie się poddali.

– Mam ją – powiedział Diesel i przez krótką chwilę Martin myślał, że mówi o dziewczynie, ale oczywiście Diesel miał na myśli numer kabiny Petera Paxa. – Podczas obu rejsów zajmował tę samą – oznajmił. – Może powinieneś złożyć wizytę w numerze 2186.

Rozdział 48

12:33 czasu pokładowego

50° 27' N, 17° 59' W

prędkość: 23,4 węzła, wiatr: 30 węzłów

wysokość fali: 10 stóp

odległość od Southampton: 630 mil morskich

Numer 2135?

Kapitan masował sobie kark. Plaster na nosie był już mniejszy, a obwódki wokół oczu zrobiły się ciemniejsze. Gdyby można było handlować na giełdzie zmęczeniem, Bonhoeffer byłby jednym z najbogatszych ludzi na świecie. Jego oczy zmniejszyły się do wielkości pięciocentówek i najwidoczniej nie były dużą pomocą w znalezieniu właściwego klucza elektronicznego.

– 2135 – potwierdził Martin i zdziwił się, że kabiny z tym numerem szukali na pokładzie 3. Stali w bocznym korytarzu, odchodzącym od drogi do atrium, przed imbirowoszarymi drzwiami bez numeru, i Bonhoffer już trzeci raz próbował przeciągnąć kartę przez czytnik. Trzymał w dłoni plik różnokolorowych plastikowych elementów wielkości kart kredytowych; wszystkie były przedziurkowane w prawym górnym rogu i nawleczone na metalowy łańcuszek składający się z cienkich ogniw.

– Nie ma pan czegoś takiego jak klucz uniwersalny? – zapytał Martin.

– Nie do gniazdka.

– Do gniazdka?

– To nie jest już, jak pan widzi, kabina pasażerska – powiedział Bonhoeffer, pokazując wzrokiem na drzwi, na których nie było numeru. Kiedy stanęło się blisko nich, można było zobaczyć resztki kleju, którym był pierwotnie przytwierdzony.

– A co? – zapytał Martin.

– Relikt. To coś jak wyrostek robaczkowy „Sułtana”. Ta ośmioletnia łajba nie jest już najmłodsza w tym biznesie. Kiedy zjeżdżała z pochylni, myślano jeszcze, że popyt na wewnętrzne kabiny będzie wzrastać, ale okazało się to niewypałem. Większość pasażerów woli apartamenty albo co najmniej kabiny z balkonem, w ostateczności decydują się patrzeć na atrium. A na cokolwiek tuż nad linią wody to już w ogóle nie ma chętnych. Dlatego sześć lat temu przerobiliśmy dziesięć najniżej położonych wewnętrznych kabin na pokładzie 3 na magazyny i biura.

– I na gniazdko? – zapytał Martin, a Bonhoeffer przytaknął.

– Numer jest przeznaczony dla wtajemniczonych i stanowi rodzaj gry słownej: „Gdy dwójka szuka dla siebie jedynki, żeby trzy-mać się za rączkę, robi to bez s-pięć”.

Ziewnął i nawet nie zadał sobie trudu, żeby zasłonić dłonią usta.

– Personel ma zakaz uprawiania seksu w swoich kabinach, a ponieważ przeważnie dzieli się kabinę ze współlokatorem, jest to również trudno wykonalne. Ale załoga ma swoje potrzeby, szczególnie podczas rejsów dookoła świata. Oficjalnie nie ma oczywiście czegoś takiego jak gniazdko, ale przymykamy oczy,

kiedy pracownicy w czasie trwających kilka miesięcy rejsów szukają tutaj zacisznego miejsca na schadzki, oczywiście, o ile zachowują dyskrecję.

Bonhoeffer znów ziewnął, tym razem jeszcze szerzej.

– Powinien się pan położyć. A może wyrzuty sumienia nie dają panu spać? – zapytał sarkastycznie Martin.

Kiedy niedawno do niego zadzwonił, Bonhoeffer opowiedział mu przez telefon, co zaszło w nocy. Po przypominającej udar zapaści Martin dał się odprowadzić asystentowi Eleny do swojej kabiny, gdzie przespał trwającą osiem godzin akcję poszukiwawczą, która według słów kapitana „jak można się było spodziewać”, nie przyniosła żadnych rezultatów.

Kiedy stacja nabrzeżna po przyjęciu wezwania pomocy zaczęła koordynować działania i przyplłynął okręt wojenny brytyjskiej marynarki, który odbywał w tym rejonie manewry, nie było już powodu, aby „Sułtan” dryfował na otwartym morzu. I ścigał na siebie gniew prawie trzech tysięcy wciąż żyjących pasażerów, którzy mogliby domagać się od właścicieli odszkodowania za niedopuszczalne opóźnienie.

Julia Stiller przeżyła załamanie nerwowe, kiedy włączono główny silnik, a po tym, jak zaaplikowano jej środek uspokajający, z miejsca zapadła w sen, z którego obudzi się po trudnym do określenia czasie w kabinie kapitana, oddalona setki mil morskich od swojej córki. Początkowo chciała przesiąść się na okręt wojenny, ale jako „osobie nieupoważnionej” zabroniono jej tam wstępu.

– Nie mam wyrzutów sumienia – zaprotestował kapitan. – Przerwaliśmy rejs, aby...

– Na osiem godzin, tak? – wszedł mu w słowo Martin. – Życie dziecka nie jest dla pana warte więcej czasu?

Zaśmiał się cynicznie.

Bonhoeffer wziął głęboki oddech i głośno wypuścił powietrze przez zaciśnięte usta. Przypominało to odgłos powietrza uchodzącego ze sflaczałego balonu. Potem rzucił z wściekłością:

– List pożegnalny, cybermobbing jako motyw, brak śladów przemocy albo innego przestępstwa w kabinie, a bez kamizelki ratunkowej nie da się przeżyć w tej wodzie nawet jednej godziny, jednak poszukiwania trwały prawie do rana. Czego pan właściwie oczekuje?

– Że chociaż raz uda się panu dowieźć do celu komplet pasażerów.

– Równie dobrze mógłbym powiedzieć, że powinien pan lepiej pilnować swojej rodziny. Czy szukał pan już kiedyś w Google hasła „samobójstwo”? Są fora, na których połowa świata wymienia się informacjami, jak najskuteczniej się zabić. I wie pan, co zajmuje całkiem wysokie miejsce w rankingu? Tak, zgadza się, statki wycieczkowe. Jest to tak popularne, że mamy już na to specjalną nazwę: „pasażer 23”, ponieważ przeciętnie dwudziestu trzech pasażerów rocznie wskakuje do, jak to się u nas mówi, „błękitnego regału”, czyli do wody. Skoro każdy człowiek cierpiący na depresję i mający dostęp do internetu postanawia teraz zrobić przysługę maszynistom kolejowym i zamiast rzucić się pod pociąg, idzie do biura podróży wykupić rejs, to, do jasnej cholery, niech mnie pan nie obarcza za to winą!

Poirytowany przeciągnął pierwszą lepszą ze swoich kart przez czytnik i akurat trafił na właściwą. Rozległo się kliknięcie i zapaliła się zielona lampka.

– Nie jestem odpowiedzialny za to szaleństwo! – warknął kapitan i nacisnął klawisk. Drzwi odskoczyły i od razu uderzył ich w nozdrza nieprzyjemny, metaliczny zapach.

– I za to też nie? – zapytał Martin, wskazując na podłogę kabiny.

Bez słowa wpatrywali się w mężczyznę leżącego u ich stóp, któremu ktoś strzelił w głowę.

Rozdział 49

Zamknęli za sobą drzwi i Martin polecił kapitanowi, żeby nie ruszał się z miejsca i niczego nie dotykał.

Zwłoki znajdowały się na podłodze, w pozycji siedzącej, z wyprostowanymi nogami, oparte plecami o róg rozgrzebanego jednoosobowego łóżka, z głową odchyloną do tyłu i pustymi oczami utkwionymi w zakurzony sufit kabiny. Poduszka pod głową mieniła się mokro w świetle sufitowej lampy.

Sądząc po ilości krwi, rana wylotowa była dużo większa od małej dziurki w czole nad prawym oknem.

– Kto to jest? – zapytał Martin, który już dawno przełączył się na tryb „miejsce zbrodni”. Doświadczenie nauczyło go, że najważniejsze jest pierwsze wrażenie. Dlatego przeskanował wzrokiem otoczenie, zwracając szczególną uwagę na elementy, które odbiegały od normy.

Na przykład na odwrócony do góry nogami krzyż na ścianie, rozbite lustro pod szafą albo fakt, że mieszkanie było tak posprzątane, że demaskowało zamiar sprawcy, aby pod żadnym pozorem nie zwrócić na siebie uwagi.

Nie zawsze ślady były oczywiste, często wskazówki bardzo subtelnie naprowadzały na okoliczności przestępstwa, motywy, ofiary i podejrzanych. Jak na przykład kawałek metalu leżący na dywanie przed szafą wnękową.

Martin schylił się po spinkę do włosów. Była kolorowa, mała i tania. W sam raz dla lalki.

Albo dla małej dziewczynki.

– Wielki Boże, przecież to... – Bonhoeffer gapił się szeroko otwartymi oczami na zwłoki. Prawdopodobnie szok powstrzymywał go od wymienienia na głos nazwiska zabitego.

– Kto? – zapytał twardo Martin.

Bonhoeffer z trudem przełknął ślinę.

– Nazywa się Veith Jesper! – powiedział, wskazując na mężczyznę w poplamionym krwią mundurze. – Jeden z moich oficerów bezpieczeństwa.

Rozdział 50

Czy doczekam się chociaż raz, że przeszkodzi mi pan w pracy, żeby przekazać dobrą wiadomość, Bonnie?

Yegor odsunął na chwilę komórkę od ucha, zrzucił Ikarusa z łóżka i wstał. W rzeczywistości wcale nie pracował, lecz uciął sobie drzemkę w zaciemnionym apartamencie po rozczarującym seksie z żoną. Ale prędzej przebiegłby nago z flagą w tyłku przez pokład widokowy, niż zdradził się przed kapitanem, że od czasu do czasu ucina sobie popołudniowe drzemki.

– Postrzał w głowę? – zapytał, ponownie przykładając telefon do ucha.

Jego żona przekręciła się we śnie na drugi bok i puściła bąka. Dobry Boże, to było jeszcze bardziej koszmarnie niż paskudztwo, które mu właśnie opisywał jego kapitan.

Idąc do łazienki, Yegor zastanawiał się, czy jest jakaś szansa, żeby zamieść tę sprawę pod dywan, ale uznał, że raczej nie. Powiedział więc:

– Zostawcie wszystko tak, jak jest.

Słuchając Bonhoeffera jednym uchem, chuchnął w dłoń i przystawił ją do nosa.

Pół godziny poobiedniej drzemki i śmierdzi mi z gęby jak w albańskiej oczyszczalni ścieków, pomyślał.

– Oczywiście płyniemy dalej – przerwał potok słów zdenerwowanego kapitana.

Dlaczego ciągle muszę mieć do czynienia z idiotami?

– Jesteśmy prawie w połowie drogi, więc chyba nie ma sensu zawracać. Niech pan nie dotyka niczego na miejscu zbrodni i zawiadomi odpowiednie władze.

Yegor podniósł klapę sedesu i rozpiął rozporek w spodniach od pidżamy.

– I niech pan skrzyknie wszystkichmacherów od PR z mojej listy płac. Niech wreszcie te hieny zapracują na swoje pieniądze. Nie życzę sobie czytać informacji typu: „Horror na pokładzie «Sułtana» – jedna zaginiona i zwłoki”, albo coś w tym stylu.

Chociaż oczywiście szumu raczej nie da się uniknąć. A Yegor zdawał sobie sprawę, że częściowo to również jego wina.

Trochę to trwało, zanim poleciały pierwsze krople. Dawniej czuł pieczenie dróg moczowych, kiedy zadawał się z niewłaściwymi kobietami. Dzisiaj przypominało mu ono już tylko o konieczności zrobienia badań profilaktycznych.

Starzenie się jest okropne, pomyślał Yegor i popatrzył przez otwarte drzwi w półmrok sypialni. Stopy jego żony wystawały spod kołdry. Nawet z tej odległości widział jej palce powykrzywiane od noszenia szpilek. Coś obrzydliwego.

Moment. Co znowu wymyślił ten półgłówek?

– Zatrzymać się? Znowu? – Armator z wściekłości omal nie nasikał obok sedesu. Ikarus, spłoszony wybuchem swojego pana, wszedł do łazienki niepewnym krokiem i z postawionymi uszami.

– Jedno samobójstwo nasza chilijska skarbonka jeszcze jakoś przełknęła pod hasłem „pech”. Ten facet jest przesadnym katolikiem. To najgorszy rodzaj człowieka. Jeśli teraz pojawią się jeszcze zwłoki, ten

dziad uzna to za zły omen i spakuje książeczkę czekową szybciej, niż pan potrafi wypowiedzieć słowo „więzienie”. Jest mi wszystko jedno, jak pan to robi, ale, do jasnej cholery, ma pan to opóźnić do czasu podpisania kontraktu!

Yegor rozłączył się, strząsnął ostatnie krople i spuścił wodę. Usłyszał zaspany głos żony dochodzący z sypialni, ale było mu obojętne, co ona mówi.

Był zły na siebie. Na ogół nie miał w zwyczaju krzyżeć. Tak robią tylko ludzie, którzy nie mają kontroli nad sobą i swoim życiem. Ale od wypłynięcia z Hamburga... nie, już od chwili obrania kursu na Oslo, kiedy nagle, ni stąd, ni zowąd, pojawiła się ta Anouk ze sparaliżowanym językiem, rzucono mu kolejne kłody pod nogi.

Yegor nie zawracał sobie głowy myciem rąk i poczłapał z powrotem do łóżka. Musiał przejść obok Ikarusa, który rzucił mu nieomal gniewne spojrzenie. Schylił się do swojego teriera i pogłaskał go po karku.

– Tak, wiem. Dobrze panu tak. Ale wiesz co, Ikarus, po prostu nie cierpię, kiedy ktoś mnie szantażuje. – Pies przekrzywił łeb, jakby rozumiał każde słowo. Yegor uśmiechnął się i szturchnął go wskazującym palcem w wilgotny nos.

– Veith był kompletnie do niczego – wyszeptał, aby jego już obudzona żona nie mogła go usłyszeć. – Musiałem dać mu mój specjalny rewolwer.

Ten, który strzela do tyłu, kiedy przestawi się specjalną dźwignię. Co uczynił, zanim wręczył broń temu lubiącemu stosować przemoc idiotcie. Był to prezent od kolegi. Zrobiony na specjalne zamówienie. Zwykły gadżet, jaki można dostać od starego druha z legii cudzoziemskiej. I nikt go z nim nie powiąże.

– Rozumiesz, Ikarus? – Pies sapnął i Yegor wziął to za potwierdzenie.

Yegor zgasił światło w łazience, a więc całe oświetlenie, i położył się do łóżka. Żona chciała pogłaskać go po rękę, ale odsunął jej dłoń.

Szkoda, że Veith nie jest Japońcem, pomyślał. Oni z byle powodu popełniają harakiri. Kodeks honorowy i takie tam.

Może dałoby się jeszcze przedstawić to tak, że oficer bezpieczeństwa nie mógł znieść wstydu, że nie znalazł nieletniej samobójczyni.

Ale kto uwierzy, że jakiś serojad aż tak cenił sobie honor?

Yegor ziewnął. Nie ma nic gorszego, niż zostać brutalnie wyrwanym z poobiedniej drzemki. Padał na pysk. Przez chwilę zastanawiał się jeszcze, czy nie było błędem pozwolić Veithowi, żeby się sam wyeliminował. Ale co tam, sam sobie winien. Po co tak się zawziął na tego, no...

Tiamo... Tigo...?

Yegor nie mógł przypomnieć sobie jego imienia. W końcu facet nic go przecież nie obchodził. Kiedy oczy powoli same mu się już zamykały, zastanawiał się jeszcze, gdzie w tej chwili ukrywa się ten domorosły argentyński casanova, po tym jak nie tak dawno śmierć zajrzała mu w oczy.

Rozdział 51

Daniel rozłączył się, nie mogąc wyjść ze zdziwienia nad reakcją armatora. Najpierw głos Kalinina był tak zmęczony, jakby właśnie wyrwał go ze snu, a przecież był środek dnia. Potem Yegor wydawał się nie być w najmniejszym stopniu zaskoczony wiadomością o zastrzelonym oficerze, zupełnie jakby wręcz na nią czekał. Dopiero podczas wybuchu wściekłości na końcu rozmowy jego głos znów brzmiał normalnie.

– Kto na statku wie o tym gniazdku miłości? – zapytał Schwartz, który właśnie szarpał uchwyt drzwi szafy wnękowej znajdującej się obok łóżka. Śledczemu obecność zwłok i zapach zakrzepłej krwi wydawały się dużo mniej przeszkadzać niż kapitanowi.

Daniel popatrzył na zamknięte drzwi kabiny. Najchętniej opuściłby tę śmierdzącą, pozbawioną okien norę najszybciej, jak się da.

– Gdzieś tak ze dwa tysiące ludzi – odpowiedział. – Wszyscy zatrudnieni i garść pasażerów, którzy podczas urlopu decydują się na flirt z kimś z personelu.

I nie chcą przeżywać przygody we własnej kabinie, ponieważ przeważnie czeka tam zdradzony partner.

– Wiadomo, kto korzystał z tego gniazdku? – Rozległ się trzask i Schwartz popatrzył na metalowy uchwyt drzwi od szafy, który został mu w ręce.

Bonhoeffer masował sobie zeszywniały kark.

– Nie. Jak już mówiłem, oficjalnie to pomieszczenie nie istnieje. Gniazdku nie można więc zarezerwować, nie ma listy gości czy czegoś w tym rodzaju.

– Ale przecież ktoś musi koordynować wydawanie klucza kolejnym osobom?

– Tak. I może pan trzy razy zgadywać, kogo dowództwo statku podejrzewało. – Bonhoeffer, nie patrząc, wskazał ręką na martwego mężczyznę u swoich stóp. Statkiem silnie kołysało i kapitanowi zrobiło mu się niedobrze. Żołądek zaczął mu się zaciskać, wypychając zakwaszoną zawartość z powrotem do przełyku.

Zaproponował, żeby kontynuować rozmowę gdzie indziej, ale Martin właśnie wpadł na pomysł, aby użyć urwanego uchwytu jako dźwigni i wyłamać drzwi szafy.

Rozległ się trzask i drzwi ze sklejki zawisły już tylko na jednym zawiasie. Chwilę później zostały całkiem wyrwane.

To tyle, jeśli chodziło o polecenie Yegara, żeby zostawić wszystko tak, jak było.

– No proszę, proszę – mruknął Schwartz i wyjął z szafy małą plastikową walizkę.

Była trochę większa od bagażu podręcznego i miała dużo uszkodzonych naklejek zarówno z przodu, jak i z tyłu. Przeważnie przedstawiały flagi, symbole albo mapy miejsc, które walizka prawdopodobnie już objechała. To, że właścicielem był ktoś młody i płci żeńskiej, sugerował już sam kolor walizki (różowy) oraz sticker wielkości dłoni, naklejony na bocznej kieszeni, ze zdjęciem jakiegoś boysbandu.

– Czy nie byłoby lepiej, żebyśmy się temu przyjrzeni w mojej kabinie? – powiedział Daniel, który z najwyższym trudem powstrzymywał to, co cały czas usiłowało wydostać się z jego żołądka, ale Schwartz go zignorował. Szybkim ruchem otworzył zamek błyskawiczny i podniósł pokrywę walizki.

– Anouk – powiedział, a Daniel nie wiedział, czy było to przypuszczenie, czy pewność. Zobaczył

typowe dziewczęce ubrania, starannie złożone, wypełniające każdy centymetr wnętrza walizki. Sukienki, bielizna, rajstopy i – na samej górze – blok rysunkowy oraz piórniki.

Ale to przecież nonsens, pomyślał.

– To niemożliwe, żeby Anouk była tu przez cały czas.

Martin pokręcił ogoloną głową.

– Ja też sobie tego nie wyobrażam. Chyba że pracownicy przez dwa miesiące nie korzystali z tego gniazdka miłości.

Akurat.

Oficer wachtowy Daniela niecałe trzy tygodnie temu przechwalał się, że schrupał tu jedną kuchareczkę. On sam nigdy nie miał nic wspólnego z gniazdem, ale echa awantury, jaka by wybuchła, gdyby kabina 2186 była przez dłuższy czas wyłączona z użytku, na pewno doszłyby i do jego uszu.

– Co to jest? – zapytał Daniel i pokazał na wewnętrzną stronę otwartej pokrywy walizki. Mógł się mylić, ale czy to, co widział za wewnętrzną siatką, to nie była przypadkiem...

– Latarka – powiedział Schwartz i wyjął ją.

Rzeczywiście.

Była mała, miała metalicznie lśniący, jasnoniebieski stalowy korpus. I wyglądała dokładnie tak samo jak ta, którą miała ze sobą Anouk.

Schwartz przekręcił włącznik z tyłu latarki i również teraz z trudem tylko dawało się zobaczyć gołym okiem jakieś światło.

– Latarka bez baterii? – zapytał Daniel. Dezorientacja złągodziła przynajmniej uczucie nudności. A zdumienie jeszcze wzrosło, kiedy Martin znalazł w walizce kolejną latarkę, w bocznej kieszeni, zawiniętą w skarpetkę; i ta też działała nie lepiej.

Co to ma znaczyć?

Uprowadzone dziecko i dwie niedziałające latarki?

Daniel nie potrafił dopatrzeć się sensu w tym odkryciu. W przeciwieństwie do Martina, który nagle nerwowo złapał piórniki i zaczął grzebać w przechowywanych tam pisakach. Kiedy wydawało się, że znalazł to, czego szukał, puknął się w czoło jak ktoś, kto przeoczył coś całkowicie oczywistego. Jeszcze raz przekręcił włącznik latarki, potem jeszcze raz i za każdym razem cicho sapał, chociaż Daniel nie zauważył najmniejszej zmiany.

Żadnego jasnego światła.

Nie widział nic, co mogłoby spowodować olśnienie.

– Ma pan coś? – zapytał Daniel.

Martin zacisnął dłoń na uchwycie latarki i trzymał ją teraz jak pałeczkę sztafetową na chwilę przez przekazaniem jej następnemu biegaczowi.

– Już wiem, o co chodzi – powiedział bezbarwnym tonem. Potem stanął nad zwłokami obok Bonhoeffera i otworzył drzwi kabiny.

Rozdział 52

Naomi

...dyby to było w mojej mocy, zrobiłabym wszystko, żeby to cofnąć, albo przynajmniej przeprosiłabym za to, co zrobiłam. Ale yślę, że nie będzie mi ana okazja, albo...

Ostatnie linijki tekstu, naszpikowane błędami, pisała na ślepo, widziała ekran jak przez tafłę wody, litery przesłaniała mgła łez. Zdrętwiałe palce, które próbowały prześcigać się nawzajem w trakcie pisania, byle szybciej i szybciej, ponieważ Naomi Lamar z obrzydzenia do samej siebie wygryzłaby sobie kawałek ciała, gdyby pisząc zatrzymała się choćby na sekundę, aby zastanowić się nad tym, co robiła. Co właśnie wyznała Pająkowi. Mianowicie: to najgorsze.

To nie było tak, że dopiero sobie przypomniała, ponieważ wtedy musiałaby o tym najpierw zapomnieć. W głębi duszy zawsze wiedziała, co Pająk chce od niej usłyszeć. Tylko nie udawało jej się tego napisać. Już samo myślenie o tym było straszne. Ale myśli można zagłuszyć, na przykład bólem, głodem albo zimnem. Tego wszystkiego przez ostatnie tygodnie miała aż nadto.

Wiedzieć, że zostało to napisane, a nawet już sama czynność pisania, to było całkiem coś innego.

Widzieć zło czarno na białym, mieć własną hańbę przed oczami było czymś znacznie gorszym niż tylko myślenie o tym i Pająk dobrze to wiedział.

Dlatego, tylko dlatego, powinnam tutaj, na dnie studni, napisać to na tym okropnym komputerze.

Nie poprawiając błędów ortograficznych (co Naomi, pisząc poprzednie, niespełniające oczekiwań Pajaka wyznania z jakiegoś, dla niej samej trudnego do wytłumaczenia powodu zawsze robiła; przypuszczalnie kierując się starym przyzwyczajeniem, bo zawsze przykładła dużą wagę do ortografii u Anouk), szarpnęła za linkę, którą najchętniej okręciłaby sobie wokół szyi, ale wtedy pewnie nie zostałaby wciągnięta na górę z nią jako dodatkiem, tak jak teraz wiadro, do którego wcześniej włożyła notebooka.

Od kiedy komputer zniknął w ciemności nad jej głową, znowu zaczęła się drapać.

W rękę, w szyję, w skórę na głowie.

Naomi była pewna, że dała Pająkowi to, co chciał usłyszeć.

Głód, pragnienie, tasiemiec, pluskwy, wszystkie kary miały sens, co sobie teraz uświadomiła.

Naomi zaśmiała się.

Nie miała pojęcia, w jaki sposób Pająk dowiedział się o jej tajemnicy. Akurat na statku wycieczkowym.

Ale kiedy teraz wszystko wyszło na jaw, to okazało się, że jest w tym sens.

Tyle tylko, że ja już nigdy niczego nie przeżyję na jawie.

Naomi czuła kielkującą w niej niebezpieczną myśl; zaczęła nucić. Wiedziała, że już wkrótce będzie jej wolno umrzeć.

Nie dlatego, że jestem współwinna śmierci mojej najlepszej przyjaciółki.

Otworzyła usta.

Nie dlatego, że uprawiałam seks za pieniądze.

Jej chrypliwe nucenie zmieniło się w gardłowy śpiew, zaczęło nabrzmiwać aż do...

Z nieznanymi mężczyznami. Wieloma mężczyznami.

...krzyku, który stawał się coraz głośniejszy i głośniejszy, pomnożony dzięki echu, głęboko na dnie studni, aż w końcu udało mu się...

Ale dlatego, że trzy lata temu...

...zagłuszyć myśl o najgorszej rzeczy...

...dlatego, że zaczęłam, że zaczęłam moją...

...jaką zrobiła w życiu...

...dlatego, że...

Krzyk był tak głośny i przytłaczający, że przez chwilę nie czuła niczego poza pragnieniem, aby jeszcze raz zobaczyć swoją małą, kochaną dziewczynkę, zanim wreszcie wszystko szybko, jak miała nadzieję, się skończy.

Rozdział 53

Anouk. Latarka. Pisaki. Malowanie.

W głowie Martina dźwięczały myśli składające się z pojedynczych słów, uderzały od wewnątrz w dzwon czaszki, wzbudzając głuchy dźwięk, który jak dysharmonijna muzyka filmowa akcentuje obrazy, jakie w tej chwili przesuwały się przed oczyma jego duszy. Obrazy, które przypominały mu jego dotychczasowe spotkania z Anouk: dziewczynkę w nocnej koszuli, milczącą i ze stoickim spokojem siedzącą na łóżku, której przedramiona służyły za kamień do szlifowania paznokci.

Martin pomyślał o tym, jak Gerlinde powiedziała mu o latarce, i przypomniał sobie, jak idąc do kapitana, został niechcący potrącony przez nietrzeźwego gościa ze świecącym drinkiem w dłoni. Pozornie niepowiązane ze sobą strzępy wspomnień nagle zaczęły układać się w całość.

Na tym ostatnim, jak Martin przypuszczał, łagodnie opadającym odcinku prowadzącym do hell's kitchen Bonhoeffer zostawił go samego, jednak po chwili podbiegł za nim kawałek i niemal zagroził mu wejście na pokład dla personelu.

– Co pan ustalił? – zapytał.

Martin już chciał podzielić się z Bonhoefferem swoim podejrzeniem, kiedy zadzwoniła komórka kapitana.

Julia Stiller, matka zaginionej Lisy, doszła już do siebie w jego kabinie i prosiła, żeby Bonhoeffer do niej przyszedł. A dokładniej mówiąc, domagała się tego.

„Ty gnoju! Gdzie się podziewasz? Jak mogłeś mi to zrobić?”

Chociaż Bonhoeffer mocno przyciskał telefon do ucha, Martin słyszał każde słowo.

Kapitan obiecał, że wróci, jak tylko sprawdzi, co się dzieje z Julią, ale na razie Martin stał sam pod pokojem Anouk. Ręce miał wilgotne od potu, kiedy wkładał klucz do czytnika. Nie pukając, wszedł do środka.

I znalazł się w pustej kabinie.

Przez chwilę nie był zdolny do sformułowania żadnej jasnej myśli. Hipnotyzował opuszczone łóżko, jakby Anouk mogła się zmaterializować na jego oczach, jeśli wystarczająco długo będzie się wpatrywał w pogniecione prześcieradło.

Jak to możliwe? Anouk nie ma klucza. Nie mogła stąd wyjść!

Oszłupienie Martina nie trwało nawet sekundy, ponieważ z paraliżu wyrwał go odgłos spuszczonej wody. Drzwi łazienki po jego prawej stronie otworzyły się i wyszła przez nie Anouk, powłócząc nogami. Miała na sobie świeżą koszulę nocną, rajstopy pewnie zdjęła, bo była na bosaka. Kiedy zobaczyła Martina, przestraszona cofnęła się do łazienki.

– Stój! – krzyknął Martin i w porę wsunął stopę między drzwi, które Anouk chciała przed nim zamknąć. – Nie bój się, nic ci nie zrobię.

Zdecydowanym szarpnięciem otworzył drzwi. Anouk skuliła się, zasłoniła głowę rękami i krok po kroku cofała się, aż dotknęła sedesu. Usiadła na nim.

– Przecież wiesz, kim jestem, prawda?

Włożył elektroniczny klucz do kieszonki na piersi w koszulce polo i czekał, aż oddech Anouk trochę się uspokoi. Minęła dłuższa chwila, zanim zrozumiała, że Martin nie zamierza jej dotknąć. Nie zamierza jej skrzywdzić. Kiedy odważyła się opuścić ręce i spojrzeć mu prosto w oczy, uśmiechnął się do niej. A przynajmniej spróbował unieść do odpowiedniej pozycji kąciki ust. Odkąd wszedł do hell's kitchen, ból głowy ponownie się zameldował. Tępy ucisk za oczami, który szybko zmieni się w rwanie.

– Posłuchaj, zostanę tu, gdzie stoję – powiedział i uniósł obie ręce. – Czy mogę prosić cię o przysługę, jeśli ci obiecuję, że się stąd nie ruszę i nie będę próbował się do ciebie zbliżyć?

Nie przytaknęła. Nie ściągnęła brwi. Żadnej reakcji. Anouk pozostała niema. A jednak, mimo chorobliwej bladości twarzy i mimo przepełnionej strachem mowy ciała, Martin dostrzegł u niej oznaki psychicznego powrotu do zdrowia.

Jej wzrok nie był już obojętny, lecz wyczekujący, czujny. Nawet na sekundę nie spuszczała go z oczu; inaczej niż jeszcze wczoraj, kiedy prawie cały czas patrzyła na niego, jakby był powietrzem. I był jeszcze jeden dowód na to, że na drabinie, która prowadziła na samo dno jej psychiki, wspięła się kilka stopni w górę: nie drapała się ani nie ssała kciuka, chociaż znajdowała się w stanie silnego niepokoju.

Z plastrów z nadrukowanymi zwierzątkami, przytrzymujących bandaże z gazy, Martin wywnioskował, że asystent Eleny założył dziewczynce świeże opatrunki.

– Nie obawiaj się, nie musimy rozmawiać – powiedział uspokajającym tonem.

Jeśli jego ocena była prawidłowa, zaraz dowie się od niej wszystkiego, co chciał wiedzieć, a będąca nadal w szoku dziewczynka nawet nie będzie musiała otwierać ust.

– Przyszedłem tylko po to, żeby dać ci coś, za czym na pewno już mocno się stęskniłaś.

Pokazał jej latarkę.

Skutek był zdumiewający. Anouk zareagowała w ułamku sekundy. Zeskoczyła z sedesu i chciała złapać dłoń Martina, żeby wyrwać mu latarkę, ale był szybszy i zdążył cofnąć rękę.

– Dopiero kiedy powiesz mi prawdę – postawił warunek. Poczł, że głos więźnie mu w gardle, własne słowa przypomniały mu, jak kiedyś „szantażował” Timmy'ego:

„Tato, mogę iść pograć w tenisa?”

„Dopiero jak posprzątasz swój pokój”.

Timmy często się buntował, rzucał się na podłogę, płakał i na złość ignorował umowę „sprzątanie za grę”.

Anouk też była uparta. Chciała dostać latarkę. Ale wciąż nie zamierzała mu się zwierzyć.

Patrzyła na niego z rozgniewaną miną i mocno ściągniętymi brwiami.

– Dobrze, a więc opowiem ci, jak to było – powiedział Martin. – Myślę, że wiesz, gdzie jest twoja mama. Nawet narysowałaś nam to miejsce na swoim komputerze, chociaż nie zrozumieliśmy twojej wskazówki i nie wiemy, gdzie znajduje się ten szyb. Ale ty znasz drogę. Oznaczyłaś ją pisakami UV, które znalazłem w twoim piórniku. Ale niestety nie można zobaczyć tych znaków w zwyczajnym świetle...

Popełnił błąd, że na moment zwrócił wzrok na lampę na suficie, bo w tym momencie jakby nagle trafił go piorun. W reklamach można usłyszeć, że istnieje trzydzieści siedem rodzajów bólu głowy, które można pokonać środkami bez recepty. Ten tutaj bezspornie się do nich nie zaliczał. To było uczucie, jakby przez jego oczy od wewnątrz przebijały się cienkie, rozżarzone igły, sięgając źrenic. Martinowi zdawało się

nawet, że czuje czubki wychodzących igieł, jak rozkrwawiają mu wewnętrzne powierzchnie powiek za każdym razem, kiedy mruga oczami.

Oparty o drzwi, pod czujnym okiem Anouk, która stała jak wrośnięta w ziemię przy sedesie, czekał, aż ból wróci do znośnego poziomu. Potem zgasił światło.

Ciemność była dobrodziejstwem. Ból głowy skurczył się do niewyraźnego cienia. Atak minął równie szybko, jak się pojawił.

Przez krótką chwilę pozwolił oczom przyzwyczajać się do niemal całkowitych ciemności. Potem przekreślił wyłącznik latarki. I światło, które w normalnych warunkach było ledwo widzialne, naraz wypełniło całe pomieszczenie i sprawiło, że biała glazura w łazience zaczęła fosforyzować, tak samo jak nocna koszula Anouk, jej zęby i paznokcie.

Pisaki. Rysunki. Latarka.

– Wiedziałem – powiedział Martin sam do siebie. W jego głosie nie było słychać ani śladu tryumfu, kiedy jego teoria się potwierdziła. Oczy Anouk lśniły upiornie w mroku. Wyglądała jak pozbawiona warg zjawia z opowieści grozy.

Latarka, którą skierował na dziewczynę, nie była słaba, lecz świeciła ultrafioletowym światłem, które było ledwo widoczne dla ludzkiego oka. Kiedyś już używał podobnego modelu podczas jednej z akcji.

Ale skąd Anouk miała takie latarki?

Pytanie, które musiał odłożyć na później, ponieważ było coś ważniejszego do wyjaśnienia:

– Wskazywała ci drogę do mamy, prawda?

Kiedy Anouk nie zareagowała, z naciskiem zapytał jeszcze raz:

– Gdzie ją trzymają?

Reakcja Anouk sprawiła, że ponownie stracił grunt pod nogami. Tak jak podczas ich pierwszego spotkania znów wyszeptała jego imię.

– Martin.

– Nie rozumiem, co chcesz mi powiedzieć – zamierzał odpowiedzieć i zdziwił się, że nie słyszy własnego głosu, chociaż przecież porusza ustami. A następnie zdziwił się, że jeszcze stoi.

Ból za oczami znów wrócił, tym razem niejako po dłuższym rozbiegu i ze zdwojoną siłą.

Martin osunął się na podłogę i czuł, że robi się coraz gorzej. Anouk przeszła nad nim i ponownie włączyła światło na suficie. Odniósł wrażenie, jakby w tym czasie jakiś duch zamienił lampę w łazience na palnik spawalniczy. Jej jaskrawe światło chciało mu się wwiercić głęboko w oczy. Jednak, inaczej niż ostatniej nocy w kajucie kapitana, nie miał uczucia, że traci świadomość. Za to ledwo mógł poruszać kończynami.

Czuł, jak Anouk, która nagle przy nim uklęknęła, odgina mu palce, a on nie może jej przeszkodzić w wyjęciu sobie z dłoni latarki.

– Co chcesz zrobić? – wymamrotał.

– Iść – odpowiedziała, co prawdopodobnie odnosiło się do faktu, że odkryła kartę magnetyczną do drzwi w kieszonce jego koszulki polo.

Którą to kartą może otworzyć śluzę. I wyjść stąd.

– Hej, poczekaj, proszę. Nie lepiej, żebym poszedł z tobą?

Obojętne, dokąd chcesz pójść.

Największym wysiłkiem woli udało się Martinowi przekreślić na bok. Zobaczył jej białe stopy wychodzące z łazienki. Usłyszał, jak jeszcze raz głośno i wyraźnie powiedziała „iść”, co nie miało wielkiego sensu, ponieważ widać było, że nie ma zamiaru na niego czekać.

– Dokąd chcesz iść? – chciał krzyknąć, ale ledwo udało mu się to wyszeptać.

Anouk na chwilę odwróciła się do niego. Zobaczył, jak jej wargi wypowiadają bezgłośnie słowa „do błękitnego regału”; dotarły do niego z pewnym opóźnieniem, jakby odstęp pomiędzy nimi zwiększył się już na taką odległość, że dźwięk potrzebuje do jej przebycia wyraźnie więcej czasu niż światło.

Do błękitnego regału?

Martin podniósł się na kolana, podparł się na dłoniach i powłókł na czworaka za Anouk.

Gdzieś już słyszał to określenie.

Ale gdzie? Gdzie?

Niezdolny wyczołgać się z łazienki szybciej niż w zwolnionym tempie, mógł tylko patrzeć, jak Anouk otwiera drzwi wejściowe i nie odwracając się już do niego, wychodzi z kabiny.

Rozdział 54

Naomi

Dobrze znane skrzypienie. Czy słyszała je ostatni raz?

Odgłos, z jakim otwierał się luk, wydał jej się uwerturą, zapowiadającą właściwy wstęp do jej pożegnalnej pieśni.

Naomi Lamar podniosła się i na chwiejnych nogach patrzyła na wiadro, które powoli zjeżdżało w dół.

Była tak zdenerwowana, że czuła parcie na pęcherz, chociaż dopiero co załatwiła się w kole. W studni nie było kątów, ale znalazła miejsce, gdzie, jak jej się wydawało, mocz najszybciej znika w szparze w podłodze.

Naomi odchyliła głowę do tyłu i zmiotła z czoła pluskwę, która wypełza z włosów. Ciało już nie swędziało. Ono paliło, bo je rozdrapała do krwi. Szyję, ręce, piersi, owłosione nogi.

Lecz oto z góry właśnie przybywa wybawienie.

Wiadro zawisło pół metra nad jej głową.

Nastąpiło niespodziewane szarpnięcie, aż się złękła, że komputer może wypaść. Wyciągnęła ręce do góry do Pająka, ale nic się nie stało, poza tym, że teraz mogła dosięgnąć do wiadra.

Objęła je i przytrzymała, tak mocno, jak trzymałaby Anouk, gdyby chociaż jeszcze raz w życiu miała na to szansę.

Kiedy wiadro znalazło się na wysokości jej bioder, osunęła się razem z nim na podłogę. I się rozpłakała.

Przypomniała sobie dzień, kiedy na uniwerku wywiesili wyniki egzaminów i nie chciała wyjść do holu, nie chciała stanąć w szeregu z wszystkimi studentami, których marzenia po jednym spojrzeniu dostawały skrzydeł albo pękały jak mydlana bańka.

Mimo to nie wytrzymała nawet minuty w swoim pokoju. Ciekawość pokonała strach i najkrótszą drogą popędziła do tablicy ogłoszeń, tak samo jak teraz ciekawość nie pozwoliła jej zwlekać z wyjęciem komputera z wiadra i otwarciem pokrywy.

Przez sekundę, może dwie, udało się jej trzymać oczy zamknięte. Dłużej nie wytrzymała.

Zaczęła czytać wiadomość od Pająka. Z pewnością ostatnią wiadomość, jaką od niego dostała, po tym jak przyznała się do najgorszej rzeczy, jaką kiedykolwiek w życiu zrobiła drugiemu człowiekowi:

„Bardzo dobrze, Mrs. Lamar. Dokładnie o to mi chodziło. W końcu powiedziała pani prawdę. Jeśli jest jeszcze coś, co chciałaby pani wyznać przed śmiercią, może to pani napisać teraz na tym komputerze. Gdy tylko wyśle mi go pani z powrotem na górę, pozwolę pani umrzeć”.

Rozdział 55

Martin chwiejnie wtoczył się do recepcji Hell's Kitchen, spróbował ucześcić się kontuaru i niechcący rzucił plastikową doniczkę ze sztucznymi hortensjami.

Anouk już dawno zniknęła.

Kiedy wreszcie udało mu się znów stanąć na nogach i przejść z części szpitalnej do części recepcyjnej, zobaczył tylko jej plecy, pasek gołej skóry tam, gdzie szpitalna nocna koszula nie była porządnie związana. Potem elektroniczne drzwi się zamknęły i Martin stracił szansę powstrzymania dziewczyny przed opuszczeniem strefy kwarantanny.

Bo mogła we wnętrznościach statku szukać znaków widocznych w ultrafiolecie. Boso. Z latarką UV w dłoni.

Załamionymi oczami Martin wpatrywał się w stalowe drzwi śluzy i nie miał pojęcia, jak je otworzyć, gdyby nawet udało mu się pokonać niewyobrażalny trzymetrowy dystans stąd, gdzie stał, do wyjścia.

Przekłęte skutki uboczne.

Coś – pigułki, operacja stomatologiczna, upadek do wody, głębokie wyczerpanie, a najprawdopodobniej wszystko to razem – zmieniło jego głowę w kocioł ciśnieniowy.

Każdy krok wywoływał średnie trzęsienie ziemi, dlatego wolał się trzy razy zastanowić, dokąd teraz pójść. Ruch w stronę wyjścia byłby marnotrawieniem sił. Jego klucz miała Anouk, a bez niego się stąd nie wydostanie.

Jestem chory. Wyczerpany. I zamknięty.

Martin poszukał telefonu, ale nie było go już w kieszeni spodni. Nie przypominał sobie, żeby Anouk go zabrała, kiedy leżał na podłodze w łazience; prawdopodobnie wysunął mu się z kieszeni podczas upadku.

Odwrócił się. Mózg z chlupnięciem przelał się w przeciwnym kierunku. Poczul smak żółci. I zapach swojego potu.

Marzył, by położyć się na podłodze i zasnąć. Ale nie miał wyboru, jeśli w ogóle chciał się stąd wydostać. Zamknął oczy i po omacku próbował wrócić z recepcji do sali chorych. Im mniej zewnętrznych wrażeń zmysłowych go rozpraszało, tym większa była szansa, że nie zwymiotuje. Rzeczywiście na ślepo lepiej posuwał się do przodu. Aż do przejścia prowadzącego do kabin nie było niczego, o co mógł się uderzyć, wystarczyło tylko iść prosto. Cały czas pamiętał, aby głęboko oddychać, żeby zaopatrzyć mózg w tlen.

Przy końcu ludy recepcyjnej zatrzymał się na chwilę, aż udało mu się zlokalizować ból w tyle głowy. Dobry znak. Gdy ból nie był wszechobecny, lecz ograniczał się do konkretnego obszaru, mógł się na nim skoncentrować i w którymś momencie – miejmy nadzieję – go opanować.

Odważył się otworzyć oczy i zobaczył przed sobą uchylone jeszcze na szczęście drzwi do kabiny Anouk.

Martin zastanawiał się, co zrobić, jeśli nie znajdzie telefonu, i z ulgą uświadomił sobie, że wcale go nie potrzebuje. Wystarczy nacisnąć przycisk strachu, który był połączony z jego komórką i z komórką...

Eleny!

Myśl o lekarce sprawiła, że zastygł bez ruchu.

Dlaczego od razu na to nie wpadł? Nie jest przecież sam tu, na dole. Po zamachu Elenę również umieszczono w hell's kitchen!

Martin skręcił w prawo.

Daniel powiedział mu, że jej kabina znajduje się po przekątnej do kabiny Anouk. Po tej stronie korytarza były tylko jedne drzwi, które wchodziły w grę, ale były zamknięte.

Martin mocno zacisnął powieki; ognista kula pod lewą połową czoła miała teraz rozmiar pięści, która ścisnęła jego mózg jak gąbkę. Lepsze to niż kula do wyburzania budynków przedtem. Załomotał w drzwi. Szarpnął za klamkę. Zawołał Elenę po imieniu. Żadnej reakcji.

Pomasował sobie kark i ucisnął kciukiem wyrostek kręgosłupa szyjnego w nadziei, że dzięki temu poziom bólu pod czołem najpierw wzrośnie, ale potem się zmniejszy. Przekrzywił głowę na bok, popatrzył w górę i zobaczył nad framugą drzwi czerwoną dźwignię, którą Elena pokazała mu podczas pierwszej wizyty w hell's kitchen.

„W razie konieczności może pan otworzyć tym drzwi...”

Martin bez wahania szarpnął dźwignię do dołu. Usłyszał hydrauliczne syczenie, potem drzwi lekko uchyliły się do środka.

– Elena?

Wszedł do słabo oświetlonej wewnętrznej kabiny, wyposażonej identycznie jak kabina Anouk. Ta sama mieszanka hotelu i luksusowego sanatorium. Powietrze pachniało mieszanką nieświeżego oddechu i odświeżacza powietrza w sprayu.

Lekarka leżała na boku, z głową odwróconą w kierunku drzwi, i miała zamknięte oczy. W świetle lampki nocnej skutki zamachu były wciąż widoczne. Opuchnięte oczy, nabrzmiałe policzki, gruba szyja. Ale oddychała miarowo i wydawało się, że nic ją nie boli. Za dobry znak uznał też to, że nie miała żadnych podłączonych rurek i maski na twarzy.

Podszedł do jej łóżka i dotknął nagiego ramienia. Kiedy na to nie zareagowała, spróbował nią potrząsnąć, żeby się obudziła.

Zaczęła chrząkać i pojękiwać, i wykonała słaby ruch, aby strącić jego rękę, ale on chwycił ją jeszcze mocniej.

– Eleno, niech mi pani pomoże.

Zaspana, otworzyła oczy; w pierwszej chwili wydawało się, że go nie poznaje. Dopiero stopniowo jej wzrok nabierał wyrazu.

– Co...? – zapytała oszołomiona.

Pochylił się nad nią.

– Potrzebuję pani klucza! Gdzie on jest?

Twarz jej się skrzywiła, jakby ugryzła coś kwaśnego. Delikatne drżenie kącików ust brało się z powstrzymywanego ziewania.

– Dlaczego pan, przecież pan... też...?

Martin nie chciał tracić czasu. Kiedy on był tu zamknięty, Anouk na własną rękę chodziła po statku, i jeśli nawet wszystkie okoliczności przemawiały przeciwko temu, przecucie podpowiadało mu, że jej matka żyje. I jest w największym niebezpieczeństwie.

– Klucz! – wrzasnął na Elenę i złapał ją za ramiona.

Elena spojrzała wystraszona w lewo, na krzesło, na którym wisiał szlafrok i jej mundur. Martin zrozumiał ją bez dalszych słów.

Pokuśtykał do krzesła i sięgnął najpierw do jej spodni, ale znalazł klucz w kieszeni koszuli.

– Dokąd chce pan iść? – usłyszał ochrypły głos Eleny, kiedy znów był przy wyjściu.

Odwrócił się do niej.

– Czy wie pani, co to jest błękitny regał?

Lekarka szeroko otworzyła oczy.

– Błękitny regał? – zapytała i wbiła łokcie w materac, aby się wyżej podnieść.

– Tak.

Elena odrzuciła kołdrę, pod którą leżała tylko w majtkach i podkoszulku. Jej oczy zapłonęły z przejęcia.

– Że też od razu na to nie wpadłam! – Próbowała wstać, ale potrzebowała drugiej próby, ponieważ przy pierwszej osunęła się z powrotem na łóżko.

– Na co pani nie wpadła? O czym pani mówi? – zapytał, kiedy wreszcie wstała.

– Nie możemy tracić czasu – powiedziała i sięgnęła po szlafrok. – Szybko. Za... za... zaprowadzę pana.

Rozdział 56

Błękitny regał?

Daniel Bonhoeffer zamknął drzwi prowadzące do sypialni, gdzie właśnie doglądał Julii, kiedy zadzwoniła komórka. Środek uspokajający już nie działał. Kiedy na niego nie krzyczała, nerwowo chodziła po pokoju tam i z powrotem jak tygrys w klatce i od czasu do czasu waliła pięścią w meble.

– Tak, znajduje się między pokładem B i C, pośrodku statku obok pomieszczeń sterowni. Ale czego, do diabła, tam szukasz?

W twoim stanie?

Elena nie odpowiedziała. Albo po prostu się rozłączyła, albo połączenie zostało przerwane. Jedno i drugie było dla Daniela równie niezrozumiałe.

Jego narzeczona była chora. Powinna leżeć w łóżku, zamiast urządzać sobie spacerunki na dolny pokład, gdzie znajdowało się monstrum, któremu razem z Martinem Schwartzem chcieli złożyć wizytę.

Błękitny regał.

Raczej cyniczne określenie dla urządzenia pochodzącego z czasów, kiedy ochrona środowiska była tylko kosztownym hobby zbankowanych marzycieli, a odpadki wyrzucano jeszcze prosto do morza. „Sułtan” był jednym z pierwszych dużych, luksusowych liniowców z własnym urządzeniem do uzdatniania wody i spalarnią śmieci na pokładzie. Ale przecież nie miał jej w momencie wodowania. W pierwszych trzech latach kariery, kiedy nawet nie wszystkie europejskie porty znały się na recyklingu i systemie segregacji odpadów, nie było punktów odbioru śmieci albo były zbyt drogie, „Sułtan” całkiem oficjalnie wyrzucał odpady do morza.

W tym celu zgniatano je w prasie tłokowej w kształcie okrągłego szybu i w postaci kilkutonowych brył wyrzucano do oceanu.

Do błękitnego regału.

Maszyna, służąca dawniej do wyrzucania śmieci do morza, znajdowała się w miejscu, które swą ironiczną nazwą zawdzięczało czynności zanieczyszczania środowiska. To jego lokalizację właśnie podał Elenie.

Ale zaraz, no jasne...

Daniel usłyszał, jak w sypialni Julia otwiera drzwi do łazienki, i podszedł do biurka.

Błękitny regał. Czyżby tam właśnie była kryjówka?

Daniel nacisnął klawisz szybkiego wybierania w telefonie na biurku, Zanim jednak zdążył uzyskać połączenie z centralą maszynowni, z drzwi sypialni za jego plecami wypadła rozwścieczona Julia.

– Hej, Julia, poczekaj... – Odłożył słuchawkę, żeby ją zatrzymać, ale ona była już przy drzwiach.

– Nie dotykaj mnie! – fuknęła wściekle, kiedy próbował przytrzymać ją za rękaw. Miała na sobie biały płaszcz kąpielowy, którym ją wczoraj okrył. Włosy lepiły się jej do skroni jak morszczyń. Wydawało się, że jej twarz zmalęła przez noc, również ciało nie wypełniało już frotowego szlafroka, zupełnie jakby strach, zmartwienia i rozpacz sprawiły, że się skurczyła.

– Julio, proszę. Zostań. Dokąd chcesz iść?

– Byle dalej stąd – powiedziała. – Byle dalej od człowieka, który mi nie pomógł, kiedy chodziło o życie mojej córki.

– Julio, ja rozumiem, że...

– Nie. Nie rozumiesz. Ty nie masz dzieci. Nigdy nie miałaś. Nie ma mowy, żebyś mnie zrozumiał – rzuciła mu w twarz, gwałtownie otworzyła drzwi i znikła w korytarzu.

Daniel, urażony gorzkim, wrogim oskarżeniem, nie próbował jej już zatrzymać.

Oszołomiony wrócił do biurka, na którym dzwonił telefon. Powoli podniósł słuchawkę.

– Tu inżynier Rangun z centrali maszynowni. To pan przed chwilą dzwonił, kapitanie?

Kapitan przytaknął. Próbował się skoncentrować.

– Tak, chciałem się dowiedzieć, czy błękitny regał nadal jest podłączony do zasilania.

Oficjalnie maszyna do zrzucania śmieci do morza nie działała już prawie od pięciu lat. Ale nieoficjalnie nigdy nie odłączono jej od sieci elektrycznej, na wypadek, gdyby spalarnia śmieci kiedyś zastrajkowała i podczas dłuższego odcinka rejsu wystąpił problem z odpadkami. Bądź co bądź każdego dnia na „Sułtanie” zbierało się dziewięć ton stałych śmieci, dodatkowo dochodziło do tego dwadzieścia osiem tysięcy litrów ścieków. Dziennie!

– Teoretycznie tak, kapitanie – potwierdził oficer techniczny.

Daniel znał tego człowieka. Przez telefon jego głos przypominał raczej falset. W okrętowym chórze podczas imprez bożonarodzeniowych śpiewał wysokim sopranem, jednak nie było nikogo, kto by się z tego naśmiewał, ponieważ męskość, której brakowało Rangunowi w głosie, nadrabiał muskularnym ciałem.

– Teoretycznie? Co to ma znaczyć?

– Że nie odłączyliśmy zasilania prasy do śmieci, jak polecono, ale od dawna nie przechodziła przeglądu technicznego. Nie mam pewności, czy jest sprawna.

Daniel czuł, że inżynier jest zdziwiony tematem rozmowy, ale podległość służbowa zabraniała mu na zapytanie wprost – Daniel z kolei nie zamierzał dzielić się z nim przypuszczeniem, że w związku z tym chyba trudno o bardziej odpowiednie miejsce na statku, żeby kogoś miesiącami ukrywać.

A potem usunąć!

Błękitny regał miał podłogę, która za naciśnięciem guzika rozdzielała się na dwie połówki i chowała w ścianie, aż szybko stawał się bezdenną rurą, przez którą tłok mógł wypchnąć sprasowane śmieci prosto do wody.

– Może pan to wyłączyć? – zapytał Ranguna.

– Nie z tego miejsca. Urządzenie nie jest podłączone do nowej sterowni. Ale można przerwać obwód prądu na miejscu. Mam tam zajrzeć?

– Nie, proszę poczekać. Już do pana idę.

Jeszcze jeden świadek, tylko tego brakowało!

Daniel odłożył słuchawkę, sięgnął po swoją kapitańską czapkę leżącą na biurku, szybkim krokiem przeszedł przez pokój do wyjścia, otworzył drzwi...

...i spojrział prosto w wylot lufy rewolweru.

Rozdział 57

Naomi

Napisanie pożegnalnego listu zajęło Naomi trochę czasu, chociaż ostatecznie składał się z jednego zdania. Ku swojemu zaskoczeniu czuła się dziwnie odprężona, odkąd znów zamknęła komputer i odesłała wiadro.

Chociaż wiedziała, że nieuchronnie zbliża się czas zapowiedzianej śmierci, a przy tym nie miała pojęcia, w jakiej postaci ona do niej przyjdzie, nie czuła już strachu.

To chyba jest to, co katolicy rozumieją przez oczyszczającą siłę spowiedzi.

Głęboko w duszy, w krainie cieni swojej świadomości, zawsze czuła, że jej życie skończy się tragicznie. Musiało tak być, jeśli to prawda, że istnieje instancja, która dba o to, aby sprawiedliwości stało się zadość.

I okazało się, że istnieje.

Była tam, przy drugim końcu linki, i sprawiła, że Naomi przyznała się do czegoś, czego nie sposób wyrazić słowami. Wydobyła na światło dzienne to, o czym myślała, że ostatecznie wyparła ze swojej świadomości.

I zapisała to.

Moje przyznanie się do winy.

Naomi z chęcią zobaczyłaby Pajaka, który zdecydował o jej losie. Chciałaby się dowiedzieć, jak wygląda człowiek, który ją zdemaskował.

Teraz już wiedziała, skąd Pajak znał jej najbardziej intymne tajemnice. I dlaczego pragnął jej śmierci. Naomi znała przeszłość, a przez to motywację Pajaka, odkąd na jej pytanie: „Kim jesteś?”, udzielił szczegółowej odpowiedzi.

Zrozumiała, dlaczego musi zostać ukarana i to zrozumienie dało jej wewnętrzny spokój. Już się nie drapała, oddychała miarowo i tylko lekko drgnęły jej powieki, kiedy poczuła wibracje.

Zaczyna się, pomyślała, nie wiedząc, co Pajak zaplanował na jej koniec.

Usłyszała chrobot, jakby tarły o siebie dwa młyńskie kamienie, potem zobaczyła, że powiększa się szpara na środku studni. Powoli, ale coraz bardziej.

Raczej z ciekawości niż ze strachu podniosła się i obserwowała, co się dzieje z podłogą pod jej stopami.

Porusza się!

Obie połówki kręgu znikają w bokach szybu jak rozsuwane drzwi w ścianie.

Z zainteresowaniem stwierdziła, że szczelina pomiędzy obiema połówkami podłogi ma teraz szerokość stopy. I że słyszy w dole kipienie wzburzonej wody. Jeśli płyty podłogi zachowają prędkość rozsuwania się, nie upłyną nawet dwie minuty, a całkowicie straci grunt pod nogami.

I runie dwa i pół metra w dół, w wody Atlantyku.

Kiedy to sobie wyobraziła, uśmiechnęła się.

Rozdział 58

Gdyby ktoś obserwował tych dwoje, jak nawzajem się podpierając, posuwają się do przodu, wczepieni w siebie, jak dwoje tonących, pomyślałby, że Martin i Elena są pijani. Ale schodząc na pokład C nie napotkali żywej duszy, a to dlatego, że Elena wybrała mało znany skrót. Większość personelu „Sultana” nie miała czego szukać w dolnej części statku, a w każdym razie nie w tej części, gdzie znajdowały się ładownie. Tutaj składowano wszystkie części zapasowe, z których nie korzystało się podczas rejsu. Kiedy ktoś chciał się tam dostać, wybierał windę towarową, a nie stalowe schody awaryjne.

– Skrót – wymamrotała Elena u stóp schodów, ale potem straciła orientację, kiedy doszli do pomieszczenia w kształcie długiego cylindra, pełnego rozmaitych rur, w którym trzeba było pochylić głowę, żeby nie nabić sobie guza.

Martin poczuł się tak, jakby został przeniesiony do wnętrza okrętu podwodnego, jakie znał z filmów. Na rurach widniały polakierowane na jadowicie zielony kolor obrotowe pokrętła zaworów. Była tam też zajmująca całą ścianę szafa, który wydawał się składać z mnóstwa skrzynek z bezpiecznikami, zaopatrzonych w liczne zegary, których wskazówki minimalnie się poruszały.

Na jego pytanie, w którą stronę mają iść, Elena wzięła do ręki komórkę i zapytała kapitana o drogę. Martin zdziwił się, że Bonhoeffer w ogóle zrozumiał narzeczoną, tak niewyraźnie mamrotała, ale po krótkiej wymianie słów chyba jednak pomógł Elenie, ponieważ wskazała na lewo i puściła go przodem.

Droga doprowadziła ich do białej grodzi, która dała się otworzyć tylko z dużym wysiłkiem. Martin obiema rękami przekręcił koło zamka i napał na stalowe drzwi, grube jak w dużym bankowym skarbcu.

Znajdujące się za nimi pomieszczenie było szersze i ciemniejsze. Śmierdziało kurzem i ropą. Na podłodze poniewierały się śmieci, a na umieszczonych w szafkach urządzeniach, które wyglądały na starsze niż te, które minęli, wisiały pajęczyny.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał Elenę, która wyczerpana oparła się o jedną z pokrytych kurzem szafek.

– Nie mam pojęcia. W starej sterowni. Tam, z przodu... – wskazała na kolejne drzwi na końcu przedziału, zbyt słaba, aby dokończyć zdanie.

Martin poszedł we wskazanym kierunku.

Stąpał po bezładnie porozrzucanych śrubach, chusteczkach higienicznych, papierze i innych śmieciach, których od wieków nikt nie sprzątał, i na końcu pomieszczenia natrafił na następną gródź, którą udało mu się otworzyć z jeszcze większym trudem niż poprzednią.

Za grodzią przywitała go katedra.

Przynajmniej takie było jego pierwsze wrażenie, kiedy przekroczył próg strzelistego pomieszczenia, oświetlonego jedynie rzędem lamp halogenowych na obu bocznych ścianach.

Na końcu, niejako w miejscu ołtarza, znajdował się lśniący miedzią zbiornik, podobny do kadzi browarniczej o owalnym przekroju. Dwie trzecie jego powierzchni wybrzuszało się do wewnątrz pomieszczenia, jedna trzecia chowała się w rufie „Sultana”. Wzdłuż kadzi biegło coś w rodzaju drabinki pożarowej, która pięć metrów nad głową Martina zniknęła w ciemności.

– To tutaj! – krzyknął, aby zasygnalizować lekarce, że znalazł błękitny regał. W drodze w głąb kadłuba,

wyjaśniła mu, skąd pochodzi to określenie i dlaczego nie używano już urządzenia do pozbywania się odpadów.

Obejrzał się za siebie, ale Elena nie pojawiła się w przejściu ani mu nie odpowiedziała.

Prawdopodobnie zbierała siły. Zaraz pójdzie sprawdzić, czy wszystko z nią w porządku, ale najpierw chciał się bliżej przyjrzeć błękitnemu regałowi i jego otoczeniu.

Pokonał kilkanaście stopni prowadzących na podest otaczający kadź i rozejrzał się. Nigdzie nie zobaczył Anouk. Zawołał ją, ale nie odpowiedziała, tak samo jak lekarka.

Martin spojrzał w górę.

Odpady, pomyślał, były prawdopodobnie wrzucane do szybu przez jakieś urządzenie na górze, półtora pokładu wyżej.

Szyb! Woda w studni!

Przypomniał mu się szczegółowy rysunek Anouk.

Ponieważ kadłub był w tym miejscu silnie wybrzuszony, przynajmniej jedna trzecia zbiornika znajdowała się nad szalejącymi wodami Atlantyku. Gdy szyb był pełny, dno po prostu się otwierało i śmieci wpadały do morza. Ze swojego miejsca u stóp błękitnego regału nie mógł zobaczyć urządzeń, które za to odpowiadały. Zastanawiał się, czy wejść po drabince biegnącej w górę wzdłuż zbiornika, kiedy obchodząc go dookoła, zobaczył drzwi. Miały wysokość człowieka i prawdopodobnie było to wejście dla ekipy sprzątającej, która po każdym użyciu czyściła wnętrze urządzenia albo wykonywała drobne prace konserwacyjne.

Martin położył rękę na drzwiach zabezpieczonych dźwignią, która przypominała mechanizm zamka drzwi w samolotach. Pociągnął za nią, kiedy nagle poczuł silny wstrząs pod stopami, któremu towarzyszył przenikający do szpiku kości, zgrzytliwy odgłos.

Myślałem, że urządzenie jest nieczynne.

Wydawało się, że kadź ożyła i że coś porusza się w jej wnętrzu.

Ale jeszcze bardziej przestraszył Martina ruch za jego plecami.

– Elena?

Liczył się z tym, że cień na kadzi i prąd powietrza na jego karku spowodowała Elena, która wreszcie pokonała zmęczenie i przyłączył się do niego, ale nie ta drobna postać bez twarzy, która stała w cieniu, z głową ukrytą pod kapturem bluzy. Rozpoznał ją, chociaż spotkał tylko raz. Trzymała w ręku wiadro.

Martin już chciał wykrzyknąć imię tej osoby, kiedy postać skoczyła do przodu i uderzyła go z boku w głowę przedmiotem, który wyglądał jak przenośny komputer, ale wydał mu się cegłą, kiedy jego kant grzmotnął go w skroń.

Rozdział 59

W przeciwieństwie do bólu głowy, który nawiedzał go ostatnio niczym patrol interwencyjny policji, ból od uderzenia był zupełnie innego rodzaju. W pierwszej chwili wydawał się nie do zniesienia, za to potem, kiedy Martin już dawno leżał na podłodze, znacznie szybciej złagodniał.

W każdym razie dostatecznie szybko, aby Martin zauważył, że napastnik stanął nad nim i znów się zamachnął, tym razem paralizatorem trzymany w dłoni. Martin instynktownie poderwał kolano, uderzył nim napastnika między nogi, ale ten wcale nie złożył się jak scyzoryk, lecz tylko trochę pochylił. Przy okazji jednak wyslizgnął mu się z ręki paralizator, co spowodowało, że teraz obydwaj obmacywali lśniąco metalową podłogę, szukając po omacku broni.

Martin poradził sobie z tym znacznie gorzej, ponieważ potężny cios w skroń wciąż ograniczał szybkość jego reakcji, a paralizator, chociaż leżał bliżej niego, ponownie znalazł się w ręku napastnika, który ze zdumiewającą siłą złapał Martina za gardło. Z siłą, o którą Martin w ogóle by go nie podejrzewał, uciskał mu tętnice szyjne.

Przed oczami Martina pojawiły się niebieskie błyskawice.

Napastnik włączył paralizator, który był już oddalony o kilka zaledwie centymetrów od głowy Martina, gotowy porazić jego mięśnie dziesiątkami tysięcy woltów. Martin czuł na twarzy wilgotny oddech przeciwnika; zastanawiał się, jak to możliwe, że ta szczupła, drobna osoba była odpowiedzialna za wszystkie te straszne rzeczy, które wydarzyły się na pokładzie „Sułtana”; porwania, gwałty, morderstwa, i jeszcze raz się zamachnął, aby zrzucić napastnika. Ale trafił w pustkę.

Gdzie? Gdzie jesteś?

Zakapturzonego napastnika już nie było nad nim, musiał zmienić miejsce, prawdopodobnie żeby wcisnąć mu paralizator w bok, tak jak zrobił to już na pokładzie dla naturystów. Wtedy po to, aby go ostrzec.

„Timmy nie żyje. Następnym razem ty też zginiesz”.

Tylko że czas ostrzeżeń już minął.

Martin instynktownie przycisnął obie ręce do ciała i kopnął w stronę, gdzie spodziewał się przeciwnika. Usłyszał przerażający krzyk, a następnie odgłos pękających kości.

Wiedział, że nawet nie dotknął napastnika, uniósł się więc na łokciach i przynajmniej jednym okiem zaczął w miarę wyraźnie rozpoznać kontury.

Napastnik na podłodze.

Elen obok niego.

Stała z notebookiem w ręku, dygocąc na całym ciele, przy nieruchomej postaci u stóp podestu, której głowa leżała w czerwonej kałuży, powoli rozlewającej się spod kaptura.

– Ja... ja...

Elena dyszała ciężko, nie pojmując swojego czynu.

– ...ją uderzyłam. Ona... upadła... i... – Rękawem płaszcza kąpielowego Elena otarła łzy, upuszczając przy tym komputer na podłogę. Pokazała na nienaturalnie wygiętą głowę. Napastnik upadając

na schody, złamał kark.

Martin podpełzł na czworakach do zwłok i zdjął kaptur z głowy trupa.

– Nie! – krzyknęła Elena, której przerażenie jeszcze się spotęgowało na widok martwej twarzy. Do tego stopnia, że straciła przytomność i osunęła się obok martwego ciała. Martin, który zamortyzował upadek, wsuwając jej rękę pod głowę, sprawdził puls.

Był szybki, ale regularny.

Zupełnie inaczej niż u Shahli.

Martin odwrócił się do zwłok. Popatrzył w szeroko otwarte, całkowicie pozbawione wyrazu oczy.

Nawet jeżeli nie miało to sensu, ponieważ ten sprawca nie mógł zgwałcić Anouk, w kałuży krwi leżała przed nim pokojówka, która rzekomo znalazła Anouk, ale w rzeczywistości najprawdopodobniej sama ją uprowadziła ją i tygodniami gdzieś przetrzymywała.

I która gdzieś tutaj, jeśli się nie mylił, więziła również jej matkę.

W błękitnym regale.

Którego podłoga od około półtorej minuty, bo tyle trwała walka, wibrowała. Jakby się poruszała.

Jakby otwierała się kłapa.

Martin wstał i słaniając się, podszedł do drzwi w zbiorniku.

Upłynęło kolejne dziesięć sekund, kiedy je wreszcie otworzył.

Rozdział 60

Podłoga była już tylko wąskim podestem, mniej więcej szerokości półki na książki. Reszta znikła już w ścianie i gdyby Martin nie otworzył drzwi dla personelu technicznego, w błękitnym regale w ogóle nie byłoby już podłogi. A tak uruchomił mechanizm awaryjny, który z chwilą ich otwarcia blokował otwieranie się szybu.

W ostatniej chwili.

Jeszcze trochę i Naomi Lamar nie mogłaby już utrzymać równowagi.

Jej bose stopy w jednej trzeciej wystawały już poza krawędź. Przypominała pływaczkę, która tylko czeka na strzał startera, aby skoczyć do znajdującej się pod nią wody. Martin wiedział, że przy następnym przechyle „Sultana” – a był pewny, że to musi nastąpić – matka Anouk spadnie.

– Naomi! – wrzasnął do niej, ale ona znajdowała się, podobnym stanie odrętwienia wywołanym szokiem, jak wcześniej jej córka. Nie zareagowała. Być może nawet wcale go nie usłyszała, tak głośno szalał pod nią Atlantyck.

Piana z kipiącej w dole wody bryzgnęła na jej podrapaną twarz. Z całego ciała brudnej jak nieboskie stworzenie kobiety, której skóra od stóp do głów była poznaczona krwawymi szramami, kapąła woda. Również Martin był przemoczony bryzgającymi falami.

– Tutaj! – Złapał się mocno krawędzi drzwi i niebezpiecznie wychylił do wnętrza szybu, najdalej jak mógł, wyciągając w jej stronę wolną rękę. Przy odrobinie wysiłku Naomi udałoby się chwycić jego dłoń. Ale matka Anouk sprawiała wrażenie zmęczonej życiem i pozbawionej bodaj cienia odwagi. Zupełnie, jakby nie chciała dać sobie pomóc. W każdym razie nie wykonała najmniejszego ruchu, żeby chociaż na centymetr się do niego zbliżyć. Stała jak przymurowana, wpatrując się w kipieli pod stopami.

– Anouk żyje! – krzyknął. Wydawało się, że imię jej córki wywołało reakcję.

Naomi poruszyła głowę. Uniosła ją. Odwróciła w jego kierunku. Spojrzała na niego i otworzyła usta.

– Przepraszam – powiedziała. Albo coś w tym rodzaju.

I am sorry.

Jej głos był o wiele za słaby, żeby przedrzeć się przez ryk morza.

– Neeee! – krzyknął Martin, ponieważ wszystko wskazywało na to, że Naomi chce zrobić krok do przodu. W śmierć. Gdyby teraz skoczyła, okrętowa śruba niechybnie pocięłaby ją na kawałki.

– Jej porywacz nie żyje! – krzyknął.

Naomi zatrzymała się. Otworzyła usta jak do ostatecznego pożegnania, ale nagle coś się zmieniło w wyrazie jej twarzy. Lekko wykrzywiła wargi. Najpierw wydawało się, że płacze. Potem, że chce się uśmiechnąć. Na końcu wyglądało to na jedno i drugie jednocześnie.

Martin zauważył, że już nie wpatruje się w niego, lecz w punkt nad jego ramieniem.

Na chwilę spojrzał do tyłu. Powód zmiany w jej emocjach stał tuż za jego plecami.

Anouk.

Wreszcie znalazła drogę.

W ostatniej chwili.

Zbliżała się powoli z latarką w dłoni. Jej twarz miała wyraz, jakiego Martin nigdy wcześniej u niej nie widział. Nic dziwnego, ponieważ się śmiała.

Usłyszał okrzyk radości, który wydobył się nie tylko z ust dziewczynki, lecz również Naomi.

Martin ponownie odwrócił się do matki, która wykrzykiwała imię córki. Tak głośno, że nawet Atlantyk nie mógł tego zagłuszyć.

Naomi też zaczęła się śmiać. Głośno, na całe gardło – i to był błąd. Ponieważ radosne drzenie, które ogarnęło jej ciało, spowodowało, że się zachwiała.

Znów wyglądała jak ktoś, kto stoi na krawędzi basenu, ale tym razem sprawiała wrażenie osoby nieumiejącej pływać, która rozpaczliwymi ruchami ramion chce uniknąć tego, co nieuniknione.

Upadku.

– Tutaj! – wrzasnął, w zdenerwowaniu po niemiecku Martin i był to bardziej przypadek niż celowe działanie, że Naomi, już przechylając się do przodu, chwyciła jego dłoń.

Martin poczuł silne szarpnięcie, od ramion aż do szczęk, które z całej siły zacisnął, jednocześnie starając się nie zwolnić chwytu żadnej z rąk. Ani tej, na której kołysała się Naomi, mając stopy tuż nad wzburzoną powierzchnią wody, a już w żadnym wypadku tej, którą próbował sam siebie uchronić przed upadkiem w śmierć. Na szczęście matka Anouk ważyła niewiele więcej niż mała dziewczynka. Brak pożywienia, który o mało nie doprowadził do jej śmierci, mógł być teraz dla niej ratunkiem...

...jeśli tylko jej nie puszcę.

Naomi była lekka, wycieńczona chorobą, ale miała wilgotną dłoń. Moką. Śliską.

Martin miał wrażenie, jakby trzymał nasmarowaną mydłem linę. Im silniej ścisnął jej rękę, tym szybciej wydawała się wymykać z jego palców. I to go rozwścieczyło.

Nie po to przeszedłem przez to całe gówno...

Gwałtownym szarpnięciem, które poczuł aż w kręgosłupie...

...aby tuż przed końcem...

...poderwał Naomi w górę...

...ponieść klęskę.

...ponad krawędź błękitnego regału. Na podłogę podestu. Obok zbiornika. W bezpieczne miejsce.

Udało się!

Śmiertelnie wyczerpany leżał na podłodze. Próbował jednocześnie wdychać i wydychać powietrze, co spowodowało nieunikniony atak kaszlu. Ale czuł się dobrze.

Spojrzał na Naomi, której radość spowodowana widokiem córki najwyraźniej dała więcej sił niż jemu, ponieważ udało jej się pozbierać i wyciągnąć ramiona.

Do córki, która podeszła do niej nie mniej chwiejnym krokiem.

Martin zadowolony zamknął oczy.

Nawet jeśli nie był to jego własny syn ani nawet dziecko, które sam uratował, to jednak udało mu się uchronić matkę przed śmiercią, połączyć rodzinę – i podarować uśmiech Anouk.

Dlatego teraz, kiedy leżał na kołyszącej się, śmierzdzącej zimnymi śmieciami i solą morską podłodze obok błękitnego regału, po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna znów był szczęśliwy.

Chociaż tylko na krótki czas.

Czas potrzebny na to, aby uśmiech na twarzy Anouk, z którym szła matce naprzeciw, znikł, a ona

pchnęła Naomi w pierś. Szybkim ruchem, niezbyt wprawdzie silnym nawet jak na jedenastolatkę, ale jednak wystarczająco mocnym, żeby Naomi Lamar straciła równowagę i wpadła tyłem do błękitnego regału, w spienione fale oceanu.

Rozdział 61

Czas mijał i Bonhoeffer powoli zaczynał mieć wszystkiego powyżej uszu. Podczas tego rejsu został pobity przez paranoicznego policjanta, jego uwielbiana chrześnica zabiła się, za co była żona jego najlepszego przyjaciela obarcza go winą, a w okrętowej kostnicy, która jest już na wycieczkowcach obowiązkowa ze względu na dużą liczbę emerytów na pokładzie, leżał jego oficer bezpieczeństwa z dziurą po kuli w głowie. Co gorsza, jak widać, ciąg tych koszmarnych wydarzeń wcale nie miał zamiaru się skończyć.

– Nie mógłby pan skierować broni w inną stronę? – ofuknął mężczyznę o nazwisku Tiago Álvarez, który rewolwerem wepchnął go z powrotem do kabiny, gdzie Daniel musiał zająć miejsce za biurkiem, podczas gdy ciemnowłose Latynos jak tygrys w klatce chodził tam i z powrotem po kabynie, cały czas mierząc ze swojej broni w pierś kapitana.

– Okej, siedzę tu już... – Bonhoeffer spojrział na zegarek – ...co najmniej ze dwadzieścia minut, a pan jak dotąd nie raczył mi jeszcze powiedzieć, co chce osiągnąć tą napaścią.

Chociaż w międzyczasie Tiago mnóstwo mu powiedział. Gadał jak najęty i okazało się, że jest po prostu tyleż zdezorientowanym, co wystraszonym pasażerem. Bonhoeffer dowiedział się, że Tiago tylko „niechcący” – obojętne, co by to miało oznaczać – podsłuchiwał kłótnię jednego z oficerów z pokojówką i od tamtej pory przed nim uciekał. Na końcu całej opowieści Boenhoffer zorientował się, że chodzi właśnie o Veitha Jespera.

– Czyżby chciał pan mnie teraz zamordować tak samo jak jego? – zapytał kapitan.

– Nie zabiłem tego człowieka – odparł śniady Argentyńczyk, z trudem panując nad sobą. – To on wetknął mi do ust lufę rewolweru.

– I w ostatniej chwili zmienił zdanie i wolał sam wpakować sobie kulę w łeb. – Bonhoeffer zaśmiał się. Bez wątplenia miał do czynienia z wariatem. Może z porywaczem Anouk?

Zastanawiał się, czy rewolwer, który tamten trzyma w ręku, jest w ogóle sprawny. Część za bębenkiem wyglądała na rozsadzoną, poza tym wydawało się, że brakuje spustu.

– Czy to pan uprowadził dziewczynkę? – zapytał bez ogródek Argentyńczyka. Prawdopodobnie Veith przyłapał go na gorącym uczynku. W takich okolicznościach pozbycie się go miało sens. Ale czego on, do diabła, może chcieć ode mnie?

Nawet jeśli przestępcy niekoniecznie muszą dawać poznać po sobie, jakie nieczne popełnili czyny, Bonhoeffer wątpił, żeby miał przed sobą perwersyjnego gwałciciela. Z drugiej strony, facet przemycił przez kontrolę bezpieczeństwa broń i prawdopodobnie zastrzelił z niej oficera, nieważne z jakiego powodu.

– Nikomu nie zrobiłem krzywdy – zaprotestował Tiago. – To mnie chciano zabić. Tutaj ja jestem osobą, która potrzebuje ochrony.

Bonhoeffer, który zaczynał nabierać wprawy w wisielczym humorze, uśmiechnął się i powiedział:

– Może powinien pan to wszystko powtórzyć, ale tym razem bez wymachiwania rewolwerem.

W kieszeni jego spodni zadzwonił telefon, ale zanim zdążył odebrać, Tiago kazał mu położyć aparat na

biurku.

– Proszę pana, potrzebują mnie na mostku – skłamał Bonhoeffer. – Nie zostało panu dużo czasu, żeby przedstawić swoje żądania. Zaraz zaczną mnie szukać.

– Nie mam żadnych żądań. Za kogo mnie pan uważa?

Za cholernie złą kombinację, pomyślał Bonhoeffer. Wariata z bronią w rękę.

Przypuszczalnie Veith znalazł kryjówkę Tiago, kabinę 2186, gniazdko miłości, w której przetrzymywał Anouk. Tak, to miało sens, przecież dziewczynę znaleziono tu w pobliżu.

– Gdzie jest matka? – Bonhoeffer odważył się na bezpośrednią konfrontację z mężczyzną.

– Matka? – zapytał Tiago. Po jego głosie słychać było, że nie wie, o co chodzi, ale mogła to być gra.

– Matka Anouk. Czy jest w błękitnym regale? Jeśli tak, to pana kryjówka jest spalona. Moi ludzie już tam idą.

– Co pan, do diabła, plecie? – zapytał Tiago. – Nie znam żadnej Anouk. Tylko Lisę.

– Lisę? – Teraz Bonhoefferowi odebrało mowę. – Skąd...?

– A stąd. – Tiago wyjął kopertę z tylnej kieszeni spodni. Jedną ręką wytrząsnął z niej dwie kartki papieru.

– Co to jest? – zapytał Bonhoeffer.

– Plan – odpowiedział Tiago. – Już dawno chciałem go komuś dać. – Podał Bonhoefferowi pierwszą z dwóch kartek.

Kapitan wygładził papier na biurku i zaczął czytać.

„Plan:

Krok 1: Wyłączam kamerę monitoringu. Querky ma ją na liście jako nr 23/C. Dostaję się do niej po zewnętrznych schodach na pokładzie 5.

Krok 2: W kabinie mamy zostawiam list pożegnalny.

Krok 3: Zamykam drzwi wejściowe i przechodnie”.

Bonhoeffer uniósł wzrok.

– Skąd pan to ma?

Tiago nie potrafił oprzeć się jego twardemu spojrzeniu. W oczywisty sposób odpowiedź na to pytanie nie była dla niego przyjemna i kiedy jednak to zrobił, Bonhoeffer zrozumiał wreszcie, dlaczego Argentyńczyk cały czas nie chciał tego powiedzieć. Był złodziejem. Zwykłym drobnym cwaniaczkiem, specjalizującym się w plądrowaniu sejfów współpasażerów. Wizerunek, który o wiele lepiej pasował do tego roztrzęsionego i zagubionego młodego człowieka, niż wizerunek mordercy i gwałciciela.

– Więc wtedy wszedł pan w posiadanie tego... tego... – Bonhoeffer szukał pasującego słowa i w końcu wykorzystał określenie użyte przez Tiago – ...tego planu?

Tiago przytaknął. Wyglądał na szczerze skruszonego.

– Nawet pan nie wie, jakie mam przez to wyrzuty. Gdybym trochę wcześniej zdobył się na odwagę i komuś o tym powiedział... Ale ten morderca, ten oficer... – Tiago pokręcił głową. – Bałem się o swoje życie. I nadal się boję. Do tej pory nie wiem, w co się wpakowałem. Nie mam pojęcia, jak to wszystko ze sobą się wiąże. Skąd na przykład mam wiedzieć, że to nie pan poszczuł na mnie tego Veitha?

– Wie pan co? – Bonhoeffer wstał zza biurka. W tej chwili rewolwer zupełnie go nie obchodził. – Może mi pan naskoczyć. Mam w dupie pana i Veitha. Lisa Stiller była moją chrześnicą. Kochałem ją. Jej samobójstwo jest gorsze niż każda kula, którą mógłby mnie pan poczęstować.

Tiago, który właśnie chciał chwycić broń obiema rękami, zamarł.

– Lisa się zabiła? – zapytał skonsternowany.

Bonhoeffer przestał już cokolwiek rozumieć.

– Czy to ma być żart? – zapytał i potrząsnął kartką papieru utrzymaną w dłoni. – Przecież chyba czytał pan plan.

– Tak. Czytałem. – Tiago podał mu drugą kartkę. – Ale tu wcale nie chodzi o śmierć Lisy!

Rozdział 62

Anouk znów była w swoim własnym świecie. Jak automat stawiała nogę za nogą i podczas tego marszu najwyraźniej nie czuła ani ręki Martina, który ją podtrzymywał, ani dłoni Eleny, która ją prowadziła. Marszu z katedry przez pomieszczenia sterowni, schodami na górę, z powrotem do hell's kitchen, gdzie teraz znów leżała w swoim łóżku, zatopiona w sobie, ale z otwartymi oczami, ze wzrokiem utkwionym w suficie. Emanował z niej stoicki spokój, twarz miała nieruchomą i nie odpowiadała nawet na to jedno jedyne pytanie, które Elena i Martin zadawali jej na zmianę:

- Ale dlaczego?
- Dlaczego to zrobiłaś?
- Dlaczego zabiłaś swoją matkę?

Ponieważ Elena od czasu ostatniej utraty przytomności z trudem trzymała się na nogach, Martin odprowadził ją do jej pokoju w hell's kitchen, gdzie teraz siedzieli naprzeciw siebie przy małym stoliku.

Komórka Martina, która rzeczywiście odnalazła się w łazience, leżała przed nim na matowym laminowanym blacie, obok otwartego notebooka, którym Elena uratowała mu życie. Na jednej krawędzi wciąż jeszcze było widać krew – w miejscu, w którym komputer wszedł w kontakt z czołem Shahli.

W gruncie rzeczy Martinowi było nawet na rękę, że nie dodzwonili się do kapitana. Informacje, jakie musieliby mu przekazać, były szokujące. A ponieważ Shahla nie żyła i Naomi również nie mogła przeżyć upadku do morza, do czasu zawinięcia do portu w Nowym Jorku i tak nie można było już nic zrobić, poza umieszczeniem Anouk w zamknięciu i jej przepytaniem. To pierwsze już się stało. A na to drugie szanse były raczej niewielkie.

A poza wszystkim Martin z Eleną potrzebowali też trochę czasu, aby wyjaśnić sobie wszystkie kwestie, które nie dawały im spokoju, odkąd wyszło na jaw, kto kryje się za uprowadzeniem Anouk i torturowaniem jej matki.

Po pierwsze, zupełnie nie wiedzieli, co o tym myśleć. Ich wyobraźnia kapitulowała już przy próbie odpowiedzi na pytanie, jak Anouk mogła zostać zgwałcona przez kobietę.

W ustaleniu prawdy pomogła im akurat broń, która pozbawiła sprawcę życia.

Notebook.

Martin otworzył go, nie wiążąc z tym większych oczekiwań, z czystej ciekawości: dlaczego Shahla niosła go w wiadrze, kiedy go zaatakowała. Liczył się z tym, że uderzenie i późniejszy upadek na ziemię mogły uszkodzić urządzenie. Ale notebook działał bez zarzutu. Kiedy Martin podniósł pokrywę, zobaczył na ekranie dziwaczną wymianę korespondencji pomiędzy sprawcą i ofiarą. Na pierwszy rzut oka wyglądało to tak, jakby Shahla prowadziła z Naomi rodzaj perwersyjno–voyeurystycznej konwersacji.

– Chciała, żeby matka Anouk przyznała się do najgorszej rzeczy, jaką zrobiła w życiu. – powiedział.

– Po co? – wychrypiła Elena. Głos miała taki, jakby dzień wcześniej wrzeszczała jak opętana na koncercie rockowym, ale za to przestała już mamrotać. I znów szok objawił się w dziwny sposób. Fakt, że była winna śmierci człowieka, nawet jeśli prawdopodobnie chodziło o psychopatę, rozluźnił jej język, ale podrażnił struny głosowe.

– Ponieważ Naomi mogła umrzeć dopiero wtedy, kiedy jej wyznanie zadowoli Shahłę.

Martin, który już przejrzał początek tekstu, pokrótce streścił Elenie, co matka Anouk wyznała pokojówce.

– Wielki Boże... Czy jest tam gdzieś jakaś wskazówka, dlaczego Shahla to zrobiła?

– Owszem, jest.

Stuknął palcem w ekran.

– Naomi zapytała Shahłę, kim jest, i ta najpierw odpowiedziała niejasno w stylu charakterystycznym dla bajek i zasygnalizowała kilka puent, których w ogóle by się nie spodziewała. Potem zrobiła się bardziej konkretna. O, tutaj.

Martin przeczytał na głos odpowiedni fragment:

„Miałam jedenaście lat, kiedy pierwszy raz zostałam wykorzystana seksualnie. Mój ojciec wyjeżdżał służbowo, był dyrektorem wykonawczym w pakistańskiej firmie elektronicznej, która została później kupiona przez Microsoft, ale kiedy byłam dzieckiem, ojciec spędzał więcej czasu w samolotach niż w domu.

Miałam wszystko, czego dziecko mogło zapragnąć. Dom w strzeżonej okolicy, wiecznie zielone ogrody odgradzające nas od nędzy panującej wśród zwykłych ludzi, którą widziało się tylko, kiedy szofer musiał ominąć korek na drodze. Przez przyciemniane szyby limuzyny mogliśmy zobaczyć zwyczajne domy, gdzie mieszkali ludzie, których nigdy nie będzie stać na komórki i komputery produkowane przez mojego tatę.

Moje nastoletnie życie składało się z lekcji baletu, treningów gry w golfa, nauki angielskiego. I seksu.

Albo przytulania, jak to nazywała moja matka”.

– Jej matka? – Elena przerwała mu z niedowierzaniem. Z przejęcia ugryzła się w górną wargę.

– Tak – potwierdził Martin. – Widocznie to nie ojciec wykorzystywał Shahłę.

Dla większości ludzi może się to wydawać niepojęte. Jednak jako śledczy Martin wiedział, że seksualne wykorzystywanie dzieci przez matki wcale nie jest rzadkością, ale stanowi temat tabu, o którym opinia publiczna milczy. Szacunkowo dziesięć procent wszystkich osądzonych przestępców seksualnych to kobiety. Organizacje pomocy dzieciom mówią o dużo wyższej liczbie nieujawnionych przypadków, ponieważ tylko niewiele ofiar występuje przeciwko swoim matkom, a jeśli już zdobędą się na odwagę, zderzają się z takim samym niedowierzaniem, jakie właśnie okazała Elena.

– Shahla miałyby być gwałcona przez swoją matkę? Jak to możliwe?

– Pisz o tym trochę dalej. Tu...

Martin przewinął o trzy akapity.

„Mama wiedziała, że to, co mi robi i czego ode mnie żąda, jest złe. Zawsze, kiedy ojciec wyjeżdżał na dłużej, przychodziła do mnie, żeby się «pocieszyć», jak to nazywała. Najpierw mi to nawet odpowiadało i było miłe. Jej dotknięcia, pieszczoty były przyjemne. Na początku. Ale potem jej ręce zaczynały wędrować coraz śmieiej, palce dotykały takich miejsc, że przestawało to być przyjemne. Mówiła, że wszystko jest okej. Nawet wtedy, kiedy całowała mnie tam na dole. Miało mi to podobno pomóc wydorosnąć. Niby całkiem normalna rzecz między matką i dzieckiem. Ale potem robiła się coraz bardziej

natarczywa. Kiedy któregoś razu zmusiła mnie do nałożenia prezerwatywy...”

– Zaraz, chwila. Prezerwatywa? – zapytała Elena z jeszcze większym niedowierzaniem. Jej głos aż się załamał z napięcia.

Martin, który przeczytał już dalej, mógł jej wytłumaczyć tę pozorną sprzeczność.

– Shahla przedstawia w tej korespondencji swoje przeżycia związane z wykorzystywaniem seksualnym, aby wyciągnąć od matki Anouk przyznanie się do winy – powiedział do Eleny. – I tu mamy chyba kolejną zasygnalizowaną puentę jej historii.

Chwycił się za gardło, które właśnie mu się ścisnęło.

– Pierwsza była taka, że to nie ojciec, lecz matka pakowała jej się do łóżka. Druga jest taka... – odchrząknął – ...że Shahla przyszła na świat jako chłopiec.

Rozdział 63

Julia Stiller otworzyła drzwi do swojej kabiny. Wydała się jej obca. Nie, to ona wydawała się w niej obca. Nie czuła się tu już jak u siebie. Czuła się obco w kabinie. Na statku. A nawet we własnym ciele.

Otworzyła szafę i końcami palców dotknęła rękawów starannie powieszonych ubrań, których już nigdy nie będzie nosić. Tak samo jak podróźnej torby leżącej na półce, która była jej nierozłączną towarzyszką podczas każdej podróży i której teraz już nigdy nie weźmie do ręki.

Zostawi to wszystko, kiedy będzie schodzić z „Sułtana”, tak jak wszystko inne, co kiedyś było ważne w jej życiu: klucze, dokumenty, zdjęcia, pieniądze, radość życia, nadzieję, przyszłość.

Lisę.

Julia weszła do łazienki i powąchała drogie perfumy, które kupiła sobie specjalnie na tę podróż. Od ich zapachu zrobiło jej się teraz niedobrze.

Spryskała się nimi, ponieważ uczucie mdłości było łatwiejsze do zniesienia niż bezsilność i ból po stracie dziecka.

Jednocześnie spojrzała w lustro i nie wiadomo dlaczego przed jej oczami pojawił się obraz chorej Lisy, kiedy miała trzy latka i Julia musiała zamienić się dyżurami z koleżanką, ponieważ nie mogła posłać jej do przedszkola. Lisa miała czterdzieści stopni gorączki, lało jej się z nosa i męczył ją szczekliwy kaszel. Leżała w łóżku i słabym głosem, ochrypłym jak głos złej wiedźmy Urszuli z filmu o małej syrence, którą Julia zawsze musiała naśladować, kiedy czytała głośno córce, zapytała: – Mamo, czy ja teraz umrę?

Julia roześmiała się i odgarnęła jej z czoła prze poczone włosy.

– Nie, kochanie. Tak szybko się nie umiera. Będiesz żyła jeszcze baaardzo, baaardzo długo.

Jeszcze dwanaście lat.

Julia mocno przycisnęła obie dłonie do czoła, oczu i policzków. Tak mocno, że zobaczyła gwiazdy.

Na chwilę zastygła w tej pozycji. Potem naląła sobie wody z kranu, podniosła szklankę do ust, ale nie widziała już sensu, żeby pić, i wylała zawartość do umywalki.

Jedną z wielu bezsensownych czynności, które w jej życiu będą się teraz układać w niekończący się ciąg. Niepotrzebnych czynności, takich jak myślenie, czucie, oddychanie.

Muszę zadzwonić do Maksa.

To był pierwszy raz, kiedy pomyślała o swoim eksmężu, odkąd Lisa...

Wyszła z łazienki.

Ktoś pościelił łóżko. Mała czekoladka leżała na jej poduszce. Jedna na każdej stronie łóżka. O dwie czekoladki za dużo.

Julia szukała kartki, którą zostawiła jej Lisa, „Przepraszam, mamo”, ale nie było jej już na komodzie. Prawdopodobnie dała ją Danielowi, nie mogła sobie przypomnieć.

Szarpnęła przejściowymi drzwiami, ale wciąż były zaryglowane od drugiej strony.

Może tak jest lepiej.

Gdyby miała klucz, weszłaby do kabiny Lisy i przejrzała jej rzeczy.

I co by to zmieniło?

Przecież wiedziała, co się stało. Znała motywy. Rozumiała swoją winę.

Julia rozsunęła drzwi balkonowe. Powiew świeżego powietrza rozwiązał jej włosy.

Jak na tę część Atlantyku ocean był zadziwiająco spokojny, w porównaniu do dzisiejszego popołudnia prawie gładki. Największe fale wytwarzał sam statek.

Wieczorne powietrze pachniało solą i ropą. Z balkonów na wyższych pokładach spadały na nią kaskady śmiechu. Z daleka słyszała modną muzykę, która mieszała się z szumem morza. W programie pokładowym zapowiadano popołudnie z karaoke.

Dlaczego?, pomyślała Julia i potrząsnęła poręczą, na którą wspięła się wczoraj w nocy. Dlaczego mnie wyciągnąłeś, Danielu?

Wychyliła się za balustradę i spojrzała w dół. Ocean już nie wydawał się jej groźny. Raczej pociągający. W szumie fal usłyszała szept. Brzmiał jak jej imię. Jak zaproszenie.

Tak szybko się nie umiera!

– Lisa? – chciała krzyknąć, ale głos odmówił jej posłuszeństwa.

Dlaczego nie postawiłam na swoim?

Dlaczego nie zmusiłam Daniela, żeby zatrzymał statek i zawrócił, żebyśmy mogły zejść z pokładu?

Przecież wiedziałam o filmiku w sieci.

Wściekle i z nienawiścią do samej siebie kopnęła w przegrodę pomiędzy balkonami. Załomotała w nią pięściami. I znów kopnęła. I jeszcze raz. I jeszcze.

Za kolejnym razem przebiła się nogą na drugą stronę plastikowej ściany.

Nie niszcząc jej.

To było uczucie, jakby kopnęła powietrze. Julia wzięła taki rozmach, że omal się nie poślizgnęła, i nie upadła tylko dlatego, że mocno przytrzymała się poręczy.

Co, do diabła...?

Wpatrywała się w drzwi w ścianie działowej, które powstały od jej kopnięcia. Przypominały klapkę dla kota w drzwiach domu, tylko że przez tę klapkę mógł prześlizgnąć się wyrosnięty pies. Albo człowiek.

Tętno Julii przyśpieszyło. Schyliła się i zajrzała przez klapkę na balkon Lisy. Włoski na jej przedramieniu zjeżyły się. Olśnienie, jakiego doznała, wręcz ją zelektryzowało.

Drzwi były przykręcone śrubami. Zwykle trzeba było użyć jakiegoś narzędzia, aby je otworzyć, jeśli chciano ułatwić prace remontowe albo skrócić drogę przy rozmieszczaniu czegoś po wszystkich kabinach. Ale tutaj nakrętki były wyraźnie poluzowane.

Czyżby przez Lisę?

Julia zdjęła szlafrok i ubrana tylko w majtki i stanik przeczołgała się przez klapkę w ścianie działowej balkonu. Skaleczyła sobie przy tym kolano i piszczel o ostrą boczną krawędź, ale prawie tego nie czuła, podobnie jak zimnego wiatru, dla którego obiektem ataku było teraz już całe jej ciało.

Czy ty zrobiłaś to samo, skarbie?

Próbowała zajrzeć przez szybę do kabiny córki, ale drzwi były zamknięte, a zasłony zaciągnięte. Przyłożyła dłonie do głowy, zasłaniając oczy przed światłem z zewnątrz, ale nie mogła niczego zobaczyć.

Zamknęłaś od swojej strony przejściowe drzwi, Liso? A potem założyłaś łańcuch?

Znów odwróciła się do klapy.

Przezołgałaś się tamtędy do mnie, żeby wymknąć się przez moją kabinę?

Julia czuła, że serce wali jej coraz szybciej. Czy to powiew wiatru, kiedy otworzyła drzwi balkonowe? A może to stuknięcie zamykanych drzwi wyrwało ją wtedy ze snu?

Drzwi wejściowych, przez które wyszłaś z mojej kabiny, kochanie?

Julia wiedziała, że niewiele brakuje, aby wpadła w najstraszniejszy ze wszystkich etapów żałoby: w ten, w którym członkowie rodziny ze wszystkich sił starają się zaprzeczać prawdzie i kurczowo czepiają się każdej, nawet najbardziej absurdalnej teorii dającej nadzieję. Ale nie mogła inaczej.

Waliła w szybę, kopała bosą nogą w rozsuwane drzwi, krzyczała imię Lisy, uderzała kolaniem... i śmiertelnie się przestraszyła, kiedy zasłony się rozsunęły.

I ukazała się za nimi twarz jej córki.

Rozdział 64

Shahla była mężczyzną? – Elena z sekundy na sekundę była coraz bardziej zdezorientowana. Patrzyła na Martina, jakby wyrósł mu drugi nos.

Martin odpowiedział słowami Shahli, które odczytywał z ekranu notebooka:

„Kiedy wzbraniałam się naciągnąć prezerwatywę na penisa, nakrzyczała na mnie, że jestem nieudacznikiem. Że do niczego się nie nadaję. Że przestanie mnie kochać, że i tak zawsze pragnęła mieć dziewczynkę, a nie obrzydliwego chłopaka. Uderzyła mnie w twarz i zostawiła zapłakanego tylko po to, żeby następnego wieczoru powtórzyć całą zabawę. Któregoś razu pozwoliłam, żeby mi założyła prezerwatywę, a potem zaczęliśmy ze sobą sypiać. Przez cały czas myślałam zawsze o jednym: szkoda, że nie jestem dziewczynką, szkoda, że nie jestem dziewczynką.

Podczas seksu, kiedy byłam gwałcona (minęły lata, zanim zrozumiałam, co mi zrobiła), moja osobowość ulegała rozszczepieniu. Mój duch uciekał do ciała dziewczyny i w którymś momencie już w nim pozostał, długo po tym, jak matka dała mi wreszcie spokój. Nie chciałam być dłużej gwałconym chłopcem, lecz dziewczynką, której moja matka i tak zawsze pragnęła i której to wszystko byłoby oszczędzone, gdybym tylko przyszła na świat we właściwym ciele.

Cztery dni po moich osiemnastych urodzinach ojciec sprzedał firmę i niedługo później zginął razem z matką w katastrofie ich prywatnego odrzutowca.

Z majątku, który mi zostawili, zaraz na początku opłaciłam operację zmiany płci, której żaden odpowiedzialny chirurg nie powinien był nigdy przeprowadzić. Ale przekupiłam orzekającego psychiatrę, który poświadczył, że jestem całkowicie zdrowa psychicznie. Jak się zapewne domyślasz, zmiana ciała nie uśmierzyła psychicznego cierpienia. Bez penisa, z pogruchotanymi, od nowa złożonymi kośćmi policzkowymi, ze sfeminizowanym nosem i małymi piersiami, czułam się jeszcze bardziej zbrukana niż w ramionach matki.

Przypadkowo na czacie dla samobójców, gdzie szukałam odpowiedniego sposobu odebrania sobie życia, natrafiłam na trzynastoletnią dziewczynkę, którą spotkała podobna rzecz jak mnie i której cierpienia nadal trwały. Matka zmuszała ją, żeby masturbowała się na jej oczach.

Napisała mi, że wkrótce wypływa w rejs wycieczkowcem i planuje tam odebrać sobie życie. Dopiero dzięki tej dziewczynce zrozumiałam nasz błąd.

Dlaczego to my, ofiary, mamy się zabijać, podczas kiedy prawdziwi sprawcy pozostają przy życiu?

To było dziesięć lat temu.

Zaokrętowałam się jako pokojówka na statku, na którym dziewczynka chciała ze sobą skończyć, i zatroszczyłam się o to, żeby przeżyła rejs. W przeciwieństwie do jej matki. Mojej pierwszej ofiary z krótkiej serii”.

Elena uspokajająco położyła dłoń na przedramieniu Martina i poprosiła go, żeby czytał wolniej. Nieświadomie z linijki na linijkę robił to coraz szybciej.

„Początkowo wystarczało mi ogłuszanie ofiar i wyrzucanie ich za burtę. Ale z biegiem lat doprowadziłam mój system do perfekcji. Dysponując zdrową inteligencją i ponadprzeciętnymi

możliwościami finansowymi, wykupiłam forum dla samobójców o nazwie Easyexit, które – wprawdzie zupełnie przypadkiem – wskazało mi właściwą drogę. Obecnie forum ma swoje lokalne odmiany na całym świecie, stronę można znaleźć w trzydziestu dwóch krajach. To nie do wiary, jak wiele osób nie może już dłużej wytrzymać na tej planecie. Są ich miliony.

I wśród nich znajduję przypadki dla siebie. Postępuję bardzo ostrożnie. Kiedy słyszę, że jakieś dziecko zostało wykorzystane seksualnie przez rodziców (nieważne, chłopiec czy dziewczynka), przez należącą do mnie sieć biur podróży, Querky Travel, rezerwuję rejs dla dziecka i rodziców, którzy oczywiście nie powinni wiedzieć, dlaczego spotkało ich to szczęście. Dlatego kamufluję podróż jako wygraną na loterii. Mój podstęp udaje się bardzo rzadko, dzisiaj ludzie reagują przeważnie nieufnie, kiedy ktoś chce im coś podarować, dlatego mój wskaźnik skuteczności jest jak na razie bardzo umiarkowany.

Kiedyś, w przypadku pewnej niemieckiej rodziny, pomógł mi jednak przypadek”.

Martin przerwał. Przewinął tekst do tyłu, a potem znów do przodu, ale nie znalazł żadnej wskazówki, jak rozumieć to zdanie.

– Dlaczego pan przerwał? – zapytała Elena. – Czy jest tam coś o pana żonie i synu?

– Niestety nie – wyszeptał Martin.

Albo na szczęście.

Odchrząknął i czytał dalej:

„Tymczasem na Easyexit rozeszło się, że istnieje biuro podróży, organizujące ostatnią podróż dla ludzi, którzy nie zasłużyli na nic lepszego. I chyba z tego powodu skontaktował się ze mną Justin Lamar. Wydaje mi się, że twój teść nie za bardzo cię lubi, mam rację? Wziął na siebie koszty waszej podróży. I dorzucił jeszcze prowizję, jeśli w twoim przypadku nie odbębnię zwykłego programu, lecz każę ci cierpieć za twoje czyny. Co tu, na «Sułtanie», wyposażonym w błękitny regał, gdzie mam do dyspozycji odpowiednie pomieszczenia, mogę zrobić bez najmniejszego problemu.

Ale nie chcę, żebyśmy się źle zrozumiały, Naomi.

Nigdy nie dodałam ci do jedzenia tasiemca. A to, co wzięłaś za pluskwy, to tylko nieszkodliwe karaluchy... Nie chciałam zatruć ci ciała, lecz duszę. Tak jak zrobiła mi to moja matka. Nie biła mnie, nigdy nie wkładała mi żadnych przedmiotów. A mimo to zaraziła mnie wirusem, który mnie zżera od środka. Tak jak twoją Anouk, dla której w ostatnich tygodniach byłam matką, wciąż wyniszcza wewnątrz to, co jej zrobiłaś. I teraz się do tego przyznasz”.

Podniósł wzrok znad ekranu. Elena wpatrywała się w niego z otwartymi ustami.

– Anouk została...

Teraz koło się zamyka. Teraz ten obłąd zaczyna mieć sens.

Martin energicznie skinął głową i przeskoczył na koniec tekstu. Do miejsca, gdzie Naomi przyznaje się do winy.

Rozdział 65

Julia najbardziej bała się, że coś się stało z jej głową. Albo, co jeszcze gorsze, że tylko jej się śni, że Lisa otworzyła drzwi balkonowe i stoi teraz przed nią. Gdyby zaraz obudziła się w kabinie Daniela, wciąż będąc pod działaniem środków uspokajających, które w nią wmusił, i gdyby jej córka po raz drugi rozplynęła się w powietrzu, wówczas ból, jaki czuła po obudzeniu, byłby już absolutnie nie do zniesienia. Była tego pewna.

Na pogrzebie jej matki pastor powiedział, że rodzice umierają dopiero wtedy, kiedy dzieci przestają o nich myśleć. Zapomniał wspomnieć o sytuacji odwrotnej, kiedy to rodzice umierają wewnętrznie, gdy nie pozostało im już nic więcej, niż tylko wspominać własne dzieci.

Ale Lisa w żadnym razie nie wyglądała na urojenie. A jeśli nim była, to ta fatamorgana, która kazała jej wejść do kabiny i usiąść na fotelu przy łóżku, była zdumiewająco realistyczna.

– No, jesteście wreszcie. Czekałam już cały dzień.

Lisa miała na sobie czarną sznurowaną sukienkę i stała w pewnej odległości od telewizora, dokładnie tam, gdzie wcześniej kuliła się krwawiąca z ust sprzątaczką. Tamten widok napędził jej dużo mniej strachu niż teraz widok córki. Lisa wyglądała, jakby robiła sobie makijaż w ciemności i przy silnie wzburzonym morzu. Rozmazana kredka do oczu i o wiele za grubo nałożony tusz do rzęs, deformowały jej bladą twarz. W dłoni trzymała długi śrubokręt.

Julia patrzyła na córkę jak na ducha, którym w gruncie rzeczy była, i wydusiła tylko jedno słowo:

– Dlaczego?

Dlaczego jeszcze żyjesz?

Dlaczego mi to zrobiłaś?

Twą twarz skrzywiła się w nieudanej próbie uśmiechu.

– Nie wiesz? – spytała zimnym głosem. Bezlitosnym. Pasującym do jej wzroku.

– Wszystko zepsułaś – powiedziała.

– Co, kochanie? Co zepsułam?

– On był mój!. Miałam go pierwsza! – wsiadła na nią Lisa.

On? O kim ona mówi?

– Ja... przepraszam, ale... nie rozumiem, co...

Lisa przerwała jękającej się z przejęcia matce i wrzasnęła:

– U nas to była miłość! A ty... ty chciałaś się z Tomem tylko pieprzyć!

– Z Tomem?

W tym momencie Julia miała typowy wygląd osoby, która dowiedziała się czegoś nieprawdopodobnego: szczęka jej opadła i czuła, że nie jest w stanie zamknąć ust.

– No, co się tak głupio gapisz? On był moim pierwszym. – Lisa złapała się wulgarnie za krocze. – On pozbawił mnie dziewictwa, mamó. Chcieliśmy na zawsze być razem. Ale wtedy zjawiłaś się ty.

– Tom?

Tom Schiwy?

– Nie wystarczyło ci, że zabrałaś mi ojca? Musiałaś ukraść mi też miłość mojego życia?

– Twój szkolny psycholog... mężczyzna, z którym miałam romans, Tom Schiwy cię...?

... wykorzystał?

Lisa podeszła krok bliżej. Julia zobaczyła w lustrze, że jej spadochroniarskie buty nie są zawiązane. Sznurowadła majtały się luźno.

– ... kochał? Jak najbardziej. Mieliśmy się pobrać. Powiedział mi, że jestem o wiele bardziej dojrzała niż wszystkie inne.

– Ależ, kochanie, maleństwo... – Julia chciała wstać z leżaka, ale Lisa zrobiła groźny ruch śrubokrętem, nakazując jej, żeby z powrotem usiadła.

– Nie mów mi, że to nie twoja wina. Dobrze widziałam, jak się za każdym razem odpicowywałaś.

Szłaś na wywiadówkę, żeby rzucić mu się na szyję, jak jakaś tania dziwka. Najchętniej poszłabyś do szkoły od razu w samej bieliźnie, co? – Zmierzyła Julię pogardliwym wzrokiem i wskazała najpierw na jej majtki, a potem na biustonosz. – Niech to szlag, czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, jaka byłam nieszczęśliwa?

Lisa zdmuchnęła z czoła kosmyk włosów.

– Nie widziałaś, że nie mogę nic jeść? Że noszę tylko czarne ubrania? I chodzę na wagary z moimi nowymi kolegami? Nie, nie widziałaś. Tylko Tom był ci w głowie.

Nie, mylisz się. O Boże, kochanie. Mylisz się.

– Posłuchaj mnie, Liso – zaczęła Julia. – Rozumiem twoją złość. Ale to, co twój nauczyciel robił z tobą...

– Nie wyjeżdżaj mi tu z tymi swoimi usprawiedliwieniami – znów przerwała jej Lisa. – Querky mnie uprzedzała, że będziesz chciała mnie zagaść.

Querky?

– Chwileczkę, myślałam, że Querky to twój chłopak!

Tym razem Lisa zdobyła się na szczerzy uśmiech. Pogardliwy i szyderczy.

– Querky jest kobietą. Zatkano cię, co? Ja też nie wiedziałam. Poznałam ją w internecie. Na forum dla samobójców.

– Dobry Boże, Liso...

– Do cholery, chciałam odebrać sobie życie, kiedy Tom zerwał ze mną z twojego powodu.

Kiedy Julia to usłyszała, z jej oczu popłynęły łzy.

– Tak mi przykro, nie wiedziałam...

– Ale Querky otworzyła mi oczy. – Lisa dźgnęła powietrze śrubokrętem, kierując go w stronę Julii. – To nie ja muszę ponieść karę, lecz ty.

– I dlatego zainscenizowałaś własne samobójstwo?

Żeby mnie śmiertelnie przestraszyć?

– Miałaś poczuć na własnej skórze, co przeszłam. Zobaczyć, co to znaczy, kiedy traci się to, co się najbardziej kocha.

Lisa uśmiechnęła się, zadowolona z siebie.

– To była część mojego planu. Wymyśliłam go razem z Querky. O rany, ta kobieta jest cool. Pracuje tu, na statku. Powiesiła mi w szafie strój pokojówki i tak zaprogramowała klucz, że mogę poruszać się po

całym statku, nawet po pokładzie dla załogi, gdzie ukrywałam się przez ostatnią noc.

To dlatego Martin Schwartz widział ją tam na dole, przypomniawszy sobie Julia. Lisa przygotowując swój chory plan rozglądała się pewnie wtedy za jakąś kryjówką.

– Rany, Querky naprawdę o wszystkim pomyślała. Nawet zapłaciła za rejs, żebyśmy mogły zwabić cię na pokład.

Dobry Boże!

Mimo groźnych gestów Lisy, Julia nie mogła już dłużej wysiedzieć na swoim miejscu. Wstała i zrobiła krok w stronę córki, która trzymała teraz ostro zakończony śrubokręt jak sztylet.

– Co zamierzasz? – zapytała i spojrzała Lisie prosto w twarz. Córka bez trudu wytrzymała jej wzrok.

– Niedługo się przekonasz, mamó. – Wykrzywiła usta w uśmiechu. – Niedługo się przekonasz.

Rozdział 66

Ostatnie wyznanie Naomi Lamar składało się tylko z czterech zdań:

„Najgorszą rzeczą, jaką zrobiłam w życiu, było to, że zmuszałam moją córkę do uprawiania seksu z dorosłymi mężczyznami”.

Martin usłyszał, jak Elena ze świstem wciąga powietrze do płuc.

„Nie ma żadnego usprawiedliwienia dla tego, co zrobiłam – czytał dalej – nawet fakt, że w czasie, kiedy się to zaczęło, brałam twarde narkotyki, które zniszczyły moją i tak słabą psychikę. Jak również to, że zaprzestałam tego, kiedy grupa mężczyzn, której ją oddałam, potraktowała ją tak brutalnie, że przypuszczalnie Anouk doznała trwałego uszczerbku na zdrowiu. Zasłużyłam sobie na śmierć”.

– Wielki Boże, to stąd obrażenia Anouk! – wychrypiała Elena, kiedy skończył czytać ostatnie zdanie.

Martin przytaknął. Myśleli, że gwałciciel wciąż znajduje się na pokładzie. A Anouk została wykorzystana już przed wypłynięciem w morze – i to za przyzwoleniem własnej matki! Rany zadano jej nie na statku, lecz jeszcze w domu.

– Teraz to wszystko nabiera sensu – wyszeptał Martin.

Spojrzał na Elenę, jej oczy sypały iskrami z wściekłości. Ona też rozumiała, dlaczego Anouk zepchnęła matkę do morza.

Nie, nie matkę. Swoją gwałcicielkę!

Shahla nie napisała tego wprost, ale wszystko przemawiało za tym, że nie uprowadziła Anouk, lecz chciała uwolnić ją od matki. Pewnie odkryją jakąś kryjówkę na dolnym pokładzie, niedaleko od błękitnego regału, gdzie przez ostatnie dwa miesiące Anouk mogła się bardziej lub mniej swobodnie poruszać. Nie rozumiał jeszcze, czego Anouk i Shahla szukały tej nocy, kiedy kapitan zobaczył je na korytarzu w pobliżu „gniazdka miłości”, gdzie sfotografowała je Gerlinde. Za to było teraz całkowicie jasne, dlaczego Anouk przez cały czas nie chciała powiedzieć ani słowa, chociaż przecież dobrze wiedziała, kto ją uprowadził i gdzie znajduje się jej matka. Dlatego potrzebowała latarki UV, żeby wykorzystując niewidoczne znaki, bez pomocy pokojówki odnajdować drogę do Naomi. Żeby ją dręczyć, obserwować, po prostu cieszyć się z jej cierpienia.

Albo żeby ją zabić, tak jak to w końcu zrobiła.

– Musimy zawiadomić Daniela – powiedziała Elena i sięgnęła po leżącą na stole komórkę Martina.

Już miała ją w dłoni, kiedy telefon zaczął nagle wibrować.

Rozdział 67

Martin odebrał rozmowę, dotykając palcem ekranu smartfona, i zdjęcie Stalina znikło z ekranu.

– Diesel? – zapytał.

– Jak chcesz, możesz też do mnie mówić Edward Snowden.

Palec Martina zawisł nad ikonką służącą do przerywania połączenia.

– Posłuchaj, nie mogę teraz. Właśnie mamy tu piekło i...

– Włamałem się na profil facebookowy Lisy – przerwał mu ze spokojem Diesel.

Martin nawet nie tracił czasu na pytanie, jak mu się to udało. Wiedział, że redaktor naczelny do swojego kręgu przyjaciół nie zalicza wyłącznie tatuażystów i piromanów, lecz również licznych komputerowych świrów, którzy zaopatrywali go w najnowsze wersje zhakowanych gier komputerowych.

– No i?

– No i natknąłem się tam na bardzo ciekawą wymianę wiadomości z mężczyzną o nazwisku Tom Schiwy.

– Kto to jest? – zapytał Martin. Nastawił telefon na tryb głośnomówiący, żeby Elena też mogła słyszeć.

– Jej szkolny psycholog. Najwidoczniej miała z nim romans.

Lekarka zmarszczyła czoło. Zniekształcona połowa twarzy pozostała całkowicie nieruchoma.

– Czy ta Lisa nie ma dopiero piętnastu lat? – zapytał Martin.

– No właśnie. Ale jest coś jeszcze lepszego! Ten nauczyciel kręcił też z jej matką.

Martin i Elena spojrzeli na siebie zdumieni.

– Z Julią Stiller? – zapytał Martin.

– A ma jeszcze jakieś inne matki? – Wydawało się, że Diesel żuje gumę, ponieważ jego słowom towarzyszyły nieprzyjemne mlaskania. – A teraz prawdziwa bomba. Jesteś przypięty pasami?

– Bo co?

– Filmik, którego miałem poszukać na iSharerumors...

– Jest autentyczny? – Martin wpatrywał się w telefon, jakby spojrzeniem mógł wycisnąć z niego odpowiedź.

– Tak. Wszystko na to wskazuje. Możesz zgadywać do trzech, co to za facet, z którym ją tam widać.

Martin zawahał się. Nie miał odwagi wypowiedzieć na głos swojego podejrzenia.

– Czyżby ten Schiwy?

Diesel wydał z siebie dźwięk fanfar i zaraz potem zaserwował mu prawdziwą bombę.

– Bingo! Otóż Lisa jest śmiertelnie zakochana w tym dupku. W jej oczach matka jest tanią dziwką, która odbiła jej księcia z bajki. Żeby go odzyskać, zaproponowała dziadowi, że będzie zachowywać się jak kurwa, jeśli tak mu pasuje. I ten gnojek przystał na to bez oporu. Zaczął prowadzić z nią perwersyjne gierki, każąc jej ustawiać się na Frobenstrasse, gdzie urzędują nieletnie prostytutki, i wsiadać do jego samochodu.

– A jak to nagranie trafiło do internetu? – zapytał Martin.

– Trzymaj się mocno, bo teraz będzie najlepsze: Lisa sama to wrzuciła. Naprawdę, to nie żart.

Jednoznacznie wynika to z jej maili. Kiedy Tom mimo tych numerów z udawaniem prostytutki nie chciał do niej wrócić, pod wpływem impulsu wrzuciła nagranie do sieci i zagroziła mu, że go zakapuje. Ale tego zboka ani to grzało, ani ziębiło, ponieważ nie było go tam widać. Później, kiedy pojawiły się złośliwe komentarze, Lisa zmieniła strategię i próbowała szantażować dupka samobójstwem. Na krótko przed wejściem na statek wysłała Tomowi ostatniego maila, w którym groziła, że skoczy do morza, jeśli on do niej nie wróci. Najwidoczniej Schiwy dostał pietra. W jego poczcie wychodzącej znajduje się mail, w którym przesyła to nagranie Julii, prawdopodobnie żeby ją ostrzec. Chyba nie chciał, żeby ktoś obwinił go za jej śmierć. Ale jeśli o mnie chodzi, to nic nie zmienia.

Diesel zniżył głos, jakby nie był sam w biurze, i konspiracyjnym tonem powiedział:

– Jeśli znasz kogoś, kto nie ma problemu z dotykaniem męskich genitaliów, to warto by go posłać z wiertarką akumulatorową do domu tego kolesia. To tylko taka propozycja.

Martin patrzył, jak Elena przysuwa bliżej leżący na stole telefon.

– Jest pan w stu procentach pewny? – zapytała

– Kto tam jeszcze jest z tobą? – zdziwił się Diesel. – Ma głos jak smok przechodzący mutację.

– Nazywam się Elena Beck. Jestem lekarzem, opiekuję się Anouk Lamar. – Elena mówiła tak wyraźnie, jak tylko potrafiła. – Proszę posłuchać, to bardzo ważne, żeby odpowiedział pan na moje pytanie: na ile pewna jest ta historia z nauczycielem Lisy?

– Tak pewna jak prezerwatywa i pigułka razem wzięte, skarbie.

Lekarka zerwała się z krzesła. Jej wyczerpanie w jednej chwili zniknęło bez śladu.

– Musimy iść – powiedziała gorączkowo, wykonując nieokreślony ruch ręką. Martin też się podniósł.

– Dokąd?

– Do Julii Stiller. Musimy ją znaleźć.

Martin pokręcił głową.

– Po co? Żeby jej powiedzieć, że nie dość, że Lisa nie żyje, to jeszcze że jej nauczyciel zmuszał ją wcześniej do seksu?

Elena popatrzyła na niego jak na wariata.

– Niech pan pomyśli, Martin. Córka była wykorzystywana, zanim zniknęła. Co to panu przypomina?

Shahlę!

I to, że jej ofiarami zawsze były matki.

Julia!

Czyżby Shahla jeszcze za życia zastawiła na nią śmiertelną pułapkę, która właśnie się zatrzasnęła?

Martin przerwał połączenie, nie żegnając się z Dieslem. Wybiegając z kabiny za Elena, próbował jeszcze raz złapać Bonhoeffera.

Rozdział 68

Lisa pociła się.

Przez otwarte drzwi balkonowe do kabiny wpadała świeża bryza, ale córka Julii wyglądała, jakby stała w świetle reflektorów. Jej ciało reagowało na płomień szaleństwa, który żarzył się głęboko w duszy. Pot spływał cienką strużką po jej policzku i zbierał się powyżej brzegu T-shirtu.

– Próbowałam odzyskać Toma – oświadczyła matce. – Dzwoniłam do niego, wysyłałam maile, bombardowałam go na Facebooku i WhatsAppie. Nawet poszłam do niego na dyżur, kiedy z dnia na dzień przestał się ze mną spotykać. Udało mi się go jeszcze raz zaciągnąć do łóżka.

Rozmarzony uśmiech Lisy wstrząsnął Julią tak samo jak słowa, które wyszły z jej ust.

– Mówisz o tym okresie, kiedy ja... byłam z Tomem?

Uśmiech córki ustąpił miejsca kamiennemu wyrazowi twarzy.

– Ale to nic już dla Toma nie znaczyło. Powiedział, że co prawda seks ze mną jest lepszy, ale tylko z tobą potrafi wyobrazić sobie stały związek.

Wielki Boże. Julia zamknęła na chwilę oczy.

Upozorowane samobójstwo Lisy. Jej zmartwychwstanie. Nienawiść w jej głosie.

Nie była pewna, ile jest jeszcze w stanie znieść. Julia patrzyła na dłoń córki, mocno trzymającą srebokręt, obserwowała igrające na srebrzystym metalu refleksy zawieszzonego nisko nad wodą, powoli zachodzącego słońca, i cicho zapytała Lisę:

– Co chcesz teraz zrobić, kochanie?

– Odzyskać Toma.

Lisa dosłownie wypluła te słowa pod bosc stopy matki. W tym momencie Julię ostatecznie ogarnęło zwątpienie, z kim teraz tak naprawdę rozmawia.

Dziewczyna, która stała przed nią z zaszczutym spojrzeniem i drżącymi wargami, nie była już jej córką. Lisa straciła w najprawdziwszym sensie tego słowa poczucie rzeczywistości.

Julia czytała kiedyś, że zawód miłosny oprócz żałoby może być przyczyną powstania najcięższych ran psychicznych. W tym również takich, które nigdy nie zbliznią się same.

– Liso, jeśli ktokolwiek ponosi winę za twoje cierpienie, jest to Tom. On nigdy nie powinien...

– Bła, bla, bla... Nie wyjeżdżaj mi tu ze swoimi pierdołami. Chcesz teraz zwalić wszystko na niego, tak?

Julia najchętniej krzyknęłaby: „Tak!”, a gdyby Tom był pod ręką, złapałaby go za jaja i wyrzuciła za burtę, ale ponieważ Tom Schiwy był równie daleko od nich, jak logika od umysłu Lisy, tylko pokręciła głową.

– Nie, to nie jest wyłącznie jego wina – powiedziała uspokajająco.

Nie była psychologiem, ale wiedziała, że w jej córce pękło coś, czego nie da się skleić za pomocą logiki.

– A więc przyznajesz, że zasłużyłaś na mój plan? – zapytała tryumfująco Lisa.

– Jaki plan?

– Ten, który wymyśliłam razem z Querky!

Ciemna chmura przesłoniła spojrzenie Lisy. Wydawało się, jakby właśnie przyszła jej do głowy jakaś nieprzyjemna myśl.

– Ukradłaś kartkę z sejfu? – zapytała groźnie.

– Że co? – Julia nie rozumiała ani słowa. Lisa równie dobrze mogłaby gwizdać. – O czym ty mówisz?

Lisa machnęła ręką, jakby to, co przed chwilą powiedziała, i tak nie miało znaczenia.

– Powiedziałam Querky, że zmuszałaś mnie do uprawiania prostytucji – zaśmiała się bezczelnie.

Bum!

Kolejny granat szaleństwa, jaki córka rzuciła w jej kierunku. A miała coraz lepsze oko.

– Na Boga, ale dlaczego? – nie pojmowała Julia.

– Ponieważ inaczej by mi nie pomogła. Ją obchodzą tylko gwałcone i wykorzystywane dzieci. Dlatego trochę jej naściemniałam. Na dowód, że wbrew własnej woli musiałam uprawiać seks z obcymi mężczyznami, wysłałam jej filmik.

Julia zamrugała oczami. W ułamkach sekund, kiedy jej oczy się zamkały, w głowie rozbłyskiwały strzępy obrazów, na których widziała tył głowy córki zagłębionej w kroku sapiącego mężczyzny, który teraz miał imię: Tom!

– Filmik, na którym wyświadczyłam mu przysługę, udając ciebie.

– Mnie?

– Dziwkę.

Julia wyobraziła sobie, jak Lisa sięga po pieniądze.

Okej. Dosyć. Wystarczy. Tak dłużej być nie może.

Zrobiła krok w kierunku Lisy. Już tylko dwie długości ramienia dzieliły ją od córki.

– Spójrz na mnie, Liso. Wiem, że popełniałam błędy. Nie było mnie przy tobie, kiedy twój ojciec nas zostawił. Nie poświęcałam ci wystarczającej uwagi, kiedy weszłaś w okres dojrzewania. I tak, to prawda, miałam romans z twoim nauczycielem. Ale to już skończone.

– Kłamiesz. – Lisa puknęła się w czoło.

– Nie. To prawda, kochanie. Nie miałam pojęcia, że między wami coś było...

– Jest. Między nami coś jest!

– Już dobrze, już dobrze, dobrze! – Julia uniosła obie dłonie w uspokajającym geście. – Chociaż nie wiedziałam, że coś jest między wami, zorientowałam się, że Tom...

– Nigdy więcej nie wypowiadaj jego imienia!

– ...że on nie jest dla mnie właściwym partnerem.

– Aha! – Julia spojrzała pogardliwie w jej kierunku. Krople potu spływały teraz również z jej brwi. – Czyli uważasz się za kogoś lepszego, tak? Był dla ciebie tylko rzeczą do jednorazowego użytku?

Julia zamknęła oczy. To nie miało większego sensu. Równie dobrze mogłaby prosić morze, aby przestało szumieć. Poczła wzbierającą wściekłość. Nie na Lisę, która najwidoczniej straciła kontakt z rzeczywistością i pilnie potrzebowała profesjonalnej pomocy, tylko na Toma, który nadużył swojej pozycji szkolnego psychologa, zniszczył wrażliwą duszę dojrzewającej nastolatki i podszedł także ją samą. Jej niepohamowana wściekłość tak szybko przekroczyła wszelkie granice, że straciła kontrolę nad własnymi słowami.

– A więc dobrze, tak. Jestem winna! – wrzasnęła na Lisę. – Odbiłam ci Toma. Zasłużyłam sobie, żebyś napędziła mi największego stracha w życiu. Ale to wszystko nie zwróci ci tego ohydneho gnojka, który cię tylko wykorzystał...

– Uuuuuuuuuuuuuuu...

Z głośnym wyciem, przypominającym okrzyk wojenny, Lisa skoczyła do przodu ze śrubokrętem w wyciągniętej dłoni.

I dźgnęła.

Rozdział 69

Proszę pana, błagam. Być może nie jest jeszcze za późno.

Bonhoeffer złożył dłonie jak do modlitwy, jakby Tiago był bogiem, którego prosił o wysłuchanie.

– Jeśli to, co napisała Lisa, jest prawdą, dziewczyna wciąż znajduje się na pokładzie. Być może właśnie w tej sekundzie realizuje ostatnią część swojego planu.

Tiago, który od dwudziestu minut nie dawał się ubłagać, podrapał się po gęstej czuprynie i zrezygnowany pokręcił głową.

– Już raz omal nie zginąłem. Intuicja podpowiada mi, że jeśli teraz pana puszcze, to już po mnie.

Kapitan z wściekłością uderzył otwartą dłonią w blat biurka, przy którym wciąż siedział pod przymusem.

– Ale, na rany boskie, czego pan ode mnie chce? Zamierza pan trzymać mnie tutaj, aż zawiniemy do Nowego Jorku?

– Nie. – Tiago popatrzył na Bonhoeffera, jakby kapitan właśnie podsunął mu jakiś pomysł. – Proszę zadzwonić do amerykańskiej straży wybrzeża. Do straży granicznej albo FBI. Jest mi wszystko jedno. Chcę z nimi porozmawiać i przedstawić im moją sytuację.

Bonhoeffer spojrzał na niego zdumiony.

– Czy to jest pańskie żądanie? Na to pan właśnie wpadł?

Tiago przytaknął. W jego spojrzeniu widać było poczucie winy.

– Boję się. A kiedy się boję, nie potrafię jasno myśleć.

Bonhoeffer westchnął. Miał sucho w ustach. Mówił tak dużo, że czuł nieprzyjemny zapach z własnych ust.

– Okej, w porządku. Oto moja propozycja, Tiago. Pan pozwala mi wykonać dwa telefony. Jeden, aby zatrzymać statek. Drugi, aby skontaktować się z Julią Stiller. Gdy już to zrobię, obaj powiadomimy władze, a potem odda mi pan wreszcie ten cholerny rewolwer. Co pan na to?

– Do diabła, a niech tam – westchnął Tiago i wskazał Bonhoefferowi telefon. – Już raz za długo zwlekałem.

Bonhoeffer skinął głową i sięgnął po słuchawkę.

– Niech się pan modli, żeby się nie okazało, że właśnie zrobił pan to po raz kolejny.

Rozdział 70

Martin dosłownie wypadł przez drzwi. Zostawił Elenę daleko za sobą, wybiegł z Hell's Kitchen przez strefę dla personelu i pokonał schodami sześć pięter z pokładu A na piąty pokład pasażerski oceanicznego giganta.

Potrącał kobiety, przeskakiwał nad dziećmi, jednemu z kelnerów wytrącił z ręki tacę z zamówieniami room service'u i zmusił go do oddania uniwersalnego klucza. A mimo to przybył za późno.

Przynajmniej tak pomyślał, kiedy zobaczył Lisę rzucającą się ze śrubokrętem w dłoni na matkę, która nie wiadomo dlaczego była naga, a w każdym razie bardzo skąpo ubrana. Ale w tym momencie Lisa się potknęła, zahaczyła sznurowadłem swoich spadochroniarskich butów o nogę łóżka i dzięki temu Julia miała czas, aby wycofać się na balkon, na który wypadła również jej córka.

– Hej, Lisa! – wrzasnął ostatkiem tchu Martin. Dziewczyna nie usłyszała otwierających się drzwi, ale zareagowała na swoje imię. Powoli odwróciła się do niego.

Zaczął dzwonić telefon na nocnym stoliku, ale nikt nie zwracał na niego uwagi.

– Kim pan jest? – zapytała Lisa, obserwując matkę kątem oka. Wiatr nawiewał jej włosy do przodu jak kaptur.

Martin zobaczył jej szklisty wzrok i jednym spojrzeniem zorientował się w sytuacji.

Lisa Stiller znajdowała się jakby w stanie alfa, w którym reagowała tylko na najsilniejsze bodźce zewnętrzne. Głos rozsądku był wyłączony, tak samo jak zdolność odróżniania tego, co właściwe, od tego, co niewłaściwe.

Prawdopodobnie cierpiała na zaburzenia dysocjacyjne. Jeśli Diesel miał rację i szkolny psycholog wykorzystał ją seksualnie, to negatywne doświadczenie wbiło się we wrażliwą psychikę jak rozzarzona zapałka i wznieciło tam pożar.

Najwidoczniej obarczyła matkę winą za psychiczne katusze, jakich niewątpliwie doznawała. Tygodniami, a być może miesiącami tworzyła sobie wizerunek Julii jako największego wroga. Martin zdawał sobie sprawę, że racjonalnymi argumentami tak szybko nie odwiedzie jej od zamiaru. Dlatego skłamał, mówiąc:

– Jestem przyjacielem Querky.

Strzał w dziesiątkę!

Przypomniał sobie imię, pod którym Shahla kontaktowała się z potencjalnymi klientami na Easyexit. Przypuszczenie Eleny sprawdziło się. Również Lisę i Shahłę musiało coś ze sobą łączyć. Kiedy podał się za współnika Querky, przyciągnął uwagę Lisy. A także jej matki, która gapiła się na niego z szeroko otwartymi oczami i już miała otworzyć usta, ale na szczęście uchwyciła jego krótkie spojrzenie i właściwie zrozumiała jego wymowę: pod żadnym pozorem nie wolno jej się teraz wtrącać.

– Querky nie ma przyjaciół – powiedziała Lisa, lekko zbita z tropu.

– Ależ ma. Jestem jej asystentem.

– Kłamie pan.

– Nie. Przychodzę na jej polecenie. Ona chce, żebyś przestała.

– Gówno prawda.

– Mówię poważnie. Plan został wstrzymany.

– O, czyżby? A dlaczego nie przyszła sama, żeby mi to powiedzieć?

– Dlatego że... – W pierwszej chwili Martin chciał powiedzieć prawdę. „Dlatego że nie żyje”. Ale mogłoby to wywołać najgorszą ze wszystkich reakcji. Szukając dobrej odpowiedzi, dodał: – ...właśnie w tej chwili...

– Już jestem.

Martin odwrócił się przestraszony. W drzwiach kabiny stała Elena, bez tchu tak samo jak on.

– To ty? – Martin usłyszał za plecami głos Lisy. Odwrócił się z powrotem do dziewczyny.

– Ty jesteś Querky?

– Tak – powiedziała Elena. – Poznałyśmy się na Easyexit.

– No dobrze, ale masz zupełnie inny głos.

– Miałam wypadek – powiedziała Elena i wskazała na swoją zniekształconą twarz. – Trochę to potrwa, zanim odzyskam dawny głos.

Przecisnęła się obok Martina.

– Mam dla ciebie wiadomość od Toma.

– Od mojego chłopaka? – Twarz Lisy się rozjaśniła.

– Mówi, że znów chce być z tobą.

– Naprawdę?

– Tak. Pod warunkiem, że nie zrobisz krzywdy swojej matce.

W oczach Lisy rozbłysła nieufność. Tymi słowami Elena zaważyła sprawę.

– Ty nie jesteś Querky.

– Hej, Liso, pomyśl tylko. Skąd miałabym wiedzieć o Tomie i filmie w sieci, gdybyś nie pisała mi o tym w mailach?

– Kłamiesz. Założę się, że nie znasz mojego nicka.

– Twojego... – Elenie zadrżał głos. Przełknęła ślinę. Nie tylko Martin zobaczył widoczne oznaki jej niepewności.

– No, powiedz, jakim nickiem logowałam się na Easyexit.

– Ty jesteś... – Elena odwróciła się do Martina, szukając pomocy. – Twój nick to...

Na zdrowej części jej twarzy wystąpiły czerwone plamy.

– Nie wysilaj się – powiedziała Lisa pogardliwym tonem. – Nie jesteś Querky. A Tom nie chce mnie więcej znać. Nie masz żadnej wiadomości od niego.

Jej dłoń znów zacisnęła się mocniej na śrubokręcie.

– Rzuć to! – powiedział Martin, stojąc już tylko dwa kroki od niej.

Spojrzała na niego z wściekłością.

– Zdaje się, że nie mam z tobą żadnych szans, co?

– Jeśli chcesz zaatakować tym swoją matkę, to... – Martin pokręcił głową.

Jeszcze minutę temu mogła dotkliwie zranić Julię, może tak mocno, że byłaby w stanie wyrzucić matkę za burzę.

Ale teraz zdążyłaby ją co najwyżej zadrapać, zanim Martin wyrwałby jej śrubokręt z ręki.

– No tak, a więc cały plan wziął w łeb – mruknęła Lisa, wzruszając ramionami.

Odwróciła się do płaczącej matki.

– No to koniec. Bądź szczęśliwa z Tomem – powiedziała i wyrzuciła narzędzie za burtę.

Potem oparła się o reling i razem z poręczą, którą poluzowała śrubokrętem przez te godziny, kiedy czekała na matkę, wpadła jak kamień do wody.

Rozdział 71

Dwa tygodnie później
Wydział Wewnętrzny Policji
Berlin

Wentylator klimatyzacji, która w tych dniach była przełączona na ogrzewanie, szeleścił, jakby zaplątał się w nim liść, co wobec faktu, że pokój przesłuchań znajdował się co najmniej dwa kilometry od najbliższego drzewa, w zabezpieczonej przed podsłuchem piwnicy, do pewnego stopnia zasługiwałoby na uwagę. Dużo bardziej prawdopodobne było jednak to, że jeszcze chwila, a brzęcząca skrzynka wyzionie ducha.

Martin spodziewał się, że zaraz rozlegnie się huk, z którym rozklekotane urządzenie pod sufitem ostatecznie odmówi współpracy.

Przez te ostatnie godziny, kiedy był podłączony do wykrywacza kłamstw, wentylator z trudem dostarczał do tego niewielkiego pokoju ciepłe powietrze, które w dodatku śmierdziało spaloną gumą.

– Może zrobimy przerwę? – zapytała kobieta przeprowadzająca badanie i odchyliła się na oparcie obrotowego krzesła. Została mu przedstawiona jako doktor Elizabeth Klein. Podobno przez długi czas pracowała dla Federalnej Służby Wywiadowczej i tam wyrobiła sobie opinię ekspertki od przesłuchań, wyspecjalizowanej w psychopatycznych seryjnych mordercach. Jednak na pierwszy rzut oka wyglądała raczej na duchową trenerkę ezoterycznej grupy samopomocowej: wszystkie części garderoby, poczynając od własnoręcznie zrobionego szydełkiem bolerka z dzianiny, a na bufiastych spódnico-spodniach kończąc, mieniły się wszelkimi możliwymi odcieniami koloru pomarańczowego,

– Nie – odpowiedział Martin, zdejmując mankiety z przegubów rąk i pasy z piersi. – Nie robimy przerwy, tylko kończymy tę zabawę.

Wbrew oczekiwaniu doktor Klein skinęła głową.

– A więc nie ma nam pan już nic więcej do powiedzenia?

– Poza tym, że każdy, kto zaprzecza mojej wersji, może pocałować mnie w dupę? – Martin przyłożył palec do kącika ust i zrobił minę, jakby się zastanawiał. – Nie – dokończył, kręcąc głową.

Doktor Klein popatrzyła na jedną z wielu bransoletek na swoim prawym nadgarstku, przekreśliła największą z nich i przytaknęła. Kiedy na niego spojrzała, zauważył w jej oczach błysk zrozumienia.

Tylko żadnego współczucia. Nie jestem jeszcze gotów na współczucie.

Martin odchrząknął i zapytał, czy teraz już może wstać. Doktor Klein westchnęła.

– No dobrze. Oczywiście wewnętrzne przesłuchania jeszcze długo się nie skończą. Dobrze pan wie, ile to wszystko trwa, kiedy funkcjonariusz państwowy jest zamieszany w zabójstwo.

Posłała mu cień uśmiechu.

– Ale już teraz mogę powiedzieć, że pańskie zeznania w dużej części pokrywają się z informacjami, które uzyskaliśmy od kapitana, lekarki, tego, no... – wertowała leżące przed nią cienkie akta – ...Tiago Álvareza i Gerlinde Dobkowitz.

– To świetnie. – Martin zatarł zimne dłonie. – Więc może i technikę też udało mi się przekonać?

Pokazał najpierw na kamerę w rogu pokoju, potem na leżący pomiędzy nimi notebook, do którego wariograf wysyłał dane o jego reakcjach fizjologicznych podczas udzielania odpowiedzi.

Prowadząca przesłuchanie wykonała miękki ruch dłonią.

– Według poligrafu wydaje się pan mówić prawdę. Z wyjątkiem ...

Martin ściągnął brwi.

– Z wyjątkiem czego?

Posłała mu długie spojrzenie. Potem wyjęła chusteczkę z jednej z wielu kieszeni tej części garderoby, co do której Martin nie był już pewny, czy rzeczywiście były to spódnico-spodnie, czy krzywo zawiązana spódnica.

Wysmarkała nos, wstała, podeszła do kamery monitoringu i odłączyła od niej przewód, który biegł od ściany prosto do urządzenia.

– Porozmawiajmy prywatnie, panie Schwartz.

Patrzyła na niego z góry, jak sęp, który widzi swoją zdobycz. Martin zerknął na nią sceptycznie, kiedy wracała do stołu.

– Aparat nie zarejestrował podejrzanych wychyleń – powiedziała. – O wielu rzeczach, w których pan nie uczestniczył, wiedział tylko ze słyszenia, więc opinia uzyskana na podstawie wykresów poligrafu nie ma znaczenia. Jednak w tym miejscu...

Odwróciła notebook w jego stronę.

– Tutaj zaczyna się pan pocić i rośnie panu tętno. Poza tym nawet bez kamery dostrzegam najróżniejsze mikroekspresje, które sygnalizują mi nieprawdę. – Pokazała na odcinek zapisu, na którym fale wyglądały jak EKG człowieka na krótko przed zawałem.

– Co mówiłem w tym miejscu? – zapytał Martin, chociaż miał bardzo konkretne przeczucie.

– Powiedział pan doktor Beck mniej więcej tyle, że w zapiskach Shahli Afridi nie znalazł pan nic na temat losu swojego syna.

Martin przytaknął.

– To było kłamstwo, prawda?

Z trudem przełknął ślinę, ale nie powiedział ani słowa.

– Panie Schwartz, to nie zmienia mojej oceny. W moim pojęciu nie dopuścił się pan niczego więcej poza samowolnym oddaleniem ze służby. A tak prywatnie jestem ciekawa, czego dowiedział się pan o Timmym i Nadji.

Ach, tak? Naprawdę? Czyżby pogoń za sensacją?

Spojrzał w jej dobroduszne oczy i zrozumiał, że osądził ją niesprawiedliwie.

– To wideo, które pokazał panu Bonhoeffer. Widać na nim, jak oni skaczą z pokładu – nalegała. – Teraz już pan wie, dlaczego najpierw ukazała się duża, a potem mała chmurka, mam rację?

Martin przytaknął krótko. Poznał prawdę trzy dni po śmierci Shahli, po tym jak „Sułtan” zawinął do Nowego Jorku i FBI wszczęło śledztwo. Wcześniej ludzie Daniela odkryli sekretne pomieszczenie w pobliżu błękitnego regału, w którym pokojówka przez ostatnie tygodnie ukrywała Anouk i które było również miejscem, gdzie przebywała Lisa tej nocy, kiedy upozorowała swoje samobójstwo. W przypominającym kontener, pustym pomieszczeniu, które przed wyłączeniem z użytku urządzenia do

wyrzucania śmieci wykorzystywano jako przechowalnię zdatnych do powtórnego przetworzenia metali oraz innych surowców, znaleźli materac, skrzynkę po bananach, która spełniała funkcję nocnego stolika, i przykręcony śrubami do ściany metalowy regał, na którym leżały książki, gry dla dzieci, puzzle, pluszowe zabawki, a nawet iPod z wieloma wgranymi filmami, e-bookami i grami wideo.

Oprócz treści multimedialnych technicy FBI znaleźli w przeglądarce link do chmury, w której Shahla przechowywała osobiste dokumenty. Kiedy udało im się złamać kod dostępu, natrafili na wpis w dzienniku, który odnosił się do dnia śmierci Timmy'ego i Nadji. Kierujący śledztwem funkcjonariusz FBI w przerwie przesłuchania zostawił Martina samego z tym fragmentem.

Tak jak teraz wewnętrzne śledztwo prowadzone przez doktor Klein, również śledztwo FBI szybko wykazało, że co prawda Schwartz jest ważnym świadkiem, ale absolutnie nie podejrzanym, wobec czego, podobnie jak Julia i Lisa Stiller, mógł wrócić do Niemiec pod warunkiem, że tam będzie do dyspozycji w razie kolejnych przesłuchań. Wgląd do fragmentu dziennika był prawdopodobnie gestem przychyłności śledczego FBI za to, że Martin Schwartz był nie tylko kolegą po fachu, lecz również wykazywał daleko idącą współpracę podczas całego przesłuchania.

Przez pięć minut Martin w kółko czytał kilka akapitów tekstu napisanego przez Shahłę, tyle razy, aż uczepliły się jego pamięci jak rzepy, tak że jeszcze dziś potrafił je zacytować słowo w słowo:

„Często zastanawiam się, czy to przypadek, czy zrzędzenie losu pomogło mi w sprawie tej niemieckiej rodziny. W porze kolacji chciałam przygotować łóżka i przyłapałam w kabinie matkę, która właśnie dopuszczała się nierządnych czynów na swoim synu. Leżała na nim naga i nie zdążyła wystarczająco szybko się z niego zsunąć.

To było pięć lat temu, nazywała się Nadja Schwartz”.

Kiedy Martin przeczytał ten urywek pierwszy raz, zaśmiał się. Paradoksalna reakcja umysłu, który właściwie powinien kazać mu krzyczeć. Pamiętał ten moment, kiedy poczuł, że zaraz dostanie silnego krwotoku z nosa, ale nic takiego nie nastąpiło; zamiast tego usłyszał głośny pisk w głowie, który tym razem nie zapowiadał migreny, lecz rozdzielił się na dwa głosy. Jeden, głęboki, spokojny i przyjemny, szeptał mu poufale do ucha, że nie powinien wierzyć w to, co właśnie przeczytał. Że Shahla jest kłamczynią. Drugi głos wykrzykiwał przeraźliwie i ochryple tylko jedno słowo: prezerwatywa!

To sprawiło, że Martin przypomniał sobie dzień przed pięcioma laty, tuż przed rejssem, przed swoją ostatnią akcją, kiedy za wcześnie wrócił do domu z odprawy. Nigdy się nie dowiedział, kim był kochanek jego żony, który w ich małżeńskim łóżku zostawił prezerwatywę.

Pustą, ale odwiniętą.

Wszystko nabrało zupełnie innego sensu, kiedy pomyślał o tym, jak poznał Nadję. Na izbie przyjęć z podbitym oknem, które zafundował jej przyjaciel. Nie z zazdrości, jak to przedstawiła, tylko dlatego, że dosłownie za bardzo zbliżyła się do jego syna.

Martin przypomniał sobie ostatnią rozmowę z Timmym:

– Nie chcesz o tym porozmawiać?

Ostatnia rozmowa ojca z synem, w której nie chodziło o dwóję z matmy, a także nie o nietypową coraz większą potrzebę snu i dlatego z dnia na dzień odechciało mu się tenisa.

Oznaki molestowania.

Co Timmy mu wtedy odpowiedział?

– To przez ciebie. Bo tak często nie ma cię w domu i mama...

... mama w swoim małym synu zobaczyła substytut partnera? Tak jak robiła to matka Shahli?

Gdzieś głęboko w nim jakiś głos szeptał, że się myli, ale był coraz cichszy.

A kiedy Martin po raz trzeci zwymiotował, ten sam głos, równie ochrypły jak jego własny nie musiał już tak głośno krzyżeć, żeby go przekonać, a Shahla przecież nigdy nie mogła przypuszczać, że jej słowa trafią akurat w jego ręce, więc nie miała żadnego powodu, żeby w dzienniku kłamać. Zwłaszcza że jej słowa doskonale wyjaśniały, jak to możliwe, że z pokładu najpierw spadła Nadja.

A potem Timmy.

Ponieważ Shahla napisała:

„Kiedy przyłapałam matkę z synem, straciłam panowanie nad sobą. Zaślepiąca wściekłością złapałam pierwszy lepszy przedmiot, jaki nawinął mi się pod rękę, a była to ciężka lampa stojąca na biurku, i uderzyłam tamtą kobietę w głowę. Od razu straciła przytomność, być może nawet już nie żyła. Jej syn pobiegł do łazienki i zamknął się w środku. Co miałam zrobić? Sytuacja wymknęła się spod kontroli. Gdyby mnie nie poniosło, mogłabym ją ukarać kiedy indziej i dużo bardziej starannie. A tak byłam zmuszona natychmiast pozbyć się ciała matki. Na szczęście tej nocy panowała zła pogoda i na morzu były wysokie fale. Poza tym spółka żegluga nie miałaby żadnego interesu w tym, żeby dzięki analizie zapisu wideo chcieć udowodnić akt przemocy. Dla wizerunku przedsiębiorstwa żeglugowego samobójstwo jest o wiele lepsze niż seryjny morderca na pokładzie, dlatego, niewiele się namyślając, wyrzuciłam panią Schwartz za burtę. Niestety w tym czasie jej syn wyszedł z łazienki i widział, co robiłam. Kiedy zobaczył, jak jego matka wypada przez reling, wybiegł na balkon, wspiął się na balustradę... i skoczył za nią”.

Najpierw duży cień.

Potem mały.

Tu, w pokoju przesłuchań, Martin z trudem powstrzymał się, aby nie wybuchnąć takim samym płaczem jak wtedy, kiedy czytając po raz pierwszy pamiętnik, w pełni uświadomił sobie znaczenie wydarzenia opisanego przez Shahłę.

Timmy kochał swoją matkę. Mimo wszystko.

Tak jak bita żona powstrzymuje policję przed aresztowaniem brutalnego męża, tak miłość Timmy'ego do matki i lęk przed jej utratą były dużo silniejsze niż wstręt przed dalszym molestowaniem.

Łzy popłynęły Martinowi z oczu, co nie uszło uwagi doktor Klein.

– Nie chce pan o tym porozmawiać? – zapytała.

Porozmawiać o czym?, pomyślał.

Że są matki, które wykorzystują seksualnie swoje dzieci? I dzieci, które mimo wszystko kochają swoich rodziców?

Aż do śmierci.

– Proszę pozwolić mi zgadnąć – powiedziała prowadząca przesłuchanie. – Prawda, którą pan teraz

zna, jest tak potworna, że własne życie nie ma już dla pana znaczenia.

– Tak było już wcześniej.

– I to był powód?

– Powód czego?

– Że skoczył pan za Lisą?

Martin zamknął oczy.

Przez krótką chwilę znów poczuł uderzenie po locie z wysokości dwudziestu metrów, kiedy pękły mu kości stopy. Elena usztywniła ją bandażem elastycznym, dlatego teraz utykał.

Czuł się tak, jakby wskoczył do garnka, tylko że spieniona woda, która zamknęła się nad jego głową, parzyła go jak tysiąc igieł. Lodowych igieł, które wysały z niego wszystkie siły, ledwie Atlantyck chwycił go w swoje szpony.

– Nie zastanawiałem się nad tym – powiedział Martin i gdyby był podłączony do wykrywacza kłamstw, urządzenie zarejestrowałoby, że mówi prawdę. Po prostu skoczył odruchowo, to nie była świadoma decyzja.

Lisa wyszła na tym gorzej. Przy uderzeniu o wodę złamała sobie biodro i zwichnęła lewy bark. Na szczęście, ponieważ z tego powodu wrzeszczała, jakby ją obdzierali ze skóry, kiedy tylko wynurzyła głowę z wody. Gładka powierzchnia morza i szczęśliwa okoliczność, że kapitan już wcześniej zastopował statek, umożliwiły jej uratowanie.

– Prawdopodobnie otrzyma pan jakieś odznaczenie – powiedziała doktor Klein.

– Mam nadzieję, że będzie to medal, którego można użyć jako podstawki – wymruczał Martin. – Nie zrobiłem nic wielkiego.

Nagle znów poczuł smak słonej wody, której nałykał się całe litry i potem zwymiotował.

– Wyciągnął pan w kierunku Lisy oderwaną część poręczy, żeby mogła się jej złapać, zanim podpłygnie łódź ratunkowa.

Doktor Klein ujęła dłoń Martina i ścisnęła ją. Nie wiedział, czy ten gest jest nieprzyjemny, czy też raczej powinien się ucieszyć.

– Nie wiem, czy Lisa Stiller jest z tego powodu szczęśliwa – powiedział i cofnął rękę.

O ile jego informacje były prawdziwe, zarówno Anouk, jak i Lisa przebywały obecnie w klinikach psychiatrycznych: jedna na Manhattanie, druga na obrzeżach Berlina, gdzie również Julia korzystała z profesjonalnej pomocy, aby mogła uporać się ze strasznymi przeżyciami. Martin miał nadzieję, że lekarze nie od razu zaatakują dziewczynki za pomocą pytań i pigułek, ale nie każdy podzielał jego zamiłowanie do telewizji i gameboya jako sposobu uwalniania osób strauumatyzowanych i psychicznie chorych z ich świata urojeń i cieni.

– Czy mogę już iść? – zapytał i wstał.

Doktor Klein skinęła głową. Wyjęła komórkę z kieszeni spodni.

– Tak, oczywiście. Czy mam zadzwonić po taksówkę?

Martin zmusił się do niebudzącego podejrzeń uśmiechu i grzecznie odmówił.

Jaki adres miałby podać kierowcy? Nie miał już przed sobą żadnego celu.

Rozdział 72

Cztery tygodnie później

Strzałka prędkościomierza czarnego vana trzymała się cały czas czterdziestu kilometrów na godzinę. Można było sądzić, że Kramer włączył tempomat, ale Martin wiedział, że dowódca oddziału uważał tego rodzaju pomoce za „wyposażenie dla emerytów”. W latach osiemdziesiątych z pewnością szydził również ze wspomagania kierownicy i automatycznej skrzyni biegów, a jeśli kiedykolwiek był na jakiejś demonstracji, to na tej przeciwko obowiązkowemu zapinaniu pasów.

– Co powiesz na kawę? – zapytał Martin, kiedy na poboczu autostrady pojawił się szyld restauracji Michendorf. Jechali samochodem, w którym siedział ostatni raz w Westendzie przed willą Prygi i wyłamywał sobie ząb, z powodu którego dawno już powinien udać się do dentysty. Śliczna pani stomatolog z izby przyjęć zostawiła mu nawet na automatycznej sekretarce pełną troski wiadomość, żeby nie zapomniał o wymianie tymczasowej protezy zęba. Ale to mogło poczekać. Pulsowanie w szczęce było do zniesienia, po trzech ibupromach całkiem dobrze mu się spało, czasem nawet cztery godziny jednym ciągiem. Środki przeciwbólowe pomagały również na ból głowy. W każdym razie ataki, które nawiedzały go na statku, stały się rzadsze, odkąd wbrew zaleceniom odstawił proszki na PEP.

– Żadnej kawy. Nie mamy czasu – zdecydował Kramer, a mieli jeszcze dobre trzy godziny do spotkania na parkingu przy autostradzie niedaleko Jeny.

Martin ziewnął i odwrócił nadgarstek, żeby zobaczyć tętnice. I tatuaż. Różę z osiemnastoma małymi kolcami. Rosyjski tatuaż więzienny. Znak, że osiągnęło się pełnoletniość w pierdłu. Kazał go sobie zrobić dziesięć dni przed tą akcją. Mieli przeniknąć do bandy chorwackich rockersów, którzy chcieli przejąć w Berlinie interes bramkarzy w lokalach. Ten, kto kontrolował wejścia do klubów i dyskotek, kontrolował również przepływ narkotyków. Lukratywny biznes, o który przez cały czas toczyła się walka. Chorwacki gang planował w nadchodzących tygodniach wyeliminowanie kilku bramkarzy i Martin miał się zaoferować jako płatny zabójca.

– Czy tatuaż nie wygląda za świeżo? – zapytał Kramer, który znów wbił wzrok w prawie pustą autostradę, rzuciwszy na chwilę okiem na różę.

– Powiem, że dałem go odświeżyć na rocznicę tego dnia – odpowiedział Martin. Ponownie ziewnął. Wczoraj nie było czterogodzinnego snu w nocy. Raczej czterominutowy.

Minęli restaurację i tym samym szansę na kawę. Martin zamknął oczy i oparł głowę o wibrującą szybę.

– Hej, kaokabudź kasię, kadekabikalu! – usłyszał obok siebie głos Kramera. Odwrócił się do niego i zobaczył, jak jego przełożony chichocze w podwójny podbródek. Martin, który ni w ząb nie rozumiał tego żargonu, zapytał Kramera, czy to znaczy, że właśnie dostał udaru.

– Jeśli tak, to może lepiej, żebym ja poprowadził.

– Eee tam, ze mną wszystko okej. Tak mówi ostatnio moja córa.

Na twarzy Kramera pojawił się uśmiech dumnego ojca.

– „Kaczekaść” na przykład znaczy „cześć”.

Włączył kierunkowskaz, żeby wyprzedzić białego gruchota, który kurczowo trzymał się środkowego pasa.

– To język kakański – wyjaśnił Martinowi, jakby ten był zainteresowany dziecinną szyfrowaną mową, którą wymyśliła córka Kramera.

– Lottie ćwiczyła to z przyjaciółką przez całe jesienne ferie, a teraz doprowadza tym do szału nauczycieli. A zasada jest bardzo prosta. Chcesz wiedzieć?

Martin pokręcił przecząco głową, ale to bynajmniej nie oszczędziło mu wyjaśnień Kramera.

– Po prostu przed każdą sylabą dodaje się „ka”. „Kaokabudź kasię, kadekabikalu!” znaczy: „Obudź się, debilu!”

Kramer śmiejąc się, uderzył ręką w kierownicę, jakby opowiedział najlepszy dowcip roku.

– Zrozumiałem – powiedział Martin i rzucił: – Kadukapek.

Kramer przestał się śmiać i obrażony patrzył przed siebie.

Zadzwoniła komórka Martina. Numer nie należał do nikogo z jego listy kontaktów, mimo to wydał mu się znajomy, dlatego odebrał rozmowę.

– Martin? – Gerlinde Dobkowitz zaczęła rozmowę z wyrzutem w głosie. – Kto to widział tak się zachowywać? W zasadzie nawet rozumiem, że mogło panu nie przyjść do głowy, żeby mi się oświadczyć, chociaż wciąż jestem łakomym kąskiem, ale żeby tak ni stąd, ni zowąd skoczyć sobie z pokładu, a potem nawet do mnie nie zadzwonić, że już się pan wysuszył i jest na lądzie, to już naprawdę bezczelność.

Zamierzał jej powiedzieć, że celowo nie chciał już utrzymywać kontaktów z nikim i z niczym, co przypominało mu „Sultana” i Timmy’ego, i że z tego powodu zaraz się rozłączy, ale ona jak zwykle nie dała mu dojść do słowa.

– Ale to nieważne, chciałam tylko pana zawiadomić, że skończyłam moją powieść. Wie pan, *Cruise killer*.

– Ładny tytuł – powiedział Martin i szukał uprzejmego sposobu, aby skończyć rozmowę.

– No, prawda, że dobrze wymyśliłam? – zgodziła się zrozumiała. – Chociaż Pokład Bermudzki wydawał się jeszcze lepszy. Ale wygląda na to, że moja druga teoria o tajnym pokładzie i doświadczeniach na ludziach się nie sprawdziła, chociaż wciąż jeszcze nie zrezygnowałam z szukania ukrytego wejścia. Jednak seryjna zabójczyni we wnętrzu statku jest też nie do pogardzenia, prawda?

– Ma pani nosa, pani Dobkowitz, ale...

– Jeśli ma pan życzenie, wyślę panu egzemplarz. Albo przy okazji przyniosę osobiście. Będę w Berlinie w następnym miesiącu.

– Schodzi pani ze statku? – Mimo wszystko zdziwił się jednak Martin.

– Oczywiście, a co pan myśli? Gdy tylko mój bestseller się ukaże, i tak by mnie stąd pewnie wyrzucili jako tę, która pokalała własne gniazdo. Poza tym powoli zaczynam mieć tego wszystkiego dosyć. Moje zapotrzebowanie na trupy i przemoc zostało zaspokojone. Jeśli nie będę uważać, to przez te wszystkie atrakcje sama wykorkuję. W wieku siedemdziesięciu ośmiu lat plus pięć trzeba powoli zacząć spokojniej podchodzić do życia.

– Siedemdziesiąt osiem plus pięć? – zapytał Martin i nerwowo zamrugał oczami. Poczuł, że robi mu się zimno. Gerlinde zachichotała do siebie.

– W moim wieku liczy się nie tylko lata, ale też miesiące, a najlepiej nawet dni, ponieważ w każdej

chwili można wyjechać nogami do przodu. Znaczący, wie pan, jeszcze nie jest tak źle, żeby robaki zaczynały mlaskać na mój widok, kiedy jadę wózkiem po łące, ale...

Martin wymamrotał słowa pożegnania i rozłączył się, zanim Gerlinde dokończyła zdanie.

– Hej, co jest? – zapytał Kramer, obserwując go kątem oka. – Wszystko z tobą w porządku?

Nie, nie było w porządku.

Martin czuł, że siedzi z otwartymi ustami, ale miał ważniejsze rzeczy do zrobienia, niż z powrotem je zamknąć.

Uwaga Gerlinde na temat jej wieku uderzyła go jak młotem. Czarny van trzymał się swojego pasa ruchu, ale w głowie Martina zapodziała się gdzieś myśl, którą koniecznie chciał złapać. Którą musiał złapać.

Co Diesel powiedział o Anouk?

– W teście na inteligencję, jaki przeszła w piątej klasie, uzyskała 135 punktów. I zdobyła drugie miejsce w Ogólnokrajowych Mistrzostwach w Szybkim Zapamiętywaniu.

Siedemdziesiąt osiem plus pięć.

Kaczekaść!

– Zatrzymaj! – krzyknął do Kramera, który właśnie zjechał na prawy pas. – Muszę wysiąść.

– Tutaj?

– Natychmiast! – Martin odsunął drzwi po stronie pasażera. Do wnętrza wtargnęło lodowate powietrze. Usłyszał grad przekleństw Kramera, ale samochód zwolnił i wreszcie zatrzymał się na poboczu.

– Niweczysz całą akcję! – krzyknął za nim Kramer, ponieważ Martin już zdążył wyskoczyć z vana. – Jeśli teraz znów prysniesz bez pozwolenia, to drugi raz się nie wywiniesz, psycholu!

Martin obejrzał się na moment i skinął głową.

Pobiegł na przeciwległą stronę autostrady, żeby znaleźć kogoś, kto jak najszybciej zawiezie go z powrotem do Berlina...

78 + 5

...żeby mógł w spokoju przejrzeć pamięć swojej komórki, w której gdzieś kryła się prawda.

Rozdział 73

Powrót do domu zajął mu cztery godziny. Trzydzieści minut na spisanie przebiegu sesji z Anouk, którą na „Sułtanie” nagrał w swoim smartfonie. I po kolejnych dwóch godzinach czuł, że jest o krok od rozwiązania zagadki.

Siedział w swoim źle wywietrzonym mieszkaniu w starym budownictwie, przy chybotliwym stole kuchennym, z którego musiał najpierw zsunąć łokciem na podłogę stertę niezapłaconych rachunków, wezwań do zapłaty i reklam, żeby mieć dość miejsca do swojej pracy.

Leżała przed nim jego komórka i dwie kartki papieru w formacie A4. Na jednej zapisał pytania, które zadał Anouk podczas swojej drugiej wizyty w hell's kitchen. Na drugiej kartce widniały odpowiedzi dziewczynki, w każdym razie na tyle, na ile potrafił je sobie przypomnieć, ponieważ nie wypowiadała ich na głos, tylko pisała na komputerze, który obecnie był w posiadaniu FBI, tak samo jak notebook Shahli i jej iPod.

Na lewej kartce, tej z pytaniami, Martin zanotował, co następuje:

„1. Anouk, kiedy ponad dwie godziny temu byłem u ciebie z doktor Beck, mówiąc do mnie, wymieniłaś pewne imię. Czy pamiętasz, jakie to było imię?

2. Czy w ogóle wiesz, gdzie teraz jesteś?

3. Ile masz lat?”

Martin wziął do ręki komórkę i jeszcze raz wrócił do decydującego miejsca. Już nagrywając rozmowę, miał uczucie, że w zachowaniu Anouk coś się nie zgadza, nawet jeśli wziąć pod uwagę jej traumę. Miał wrażenie, że jej odpowiedzi kierują się jakąś nieznaną mu logiką. Zupełnie, jakby mówiła do niego w jakimś obcym czy tajnym języku.

Jakie to kakańskie.

Martin jeszcze raz odsłuchał trzecie pytanie.

– Ile masz lat?

Na nagraniu usłyszał sygnał wzywający na ćwiczenia ratunkowe, który wtedy zignorował. Potem widocznie upłynęła chwila, aż sformułował swoje czwarte pytanie.

– Mój Boże, kto ci to zrobił?

Martin przypomniał sobie, jak na brzuchu Anouk odkrył okrągłe blizny po oparzeniach rozżarzonym czubkiem papierosa. Teraz wiedział, że zostały zrobione jeszcze przed rejssem przez mężczyzn, których Naomi zostawiła samych z córką. Ale wtedy był przekonany, że zrobił je przypuszczalny gwałciciel, który wciąż znajdował się na statku.

Pytanie numer 4 było według jego dokumentacji pierwszym, na które Anouk odpowiedziała, i to pisząc na ekranie komputera jego imię:

Martin.

Znów wziął do ręki kartkę z pytaniami.

„4. Mój Boże, kto ci to zrobił?

5. Ale przecież wiesz, że nie jestem złym człowiekiem, prawda?”

Oczywiście Martin nie mógł usłyszeć tego na nagraniu, ale dosłownie widział Anouk przed sobą, jak zamyka oczy i intensywnie coś liczy na palcach. A potem pisze coś, co pomylił najpierw z zadaniem matematycznym, a potem ze wskazówką, że może chodzić o pokład z urządzeniem kotwicznym: $11 + 3$.

– Siedemdziesiąt osiem plus pięć – powiedziała Gerlinde. I naprowadziła go tym na właściwy trop.

Martin sięgnął po kartkę z pytaniami i przeszedł do pozycji numer trzy:

– Ile masz lat?

Poniżej zapisał ołówkiem trzecią odpowiedź Anouk:

$11 + 3$

Bez tchu odepchnął się od stołu i wstał tak gwałtownie, że krzesło przewróciło się do tyłu.

To jest to. To jest rozwiązanie. Struktura.

Martin wiedział, że jest bliski rozwikłania tajemnicy, nad której istnieniem do tej pory zbyt mało się zastanawiał. Całe to szaleństwo, które przeżył na „Sułtanie”, nie zostawiło mu czasu, żeby przeanalizować szczegóły. A kiedy znalazł się z powrotem na lądzie, żaloba, która zżerała go od środka, przesłoniła widok rzeczy istotnych.

Prawdy!

Chusteczki nasączonej chloroformem, na przykład.

Jeśli wyznanie Shahli było prawdziwe, to w jaki sposób znalazła się w kabynie Nadji i Timmy’ego?

Jeśli pokojówka nakryła ich tylko „przypadkiem”, to dlaczego miała przy sobie chloroform?

Nagle Martin dostrzegł w całej tej historii kilka luk, niezgodności, na które w swojej nienawiści do samego siebie i do losu nie zwrócił należytej uwagi.

Sięgnął po komórkę i wybrał numer nowojorskiej kliniki, gdzie umieszczono Anouk. Elena, która towarzyszyła dziewczynce w drodze na Manhattan, zadzwoniła stamtąd do niego. Dlatego musiał tylko nacisnąć „oddzwon”, żeby połączyć się z centralą. Przedstawił się jako doktor Schwartz, aby szybciej połączono go z rzekomym kolegą po fachu, minął jednak dobry kwadrans, zanim po drugiej stronie odezwał się doktor Silva, lekarz prowadzący Anouk.

– Anouk nie jest tą osobą, za którą ją uważamy – oświadczył mówiącemu przeziębionym głosem starszemu mężczyźnie.

– Co pan chce przez to powiedzieć? – zapytał Silva.

Martin chodził w kółko po kuchni, zbyt podniecony, żeby usiedzieć w jednym miejscu.

– Ona wcale nie jest w szoku, w każdym razie nie w takim stopniu, jak na to wygląda.

– Nie jest w szoku? – Silva był oburzony. – Dziewczyna została najpierw zgwałcona, a potem uprowadzona!

Martin milczał przez chwilę, aby uporządkować myśli i aby to, co chciał powiedzieć, nie zabrzmiało jak bredzenie kogoś z nie całkiem zdrowych na umyśle pacjentów, którymi zajmował się jego kolega.

– Doktorze, czy współpracował pan już z wybitnie uzdolnionymi dziećmi? – zapytał lekarza. – Z pewnością pan wie, co się dzieje, kiedy się od nich zbyt mało wymaga. Tego rodzaju inteligentne dzieci przejawiają zaburzenia zachowań. Jedne przestają się odzywać, inne przestają jeść, popadają w depresję, inne z kolei stają się hałaśliwe, agresywne i od czasu do czasu posuwają się nawet do przemocy. W stosunku do obcych albo do siebie samych.

– Tak, słucham pana – powiedział doktor Silva. Martin zrobił krótką przerwę.

– Oto, do czego zmierzam: sędzę, że Anouk znajduje się w trwającym wiele miesięcy stresie, wskutek zbyt małych wymagań, jakie jej stawiano. Oczywiście przeżyła też najcięższy z możliwych szok spowodowany wielokrotnym molestowaniem seksualnym. Ale to nie to kazało jej przestać się odzywać i nie to spowodowało, że zaczęła się samookaleczać.

– A co? – zapytał Silva.

– Mówiąc wprost, Anouk się nudzi.

– Co proszę?

– Tygodniami była zamknięta na statku, najpierw w pozbawionym okien karczerze, później w izolatce, nie miała możliwości, żeby się odpowiednio rozwijać. Nawet zdrowi psychicznie ludzie z trudem wytrzymują coś takiego. Jak w takim razie musiało czuć się hiperaktywne, nadzwyczaj inteligentne dziecko? Samookaleczanie się było wyrazem braku wymagań.

– Co jeszcze na to wskazuje? – zapytał Silva.

– Kod – odpowiedział Martin. – Anouk nie mogła dłużej wytrzymać długotrwałego siedzenia w jednym miejscu i polecenia Shahli, żeby z nikim nie rozmawiała. Dlatego zaczęła uprawiać grę i komunikowała się ze mną tajnym językiem. Bardzo inteligentna gra. Kod Anouk jest bardzo trudny do rozszyfrowania. Żeby go opanować, trzeba być mistrzynią zapamiętywania, tak jak ona.

– I na czym niby miał polegać ten tajny język? – W głosie Silvy dało się słyszeć lekką irytację. Martin doskonale go rozumiał. Sam zareagowałby równie nieufnie, gdyby ni stąd, ni zowąd zadzwonił do niego zza oceanu ktoś podający się za kolegę po fachu i zaczął mu robić wykład.

– Czy zwrócił pan uwagę, że Anouk nigdy nie odpowiada na pierwsze trzy pytania? W żadnej rozmowie? – zapytał.

Cisza. Kiedy Silva znów zabrał głos, w jego głosie brzmiało zdumienie.

– Niestety, nie mogę dyskutować z osobą z zewnątrz o przebiegu leczenia naszych pacjentów – powiedział tonem, który nie pozostawiał żadnych wątpliwości, że Martin trafił w dziesiątkę.

Z przejściem zaczął objaśniać psychiatrze swoją teorię:

– Na tym właśnie polega system Anouk. Jej odpowiedzi są przesunięte w czasie o trzy... Konkretnie oznacza to...

– Że dopiero po czwartym pytaniu pada odpowiedź na pierwsze?

– A po piątym odpowiada na drugie i tak dalej. Musi pan przesunąć wszystko o trzy pytania.

Martin spojrzał triumfująco najpierw na kartkę z pytaniami, a potem na odpowiedzi. Wszystko nabrało teraz dużo większego sensu, kiedy pierwszą odpowiedź Anouk zestawilo się z pierwszym pytaniem, drugą z drugim i tak dalej. Rezultat wyglądał następująco:

„1. pytanie: Anouk, kiedy ponad dwie godziny temu byłem u ciebie z doktor Beck, mówiąc do mnie wymieniłaś pewne imię. Czy pamiętasz, jakie to było imię?

1. odpowiedź: Martin

2. pytanie: Czy w ogóle wiesz, gdzie teraz jesteś?

2. odpowiedź: Anouk rysuje statek.

3. pytanie: Ile masz lat?

3. odpowiedź: 11 + 3

4. pytanie: Mój Boże, kto ci to zrobił?

4. odpowiedź: Moja mama.

5. pytanie: Ale przecież wiesz, że nie jestem złym człowiekiem, prawda?

5. odpowiedź: ??? (przypuszczalnie potwierdzające skinięcie głową)”.

Wszystko było tak zrozumiałe, tak logiczne. I dziecinnie proste, jeśli znało się system. A mimo to, kiedy Martin podczas rozmowy telefonicznej z Silvą doszedł do szóstego pytania, miał uczucie, że znów przeoczył coś elementarnego.

– To informacja zasługująca w najwyższym stopniu na uwagę, szanowny kolego – usłyszał głos psychiatry. Potem doszły jeszcze dwa dalsze zdania, ale wtedy Martin myślał już o czym innym.

Sięgnął po ołówek i włożył go końcem z gumką do ust.

Na tamtej sesji terapeutycznej zadał dziewięć pytań. Na pięć z nich Anouk odpowiedziała swoim systemem. Akurat szóste pozostało otwarte.

– Czy możesz mi powiedzieć imię człowieka, u którego byłaś cały czas?

Martin znów usiadł przy kuchennym stole i napisał numer 6 na kartce z odpowiedziami. Poczł mrowienie od karku przez plecy aż do kości ogonowej.

– Czy zgodziłby się pan ze mną co do tego? – usłyszał głos Silvy. Odpowiedział twierdząco, chociaż nie miał pojęcia, czego dotyczyło pytanie.

Pytanie 6.

O ile sobie przypominał, Anouk po „moja mama” nie napisała już nic więcej. Ale teraz nie był już tego taki pewny.

Martin zamknął oczy, jeszcze raz wrócił w myślach na pokład znieawidzonego statku. Znów był w hell's kitchen. Mówił do wyczerpanej, patrzącej ponuro przed siebie Anouk: „Czy jest coś, co mógłbym ci przynieść?”

Przypomniał sobie alarm wzywający na ćwiczenia ratunkowe. Siedem krótkich, jeden długi.

I wtedy sobie przypomniał.

Jak Anouk po raz ostatni sięgnęła po swój komputer do malowania.

„Czy możesz mi powiedzieć imię człowieka, u którego byłaś cały czas?”

I jakie imię napisała na ekranie, zanim ponownie się odwróciła i włożyła kciuk do ust.

To przecież niemożliwe.

Prawda trafiła go jak cios nożem, który go nie zabił, ale sprawił, że powoli wypływała z niego cała krew.

– Halo, kolego? Jest pan tam jeszcze? – powiedział doktor Silva z odległości kilku tysięcy kilometrów, ale Martin już go nie słuchał.

Zostawił telefon na stole i zaczął pakować swoje rzeczy. Czekąca go kolejna podróż. Musiał się śpieszyć. Zmarnował już zbyt dużo czasu.

Rozdział 74

35 godzin później
Republika Dominikany

Dwupiętrowa finca w kolorze gliny leżała zaledwie o rzut kamieniem od boisk do gry w polo Casa de Compos na końcu ślepej uliczki, otoczonej szpalerem krzaków ostrokrzewu. Dom był zwieńczony brązowym gontowym dachem, który wystawał nad wejście niby daszek czapki i tam opierał się na dwóch białych kolumnach.

Niewiele się różnił od innych wytwornych letnich domów, które tutaj należały prawie wyłącznie do obcokrajowców, tylko był wyraźnie mniejszy od willi prominentów, którzy zapewnili sobie najlepsze parcele oddalone pięć minut drogi od La Romana, bezpośrednio przy plaży albo wokół pola golfowego.

Była czternasta, najgorętsza pora dnia. Na niebie ani jednej chmurki, która mogłaby przeszkodzić słońcu w nagrzaniu wilgotnego i parnego powietrza do temperatury trzydziestu sześciu stopni.

Martin wysiadł z małego klimatyzowanego samochodu, który wynajął przed południem na lotnisku, i momentalnie oblał się potem. Miał na sobie szorty w kolorze khaki i luźną lnianą koszulę, do tego ciemne okulary przeciwsłoneczne i za sprawą bladej skóry wyglądał jak typowy turysta w pierwszym tygodniu urlopu. Pokrytą krótką szczecina głowę chronił pod stylizowaną na retro bejsbolówką.

Rozejrzał się dookoła i odciągnął sobie koszulę od ciała. Nie minęło nawet dwadzieścia sekund, a już oblepiła go jak gumowa rękawiczka.

O tej porze żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie opuszczał dobrowolnie swojego klimatyzowanego domostwa.

Nie było nikogo, kto by widział, jak kuśtyka przez świeżo skoszony trawnik (wielogodzinny lot sprawił, że znów spuchła mu stopa) na tyły posiadłości, gdzie znajdował się obowiązkowy basen, z igłami pinii pływającymi po powierzchni wody.

Z parcelą graniczył jeszcze nieuzbrojony teren pod nową zabudowę, tak że również tu nie było nikogo, kto mógł obserwować Martina, jak szuka przy tylnym wejściu kabli oraz kamer i wyważa scyzorykiem zamek, kiedy już się upewnił, że nie włączy w ten sposób alarmu.

Martin myślał, że odnalezienie adresu zajmie mu więcej czasu, ale już po godzinie znalazł w porcie taksówkarza, który rozpoznał fotografię. I w zamian za dwieście dolarów amerykańskich zdradził, dokąd ta osoba z nim jeździła, kiedy statek zawijał do La Romana.

Zamknął tylne drzwi i przeszedł po płytkach w kolorze piaskowca do przestronnego salonu.

We wnętrzu domu było tylko odrobinę chłodniej niż na zewnątrz, nieomylny znak, że mieszka tu Europejczyk, który jeszcze ma skrupuły, żeby zostawiać włączoną klimatyzację na czas trwającej dni i tygodnie nieobecności.

Urządzenie wnętrza było typowo amerykańskie. Otwarta kuchnia, sofy ustawione w kształcie litery U przed rodzinnym ołtarzem na ścianie, czyli ogromnym telewizorem plazmowym bezpośrednio nad atrapą kominka.

Martin włączył klimatyzację, wziął sobie piwo z lodówki, wyjął z kieszeni spodni pistolet kupiony w La Romana, położył go na ławie i usiadł na sofie. Dopiero teraz zdjął czapkę i okulary przeciwsłoneczne.

Nie wiedział, ile czasu będzie musiał tu spędzić, ale nastawił się na długie oczekiwanie. W wynajętym samochodzie leżał jego marynarski worek. Tym razem zabrał ze sobą trochę więcej bielizny na zmianę niż na wycieczkę na pokładzie „Sułtana”. Od biedy mógłby tu nawet przezimować.

Że to nie będzie konieczne, wyjaśniło się w chwili, kiedy sięgnął po leżącego na ławie pilota wielkości policyjnej pałki, ale nie zdążył nic zrobić, bo telewizor włączył się sam.

Kolor ekranu zmienił się z czarnego na turkusowy. Na środku pojawiło się logo Skype’a, a pod nim tekst: rozmowa przychodząca.

A więc dlatego na zewnątrz nie było żadnego alarmu. Dom zabezpieczały kamery internetowe, które rejestrowały każdy ruch we wnętrzu i dzwoniły do właściciela, gdy tylko działo się coś nietypowego.

– Nie mam nic przeciwko temu.

Martin nacisnął okrągły klawisz z napisem OK.

Usłyszał elektroniczny dźwięk, który przypominał krople wody kapiące do stalowego garnka i ujrzał komputerową grafikę dwóch witających się dłoni, co sygnalizowało nawiązanie połączenia.

– Długo to trwało – usłyszał głos. Przypisana do niego twarz nie pojawiła się na ekranie, ale Martin był prawie pewny, że kamera przekazuje jego obraz.

– Spodziewałam się ciebie dużo wcześniej.

Martin położył pilota obok piwa, wzruszył ramionami i powiedział:

– Jak to się pięknie mówi? „Czas jest krokiem ku prawdzie”. Zawsze pomaga jej wypłynąć na wierzch, czyż nie tak, Querky? A może wolisz, żebym mówił do ciebie Elena?

Rozdział 75

Usłyszał rozbawiony śmiech.

Martin niemal widział, jak dłoń okrętowej lekarki wędruje do wisiorka w kształcie liścia dębu przy łańcuszku na szyi.

Dąb, po łacinie *quercus*.

– Raczej sądzę, że czas daje złym ludziom sposobność znalezienia sobie bezpiecznej kryjówki.

Martin pokręcił głową.

– Nigdzie się przed mną nie ukryjesz, Eleno. Jak widzisz, wszędzie cię znajdę.

Lekarka zaśmiała się.

– Daj spokój. To naprawdę nie było takie trudne, skoro podałam ci adres jak na tacy.

Martin przytaknął. Zrobiła błąd, że po drodze z hell's kitchen opowiedziała mu o swoim wcześniejszym życiu.

– Trzy lata mieszkałam w Republice Dominikany, pracowałam w państwowym szpitalu i widziałam tam więcej zgwałconych dzieci uciekinierów z Haiti, niż kierownik hamburskiej kliniki kobiecej widział przez całe życie...

Każdy, kto już tu spędzał urlop, wie, jak niedbałe były tu kiedyś kontrole imigracyjne. Zwłaszcza kiedy schodziło się ze statku. Nie powinnam naprowadzać cię na to, że mieszkam na wyspie, gdzie jeszcze kilka lat temu można było niemal wszystko załatwić za łapówkę, jeśli tylko znało się odpowiednich ludzi. A już najłatwiej miejsce do zamieszkania pod obcym nazwiskiem.

Lamelowy nawiew klimatyzacji z niezmienną regularnością zmieniał kierunek strumienia powietrza. W tej chwili wiało mu prosto w twarz.

– Nie przyleciałem tu po to, żeby rozmawiać o twoich kuglarskich sztuczkach – powiedział Martin.

– Wiem. Chcesz mnie zabić, ponieważ doprowadziłam do śmierci twojej rodziny.

– Właśnie.

– Ale do tego nie dojdzie, Martin.

– Możliwe, że cię tutaj nie dopadnę. Ale wierz mi, będę cię ścigał po całym świecie. Znajdę i pociągnę do odpowiedzialności, nawet jeśli miałaby to być ostatnia rzecz, jaką zrobię w życiu.

– To byłby błąd.

– Nie sądzę. Anouk powiedziała mi, że to ty ją więziłaś.

Czy możesz mi powiedzieć imię człowieka, u którego byłaś cały czas?

– Przeanalizowałem jej tajny język. Kiedy zapytałem ją o człowieka, który jej to wszystko zrobił, napisała twoje imię.

Martin usłyszał, jak Elena klaszcze w dłonie.

– Brawo. Ale w jednym istotnym punkcie się mylisz. Nie więziłam Anouk. Poszła ze mną dobrowolnie. Zajmowałam się nią.

– A przy okazji torturowałaś i zamordowałaś jej matkę.

– Nie, to była Shahla.

– Nie wciskaj mi bzdur. Poświęciłaś Shahłę jak pionka. To ty stoisz za tymi wszystkimi morderstwami, za które zrzuciłaś winę na nią.

Poirytowana Elena wypuściła powietrze przez ściśnięte wargi, co przypominało parsknięcie konia.

– Jak na policjanta coś słabo kojarzysz. O Shahli można powiedzieć wszystko, tylko nie to, że była niewinna.

– Nie wierzę w ani jedno twoje słowo – odpowiedział Martin. – Teksty w komputerze, korespondencja z Naomi, przecież to wszystko twoja robota.

– Częściowo tak. Ale napisałam wyłącznie prawdę.

Zimny nawiew klimatyzacji znów przewędrował przez jego twarz i sprawił, że dostał dreszczy. Wydawało mu się, że na zewnątrz, przed głównym wejściem usłyszał drapanie. A może kroki? Wstał z sofy i sięgnął po broń.

– Shahla naprawdę była chłopcem wykorzystywanym seksualnie przez własną matkę – powiedziała Elena. – Ja nigdy nie zostałam zgwałcona, nie jestem obłąkaną, zaślepioną ofiarą, która skazuje ludzi na cierpienie. Mam zupełnie inne zainteresowania.

– Jakie?

Martin podszedł do drzwi i wyjrzał przez wizjer. Nic nie zobaczył.

– Pieniądze. Zarabiam na życie jako płatna morderczyni. Statki są moim miejscem pracy. Nigdzie indziej nie można zabić szybciej i pewniej, i łatwiej pozbyć się zwłok, a na końcu armator nawet aktywnie pomaga mi tuszować zbrodnie. Lepiej być nie może. Pracuję na dwunastu różnych statkach oceanicznych. Czasem jako pracownik, czasem jako pasażerka. Ostatnio bywałam częściej na „Sułtanie”, ponieważ naprawdę zakochałam się w Danielu. Ale teraz to już niestety przeszłość, jak pewnie się domyślasz.

Martin czuł, że jego zmysły płatają mu figle, jakby wciąż brał proszki PEP. Miał sucho w ustach. Wydawało mu się, że odgłosy drapania dochodzą teraz od strony tylnego wejścia, którym dostał się do domu.

– Znajdujesz klientów przez internet? – zapytał Elenę, idąc do drzwi wychodzących na ogród.

– Tak – potwierdziła. Jej głos przycichł, ale cały czas był krystalicznie czysty, jakby dochodził z sąsiedniego pokoju. – W tej sprawie faktycznie bujałam. Biuro podróży, które jest tylko przykrywką całego interesu, nie należy do Shahli, lecz do mnie. To genialny układ, jeśli nawet będę musiała coś teraz zmienić, ale do tej pory moi zleceniodawcy po prostu rezerwowali rejs dla osoby, której chcieli się pozbyć, a potem ja już na pokładzie zajmowałam się resztą.

Martin dziwił się, dlaczego Elena jest taka rozmowna. Czuł, że chciała zyskać na czasie, ale w jakim celu? Co zamierzała?

– W przypadku Naomi Lamar zapłacił dziadek Anouk, który dowiedział się jakoś o tych okropieństwach, jakich się dopuszczała.

– I wynajął cię, żebyś się nad nią pastwiła przez dwa miesiące? – dopytywał się Martin. Musiał mówić głośniej, żeby Elena mogła go zrozumieć, ale najwyraźniej wcale jej nie przeszkadzało, że na chwilę zniknął z pola widzenia kamery.

Wyjrzał na ogród przez boczną szybę obok drzwi. Wokół basenu kręcił się leniwie bezpański pies. Czy to on drapał w drzwi?

– Dziadek chciał, żeby Nami przed śmiercią doświadczyła na sobie, jaką krzywdę wyrządziła córce. Ale to nie moja sprawa. Tym zajęła się Shahla. Męczenie kogoś mnie nie pociąga. Jak powiedziałam, chodzi mi tylko o pieniądze.

– A kto zapłacił ci za zabicie mojej żony? – zapytał Martin, wracając do telewizora.

– Nikt – powiedziała Elena. – Było dokładnie tak, jak przeczytałeś. Shahla przypadkiem nakryła Nadję, kiedy zamierzała wykorzystać twojego syna. Ten widok otworzył w niej rany, które zadała jej własna matka. Straciła nad sobą kontrolę, kiedy zobaczyła, co twoja żona robi z Timmym.

Martin usłyszał cichy gwar w tle. Elena musiała być gdzieś w miejscu publicznym. Prawdopodobnie siedziała w zapewniającej anonimowość kawiarence internetowej.

– Wiesz, że mówię prawdę, Martin. Na pewno dostrzegałeś u syna oznaki świadczące o molestowaniu, chyba się nie mylę?

Martin nie mógł nic na to poradzić, że do oczu znowu napłynęły mu łzy.

– No właśnie – skwitowała Elena, dowodząc tym samym, że go widzi. – Shahlę przydzielono do sprzątanego mojego oddziału szpitalnego i zaprzyjaźniłyśmy się z czasem. Opowiedziała mi o sobie, o swoim ciężkim losie. Śmierć Nadji była nadmiernie gwałtowną reakcją, wypadkiem, jak kto woli. I kiedy to się stało, a więc kiedy już skończyła z Nadją, wpadła do mojego gabinetu i poprosiła mnie o pomoc. Nie wiedziała, co ma zrobić.

– Czyli razem wyrzuciłyście moją żonę za burtę i podrzuciłyście chusteczkę z chloroformem?

– Dokładnie tak – powiedziała Elena. – Od tamtej pory Shahla była mi winna przysługę, zrewanżowała się, wymierzając karę Naomi. Wiedziałam, że zemsta sprawi jej przyjemność.

– Czy Anouk była u ciebie cały czas?

– U Shahli – odpowiedziała Elena. – Urządziła jej kryjówkę niedaleko błękitnego regału. Miała w niej zostać do czasu, aż zawiniemy do Oslo.

Martin nigdy ich nie widział, ale mimo to oczyma duszy zobaczył fosforyzujące oznaczenia, które w świetle ultravioletowej latarki wskazywały Anouk drogę w ciemnościach dolnego pokładu, kiedy chciała skontaktować się z Shahlą, Eleną i być może również ze swoją matką.

– Jej dziadek ma w Norwegii znajomych, u których Anouk miała zamieszkać.

Coś zaczęło gwizdać na łączach, ale głos Eleny był wciąż dobrze zrozumiały.

– Chciałyśmy sprowadzić ją z pokładu i Shahla zabrała ją do „gniazdka”, gdzie miała spędzić ostatnią noc. – W głosie Eleny dała się słyszeć skrucha. – Niestety, Anouk tego dnia nie chciała się słuchać. Była nerwowa, podminowana. Potrzebowała wyzwania. Nie chciała dłużej siedzieć w zamknięciu i udało się jej uciec Shahli. Z ulubionym misiem w ręku i z latarką chciała złożyć ostatnią wizytę matce.

– I wpadła wprost na kapitana!

Martin pokręcił głową. A więc Bonhoeffer faktycznie od samego początku mówił prawdę. Kiedy Anouk uciekła z „gniazdka”, pokojówka musiała szybko zaopatrzyć się w ręczniki, żeby mieć wymówkę na wypadek, gdyby szukając Anouk, spotkała kogoś na korytarzu i ten ktoś zapytałby ją, co robi na pokładzie o tej porze. Dlatego dla Gerlinde wyglądało to tak, jakby pokojówka wpadła na dziewczynkę zupełnie przypadkowo, a w rzeczywistości Anouk uciekała przed Shahlą.

Martin nie mógł już dłużej pohamować wściekłości. Gwałtownie podszedł do ławy, wziął do ręki piwo i rzucił nim w telewizor.

Przez chwilę myślał, że połączenie się zerwało, ale potem usłyszał całkiem spokojny głos Eleny:

– Kierujesz gniew przeciwko niewłaściwej osobie.

Martinowi słowa niemal utkwily w gardle.

– Chcesz mi wmówić, że to nie ty ponosisz winę za śmierć Nadji i Timmy’ego, tylko Shahla?

– W moim zawodzie nie ma miejsca na dyskutowanie o kwestiach winy. Ale jeśli obstajesz przy sprawiedliwości wyrównującej krzywdy, powinieneś mi podziękować. W końcu zabiłam przecież Shahłę.

– Ponieważ chciałaś stworzyć sobie idealne alibi. Zabójczyni, przyłapana *in flagranti*, i nie może już wydać współnika. O nie, nie uda ci się zrzucić winy na kogoś innego. A może będziesz twierdzić, że to Shahla dała Anouk misia, żebym wszedł na pokład? Albo że to ona powiedziała jej, że na pierwszej sesji ma wymienić moje imię, żeby mnie zdezorientować?

Tak silnie kopnął w ławę, że leżący na niej pistolet spadł na podłogę.

– To z misiem to był pomysł Shahli – przyznała beztróska Elena. – Zatrzymała go jako pamiątkę po Timmym. Dała go Anouk tylko po to, żeby dziewczynka miała się czym bawić. Nie było w tym żadnego specjalnego zamiaru. Ale to nasunęło Danielowi pomysł, żeby do ciebie zadzwonić. Ja byłam przeciwna. Wiedziałam, że jesteś uważany za doskonałego śledczego i nie chciałam, żebyś wszedł mi w paradę. Dlatego pokazałam ci raport z oględzin Anouk. Wiedziałam, że po zapoznaniu się z nim będziesz szukał wyłącznie mężczyzny.

– I dla pewności sama dokonałaś na sobie „zamachu”? – Martin podniósł pistolet.

– Mam alergię na olej arachidowy i w pomieszczeniu kotwicznym, kiedy wczołgałam się pod podest, posmarowałam sobie nim policzek – przyznała Elena. – Nie chciałam dłużej przebywać w pobliżu ciebie, chciałam tylko móc bez przeszkód zajmować się Anouk. A mogłam to robić tylko leżąc w Hell’s Kitchen niejako obok niej.

Jej głos nabral twardeści.

– Ale powtarzam jeszcze raz: nie jestem obłąkana. Zabijanie to moja praca. A nie powołanie.

Martin spojrzal na pistolet w swojej dłoni, odwrócił go i obserwował, jak zmienia się jego zniekształcone odbicie w chromowanej lufie.

– Chciałaś wykorzystać Lisę, żeby zabiła swoją matkę.

– Tak, to był błąd.

Gdyby nie była tak cholernie dobrą aktorką, Martin uwierzyłby, że słyszy w głosie Eleny szczerą skruchę.

– Lisa jest chrześnicą Daniela. Napisała do niego maila, że przeżyła zawód miłosny. Daniel przekazał mi tę wiadomość, ponieważ uznał, że jako kobieta potrafię lepiej pomóc młodej dziewczynie w tej sprawie. Nie wiedział, co naprawdę kryło się za słowami „zawód miłosny”.

Głos Eleny brzmiał ochryple. Odchrząknęła.

– Lisa nie zdawała sobie sprawy, kim jestem, kiedy zaprosiłam ją na czat na Easyexit, ale szybko otworzyła przede mną serce. Patrząc z dzisiejszej perspektywy, powinnam się domyśleć, że mnie okłamuje. Jej opowieści stawały się coraz bardziej szalone. Najpierw mówiła tylko mgliście o wykorzystaniu, później przyznała mi się, że uprawia seks ze starszym mężczyzną, a wreszcie, że zmusza ją do tego matka. Zaczęłam wątpić, ale kiedy przysłała mi filmik, znów jej uwierzyłam i zaaranżowałam dla

niej i jej matki rejs, aby załatwić sprawę.

A więc tak to było, pomyślał Martin.

Dlatego tak się zdenerwowała, kiedy zadzwonił Diesel i opowiedział o zmanipulowaniu nagrania.

– Nie przypuszczałam, że Lisa mnie okłamuje. Nic nie wiedziałam o jej chorobliwym zawodzie miłosnym. Julia Stiller zasługiwałaby na śmierć, gdyby zmuszała córkę do uprawiania seksu z Tomem.

Martin zaśmiał się szyderczo.

– A po Naomi nabrałaś już wprawy.

– Skorygowałam mój błąd we właściwym czasie.

– O mało co byśmy zginęli!

Martin przypomniał sobie scenę, która rozegrała się w kabinie Lisy. Ironia losu sprawiła, że Elena powiedziała prawdę, kiedy wyznała Lisie, że jest Querky. Mogłaby łatwo zdać test Lisy, zdradzając nick, którym dziewczyna posługiwała się na czacie. Elena nie zdecydowała się na to tylko dlatego, że wtedy wszystko by się wydało.

– I ty uważasz, że nie jesteś obłąkana, Eleno? – zapytał Martin. – Przecież tobie kompletnie odbiło.

W ogrodzie sąsiedniego domu warczała teraz spalinowa kosiarka do trawy. Martin zastanawiał się, czy zagłusza inne odgłosy. Odgłosy, które mogłyby zdemaskować prawdziwe zamiary Eleny...

– Gdzie jesteś? – zapytał.

Tak jak się spodziewał, Elena nie odpowiedziała, zamiast tego zadała mu osobliwe pytanie.

– Czy masz jeszcze kontakt z matką Lisy?

– Co? Tak, a bo co? – Martin rozmawiał kiedyś telefonicznie z Julią Stiller, która akurat była w odwiedzinach u córki na zamkniętym oddziale szpitala psychiatrycznego i chciała mu podziękować za ratunek. Pewnie już dziesiąty raz. Prawdopodobnie był jedyną osobą, z którą mogła rozmawiać o powolnych postępach w leczeniu Lisy.

– Powiedz Julii, że naprawię mój błąd – powiedziała Elena takim tonem, jakby miała się zaraz rozłączyć.

– Naprawisz swój błąd? Czy tobie już całkiem odbiło? Jesteś morderczynią. Co tu można naprawić?

Martin wycelował pistolet w telewizor. Wyobraził sobie, że stoi przed nim Elena.

– Jeszcze zobaczysz – odparła.

– Zobaczyć to zobaczę ciebie – powiedział Martin ze śmiertelnym spokojem w głosie. – I wtedy cię zabiję.

Niemalże usłyszał, jak kręci starannie uczesaną głowę.

– Nie zrobisz tego – powiedziała.

Wściekły zmrużył oczy.

– Wiesz, do czego jestem zdolny, kiedy wbiję sobie coś do głowy – zagroził jej.

– Tak. W to nie wątpię. Ale nawet gdybyśmy się spotkali, włos nie spadnie mi z głowy. Nikomu nawet nie wspomnisz słowem o naszej dzisiejszej rozmowie.

Roześmiał się.

– Skąd ta pewność?

Martin ponownie się wzdrygnął. Kosiarka zamilkła. Za to znów usłyszał drapanie w drzwi i tym razem na pewno nie był to pies. Ktoś gmerał przy zamku. Rozejrzał się dookoła. Ponieważ cały parter stanowił

jedną otwartą przestrzeń, nie było gdzie się ukryć, zwłaszcza że Elena obserwowała go przez kamerę. Jednak nie wierzył, że to ona była osobą, która starała się dostać do środka, a jeśli nawet, to wie, że jest uzbrojony. Wycelował w drzwi, ale zaraz się rozmyślił.

Dwoma szybkimi krokami podszedł do schodów i pobiegł na piętro z pistoletem gotowym do strzału, na wypadek, gdyby ktoś tam na niego czyhał.

W kieszeni spodni zadzwoniła jego komórka.

Nieznany numer.

Odebrał, wchodząc do pierwszego lepszego pokoju zaraz przy schodach, i zamknął drzwi.

– Nie zabijesz mnie – kontynuowała Elena, podczas gdy Martin rozglądał się zdziwiony po nieposprzątanym pokoju. Łóżko nie było pościelone, na podłodze leżały brudne skarpetki. Ściany były zabazgrane jaskrawymi, ale wykonanymi z talentem graffiti, notebook oklejony nalepkami zespołu metalowego stał na szklanym blacie opartym na dwóch beczkach od piwa.

– Skąd ta pewność? – usłyszał swoje własne pytanie. Z dołu dochodził go odgłos kroków w salonie.

Martin wziął do ręki rakietę tenisową, która stała oparta o otwartą szafę. Kroki wskazywały, że ktoś wchodzi po schodach.

– Ponieważ nie będziesz miał ochoty zastrzelić kobiety, która zastępuje teraz matkę twojemu synowi – powiedziała Elena i wtedy Martin usłyszał drugi głos w korytarzu za drzwiami. Głos młodzieńca w wieku mniej więcej piętnastu lat.

– Mamo? Jesteś tam? – zapytał chłopak. – Myślałem, że wracasz dopiero za dwa tygodnie.

Drzwi otworzyły się i Martin stanął oko w oko z chłopakiem, podobnym do niego jak syn do ojca i tak jak on skamieniałym z powodu doznanego szoku.

Rozdział 76

Elena rozłączyła się.

Przygotowywała Timmy'ego na tę chwilę. Dwa tygodnie temu, kiedy odwiedziła go niedługo po swoim pobycie w Nowym Jorku, znów zapytał o ojca (o matkę nigdy nie pytał), a ona pokazała mu wtedy zdjęcie, które polskie gazety opublikowały niedługo po jego aresztowaniu.

Shahla zabiła Nadję.

Ale Timmy nie skoczył.

Wcale nie wyszedł z łazienki.

To było kłamstwo, które zaserwowała Martinowi, żeby przestał szukać syna. Na próżno. Przeczuwała, że kiedyś wpadnie na to, jak było naprawdę.

Po tym, jak Shahla zabiła Nadję lampą stojącą na biurku i zamknęła Timmy'ego w łazience, Elena pomogła jej zawinąć zwłoki w prześcieradło i wyrzucić za burtę. Potem wyrzuciły walizkę Nadji. Kamery monitoringu potrzebowały dwóch ofiar. Niestety od razu było widać, że walizka jest mniejsza od ciała matki. Powinny najpierw pozbyć się walizki, a dopiero później ciała. Ogromny błąd, ale na szczęście armator kazał ukryć taśmy, żeby po cichu zatuszować sprawę.

Elena, nie namyślając się długo, zaopiekowała się chłopcem. Timmy, wystraszony i kompletnie roztrzęsiony, nie miał pojęcia, jak można skontaktować się z jego ojcem.

Sprawdziła swoimi drogami i dowiedziała się, że jego ojciec jest przestępcą i siedzi w więzieniu w Warszawie za kontakty z mafią.

Zboczona matka nie żyje, ojciec morderca. Krewni pewnie niewiele lepsi. Biorąc pod uwagę podłą sytuację rodzinną, pod żadnym pozorem nie chciała odsyłać tam będącego w ciężkim szoku chłopca. Elena nie wiedziała wtedy, że Martin prowadzi tajną akcję policyjną, dowiedziała się tego dopiero kilka lat później, kiedy Daniel opowiedział jej o procesie, który wytoczył mu Schwartz. W tamtym momencie jednak postanowiła zaopiekować się Timmym. Przez jakiś czas ukrywała go na statku, potem zabrała do siebie do domu w Casa de Campo i tam umieściła w internacie. Kilka razy w roku odwiedzała go w Republice Dominikany, tak długo i tak często, jak tylko mogła.

Później, kiedy już dowiedziała się, kim w rzeczywistości jest ojciec Timmy'ego, zastanawiała się nawet przez chwilę, czy nie powinna doprowadzić do ich spotkania, ale potem odrzuciła tę myśl. Martin był policjantem. Jednym z najlepszych. Istniało zbyt duże niebezpieczeństwo, że będzie ją ścigał i że ją zabije. Tak jak to sobie teraz z pewnością postanowił. Na razie jednak udało jej się uciec i robiła wszystko, aby jak najdłużej odwlec to w czasie.

Przez te lata, kiedy ukrywała Timmy'ego przed ojcem, chłopiec wyrósł na przystojnego nastolatka, który rozkoszował się życiem na Karaibach i tak dobrze nauczył się grać w tenisa, że dotarł do finału karaibskich mistrzostw juniorów.

Przed dwoma tygodniami Elena powiedziała mu, kim naprawdę jest jego ojciec i że na pewno go szuka. Tak więc Timmy był przygotowany na spotkanie. Mimo wszystko nawet nie próbowała sobie wyobrazić szoku, jakiego właśnie doznał.

Elena westchnęła i włożyła komórkę do torebki od Louisa Vuittona, otworzyła małą puderniczkę, poprawiła usta szminką i trochę obciągnęła dekolt swojej małej czarnej. Potem podniosła się z fotela przy oknach.

Morze w Atolu Ari było przyjemnie spokojne, MS „Aquarion” łagodnie kołysał się na wodach Oceanu Indyjskiego jak deska surfingowa, toteż Elena bez najmniejszego trudu dotarła na swoich dziesięciocentymetrowych obcasach do pokładowego baru.

– Dżin z tonikiem – powiedziała do barmana tego małego, ale eleganckiego wycieczkowca, który mieścił trochę mniej niż tysiąc pasażerów. Jednemu z nich, mężczyźnie o nieskończenie głębokim spojrzeniu, który siedział teraz obok przy piwie, posłała uśmiech, na którego efekty nie musiała długo czekać.

– Mogę pani postawić drinka? – zapytał przystojny Niemiec, którego od wypłynięcia ze Sri Lanki nie spuszczała z oczu.

– Z chęcią, panie...

– Schiwy – przedstawił się mężczyzna, którego nazwisko Elena oczywiście знаła. – Ale proszę mi mówić Tom.

Uśmiechnęła się i podała nazwisko, pod którym zameldowała się na ten rejs.

Powiedz Julii, że naprawię mój błąd!

– I cóż to sprowadza pana na pokład, Tom?

– Ufff. – Wykonał gest, jakby ocierał pot z czoła. – To długa historia.

– Mamy przed sobą długą podróż. – Elena obdarowała go jeszcze bardziej szczerym uśmiechem i niby przypadkiem dotknęła końcami palców jego dłoni na kontuarze.

– No cóż, mówiąc w największym skrócie: uciekłem.

– Czyżby przed miłością?

Przytaknął zarozumiale.

– W zasadzie można tak powiedzieć. Potrafi sobie pani wyobrazić, jak to jest, kiedy matka i córka zakochają się jednocześnie w tym samym mężczyźnie?

Elena zmrużyła kokieteryjnie oczy.

– W pana przypadku jak najbardziej.

Machnął ręką.

– Tak, tak, wydaje się to zabawne, ale proszę mi wierzyć, że to istne piekło. Dwie zazdrosne kobiety, na dodatek jeszcze spokrewnione. Jedna chciała się wręcz zabić z miłości i prawie by to zrobiła, gdybym w porę nie ostrzegł jej matki.

Uśmiechnął się lubieżnie. Widocznie myślał, że frywolna historyjka zwiększy jego atrakcyjność.

– I wtedy po prostu zarezerwował pan podróż, żeby uciec od tych zwariowanych bab? – zapytała Elena obłudnie.

– Nie, tutaj miałem szczęście w nieszczęściu. Wygrałem tę podróż w konkursie internetowym. To znaczy, nieraz już dostawałem wpisy, że jestem stutysięczną osobą, która odwiedziła jakąś stronę internetową, ale tym razem to rzeczywiście była prawda. Bilety dostarczono mi bezpośrednio do domu. – Uśmiechnął się od ucha do ucha. – Przyszły jak na zawołanie.

– Tak jak i pan, Tom. – Elena ujęła jego dłoń i delikatnie ją ścisnęła. – A więc ma pan szczęście w

grze?

– I radość w miłości – odpowiedział z uśmiechem.

– Brzmi obiecująco – powiedziała Elena i zsunęła się z barowego stołka. – Co pan na to, żebyśmy...?

– Skinęła głową w kierunku wind. – Trochę znam już ten statek. Miałby pan ochotę na zwiedzenie nieco bardziej zacisznych miejsc?

Tom Schiwy jednym haustem dopił piwo, podał barmanowi kartę do swojej kabiny, żeby zapisał napoje na jego rachunek i dał mu o wiele za duży napiwek, zanim pośpieszył za elegancką blondynką.

W podniecającym oczekiwaniu na wieczór i wszystko, co ze sobą przyniesie.

Od Autora

Książka nie kończy się w tym miejscu, bo od strony 343 czeka na Państwa jeszcze jedna mała niespodzianka (do której możecie oczywiście od razu przeskoczyć, jeśli nie interesuje was moja paplanina na temat historii powstania *Pasażera 23*).

W tym miejscu zgodnie z dobrą tradycją chcę najpierw podziękować właśnie Państwu: za to, że z zalewu prawie stu tysięcy nowości wydawniczych, jakie pojawiają się co roku na rynku, wyłowiliście akurat moje dzieło. Prawdopodobnie teraz, po zakończeniu lektury, wyrobiliście sobie Państwo całkowicie błędny obraz autora, czyli mnie.

Możecie wierzyć albo nie: uwielbiam rejsy statkami wycieczkowymi. Naprawdę! Jako małe dziecko chciałem nawet zostać kapitanem, ale bardzo szybko odrzuciłem ten pomysł, kiedy jako jedenastoletni chłopiec podczas rejsu przez kanał La Manche założyłem się z mamą, kto z nas dostarczy więcej pokarmu rybom. Dzisiaj podczas rejsu zawsze mam za uchem plaster ze skopolaminą, znak rozpoznawczy co bardziej wrażliwych uczestników wycieczek dalekomorskich, ale chętnie godzę się na pobłażliwe uśmiechy doświadczonych wilków morskich, skoro dzięki temu to ja kontroluję miejsce pobytu spożytego jedzenia, a nie odwrotnie.

Więc chociaż bardzo lubię wodę, *Pasażer 23* nie jest wyrazem mojego – przyznaję – dość osobliwego niekiedy poczucia humoru. W sympatii do statków wycieczkowych przy jednoczesnym czynieniu z nich areny okrutnych przestępstw nie widzę żadnej sprzeczności. Kocham również Berlin, ale nie mam skrupułów w zaludnianiu mojego rodzinnego miasta kolekcjonerami oczu i innymi psychopatami.

Kiedy mówię, że podobają mi się rejsy statkiem wycieczkowym, nie mam na myśli obowiązkowych przyjemności na pokładzie widokowym albo rygorystycznego programu wycieczek, których zapowiedź w magazynie pokładowym mocno przypomina agitację partyjną, gdzie też zawsze obiecuje się nam cuda nad cudami. Co prawda w tym wypadku nie chodzi o „więcej pieniędzy za mniej pracy”, ale na przykład o „idylliczne przeżycia rodem z *Robinsona Crusoe*” podczas wyprawy do malowniczej zatoczki kąpielowej w rozmiarach bonsai w towarzystwie ledwie ośmiuset osób o podobnych zainteresowaniach!

Po prostu podoba mi się idea podróżowania do obcych krajów razem z pokojem hotelowym, bez ciągłego pakowania i rozpakowywania walizek. Poza tym kocham morze (pewna astrołożka powiedziała mi, że jest to typowe dla dzieci urodzonych w październiku pod znakiem Wagi), ale kiedy spędzam urlop na plaży, jestem najczęściej zbyt leniwy, aby wstać z leżaka, wejść do wody, potem się osuszyć, jeszcze raz posmarować kremem (ponieważ nigdy nie wiadomo, czy smarowidło jest odporne na wodę, czy tylko tak jest napisane na etykiecie) – a cały ten stres tylko po to, żeby przepłynąć kilka metrów, ponieważ pływanie to również nie do końca moja bajka... no tak, znowu odbiegam od tematu. A chciałem powiedzieć tylko tyle, że dla kogoś takiego jak ja, kto chce tylko popatrzeć na wodę, długie dni na morzu są idealne, ponieważ na takim pływającym olbrzymie nie jestem narażony na złe spojrzenia mojej żony, tylko dlatego, że nie mam wielkiej ochoty skakać z dziećmi do morza. I tak oto wróciliśmy do zasadniczego tematu.

Pasażer 23 jest powieścią. To znaczy: okłamałem Państwa. Wszystko to nigdy się nie zdarzyło. Ale jak już wspominałem w innym miejscu: każde dobre kłamstwo zawiera w sobie ziarno prawdy. A *Pasażer 23*

ma tych ziaren więcej niż niejeden arbuź, ponieważ główne przesłanie, a mianowicie, że co roku ze statków wycieczkowych znikają bez śladu dziesiątki pasażerów, jest tak samo prawdziwe jak zamieszczone w książce stwierdzenie kapitana Daniela Bonhoeffera, że w USA duże kancelarie prawnicze zdążyły się już wyspecjalizować w reprezentowaniu krewnych *cruise victims*. W ogóle jest tak, że wszystkie tajemnicze zaginięcia, które Bonhoeffler wylicza w rozdziale dwunastym, niestety zdarzyły się naprawdę. Zmieniłem tylko nazwiska i nazwy statków.

W roku 2011 i 2012 padł nawet nowy smutny rekord: zniknęło 55 osób. Gdyby powieść odnosiła się tylko do tych dwóch lat, musiałaby nosić tytuł *Pasażer 27,5*.

Na pomysł napisania tej książki wpadłem już w 2008 roku, kiedy w „Park Avenue” (magazynie, który zdążył już sam utonąć w morzu innych czasopism) przeczytałem reportaż omawiający fenomen pasażerów zaginionych podczas rejsów statkami wycieczkowymi.

Pierwszą wersję zacząłem pisać w marcu 2013 roku. Trwało to tyle lat, ponieważ – mówiąc krótko – dopiero dużo, dużo później wpadłem na stanowiący o istocie książki pomysł, mianowicie, aby centralną postacią nie była zaginiona osoba, tylko „zmartwychwstały” pasażer, którego samo pojawienie się obala teorię samobójstwa, rutynowo przyjmowaną przez przedsiębiorstwa żeglugowe jako wyjaśnienie.

Prawdą jest bowiem także to, że przeżywający rozkwit przemysł turystyki morskiej nie jest zainteresowany, aby w swoich luksusowych prospektach reklamowych ostrzegać przed tym, co dla każdego zdrowo myślącego turysty jest oczywiste: jeśli na ciasnej przestrzeni zgromadzi się kilka tysięcy ludzi, konflikty są nieuniknione. A wśród milionów ludzi, którzy decydują się na taką formę spędzania urlopu, na pewno nie znajdują się wyłącznie sympatyczne jednostki.

Przestępstwa na pełnym morzu z pewnością nie są rzadkością, a cytowane w książce strony internetowe, na których organizują się ofiary, ich krewni i adwokaci, istnieją naprawdę. Liczba udokumentowanych tam przypadków przybrała już takie rozmiary, że International Cruise Victims Association (ICV) zażądało powołania na wzór *sky marshals* w samolotach nieistniejącej jeszcze służby tajnych agentów działających na wycieczkowcach.

Takie pływające kompleksy hotelowe są małymi miastami, nieposiadającymi własnej policji. Jeśli w ogóle jest na nich jakaś służba odpowiedzialna za bezpieczeństwo, to finansowo zależy ona od spółki żeglugowej, co oznacza, że w razie jakiegoś incydentu śledztwo w gronie własnego personelu jest raczej mało prawdopodobne.

Ale żeby być uczciwym – a pod tym względem fakty przedstawione w książce również są prawdziwe – w przypadku zaginięcia pasażera nawet taki „sea marshal” niewiele by wskórał. Już sama kilkukilometrowa „droga hamowania” wycieczkowca z reguły uniemożliwia skuteczną akcję ratunkową; a cóż dopiero, jeśli od czasu, kiedy potencjalna ofiara była widziana po raz ostatni, upłynęły całe godziny. A sam statek, o czym obszernie pisałem, jest za duży, aby można go było dokładnie i szybko przeszukać.

Na dodatek nie istnieją jednolite na całym świecie zasady postępowania w takich przypadkach. Jak skrytykował to w książce Martin Schwartz, pasażerowie przekraczają granicę obcego państwa, kiedy tylko wejdą na pokład, i cytując Kendalla Carvera z ICV, „od tej chwili podlegają władzom kraju, w którym zarejestrowano statek”. Dlatego w roku 2010 USA uchwaliły ustawę, która udziela daleko idących pełnomocnictw FBI oraz Straży Wybrzeża – od tamtej pory funkcjonariusze mogą prowadzić śledztwa również na statkach zarejestrowanych za granicą. Jednak wyłącznie w przypadkach zaginięcia

obywateli amerykańskich!

Zbieranie informacji do książki było bardzo proste, dopóki dotyczyło strefy powyżej linii wodnej. Plany pokładów i kabin, dokumentacja wideo z mostka, reportaże telewizyjne – wystarczy tylko kliknąć myszką. W przypadku pomieszczeń załogi, windy kotwicznej i kuchni jest już trudniej, ale podczas rejsu rozpoznawczego mogłem korzystać z pomocy przewodnika (dopóki osoby decyzyjne jeszcze nie wiedziały, czego będzie dotyczyć moja książka).

Uzyskanie dostępu do szczegółowych planów dolnego pokładu, łącznie z maszynownią, ładowniami oraz spalarnią śmieci jest (z uwagi na względy bezpieczeństwa) prawie niemożliwe.

W tym miejscu chciałbym przejść do oficjalnych podziękowań. Zacznę od najserdeczniejszych wyrazów wdzięczności za fachową pomoc dla emerytowanego kapitana Volkera Bernharda; zadał sobie trud i przeczytał całą książkę, zanim jeszcze się ukazała, i przekazał mi cenne informacje na temat miejsc, które dla przeciętnego pasażera statku wycieczkowego są zazwyczaj niedostępne.

Wszystkie błędy, jakich ktoś się tu jeszcze doszuka, obciążają wyłącznie moje konto, i zostaną skwitowane standardową wymówką każdego twórcy: „No i co takiego, to przecież licentia poetica!”

Z następującymi osobami z wydawnictwa Droemer Knaur wybrałbym się w taki rejs i mam nadzieję, że żadna z nich by nie zaginęła, ponieważ gdyby nie ich fantastyczna praca Pasażer 23 nie trafiłby do waszych rąk: Hans-Peter Übleis, Christian Tesch, Theresa Schenkel, Monika Neudeck, Sibille Dietzel, Carsten Sommerfeldt, Iris Haas, Hanna Pfaffenwimmer oraz – jak zawsze na honorowym miejscu – moje cudowne redaktorki Carolin Graehl i Regine Weisbrod, które – aby użyć morskiej metafory – swoimi mądrymi pytaniami i spostrzeżeniami sprawiły, że moja opowieść nie dostała przechyłu ani nie wpadła na rafę w połowie drogi. Od 2006 roku konsekwentnie zapominałem o nim w moich podziękowaniach, ale, sam widzisz, masz cholernie trudne nazwisko, drogi Helmucie Henkensiefkenie. Wielkie dzięki za okładkę!

Wielu uważa, że autor jest kapitanem, ale w tym przypadku kapitańską czapkę nosi Manuela Raschke. Ta super- kobieta organizuje całe moje zawodowe życie – a ostatnio nawet część prywatnego – na przykład od niedawna podcina włosy moim dzieciom! Dziękuję, Manu... i aha, żeby nie zapomniał, żółte worki będą teraz zabierane w czwartki :).

Pisanie to proces odbywający się w samotności, ale całość pracy nad książką na szczęście już nie, i cieszę się, że przez lata wykrystalizowało się coś w rodzaju „rodzinnego przedsiębiorstwa”, przy czym cieszę się przywilejem, który pozwala mi pracować wyłącznie z dobrymi przyjaciółmi i krewnymi. Albo przynajmniej wymienione poniżej osoby potrafią zręcznie udawać, że mnie lubią:

Barbara Herrmann, Achim Behrend, Sally Raschke, Ela i Micha, Petra Rode, Patrick Hocke i Mark Ryan Balthasar.

Sabrinie Rabow jeszcze raz dziękuję za doskonałą współpracę z mediami i za to, że podczas sesji fotograficznych mimo moich protestów zawsze udaje się jej trochę przypudrować mi twarz. Co prawda nie znoszę tego, ale muszę przyznać, że bez tego wyglądałbym na zdjęciach jak kandydat do kuracji botoksem z castingu na ulotkę reklamową.

Googlowanie może zmienić życie. Na przykład moje: w roku 2001 wpisałem do wyszukiwarki hasło

„agent literacki” i komputer wypuł nazwisko najlepszego na świecie: Roman Hocke. Dziękuję jemu oraz reszcie wspaniałego AVA International Team, Claudii von Hornstein, Claudii Bachmann, Gudrun Strutzenberger i Markusowi Michalekowi.

Dziękuję również człowiekowi, bez którego nigdy nie dałbym rady odbyć pięćdziesięciu spotkań autorskich w jednym tygodniu, a na wszystkich innych umówionych spotkaniach pojawiałbym się za późno albo wcale: Christianowi Meyerowi z agencji C & M Sicherheitsdienst.

Dziękuję wszystkim księgarzom, bibliotekarzom, intrologatorom i organizatorom wieczorów autorskich i festiwali literackich: wszyscy utrzymujecie przy życiu najważniejsze medium świata i umożliwiacie nam, autorom, spełnienie naszych marzeń.

Pasażer 23 był już na ukończeniu, kiedy doszła do mnie smutna wiadomość, że jeden z moich przyjaciół, któremu jestem winien nieskończoną wdzięczność, odszedł od nas. Wiem, że dobrzy ludzie odchodzą zawsze za wcześnie, ale żeby aż tak? Obojętnie gdzie teraz jesteś, Peterze Hetzel, w myślach ściskam cię jak najserdeczniej. Wszystkim nam bardzo ciebie brakuje!

Podobnie jak Peter, od początku wspierali mnie też następujący przyjaciele: Karl „Kalle” Raschke (dzięki za liczne inspiracje, których wciąż dostarczają mi twoje „zwyczajne” przeżycia), Gerlinde Jänicke (dziękuję za twoje imię!), Arno Müller, Thomas Koschwitz, Jochen Trus, Stephan Schmitter, Michael Treutler i Simon Jäger.

Dziękuję również Michaelowi Tsokosowi. Zawsze dobrze znać lekarza sądowego, który nawet po północy odbierze komórkę, kiedy człowiek ma do niego pytanie na temat konkretnego sformułowania dotyczącego śladów tortur w dokumentacji medycznej.

Porady stomatologiczne zapisuję na konto cudownej doktor Ulrike Heintzenberg. (Tak, tak, niedługo zgłoszę się na przegląd).

Większość traktuje to jako żart, kiedy mówię, że właściwie nie piszę psychothrillerów, tylko historie rodzinne, ale to prawda. Wszystko, zarówno dobre, jak i złe, ma swoje źródło w rodzinie, a ja mam to niewyobrażalne szczęście, że otaczają mnie cudowni ludzie: przede wszystkim mój ojciec Freimut, jak również Clemens i Sabine, którzy również przy tej książce służyli mi radą jako konsultanci medyczni.

Ach tak, i oczywiście dziękuję mojej żonie Sandrze, której imię zostanie umieszczone w automatycznym słowniku Worda jako synonim „cierpliwości” i „wrozumiałości”, i którą w tym miejscu ostrzegam: niedługo się zobaczymy, skarbie, jestem już przy podziękowaniach! Proszę, przygotuj dzieci na mój powrót do życia; żeby znowu nie było tak, że cała trójka zacznie płakać, bo jakiś obcy facet wyszedł z piwnicy.

Jeśli właśnie macie Państwo zamiar odbyć rejs wycieczkowcem albo nawet już znajdujecie się na statku, mam nadzieję, że tą książką nie odebrałem Wam chęci podróży. W żadnym razie nie jestem autorem mającym misję. Pragnę dostarczyć Państwu rozrywki, a nie nawracać, i dotyczy to także zawartych w książce – jak najbardziej prawdziwych zresztą – informacji na temat utylizacji śmieci i zużycia energii na wycieczkowych gigantach.

Prawdopodobnie zepsułem sobie tym thrillerem raz na zawsze kontakty z zasiedziałyimi towarzystwami żeglugowymi. Szansa, że po ukazaniu się *Pasażera 23* zostanę zaproszony na spotkanie autorskie na wycieczkowcu, jest prawie tak samo realna, jak wielki wieczór filmowy na pokładzie z pokazem filmu *Titanic*. Chociaż... w życiu nigdy nic nie wiadomo. Kiedy w listopadzie 2005 wybrałem się z moją

mamą w podróż przez Atlantyk, na dzień przed przybiciem do Nowego Jorku przez pokładową rozgłośnię podano komunikat, że statek znajduje się dokładnie w miejscu, w którym zatonął „Titanic”. Ludzie tłumnie wylegli na pokład. Nie w panice, tylko – to nie żart – po to, aby sfotografować wodę!

Życie pisze najprzedziwniejsze historie – a Państwo najpiękniejsze listy od Czytelników.

Jeśli macie Państwo takie życzenie, zawsze możecie mnie odwiedzić na stronach www.sebastianfitzek.de, www.facebook.de/sebastianfitzek.de albo mailowo pod adresem fitzeksebastian@fitzek.de.

Jeśli jednak idzie o moją odpowiedź, to czasami może to trochę potrwać, bo zdarza mi się znikać. Najczęściej wtedy, kiedy znowu piszę...

Wielkie dzięki i do znowuczytania

Wasz

Sebastian Fitzek

Berlin. Am Stresstag der Standesbeamten

(7.07.2014)

PS. Ach, byłbym zapomniał – dla wszystkich, którzy zadawali sobie pytanie, co się stało z doktorem z Prologu... Jest jeszcze pewien drobiazg...

Epilog

„Sułtan Mórz” Sześć tygodni później

Robimy coś, żeby też zniknęła?

Pytanie Yegara było zadane poważnie, ale chirurg tylko roześmiał się, zmęczony. Obserwowali Gerlinde już od około dwudziestu minut na monitorze kontrolnym, który pokazywał korytarz na bakburcie pokładu 3, niedaleko miejsca, gdzie schwytali wtedy Anouk. Staruszka, która wybrała się na spacer akurat o świcie, chyba już dziesiąty raz obmacywała kościstymi palcami spoiny na ścianie kabiny, tam, gdzie tapeta była niedokładnie przyklejona.

– Jest piąta rano, czy ta dziwaczka nie ma nic lepszego do roboty? – zapytał Yegor, podczas gdy Konradin Franz pochylał się obok niego nad monitorem i dmuchał mu w kark powietrzem, w którym czuło się mieszaninę dżinu i cukierków miętowych. Pięćdziesięciosześcioletni chirurg, który sam siebie lubił tytułować doktorem, chociaż nigdy nie zrobił doktoratu z medycyny, wytarł spoczone czoło wierzchem dłoni.

– Jeśli zaraz stamtąd nie pójdzie, to też trafi na mój stół – wymamrotał z pogroźką w głosie, chociaż było oczywiste, że dzisiaj nie byłby już w stanie przeprowadzić żadnej operacji. Nawet gdyby sobie zdrowo gołnął.

– To kiedy wypisujemy Tayo? – zapytał Yegor, chociaż znał odpowiedź. Klient, jak chirurg nazywał wszystkich pacjentów, których operował na „Sułtanie”, powinien zostać zabrany z pokładu z użyciem zwyczajowej procedury na Barbadosie. O szóstej rano, a więc za niecałą godzinę, zaraz po wpłynięciu do portu. Zawinięty w prześcieradła, w pojemniku na brudną pościel z oddziału szpitalnego, opatrzonym ostrzeżeniem w czterech językach: „Zanieczyszczenia. Niebezpieczeństwo zarażenia”.

To oraz łapówki dla jednego z pracowników władz portowych gwarantowały, że nikt nie wpadnie na pomysł, aby zajrzeć do kontenera, w którym czarny sportowiec i tak mieścił się z najwyższym trudem. Inni klienci przed nim byli znacznie mniejsi i mniej muskularni, nie sprawiali więc żadnych problemów podczas transportu

Ale Tayo nie bez powodu był trzykrotnym rekordzistą świata w biegu na czterysta metrów. Przebiegał ten dystans w czasie poniżej 43,20 sekundy, co niestety nie okazało się wystarczająco szybko, żeby uciec członkom nigeryjskiej mafii, którym obiecał zmanipulować bieg podczas letnich Igrzysk Olimpijskich. Tayo umówił się z nimi, że tuż przed metą się potknie. Decydująca drobnostka, o której zapomniał w gorączce wyścigu i dlatego klan, który postawił na złego konia, stracił bardzo dużo pieniędzy, które teraz chciał odebrać od Tayo. Istniały dowody w postaci fotografii, że podczas ściągania pieniędzy nie przebierają w środkach. Pewnemu dealerowi narkotyków wyjęli korkociągiem prawe oko, ponieważ sprzeniewierzył dwanaście dolarów. Tayo nie udałoby się wywinąć tak małym kosztem. Był im winien dwanaście milionów.

Po sprzedaniu wszystkich samochodów, mieszkania i zebraniu całej gotówki ze wszystkich kont (w

końcu Tayo dzięki umowom sponsorskim bardzo dobrze zarabiał), miałby sumę wystarczającą, żeby zwrócić mafii jedną trzecią przegranych pieniędzy. Albo ulotnić się z czterema milionami dolarów w kieszeni.

Tayo zdecydował się na to ostatnie i zameldował się na „Sułtanie”.

– Przyszedł czas, żebyśmy nadali mu nowe imię – powiedział chirurg. Yegor przytaknął, chociaż niechętnie. Ze wszystkich propozycji widniejących na liście ich klient zdecydował się akurat na imię Sandy.

Sandy? Było to imię, które – o czym Yegor nie wiedział – w USA noszą również mężczyźni. Ale co go obchodzi życie tego człowieka? A dokładniej mówiąc, co go obchodzi jego nowe życie?

Jego robota była skończona. Ściągnął na pokład Martina Schwartza i zadbał o to, żeby kryzys został zażegnany. W gruncie rzeczy los Anouk był mu obojętny. Yegorowi nigdy nie zależało na wyjaśnieniu jej przypadku. Szczerze mówiąc nigdy się nie spodziewał, że ten policjant o rozstrojonych nerwach wyciągnie coś wartościowego na światło dzienne. W zasadzie Schwartz miał być tylko kozłem ofiarnym. On albo Bonhoeffer, nieświadom niczego głupek, który ciągle jeszcze się nie połapał, co tak naprawdę dzieje się na statku. Kapitan niezmiennie wierzył, że chodziło o uratowanie dealu z chilijskim inwestorem, a prawda była taka, że Yegor w żadnym razie nie zamierzał sprzedać swojego statku. Vicente Rojas i jego nic niewarciu prawnicy znaleźli się na pokładzie tylko po to, aby plotkami o przejęciu podgrzać temperaturę na giełdzie i podnieść kurs akcji przedsiębiorstwa żeglugowego.

– No, szlag może człowieka trafić! – wybuch doktora wyrwał Yegara z zamyślenia.

– Stul pysk! – rozkazał, chociaż nie było możliwości, aby Gerlinde mogła ich usłyszeć. Co prawda stała tylko dziesięć metrów od nich, ale pomieszczenia na międzypokładzie były całkowicie dźwiękoszczelne.

Ale w zasadzie doskonale rozumiał Konradina. Rzeczywiście szlag mógł człowieka trafić.

Ledwie z najwyższym wysiłkiem i w ostatniej chwili udało im się uniknąć zdemaskowania całego przedsięwzięcia, a tymczasem ta stara wiedźma znowu miałyby narobić im problemów i udaremnić wyładunek klienta ze statku?

Kiedy ponad dwa miesiące temu Anouk Lamar całkiem niespodziewanie pojawiła się z powrotem na pokładzie, Yegor naprawdę pomyślał, że już po nich. Zaginiony „pasażer 23” nie stanowił problemu. Takie rzeczy często się zdarzały, nikt z tego powodu nie zlecał przeszukania całego statku. Ale „pasażer 23”, który zmartwychwstał? To był już inny kaliber. Gdyby wiadomość przedostała się na forum publiczne, rozpętałoby się piekło, a to oznaczałoby koniec jego interesu. Prawdziwą katastrofę. FBI zaaresztowałoby statek i chmara agentów miesiącami przetrząsałaby każdy zakamarek. Coś, co w żadnym wypadku nie mogło się zdarzyć. Samobójstwo? Proszę bardzo! Seryjny zabójca na pokładzie? Może być! Dział PR dałby radę to wszystko jakoś wyprostować. Ale gdyby podczas przeszukania statku odnaleziono miejsce, w którym armator zarabiał swoje prawdziwe miliony – czyli ten międzypokład – powędrowaliby za kratki do końca życia. On, chirurg, po prostu wszyscy, którzy zbijali majątek na prywatnym programie ochrony świadków i ofiar.

Programie służącym bogatym i zrozpaczonym tego świata, którzy przeważnie z niezgodnych z prawem powodów chcieli na zawsze zniknąć z powierzchni ziemi. Czy to żeby uniknąć więzienia, podatków, czy jak w przypadku Tayo uciec przed nigeryjską mafią. A gdzie było to łatwiejsze, jeśli nie na luksusowym

liniowcu tej wielkości? W miejscu, gdzie nie ma policji, za to są niezliczone możliwości ukrycia się. W całkowicie odrębnym świecie, gdzie można było bez problemu nawet całe rodziny przysposobić do nowego życia, ku któremu w dosłownym sensie płynęły.

Przy czym międzypokład nie był pokładem w dosłownym znaczeniu tego słowa. Składał się z wielu łączących się ze sobą i labiryntowych wręcz pomieszczeń, ciągnących się przez kilka poziomów i tak przemyślnie skonstruowanych, aby wygospodarowana w ten sposób wolna przestrzeń była dla laika zupełnie nierozpoznawalna z zewnątrz.

Yegor i Konradin siedzieli przed śluzą transportową, sekretnymi drzwiami, przez które miał zostać wytoczony kontener z Sandym. Gdy tylko zniknie stara Dobkowitz, która stała zaledwie o kilka kroków od nich, po drugiej stronie ściany.

– A jak się ma nasz pacjent w swoim wielkim dniu? – mruknął Yegor, nie spuszczać z oczu monitora. Gerlinde właśnie odjechała na swoim wózku metr do tyłu, jakby chcąc uzyskać z większej odległości lepszy ogląd sytuacji.

– Świetnie. Doskonale postępujący proces gojenia. Jak to przeważnie bywa u wysportowanych klientów – odpowiedział Konradin.

Sprawa Tayo trwała ponad rok. Sfingowana katastrofa prywatnego samolotu nad Zatoką Gwinejską, zaokrętowanie w Praia, wielomiesięczny trening psychologiczny, stworzenie legendy, a potem zabiegi operacyjne. Zarezerwował pełny program, co kosztowało go prawie dwa miliony, połowę jego oszczędności. Ale były to dobrze wydane pieniądze. W jego przypadku zwykłe kosmetyczne korekty niczego by nie załatwiły. Tayo był znanym międzynarodowym celebrytą, a jego prześladowcy mieli powiązania na całym świecie. Trzeba było drastycznie zmienić jego wygląd zewnętrzny, żeby nie został od razu rozpoznany w swojej nowej ojczyźnie. Ostatecznie chirurgowi udało się przekonać go nie tylko do skorygowania podbródka, ust i nosa, lecz nawet do amputacji nogi. Krok prawdziwie ekstremalny, ale po namyśle każdy musiał przyznać, że gwarantuje Sandy'emu nowe życie. W tym biznesie królowała niepodważalna zasada: jeśli ktoś chce stać się niewidzialny, musi na stałe zerwać ze swoimi starymi przyzwyczajeniami. Graczowi nie wolno już nigdy zbliżyć do kasyna, muzykowi wziąć do ręki gitary, sportowcowi biegać. Przyjmując zlecenie od Tayo, zdawali sobie sprawę, że staną przed szczególnym problemem. Człowiek, którego prasa z upodobaniem nazwała „Pan Naddźwiękowiec”, nie potrafiłby długo trzymać się z daleka od tartanowych bieżni w pobliżu swojego nowego miejsca zamieszkania na Karaibach. Tayo był uzależniony od sportu jak ćpun od narkotyków. Miał jedyny w swoim rodzaju styl biegania i nawet gdyby włożył sobie kamienie do butów, żeby trochę inaczej to wyglądało, po kilku treningach i tak zaczęłoby się gadanie, a takie pogłoski o nieznanym człowieku błyskawicy, który nocami robi kółka wokół boiska, szybko dotarłyby do niewłaściwych uszu.

Żeby w stu procentach zapobiec sytuacji, że Tayo zostanie rozpoznany i zamęczony na śmierć, można było zrobić tylko jedno: sprawić, żeby już nigdy więcej nie pobiegł. Ponieważ nie będzie mógł.

Toczyli niekończące się dyskusje; jeszcze na krótko przed zabiegiem Tayo co chwila zmienia zdanie. Te ciągłe zmiany decyzji w końcu tak rozwścieczyły chirurga, że podpity choleryk prosto po operacji poszedł na pokład 8 1/2 i tam, w miejscu, którego nie obejmowała obiektywem żadna kamera, w ciemną sztormową noc wyrzucił amputowaną nogę za burtę. Niewybaczalne uchybienie, które właściwie powinno kosztować go utratę pracy; tyle tylko, że posada „chirurga plastycznego w klinice firmy

realizującej własny program ochrony świadków na tajnym międzypokładzie statku wycieczkowego” nie była pracą, do której ustawiała się kolejka kandydatów. Tutaj tolerowano nawet coraz bardziej widoczny alkoholizm Konradina. Poza tym chirurgowi nie można było przypisać żadnych innych uchybień tego rodzaju. Ta wycieczka na pokład 8 1/2 jemu samemu napędziła zresztą porządnego stracha, bo przecież omal nie został nakryty, kiedy wyrzucał odcięte podudzie do Oceanu Indyjskiego. Akurat przez Anouk Lamar, która znalazła sobie tam zaciszne miejsce do rysowania.

Konradin zaprowadził ją tej nocy z powrotem do matki. Kiedy kilka dni później zniknęła, opowiedział Yegorowi, że wyczuł wtedy wyraźną niechęć dziewczynki do powrotu do matki, i był przekonany, że wolałaby posiedzieć sama na pokładzie, mimo brzydkiej pogody i ciemności. W tamtym momencie, kiedy wszyscy jeszcze zakładali, że mają do czynienia z samobójstwem rozszerzonym, Konradin myślał, że Anouk domyślała się samobójczych planów matki. Dzisiaj wiedzieli już, dlaczego tamtej nocy nie chciała do niej wracać.

– Jak to właściwie możliwe, że ta starucha odkryła, co my tu robimy? – zapytał chirurg.

Yegor westchnął.

– Niczego nie odkryła. Tylko przypadkiem trafiła w dziesiątkę. No i dlatego nie szuka we właściwym miejscu, a tylko w pobliżu.

Tam, gdzie spotkała Anouk.

Co za obłąd z tą staruchą!

Ustalenia Martina dostarczyły FBI dokładnych informacji na temat sprawców oraz miejsca przestępstwa, a nawet kryjówki Anouk, dlatego nie było potrzeby przeszukania statku. Wszystkie kwestie interesujące agentów FBI zostały wyjaśnione.

Ale nie te, które interesowały Gerlinde.

– Dobrze pamiętam, że ta stara miała już zejść z pokładu? – zapytał Konradin.

– Nie, dopiero za czternaście dni, na Majorce. Gdy tylko wrócimy do Europy.

– Cholera jasna! – Chirurg spojrział na zegarek. – Tylnym wyjściem nie da się wywieźć kontenera.

Yegor skinął głową. Było jeszcze to uciążliwe zejście po schodach, którego użył chirurg, aby wyrzucić do morza nogę. Ale tą drogą nie da się wyprowadzić Tayo ze statku.

– Musimy poczekać, aż rzucimy kotwicę. W końcu ta wariatka musi kiedyś zwinąć żagle. Możemy... – Konradin przerwał w połowie zdania i zachichotał. – No wreszcie! Zmywa się.

Rzeczywiście. Gerlinde dała za wygraną. Jej wózek wytoczył się z pola widzenia.

Jeszcze przez chwilę Yegor śledził ją zdalnie sterowaną kamerą, potem zamruczał zadowolony, kiedy znikła w otwartej windzie.

– Możemy zaczynać – powiedział. – Czy Ta... znaczy Sandy jest gotowy do startu?

Chirurg przytaknął. Potem oddalił się, aby przyprowadzić klienta, żeby Yegor mógł się z nim pożegnać. Była to przyjemność, której armator nigdy nie potrafił sobie odmówić. Yegor uwielbiał porównywać wcześniejszy i późniejszy wygląd klientów oraz władzę wyprawiania ich na nową drogę życia, którego był współautorem.

Otworzył szampana, którego schłodził na tę okazję, i napełnił trzy przygotowane kieliszki. Jeden dla siebie, drugi dla chirurga, a trzeci dla wysokiego czarnoskórego mężczyzny, który musiał się schylić, żeby nie uderzyć głową w sufit kabiny, kiedy kuśtykając, wchodził o kulach przez służbę.

W tym czasie Gerlinde, zawiedziona, patrzyła na swoje odbicie w lustrze windy i zdecydowała, że raz na zawsze zaprzestanie poszukiwań Pokładu Bermudzkiego. Dzisiaj krążyła po statku aż do samego wschodu słońca. I co jej to dało?

Nic oprócz przekłętą szumu w głowie.

Postanowiła, że ostatnie dni na pokładzie „Sultana” wykorzysta wyłącznie na relaks.

– Cholerny Pokład Bermudzki, chyba jednak mam jakąś obsesję – przyznała sama przed sobą, klnąc pod nosem, póki drzwi windy się nie otworzyły. Kiedy chciała z niej wyjechać, zdziwiła ją nieoczekiwana zmiana.

Gerlinde potrzebowała chwili, żeby się zorientować, że to kolor wykładziny ją zdziwił. U niej, na pokładzie 12, była ona znacznie ciemniejsza. I grubsza.

Jestem na złym piętrze, pomyślała w pierwszej chwili. I wtedy zorientowała się, co się stało. Winda musiała być zepsuta. W każdym razie nawet nie ruszyła z miejsca. Gerlinde wciąż znajdowała się na tym samym poziomie, na którym do niej wsiadła.

– Dzisiaj wszystko idzie jak po grudzie. – Klnąc, wyjechała z kabiny, żeby spróbować szczęścia w windzie obok.

Czekając, znów przyglądała się swojemu odbiciu, tym razem w wypolerowanej do połysku okładzinie ścian z mosiężnej blachy. W jej odbłasku wszystko wyglądało trochę korzystniej. Jej oczy nie wydawały się już tak zmęczone, sprawiała wrażenie szczuplejszej, a fryzura nie była tak oklapnięta. Wszystko było bardziej sympatyczne, ładniejsze, miękkie i bardziej harmonijne.

Oprócz drzwi.

Drzwi trochę z boku za jej plecami, które otworzyły się jak za sprawą magicznego zaklęcia. I z których w tej samej chwili, kiedy Gerlinde odwróciła się w ich stronę, wytoczył się wielki kontener na brudną bieliznę wysokości dorosłego człowieka...